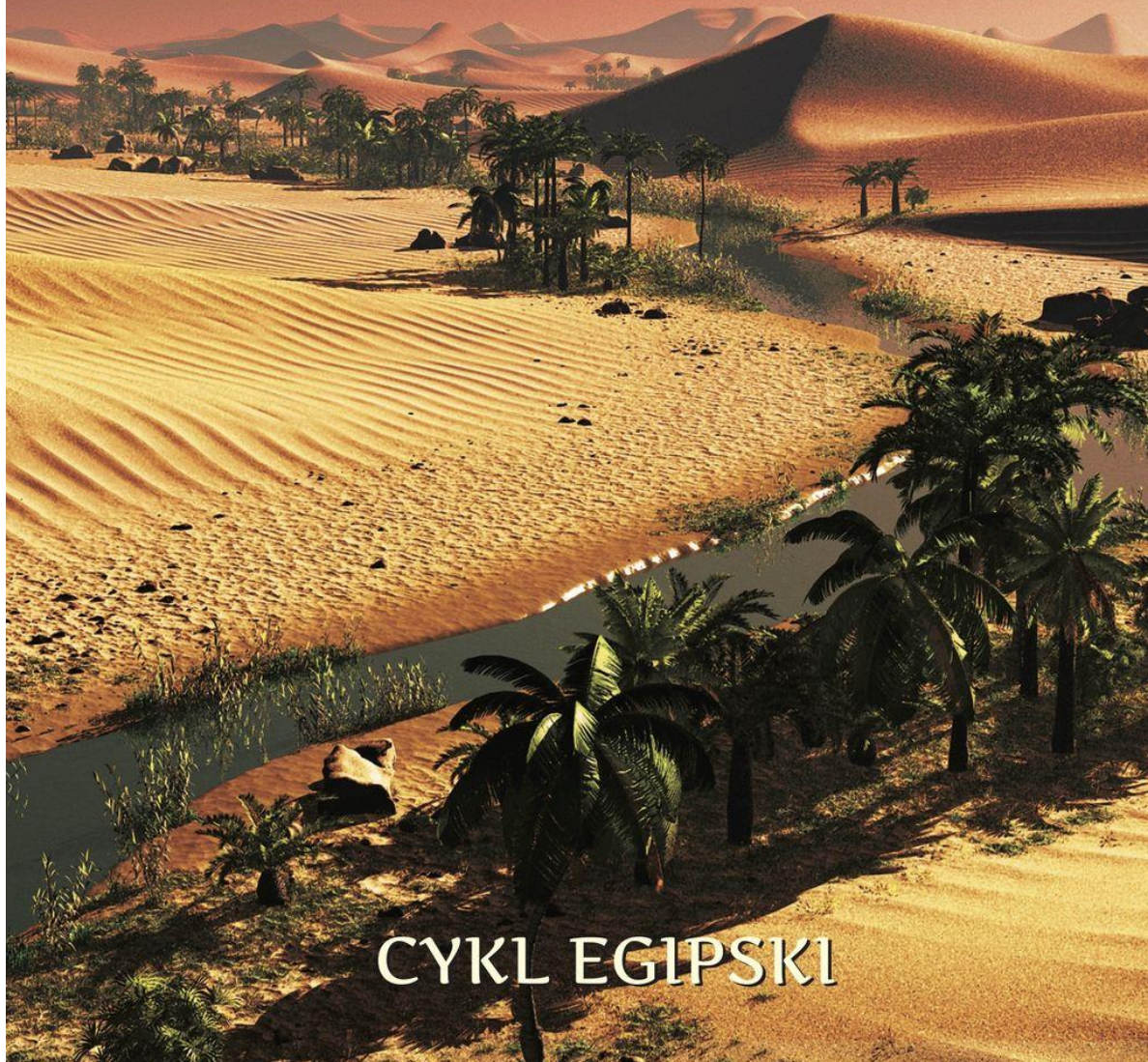


# W I L B U R SMITH

Faraon



CYKL EGIPSKI

O książce

**Dla Egiptu wybiła czarna godzina.  
Nil wkrótce zaczerwieni się od krwi ludzi zabitych z rozkazu faraona.  
Tylko jeden człowiek może ocalić kraj od katastrofy.**

Życie zadaje eunuchowi Taicie coraz to nowe ciosy. Był świadkiem najgorszych nikczemności, rzezi i pałacowych intryg. Teraz widzi Egipt ogarnięty ogniem wojny, której może nie wygrać. I jest świadkiem ostatnich chwil życia umiłowanego faraona Tamosego.

Nie wie jednak, że to dopiero przedsmak szaleństwa, które spadnie na jego ukochany kraj wraz z objęciem tronu przez najstarszego syna Tamosego, Utteryka, sadysty i tyra. Nowy faraon na swoją pierwszą ofiarę upatrzył sobie właśnie Taitę...

Ale nic nie zdoła złamać ducha Taity. I nikt nie zdoła powstrzymać go przed podjęciem samobójczej walki o wyzwolenie Egiptu spod panowania psychopaty.

# W I L B U R SMITH

## Faraon

Z angielskiego przełożył  
CEZARY FRĄC



Wydanie elektroniczne

## WILBUR SMITH

Światowej sławy pisarz pochodzący z Afryki, piszący po angielsku. Debiutował w 1964 r. powieścią **Gdy poluje lew**, pierwszą z jego najpopularniejszej sagi historyczno-przygodowej przedstawiającej dzieje rodziny Courtneyów. W jej skład weszły m.in. **Odgłos gromu**, **Monsun**, **Triumf słońca** i **Assegai**. Pełny dorobek Smitha obejmuje 39 powieści. Akcja większości z nich rozgrywa się w Afryce XX wieku, ale fascynacja pisarza starożytnością zaowocowała powstaniem tak zwanego „cyklu egipskiego”, obejmującego powieści **Bóg Nilu**, **Czarownik**, **Zemsta Nilu**, **Siódmy papirus**, **Ognisty bóg** i **Faraon**.

Po prozę Wilbura Smitha chętnie sięgają twórcy filmowi. Na duży ekran przeniesiono **Kopalnię złota**, **Zakrzyczeć diabła** i **Najemników**, a na podstawie **Płonącego brzegu**, **Władzy miecza**, **Boga Nilu** i **Siódmego papirusa** nakręcono miniseriale telewizyjne.

Smith jest miłośnikiem dzikiej przyrody; pasjonuje się współczesną historią Afryki, co znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości. Sporo podróżuje. Mieszka w Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i w Republice Południowej Afryki.

W 2015 r. wraz z żoną założył Wilbur and Niso Smith Foundation wspierającą młodych pisarzy na całym świecie.

**wilbursmithbooks.com**

**www.wilbur-niso-smithfoundation.org**

*Tego autora*

ZAKRZYCZEĆ DIABŁA

NAJEMNICY

PTAK SŁOŃCA

OKO TYGRYSA

ŁOWCY DIAMENTÓW

OKRUTNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

KOPALNIA ZŁOTA

STRACEŃCY

PIEŚŃ SŁONIA

GNIEW OCEANU

ORZEŁ NA NIEBIE

**Hector Cross**

PIEKŁO NA MORZU

OKRUTNY KRĄG

**Saga Courtneyów**

DRAPIEŻNE PTAKI

ZŁOTY LEW

MONSUN

BŁĘKITNY HORYZONT

TRIUMF SŁOŃCA

ASSEGAI

\*

GDY POLUJE LEW

ODGŁOS GROMU

UPADEK WRÓBLA

\*

PŁONĄCY BRZEG

WŁADZA MIECZA

PŁOMIENIE GNIEWU

OSTATNIE POLOWANIE

ZŁOTY LIS

**Saga Ballantyne'ów**

LOT SOKOŁA

POSZUKIWACZE PRZYGÓD

PŁACZ ANIOŁÓW

LAMPART POLUJE W CIEMNOŚCI

**Cykl egipski**

BÓG NILU

CZAROWNIK

ZEMSTA NILU

SIÓDMY PAPIRUS

OGNISTY BÓG

FARAON

*Dedykuję tę książkę mojej żonie Mokhiniso.*

*Od dnia, kiedy Cię poznałem, jesteś busolą mojego życia.  
Dzięki Tobie każdy dzień jest jaśniejszy  
i każda godzina cenniejsza.*

*Jestem Twój na zawsze i zawsze będę Cię kochać,*

*Wilbur*





Wolałbym połknąć własny miecz, niż otwarcie to przyznać, ale w głębi serca wiedziałem, że wreszcie jest po wszystkim.

Pięćdziesiąt lat temu nieprzebrane rzesze Hyksosów przybywające ze wschodnich dzikich krain bez ostrzeżenia wtargnęły do Egiptu. Byli to okrutni barbarzyńcy pozbawieni jakichkolwiek zalet. Mieli jeden atut, który uczynił ich niezwycięzonymi w bitwie. Były to rydwany bojowe zaprzężone w konie, których my, Egipcjanie, nigdy wcześniej nie widzieliśmy ani nawet nie znaliśmy ze słyszenia i które w naszych oczach wyglądały strasznie i odrażająco.

Próbowaliśmy pieszo powstrzymać atak Hyksosów, ale nas rozgromili, bez wysiłku okrążając w rydwanach nasze wojska i zasypując je strzałami. Nie mając wyboru, pobiegliśmy do łodzi i uciekliśmy na południe, w górę potężnego Nilu. Płynęliśmy i przeciągaliśmy łodzie przez katarakty, aż dotarliśmy na pustkowia. Przeczekali tam ponad dziesięć lat, usychając z tęsknoty za ojczyzną.

Przypadkiem udało mi się zdobyć wiele koni nieprzyjaciela, które zabraliśmy ze sobą. Gdy tylko odkryłem, że koń wcale nie jest wstrętnym, lecz najbardziej inteligentnym i uległym ze wszystkich zwierząt, opracowałem własną wersję rydwanu – lżejszego, szybszego i zwrotniejszego niż pojazdy Hyksosów. Nauczyłem chłopaka, który później został faraonem Tamose, jak powozić rydwanem i jak na nim walczyć.

W stosownym czasie my, Egipcjanie, popłynęliśmy w dół Nilu w naszych rzecznych łodziach, wyładowaliśmy rydwany na egipskich brzegach i runęliśmy na wrogów, przepędzając ich na północną deltę. Przez kolejne dziesięciolecia walczyliśmy z Hyksosami.

Ale teraz koło zatoczyło pełen krąg. Faraon Tamose był starcem, leżącym w namiocie ze śmiertelną raną zadaną przez hyksoską strzałę. Egipska armia topniała i jutro stanę w obliczu tego, co nieuchronne.

Nie wystarczył już nawet mój nieustraszony duch, który przez pół wieku mobilizował Egipt do walki. Tego roku zostaliśmy pokonani w dwóch następujących po sobie wielkich bitwach, obu pełnych goryczy i krwi. Hyksoscy najeźdźcy, którzy wydarli nam większą część naszej ojczyzny, stali na progu ostatecznego triumfu. Zagarnęli prawie cały Egipt. Nasze wojska zostały rozbite i pokonane. Bez względu na to, jak desperacko próbowałem zebrać żołnierzy i wskrzesić w nich ducha bojowego, pogodzili się z klęską i sromotą. Padła większość naszych koni, a te, które jeszcze trzymały się na nogach, z ledwością dźwigały ciężar człowieka albo ciągnęły rydwan. Co do ludzi, niemal połowa miała świeże otwarte rany, tylko okręcone szmatami. Liczba żołnierzy zmalała prawie o trzy tysiące podczas dwóch bitew, które stoczyliśmy i przegraliśmy od początku roku. Większość z tych, co przeżyli, mogła pójść do boju chwiejnym krokiem,

z mieczem w jednej ręce i kulą w drugiej.

Prawda jest taka, że największe straty ponosiliśmy nie tyle wskutek śmierci czy odniesionych ran, ile dezercji. Dumne niegdyś oddziały faraona w końcu straciły wolę walki i tłumnie uciekały przed rzeszami nieprzyjaciela. Łzy wstydu spływały mi po policzkach, gdy na przemian błagałem umykających żołnierzy i groziłem im chłostą, śmiercią i hańbą. Nie zwracali na mnie uwagi, nawet nie spoglądali w moją stronę, gdy biegli lub kuśtykali na tyły, rzucając broń. Hyksoskie hordy zgromadziły się pod samymi bramami Teb. Jutro poprowadzę niedobitki naszych wojsk do boju, który będzie naszą ostatnią nikłą szansą na uniknięcie krwawego unicestwienia.

Kiedy noc zapadła nad polem bitwy, kazałem sługom wyczyścić tarczę i zbroję ze świeżych plam krwi, a także wyklepać hełm wgięty przez hyksoskie ostrze. Pióropusz zniknął odcięty tym samym ciosem. Później w migotliwym blasku pochodni zadumałem się, patrząc na swoje odbicie w ręcznym lusterku z wypolerowanego brązu. Jak zawsze widok ten pokrzepił we mnie osłabłego ducha. Znow mi przypomniiał, jak chętnie ludzie podążają za wizerunkiem czy reputacją, mimo że zdrowy rozsądek ostrzega przed nieubłaganą śmiercią. Zmusiłem się do uśmiechu, próbując zignorować cienie melancholii w głębi moich oczu. Pochyliłem się, przechodząc pod klapą namiotu, i udałem się złożyć wyrazy uszanowania mojemu umiłowanemu faraonowi.

Faraon Tamose leżał na pryczy otoczony przez trzech chirurgów i sześciu ze swoich wielu synów. W szerokim kręgu wokół niego zgromadzili się generałowie i najwyżsi doradcy, a także pięć jego ulubionych żon. Wszyscy mieli poważne miny, a małżonki płakały, faraon bowiem umierał. Tego dnia na polu bitewnym odniósł poważną ranę. Ułamany promień hyksoskiej strzały wciąż sterczał spomiędzy jego żeber. Żaden z obecnych lekarzy, łącznie ze mną, najwprawniejszym z nich wszystkich, nie miał śmiałości, żeby wyciągnąć haczykowaty grot tkwiący tak blisko serca. Złamaliśmy drzewce niemal przy samej ranie i teraz czekaliśmy na nieuchronny wynik. Do jutrzejszego południa faraon prawie na pewno zwołni tron, zostawiając go Utterykowi Turowi, najstarszemu synowi, który siedział u jego boku i próbował nie okazywać, że rozkoszuje się myślą o chwili, kiedy zostanie władcą Egiptu. Utteryk był bezbarwnym i nieudolnym człowiekiem, który nawet sobie nie wyobrażał, że jutro o zachodzie słońca jego królestwo już może nie istnieć – przynajmniej tak o nim w owym czasie myślałem. Wkrótce miałem się, niestety, przekonać, jak bardzo się myliłem w tym osądzie.

Tamose był starcem. Znałem jego wiek niemal co do godziny, ja bowiem przyjąłem go jako noworodka na ten bezwzględny świat. Krążyła popularna legenda, że jego pierwszym czynem po porodzie było obfite zlanie mnie moczem. Stłumiłem uśmiech na myśl, jak przez ponad sześćdziesiąt następnych lat nigdy nie

wahał się, żeby w podobny sposób okazywać mi swoją nawet najbardziej umiarkowaną dezaprobatę.

Przyszedłem do niego i ukląknęłam, żeby ucałować jego ręce. Faraon wyglądał staro, nawet jak na swoje lata. Niedawno ufarbowano mu włosy i brodę, ale wiedziałem, że pod ulubionym przez niego jasnorudym barwnikiem włosy są białe niczym wyblakłe na słońcu wodorosty. Jego twarz była poryta głębokimi bruzdami i nakrapiana ciemnymi plamami. Pod oczami miał worki pomarszczonej skóry – pod oczami, z których wyzierała zapowiedź nadchodzącej śmierci.

Nie wiem, ile mam lat. Jestem o wiele starszy od faraona, ale wyglądam znacznie młodziej, nawet nie na połowę jego wieku. To dlatego, że jestem długowieczny i pobłogosławiony przez bogów, szczególnie przez boginię Inanę. Tak brzmi tajemne imię bogini Artemidy.

Faraon spojrzał na mnie i przemówił z bólem i wielką trudnością. Miał chrapliwy głos i świszczący, wyęźony oddech.

– Tata! – powitał mnie pieszczotliwym imieniem, które mi nadał, kiedy był dzieckiem. – Wiedziałem, że przyjdiesz. Zawsze czujesz, kiedy najbardziej cię potrzebuję. Powiedz mi, drogi stary przyjacielu, co z jutrem?

– Jutro należy do ciebie i Egiptu, panie. – Nie mam pojęcia, dlaczego takie słowa wybrałem na odpowiedź, wszak było pewne, że wszystkie nasze jutra należały do Anubisa, boga cmentarzy i życia pozagrobowego. Jednakże kochałem mojego faraona i chciałem, żeby odszedł w takim spokoju, jak tylko to było możliwe.

Uśmiechnął się, wyciągnął drżącą rękę, ujął moją dłoń i przyciskał ją do piersi, dopóki nie zasnął. Chirurdzy i jego synowie opuścili namiot i przysięgam, że widziałem lekki uśmiech na ustach Utteryka. Siedziałem z Tamosem do późnej nocy, jak kiedyś z jego matką, kiedy odchodziła, ale w końcu pokonało mnie odrętwiające zmęczenie bitwy. Uwolniłem rękę z jego dłoni i zostawiłem go, wciąż uśmiechniętego, po czym ciężkim krokiem wróciłem do swojego namiotu, padłem na siennik i pogrążyłem się w podobnym do śmierci śnie.

Słudzy mnie zbudzili, zanim złoto pierwszego światła dnia musnęło wschodni nieboskłon. Prędko ubrałem się do bitwy i przypasałem miecz, a później pośpieszyłem do królewskiego namiotu. Kiedy znów ukląknąłem przy łóżku faraona, wciąż się uśmiechał, lecz kiedy dotknąłem jego rąk, poczułem, że są zupełnie zimne. Umarł.

– Opłaczemy cię później, Mem – obiecałem mu, podnosząc się. – Teraz muszę iść i jeszcze raz spróbować dotrzymać przysięgi, którą złożyłem tobie i naszemu Egiptowi.

To przekleństwo długowiecznego: przeżyć wszystkich tych, których kochasz najbardziej.

Resztki naszych rozbitych wojsk gromadziły się na przełęczy przed złotym miastem Teby, gdzie od trzydziestu pięciu dni desperacko odpieraliśmy drapieżne hordy Hyksosów. Przejechałem bojowym rydwanem wzdłuż naszych zdziesiątkowanych szeregów. Gdy żołnierze mnie rozpoznali, ci, którzy wciąż mogli to zrobić, chwiejnie stawali na nogach i pochylali się, żeby podnosić swoich rannych towarzyszy. Uformowali szeregi – silni i zdrowi wraz z tymi, którzy byli w połowie drogi do śmierci. Wszyscy unieśli broń ku porannemu niebu i krzyczeli na wiwat, kiedy przejeżdżałem.

– Taita! Taita! Taita! – skandowali rytmicznie.

Powstrzymałem łzy, które wezbrały mi w oczach na widok dzielnych synów Egiptu w takim rozpaczliwym stanie. Zmusiłem się do uśmiechu, wręcz śmiałem się i nie szczędziłem słów otuchy, wołając do tłumu lojalnych poddanych, których tak dobrze znałem:

– Hej, Osmecie! Wiedziałem, że znajdę cię w pierwszym szeregu.

– Nigdy więcej niż długość miecza za tobą, panie! – odkrzyknął.

– Lothanie, zachłanny stary lwie. Czy już nie zatłukłeś więcej tych hyksoskich psów, niż ci się należało?

– Tak, ale wciąż połowę mniej niż ty, panie Tata. – Lothan należał do moich wyjątkowych ulubieńców, więc pozwoliłem mu używać zdrobnienia. Kiedy przejechałem, wiwaty ustąpiły straszliwej ciszy, a żołnierze znów osunęli się na kolana i patrzyli ku przełęczy, gdzie, jak wiedzieli, hyksoskie wojska czekały tylko na pełne światło dnia, żeby ponowić atak. Pole bitewne wokół nas było gęsto zasłane ciałami z wielu długich dni rzezi. Lekki wiatr niósł ku nam smród śmierci, który przy każdym oddechu oblepiał mi język i gardło niczym gęsty olej. Odchrząknąłem i wyplułem flegmę za burtę rydwanu, ale z każdym kolejnym oddechem odór stawał się coraz silniejszy i bardziej odrażający.

Ścierwojady już ucztowały na otaczających nas stosach trupów. Szerokoskrzydłe sępy i kruki krążyły nad pobojobowiskiem, po czym opadały ku

ziemi, żeby konkurować z szakalami i hienami we wrzeszczącym i szamoczącym się kłębowisku, szarpiąc ludzkie mięso, wydzierając strzępy i łykając je w całości. Przebiegły mnie ciarki zgrozy, gdy wyobraziłem sobie, że i mnie może czekać taki sam los, kiedy w końcu padnę pod hyksoskim ostrzem.

Zadrzałem i spróbowałem odsunąć od siebie te myśli. Krzyknąłem do kapitanów, żeby wysłali łuczników w pole po tyle strzał ze zwłok, ile tylko znajdą, i napęlniali puste kołczany.

Nagle przez kakofonię wrzasku zwierząt przebił się łośkot jednego bębna, płynący echem w górę przełęcz. Moi ludzie też go usłyszeli. Sierzanci wyrzucili rozkazy i łucznicy przybiegli z pola ze znalezionymi strzałami. Ludzie podnieśli się z ziemi i ramię w ramię stanęli w szeregach z nakładającymi się na siebie skrajami tarcz. Ostrza ich mieczy i groty włóczy były poszczerbione i stępione od intensywnego używania, ale wysunęli je w kierunku wroga. Łuki mieli okręcone sznurkiem w miejscach, gdzie drewno popękało, a wielu strzałom przyniesionym z pobojowiska brakowało lotek, ale miały lecieć na tyle prosto, żeby zrobić swoje z bliskiego zasięgu. Moi ludzie byli weteranami i znali wszystkie sztuczki, które pozwalały jak najlepiej wykorzystać zniszczony ekwipunek.

W dalekim wylocie przełęcz w poprzedzającym świt mroku zamajaczyły formacje nieprzyjaciela. Z początku wydawały się niegroźne, pomniejszone przez odległość i pierwsze światło, ale szybko rosły w oczach, gdy maszerowały w naszą stronę. Sępy z wrzaskiem wzbiły się w powietrze; szakale i inni czworonożni padlinożercy czmychnęli przed nadciągającym wrogiem. Hyksoskie rzesze zalewały przełęcz i nie po raz pierwszy poczułem, że upadam na duchu. Zdawało się, że mają nad nami przewagę co najmniej trzy, a może nawet czterokrotną.

Gdy jednak podciągnęli bliżej, ujrzałem, że pokieroszowaliśmy ich równie strasznie, jak oni nas. Spora część miała rany obwiązane przesiąkniętymi krwią szmatami, inni kuśtykali o kulach, a jeszcze inni słaniali się i potykali, popędzani przez sierżantów, z których większość miała rzemienne bicz. Uradowała mnie myśl, że są zmuszeni uciekać się do takich ekstremalnych środków, żeby nakłonić ludzi do utrzymania szyku. Przejechałem rydwanem wzdłuż pierwszego szeregu moich ludzi, dodając im otuchy i pokazując, że hyksoscy kapitanowie używają biczów.

– Tacy jak wy nie potrzebują bicza, żeby wypełnić swój obowiązek. – Mój głos niósł się wyraźnie nad łośkotem hyksoskich bębnow i tupotem opancerzonych stóp. Ludzie wznosili wiwaty, a także wykrzykiwali obelgi i szyderstwa ku zbliżającym się szeregom wroga. Przez cały czas oceniałem kurczącą się odległość pomiędzy obiema armiami. Zostały mi tylko pięćdziesiąt dwa rydwany z trzystu dwudziestu, z którymi zacząłem kampanię. Strata koni była dla nas szczególnie dotkliwa. Jedyna nasza przewaga polegała na tym, że zajmowaliśmy silną pozycję na szczycie stromej przełęcz. Wybrałem to miejsce z całą rozważą

i przebiegłością, jakiej się nauczyłem w niezliczonych bitwach w czasie mojego długiego życia.

Hyksosi stosowali taktykę podwożenia łuczników w rydwanach na odległość strzału do naszych szeregów. Pomimo naszego przykładu nie używali łuków z wygiętymi końcami, ale uparcie trzymali się tych prostych, z których nie można strzelać równie szybko jak z naszych i które mają znacznie mniejszy zasięg. Zmuszając Hyksosów do porzucenia rydwanów u stóp skalistej przełęczy, pozbawiłem ich możliwości szybkiego podwiezienia łuczników na tyle blisko, żeby mogli skutecznie razić strzałami naszą piechotę.

Nadeszła krytyczna chwila, kiedy musiałem wysłać w pole ostatnie rydwany. Osobiście prowadziłem szwadron, gdy ruszyliśmy zwartym szeregiem i skręciliśmy przed frontem nacierających Hyksosów. Wypuszczając strzały w zmasowane szeregi z odległości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu kroków, zabiliśmy albo okaleczyliśmy prawie trzydziestu wrogów, zanim mogli przypuścić na nas atak.

Kiedy to się stało, zeskoczyłem z rydwanu i gdy mój woźnica odjechał, wcisnąłem się w środek pierwszego szeregu, ustawiając tarczę tak, żeby dotykała brzegów tarcz moich towarzyszy.

Prawie natychmiast zaczęła się walka wręcz. Falanga wroga zderzyła się z nami z potężnym łoskotem brązu. Dwie armie napierały z wysuniętymi do przodu tarczami, wyężdżając siły, żeby przełamać linię przeciwnika. Były to gigantyczne zmagania, które wymuszały na nas nawiązanie wręcz intymnego kontaktu, bardziej obscenicznego niż jakikolwiek wynaturzony akt płciowy. Walczyliśmy brzuchem w brzuch i twarzą w twarz i kiedy stękaliśmy i wrzeszczeliśmy niczym zwierzęta w rui, ślina tryskała z naszych wykrzywionych ust w twarze nieprzyjaciół.

W ścisku nie mogliśmy używać długiej broni. Byliśmy miażdżeni pomiędzy murami brązowych tarcz. Potknięcie się oznaczało upadek i stratowanie nawet na śmierć przez podkute brązem sandały sprzymierzeńców i wrogów.

Walczyłem w murze tarcz tak często, że nawet musiałem zaprojektować broń przeznaczoną specjalnie do tego celu. Długi miecz pewnie tkwił w pochwie, zastąpiony przez smukły sztylet z ostrzem nie dłuższym niż rozpiętość mojej dłoni. Nawet kiedy opancerzone ciała towarzyszy przyciskają ci ramiona do boków, a twarz wroga jest oddalona o dłoń od twojej twarzy, wciąż jesteś zdolny użyć tego maleńkiego oręża – wystarczy wsunąć czubek ostrza w szczelinę napierśnika i pchnąć.

Tego dnia przed bramami Teb zabiłem co najmniej dziesięciu smagłych brodatych Hyksosów, nieznacznie poruszając prawą ręką. Gdy moje ostrze przeszywało narządy wewnętrzne, z nadzwyczajną satysfakcją spoglądałem w oczy wroga, patrzyłem na rysy wykrzywione cierpieniem i na koniec czułem na twarzy gorące ostatnie tchnienie wypychane z płuc przed upadkiem. Może nie jestem z natury mściwy ani okrutny, lecz dobry bóg Horus wie, że mój lud i ja

wycierpieliśmy z rąk tego barbarzyńskiego plemienia tyle, iż możemy znajdować przyjemność w takim odwecie, na jaki tylko możemy sobie pozwolić.

Nie wiem, jak długo ścieraliśmy się w murze tarcz. Zdawało mi się, że brutalna walka trwała wiele godzin, ale po zmianie kąta promieni bezlitosnego słońca nad nami poznałem, że upłynęła niespełna godzina, zanim hyksoskie hordy oderwały się od naszych szeregów i odstąpiły na niewielką odległość. Obie strony były wyczerpane zaciekłością starcia. Staliśmy naprzeciwko siebie, przegrodzeni wąskim pasem ziemi, dysząc jak dzikie zwierzęta, ślaniając się na nogach, skąpani we własnej krwi i pocie. Jednakże z gorzkiego doświadczenia wiedziałem, że ta chwila wytchnienia będzie krótka, że znowu skoczymy jedni na drugich niczym wściekłe psy. Wiedziałem także, że to nasza ostatnia bitwa. Powiodłem wzrokiem po otaczających mnie ludziach i zobaczyłem, że są bliscy kresu wytrzymałości. Było ich nie więcej niż dwanaście setek. Może zdołają przetrwać kolejną godzinę starcia w murze tarcz, ale niewiele dłużej. Potem będzie po wszystkim. Z trudem odpierałem narastającą rozpacz.

Nagle ktoś szarpnął mnie za ramię i wykrzyknął słowa, które zrazu nie miały wiele sensu.

– Panie Taito, z tyłu nadciąga drugi liczny oddział wroga. Mają nas w kleszczach. Jeśli nie wymyślisz sposobu na ratunek, już po nas.

Odwróciłem się twarzą ku zwiastunowi tych strasznych wieści. Jeśli to prawda, byliśmy przekłęci, po dwakroć przekłęci. Człowiek stojący przede mną był kimś, komu mogłem zaufać. Był jednym z najbardziej obiecujących młodych oficerów w armii faraona. Dowodził sto pierwszym szwadronem ciężkich rydwanów.

– Poprowadź mnie i pokaż, Merabie! – rozkazałem.

– Tędy, panie! Mam dla ciebie świeżego konia. – Z pewnością widział, że jestem bliski zupełnego wyczerpania, bo chwycił mnie za ramię i pomógł przejść przez pobojuwisko zasłane stosami martwych i konających, porzuconą bronią i innym bojowym rynsztunkiem. Dotarliśmy na tyły do niewielkiego oddziału naszych żołnierzy, czekających z parą świeżych koni. Po drodze odzyskałem siły na tyle, żeby strząsnąć pomocną dłoń Meraba. Nie cierpię zdradzać się bodaj z najmniejszą słabością przed moimi ludźmi.

Wsiadłem na konia i pogalopowałem na czele tej małej grupy na wzniesienie leżące pomiędzy nami i dolnym biegiem Nilu. Na szczycie ściągnąłem wodze tak gwałtownie, że rumak wygiął szyję w łuk i zatańczył w wąskim kręgu. Nie wiedziałem, jak mam dać upust rozpacz.

Wysłuchawszy Meraba, spodziewałem się, że zobaczę trzystu, może czterystu maszerujących na nas hyksoskich żołnierzy. Już taka liczba byłaby wystarczająca, żeby przypieczętować nasz los. Zamiast tego ujrzałem wielotysięczną armię piechurów, co najmniej pięćset rydwanów i tyle samo



jeźdźców stłoczonych po tej stronie Nilu. Wsiadali na ląd z flotylii cudzoziemskich okrętów, które cumowały wzdłuż brzegu rzeki poniżej złotego miasta Teby.

Wiodąca formacja wrogiej konnicy już była na lądzie i gdy tylko jeźdźcy spostrzegli naszą żalną grupę złożoną z kilkunastu ludzi, pogalopowali w górę brzegu, żeby się z nami rozprawić. Nasze wierzchowce były już zmęczone. Jeśli rzucimy się do ucieczki, tamte wspaniałe, najwyraźniej wypoczęte rumaki dopędzą nas, zanim pokonamy sto kroków. Jeśli zostaniemy i podejmiemy walkę, jeźdźcy nas wytną, nie roniąc kropli potu.

Zdusiłem rozpacz i nowymi oczami spojrzałem na tych obcych. Poczułem lekką ulgę, wystarczającą, żeby nabrać otuchy. Nie nosili hyksoskich hełmów bojowych. Nie wsiadali z typowych hyksoskich galer.

– Zostań tutaj, kapitanie Merabie! – warknąłem. – Pojadę pertraktować z tymi przybyszami. – Zanim miał szansę wyrazić sprzeciw, odpiąłem od pasa pochwę z mieczem i bez wyjmowania nagiego ostrza obróciłem ją i uniosłem w uniwersalnym geście pokoju. Ruszyłem kłusem w dół zbocza na spotkanie oddziału cudzoziemskich jeźdźców.

Żywo pamiętam poczucie klęski, które mi towarzyszyło, gdy się do nich zbliżałem. Widziałem, że tym razem wystawiłem cierpliwość Tyche, bogini opatrności, na zbyt wielką próbę. Nagle, ku mojemu zdumieniu, dowódca wyszczał rozkaz i jego ludzie posłusznie schowali miecze na znak, że nie mają wrogich zamiarów, po czym stanęli w zwartym szyku za jego plecami.

Wziąłem z nich przykład i zatrzymałem rumaka w odległości kilkadziesiąt kroków od dowódcy. Przyglądaliśmy się sobie wzajemnie przez czas potrzebny na zrobienie głębokiego oddechu, po czym uniosłem zasłonę mojego pogiętego hełmu, żeby pokazać oblicze.

Dowódca konnych wybuchnął śmiechem. Był to w tych pełnych napięcia okolicznościach dźwięk wielce nieoczekiwany, ale zarazem niesamowicie znajomy. Patrzyłem jednak przez całe trzydzieści uderzeń serca, zanim rozpoznałem jeźdźca. Wciąż był rostry, muskularny i pewny siebie, chociaż broda mu posiwiała. Już nie był młodym byczkiem o świeżej, gorliwej twarzy, szukającym swojego miejsca w tym twardym, bezwzględny świat. Wyraźnie znalazł to miejsce. Otaczała go aura najwyższego wodza, a za plecami miał potężną armię.

– Zaras? – Z powątpiewaniem wymówiłem imię. – Nie do wiary, to nie możesz być ty!

– Tylko imię trochę się różni, ale wszystko inne zostało takie samo, Taito. Z tym wyjątkiem, że może jestem odrobinę starszy i, mam nadzieję, odrobinę mądrzejszy.

– Wciąż mnie pamiętasz po tylu latach. Ile ich minęło? – zapytałem go ze

zdumieniem.

– Zaledwie trzydzieści, i tak, wciąż cię pamiętam. Nigdy cię nie zapomnę, nawet gdybym żył dziesięć razy dłużej, niż żyję.

Teraz ja się roześmiałem.

– Mówisz, że zmieniło się twoje imię. Pod jakim teraz jesteś znany, drogi Zarasie?

– Przybrałem imię Hurotas. To dawne budziło niefortunne skojarzenia – odrzekł.

Uśmiechnąłem się, słysząc to oczywiste niedomówienie.

– Więc teraz zwiesz się tak samo jak król Lacedemonu? – Słyszałem już to imię, zawsze wypowiedziane z najgłębszym szacunkiem i nabożną czcią.

– Dokładnie tak samo – zgodził się. – Albowiem młody Zaras, którego ongiś znałeś, został królem, z którym obecnie rozmawiasz.

– Chyba żartujesz! – wykrzyknąłem w zdumieniu, gdyż wychodziło na to, że mój podwładny z dawnych lat wzniosł się na wyżyny świata, zaiste na sam szczyt.

– Ale jeśli mówisz prawdę, powiedz mi, co się stało z siostrą faraona Tamosego, księżniczką Tehuti, którą uprowadziłeś, gdy miałem ją w mojej pieczy.

– Właściwe słowo brzmi uwiodłem, nie uprowadziłem. Nadto już nie jest księżniczką. – Stanowczo pokręcił głową. – Jest królową, ponieważ nie zbrakło jej rozsądku, żeby mnie poślubić.

– Czy wciąż jest najpiękniejszą kobietą na świecie? – zapytałem bardziej niż trochę tęsknie.

– W języku mojego królestwa Sparta oznacza „najpiękniejszą”. Na jej cześć nazwałem miasto. Księżna Tehuti została królową Spartą Lacedemońską.

– A co z innymi, którzy również są drodzy mojemu sercu i pamięci, a których zabrałeś ze sobą na północ przed tyloma laty...?

– Oczywiście mówisz o księżnej Bekacie i Huim. – Król Hurotas krótko uciął moje pytania. – Są teraz mężem i żoną. Jednakże Hui od dawna nie jest skromnym kapitanem. Został najwyższym admirałem i dowodzi lacedemońską flotą, tą, którą widzisz na rzece. – Wskazał za siebie na potężny rząd okrętów kotwiczących przy brzegu Nilu. – W tej chwili nadzoruje lądowanie reszty moich sił ekspedycyjnych.

– Królu Hurotasie, dlaczego wróciłeś do Egiptu po tych wszystkich latach?

Zaciekłość odmieniła jego rysy, gdy odparł:

– Przybyłem, ponieważ w sercu nadal jestem Egipcjaninem. Od szpiegów usłyszałem, że macie tu ciężko i grozi wam klęska z rąk Hyksosów. Te bydłeta zbezczeszczyły naszą niegdyś piękną ojczyznę. Gwałcili i mordowali nasze kobiety i dzieci; wśród ich ofiar była moja matka i moje dwie małe siostry. Zgwałcili je i rzucili, wciąż żywe, w tłące się pogorzelnisko naszego domu, po czym ze śmiechem patrzyli, jak płoną. Wróciłem do Egiptu, żeby pomścić ich śmierć

i ocalić Egipcjan przed podobnym losem. Jeśli mi się powiedzie, mam nadzieję zawrzeć długotrwałe przymierze pomiędzy naszymi krajami: Egiptem i Lacedemonem.

– Dlaczego czekałeś dwadzieścia trzy lata?

– Z pewnością pamiętasz, Taito, że kiedyśmy ruszyli w drogę, byliśmy garstką młodych uciekinierów na trzech małych galerach. Uciekaliśmy przed tyranią faraona, który chciał nas rozdzielić z ukochanymi kobietami.

Skinieniem głowy poświadczyłem prawdę jego słów. Mogłem to zrobić bez ryzyka, jako że rzeczonym faraonem był Tamose, który w nocy wyzionął ducha.

Król Hurotas, który ongiś był młodym Zarasem, podjął:

– Szukaliśmy nowej ojczyzny. Znalezienie jej i zbudowanie potęgi z armią liczącą ponad pięć tysięcy wyborowych wojowników zajęło długie lata.

– Jak tego dokonałeś, Wasza Wysokość? – zapytałem.

– Dzięki odrobinie uprzejmej dyplomacji – odparł z miną niewiniątka, kiedy jednak obrzuciłem go sceptycznym spojrzeniem, zachichotał i przyznał: – W połączeniu z odrobiną siły brutalnych ramion i bezceremonialnego podboju. – Wskazał palcem potężną armię wysiadającą na wschodni brzeg Nilu. – Kiedy ma się taką siłę, jaką tutaj widzisz, obcy rzadko są skłonni do sporów.

– To bardziej do ciebie pasuje – stwierdziłem.

Hurotas lekkim skinieniem głowy i uśmiechem zbył mój komentarz, po czym powrócił do wyjaśnień.

– Wiedziałem, że zapewnienie wam pomocy i wsparcia jest moim patriotycznym obowiązkiem. Przybyłbym rok temu, ale moja flota była za mała na przewiezienie wojska. Musiałem zbudować więcej okrętów.

– Jesteś tu zatem bardziej niż mile widziany, Wasza Wysokość. Zjawiłeś się w krytycznej chwili. Jeszcze godzina, a byłoby za późno. – Zeskoczyłem z konia. Hurotas widać się tego spodziewał, bo zrobił to samo, sprężył się jak człowiek o połowę młodszy, i wyszedł mi na spotkanie. Objęliśmy się jak bracia i w sercach byliśmy braćmi, jednak czułem do niego miłość więcej niż braterską, bo nie dosyć, że sprowadził siłę zapewniającą Egipcjom ocalenie przed tą bandą bezwzględnych drapieżców, to miałem też wrażenie, że sprowadził ze sobą moją ukochaną Tehuti, córkę królowej Lostris. Matka i córka, te dwie kobiety wciąż były tymi, które kochałem najbardziej przez całe moje długie życie.

Nasz uścisk, acz krótki, był pełen ciepła. Cofnąłem się i lekko trąciłem Hurotasa w ramię.

– Niebawem będzie więcej czasu na snucie wspominków. W tej chwili kilka tysięcy Hyksosów czeka na przełęcz na naszą uwagę, twoją i moją. – Wskazałem wzgórze i na twarzy Hurotasa odmalowało się zaskoczenie. Prawie od razu się opanował i wyszczerzył zęby w uśmiechu niekłamane go zadowolenia.

– Wybacz mi, stary przyjacielu. Powinienem wiedzieć, że wielkodusznie

zapewnisz mi rozrywkę zaraz po przybyciu. Chodźmy tam natychmiast i rozprawmy się z tymi nędznymi Hyksosami.

Pokręciłem głową w udawanej dezaprobachie.

– Zawsze byłeś w gorącej wodzie kąpany. Czy pamiętasz, co rzekł stary wół, kiedy młody byczek zaproponował, żeby razem co sił w nogach popędzili do stada krów i pokryli kilka z nich?

– Powiedz mi, co rzekł stary wół – poprosił z zaciekawieniem. Zawsze lubił moje dykteryjki. Nie chciałem sprawić mu zawodu.

– Stary byk odrzekł: „Pójdźmy statecznym krokiem i pokryjmy wszystkie”.

Hurotas parsknął z zachwytu.

– Zdradź mi swój plan, Taito, bo wiem, że go masz. Jak zawsze.

Wyłożyłem plan szybko, był bowiem bardzo prosty, po czym odwróciłem się i wskoczyłem na siodło wierzchowca. Nie oglądając się za siebie, powiodłem Meraba i moich jeźdźców na wzgórze. Wiedziałem, że Hurotas, który był ongiś Zarasem, co do joty wypełni moje instrukcje; jeśli nawet teraz był królem; nie brakowało mu mądrości, by wiedzieć, że moja rada zawsze jest najlepsza.

Wjechawszy na wzgórze, zobaczyłem, że przybyłem w samą porę. Hyksoska horda znów szła na poturbowane, uszczuplone egipskie szeregi czekające na jej spotkanie. Zmusiłem konia do galopu i dotarłem do muru tarcz kilka uderzeń serca przed starciem. Puściłem wierzchowca wolno i chwyciłem brązową tarczę, którą ktoś wcisnął mi w rękę, gdy tylko zająłem miejsce pośrodku pierwszego szeregu. Potem z rykiem letniego grzmotu Hyksosi uderzyli, brąz w brąz, w naszą osłabioną linię.

Prawie od razu pochłonał mnie koszmar bitwy, gdzie czas traci znaczenie i każdy oddech zda się trwać całą wieczność. Śmierć napierała na nas w postaci mrocznych miazmatów grozy. Wreszcie, po czasie, który ciągnął się jak godzina albo sto lat, poczułem, że nieznośny nacisk hyksoskiego brązu na naszą kruchą linię nagle słabnie, i zaraz potem szybko ruszyliśmy naprzód, zamiast jak dotąd chwiejnie się wycofywać.

Dysharmonijny ryk wrogich okrzyków wojennych przerodził się we wrzaski przerażenia, bólu i rozpacz w barbarzyńskim języku Hyksosów. Szeregi wroga jakby się skurczyły i wpadały na siebie, już nie zasłaniając widoku.

Zgodnie z przewidywaniami, Hurotas ściśle wykonał moje rozkazy. Jego ludzie obeszlili nasze flanki i zamknęli hyksoskich najeźdźców w idealnym okrążeniu, jak sieć rybacka ławicę sardynek.

Hyksosi walczyli z zaciekłością zrodzoną z rozpacz, ale mój mur tarcz mocno trzymał, a Lacedemończycy Hurotasa byli wypoczęci i spragnieni boju. Rzucali nienawistnego wroga na naszą linię niczym kawały surowego mięsa na rzeźnicki kłoc. Walka szybko przeszła w rzeź i w końcu niedobitki Hyksosów rzuciły broń i padły kolanami na ziemię, która stała się błotnistym trzęsawiskiem

krwi. Błagali o łaskę, lecz król Hurotas ich wyśmiał.

Krzyknął do nich:

– Moja matka i moje małe siostry tak samo błagały waszych ojców, jak wy błagacie mnie teraz! Daję wam odpowiedź, jaką one dostały od waszych bezdusznych przodków. Zdychać, łajdaki, zdychać!

I kiedy echo ostatniego przedśmiertnego krzyku utonęło w ciszy, król Hurotas poprowadził swoich ludzi przez krwistoczerwone pobojuwisko i żołnierze podcinali gardła każdemu wrogowi, który okazywał najslabsze oznaki życia. Przyznam, że w gorączce bitewnej odłożyłem na bok moje zwykłe ludzkie instynkty, jakimi są szlachetność i współczucie, i wziąłem udział w świętowaniu naszego zwycięstwa, wysyłając więcej niż kilku rannych Hyksosów w czekające ramiona okropnego boga Seta. Każde przecięte gardło dedykowałem pamięci jednego z moich dzielnych ludzi, którzy tego dnia zginęli na tym polu.

Zapadła noc i księżyc w pełni wspiął się wysoko na niebo, zanim król Hurotas i ja mogliśmy opuścić pole bitwy. W latach naszej przyjaźni nauczył się ode mnie, że wszystkich rannych należy przenieść w bezpieczne miejsce i opatrzyć, a następnie rozstawić strażę wokół obozu, i dopiero wtedy dowódcy mogą zadbać o swoje potrzeby. Tak więc dawno minęła północ, gdy wypełniwszy obowiązki, zjechaliśmy ze wzgórza na brzeg Nilu, gdzie cumował jego okręt flagowy.

Kiedy weszliśmy na pokład, powitał nas admirał Hui. Po Hurotasie był jednym z moich ulubieńców i przywitaliśmy się jak starzy, drodzy przyjaciele, którymi naprawdę byliśmy. Stracił większość niegdyś gęstych kędzierzawych włosów i jego goła czaszka wzywała wstydliwie spomiędzy szarych kępek, ale oczy wciąż miał bystre i czujne, a jego bezustannie dobry humor rozgrzał mi serce. Poprowadził nas do kapitańskiej kajuty i własnoręcznie nalał królowi i mnie wielkie czarki zaprawionego miodem czerwonego wina. Rzadko miałem w ustach coś równie smacznego jak ten napitek. Pozwoliłem, żeby Hui dopełnił moją czarkę, zanim wyczerpanie przerwało nasze radosne i hałaśliwe spotkanie po latach.

Spaliśmy, dopóki słońce nie wychyliło się zza horyzontu, i wykąпалиśmy się w rzece, zmywając brud i krew trudów wczorajszego dnia. Później, kiedy połączone armie Egiptu i Lacedemonu stanęły na brzegu, wsiedliśmy na świeże konie. Z maszerującymi dumnie przodem moimi ludźmi i żołnierzami Hurotasa, z powiewającymi proporcami, huczącymi bębnami i grającymi lutniami pojechaliśmy znad rzeki do Bramy Bohaterów miasta Teby, żeby powiadomić o naszym wspaniałym zwycięstwie nowego faraona Egiptu, Utteryka Tura, najstarszego syna Tamosego.

Kiedy dotarliśmy do bram złotego miasta, zastaliśmy je zamknięte i zaryglowane. Podjechałem i wykrzyknąłem pozdrowienie, lecz musiałem kilka razy powtórzyć prośbę o wpuszczenie, zanim strażnicy pojawili się na murze.

– Faraon chce wiedzieć, kim jesteście i co was tu sprowadza! – krzyknął kapitan straży. Dobrze go znałem. Miał na imię Weneg. Był przystojnym młodym oficerem, który nosił Złoto Męstwa, najwyższe egipskie odznaczenie wojskowe. Byłem wstrząśnięty, że mnie nie rozpoznał.

– Pamięć kiepsko ci służy, kapitanie Wenegu! – zawołałem. – Jestem pan Taita, przewodniczący rady królewskiej i generał dowodzący armią faraona. Przybyłem zameldować o naszym wspaniałym zwycięstwie nad Hyksosami.

– Zaczekaj! – rozkazał kapitan Weneg i jego głowa zniknęła za murem. Czekaliśmy godzinę, potem drugą.

– Wydaje się, że czymś obraziłeś nowego faraona. – Król Hurotas obdarzył mnie lekko drwiącym uśmiechem. – Kim on jest i czy go znam?

Wzruszyłem ramionami.

– Nazywa się Utteryk Turo i niczego nie straciłeś, nie poznając go.  
– Dlaczego nie stawiał się na polu bitwy przez te ostatnie dni, co było jego królewską powinnością?

– Jest delikatnym trzydziestopięcioletnim dzieckiem i nie pociągają go brutalne zabawy w nieokrzesanym towarzystwie – wyjaśniłem.

Hurotas parsknął śmiechem.

– Nie straciłeś ciętego języka, drogi Taito!

Wreszcie kapitan Weneg pojawił się na murach.

– Faraon Utteryk Turo Wielki łaskawie zezwala ci na wejście do miasta. Jednakże rozkazuje zostawić konie za murami. Osoba stojąca z tobą może ci towarzyszyć, ale nikt inny.

Zassałem powietrze, słysząc w tej odpowiedzi czystą arogancję. Riposta cisnęła mi się na usta, lecz mocno ugryzłem się w język. Cała armia Egiptu razem z Lacedemonem słuchała z uwagą. Prawie trzy tysiące ludzi. Nie mogłem sobie pozwolić na podejmowanie dyskusji.

– Faraon jest wielce łaskawy – odparłem.

Cięzka Brama Bohaterów powoli się otworzyła.

– Chodź ze mną, ty bezimienna stojąca ze mną osobo – powiedziałem ponuro do Hurotasa. Ramię w ramię, z rękami zaciśniętymi na głowicach mieczy, ale z podniesionymi zasłonami hełmów, weszliśmy do Teb. Wcale nie czułem się jak zwycięski bohater.

Przed nami maszerował kapitan Weneg ze swoim oddziałem. Miasto było niesamowicie ciche, jakby wymarłe. Z pewnością dwie godziny czekania, które wymusił na nas faraon, zostały przeznaczone na oczyszczenie zwykle rojnych ulic. Kiedy dotarliśmy do pałacu, bramy się otworzyły na pozór z własnej woli, bez witających nas fanfar czy wiwatujących tłumów.

Weszliśmy po szerokich schodach do królewskiej sali audiencyjnej. Ogromne pomieszczenie było puste i ciche, z wyjątkiem echa naszych podkutych brązem sandałów. Przeszliśmy między kamiennymi siedzeniami i zbliżyliśmy się do tronu na wysokim podium w drugim końcu sali.

Zatrzymaliśmy się przed pustym tronem. Kapitan Weneg odwrócił się w moją stronę i szorstko, niegrzecznie powiedział:

– Czekać tutaj! – Nie zmieniając wyrazu twarzy, bezgłośnie wyrzekł słowa, które bez trudu odczytałem z ruchu jego warg: – Wybacz, panie. Nie ja wybrałem taką formę powitania. Osobiście darzę cię najwyższym szacunkiem.

– Dziękuję, kapitanie – odparłem. – Wypełniłeś swój obowiązek w sposób godny podziwu.

Weneg mi podziękował, przyciskając pięść do piersi. Wyprowadził swoich ludzi, zostawiając mnie i Hurotasa na baczność przed pustym tronem.

Nie musiałem go ostrzegać, że z pewnością jesteśmy obserwowani przez

jakiś ukryty otwór w kamiennych ścianach. Czulem, że powoli tracę cierpliwość, zirytowany dziwnymi, nienormalnymi wybrykami nowego faraona.

Wreszcie usłyszałem dźwięk głosów i dalekiego śmiechu, który stawał się coraz głośniejszy. Zasłony w wejściu za tronem rozchyliły się i do sali audiencyjnej wszedł faraon Utteryk Turo, samozwańczo Wielki. Włosy miał utrefione w spływające do ramion loki. Na jego szyi wisały girlandy kwiatów. Jadł granat i wypluwał pestki na kamienną podłogę. Nie zwracając na nas uwagi, wszedł na podwyższenie i wygodnie się usadowił na stercie poduszek.

Utterykowi towarzyszyło sześciu mniej lub bardziej rozebranych chłopców. Wszyscy byli przybrani kwiatami, większość miała umalowane na szkarłatny kolor usta i zielone albo niebieskie cienie wokół oczu. Niektórzy podjadali owoce albo słodczyce, jak faraon, a trzech sączyło wino z kubków, gdy gawędzili i chichotali.

Faraon cisnął poduszką w ich prowodyra. Pozostali kwiczelili ze śmiechu, gdyż poduszka wytrąciła mu kubek z rąk i wino wylało się na tunikę.

– Ty wstrętny faraonie! – krzyknął z oburzeniem chłopak. – Spójrz, co zrobiłeś z moim ślicznym strojem!

– Wybacz mi, proszę, mój drogi Anencie. – Faraon ze skrucą przewrócił oczami. – Chodź tutaj i siądź obok mnie. To nie potrwa długo, obiecuję. Muszę pomówić z tymi dwoma panami. – Spojrzał prosto na nas po raz pierwszy, odkąd wszedł do sali. – Witaj, dobry Taito. Mam nadzieję, że zdrowie jak zawsze ci służy? – Przeniósł wzrok na mojego towarzysza. – A kimże jest ten, którego ze sobą przywiodłeś? Chyba go nie znam.

– Jeśli pozwolisz, panie, przedstawię ci króla Hurotasa, monarchę królestwa Lacedemon. Bez jego pomocy nigdy nie pokonalibyśmy sił Hyksosów, którzy ślinili się u samych bram twojego potężnego miasta Teby. – Rozłożyłem ramiona, wskazując człowieka u mojego boku. – Mamy wobec niego wielki dług wdzięczności za ocalenie naszego narodu...

Faraon uniósł prawicę, skutecznie ucinając moją płomienną przemowę, i z zadumą patrzył na Hurotasa przez czas, który wydawał mi się nieskończenie długi.

– Król Hurotas, powiadasz? Mnie przypomina kogoś zupełnie innego.

Jego słowa wytrąciły mnie z równowagi i nie przychodziło mi na myśl nic do powiedzenia, co było do mnie zgoła niepodobne. Na moich oczach ta wątła, apatyczna latorośl rodu Tamosego przemieniła się w straszego potwora. Oblicze faraona pociemniało, a w oczach zapłonął ogień. Ramiona trzęsły mu się z furii, gdy wskazał mojego towarzysza.

– Czy nie przypomina pewnego kapitana zwanego Zarasem, szeregowego żołnierza w armii mojego wielkiego ojca, faraona Tamose? Z pewnością pamiętasz tego hultaja, czyż nie, Taito? Mimo że wówczas byłem bardzo młody, przypominam sobie tego Zarasa. Pamiętam jego złą, przebiegłą twarz i zuchwałę



zachowanie. – Głos faraona Utteryka wzniósł się do wrzasku i ślina tryskała mu z ust. – Mój ojciec, Wielki i Wspaniały Faraon Tamose, wyprawił tego łajdaka z misją do Knossos, stołecznego miasta Najwyższego Minosa na Krecie. Miał obowiązek bezpiecznie przewieźć moje dwie ciotki, księżniczkę Tehuti i księżniczkę Bekathę. Miały poślubić Najwyższego Minosa dla przypieczętowania traktatu przyjaźni pomiędzy naszymi wielkimi imperiami. W końcu okazało się, że ten Zaras porwał moje królewskie krewne i zabrał je do jakiegoś barbarzyńskiego, zapomnianego miejsca na samym końcu świata. Słuch po nich zaginął. Kochałem moje ciotki, były takie piękne...

Faraon był zmuszony przerwać ciąg oskarżeń. Gwałtownie sapał, żeby uspokoić oddech i odzyskać panowanie nad sobą, ale wciąż wskazywał drżącym palcem Hurotasa.

– Wasza Wysokość... – Wystąpiłem do przodu i rozpostarłem ręce w próbie odwrócenia tego dzikiego, irracjonalnego gniewu, lecz Utteryk natarł na mnie z równą wściekłością.

– Ty zdradziecki łajdaku! Może zdołałeś zwieść mojego ojca i cały jego dwór, ja jednak nigdy ci nie ufałem. Zawsze umiałem przejrzeć twoje knowania i machinacje. Zawsze wiedziałem, kim jesteś. Jesteś kłamcą o rozwidlonym języku, intrygantem o czarnym sercu... – Faraon z dzikim wrzaskiem rozejrzał się w poszukiwaniu straży. – Aresztować tych ludzi. Każę ich stracić za zdradę...

Głos się wyciszył. W sali audiencyjnej zapadła głęboka cisza.

– Gdzie są moi strażnicy? – zapytał zrzędlwym tonem. Jego młodzi towarzysze kulili się za nim, bladzi i przestraszeni. Wreszcie przemówił ten zwany Anentem.

– Odprawileś strażę, skarbie. A ja nikogo nie zamierzam aresztować, zwłaszcza nie tych dwóch łotrów. Dla mnie wyglądają na zabójców w pełnym tego słowa znaczeniu. – Odwrócił się i lekkim truchtem wybiegł przez zasłonięte drzwi, a za nim pośpieszyła reszta ślicznych chłopców faraona.

– Gdzie moja straż przyboczna? Gdzie są wszyscy? – Głos Utteryka opadł do niepewnego, niemal przeprasającego szeptu. – Rozkazałem im czekać w gotowości, żeby dokonali aresztowania. Gdzie są teraz?

Odpowiedziała mu cisza. Spojrzał na nas dwóch ubranych w zbroje, zaciskających dłonie w rękawicach bojowych na główkach mieczy, patrzących na niego gniewnie. Cofnął się w kierunku zasłoniętego wyjścia w tylnej ścianie. Poszedłem za nim i teraz na jego twarzy odmalowało się absolutnie bezbrzeżne przerażenie. Opadł przede mną na kolana, wyciągając przed siebie ręce jakby dla odparcia ciosu mojego miecza.

– Taito, mój drogi Taito. To był tylko mały żart, dobroduszna zabawa. Nie zamierzałem nikogo skrzywdzić. Jesteś moim przyjacielem i drogim obrońcą mojej rodziny. Nie krzywdź mnie. Zrobię wszystko... – I wtedy stała się rzecz

nadzwyczajna. Faraon się sfajdał. Zrobił to tak głośno i melodramatycznie, że na pełną oszołomienia chwilę zamarłem w pół kroku niczym posąg, z nogą zawieszoną w powietrzu.

Za mną zachwycony Hurotas wybuchnął gromkim śmiechem.

– Królewski salut, Taito! Władca potężnego Egiptu wita cię w kraju z najwyższymi honorami.

Sam nie wiem, jak się powstrzymałem od zawtórowania Hurotasowi, ale zdołałem zachować poważną minę. Podszedłem i mocno chwyciłem ręce, którymi faraon próbował odeprzeć mój domniemany atak. Podniosłem go na nogi i łagodnie powiedziałem:

– Mój biedny Utteryku, zdenerwowałem cię. Wielki bóg Horus świadkiem, że tego nie chciałem. Idź do swojego królewskiego apartamentu i wykup się. Wdziej świeże szaty. Zanim jednak to zrobisz, proszę, daj mnie i królowi Hurotasowi zezwolenie na zabranie twoich wspaniałych armii na północ do delty Nilu, gdzie napadniemy na tego łotra Chamudiego, samozwańczego króla Hyksosów. Starcie do czysta klątwy i krwawych plam hyksoskiej okupacji z naszej ojczyzny jest naszym najważniejszym obowiązkiem.

Utteryk uwolnił się z moich rąk i odsunął ode mnie z wciąż przerażoną miną. Gorączkowo pokiwał głową i szlochając, wybuchnął:

– Tak! Tak! Idźcie natychmiast! Masz moje pozwolenie. Weź wszystko i kogo tylko zechcesz, i idź! Po prostu sobie idź! – Odwrócił się i uciekł z królewskiej komnaty audiencyjnej, w sandałach popiskujących przy każdym kroku.

Król Hurotas i ja także opuściliśmy wielką salę audiencyjną i wyszliśmy na puste ulice miasta. Wprawdzie z niecierpliwością czekałem na rozpoczęcie następnej fazy naszej kampanii, ale nie chciałem, żeby szpiedzy i agenci donieśli faraonowi o naszym śpiesznym odejściu z Teb. Nie wątpiłem, że wielu ukrywało się w budynkach i uliczkach, pilnie nas obserwując. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się za Bramą Bohaterów, zobaczyliśmy połączone armie zgodnie oczekujące na nasz powrót.

Później dowiedziałem się, że w miarę jak przedłużał się nasz pobyt za zamkniętymi bramami miasta, w szeregach krążyły coraz bardziej alarmujące plotki. Padły nawet sugestie, że obaj zostaliśmy aresztowani pod fałszywymi zarzutami, a następnie zabrani do lochów i izby tortur. Spontaniczna reakcja tych twardych żołnierzy na nasz widok głęboko wzruszyła tak serce Hurotasa, jak i moje. Starzy weterani i młodzi rekruci płakali i wiwatowali, póki nie ochrypli. Pierwsze szeregi ruszyły w naszą stronę i wielu padło na kolana, żeby ucałować nasze stopy.

Później dźwignęli nas na ramiona i ponieśli na brzeg Nilu, gdzie kotwiczyła lacedemońska armada; ile sił w płucach śpiewali pochwalne pieśni, aż obaj o mało nie ogłuchliśmy w tym ryku. Muszę przyznać, że niewiele myśli poświęciłem dziecinnym błazeństwom nowego faraona – umysł zaprzętało mi zbyt wiele spraw prawdziwej wagi. Uznałem, że Hurotas i ja pokazaliśmy Utterykowi, gdzie jego miejsce, i że nie usłyszymy od niego żadnych więcej wiadomości.

Weszliśmy na pokład lacedemońskiego okrętu flagowego, gdzie powitał nas admirał Hui. Choć słońce zaszło, kończąc burzliwy dzień, i było prawie ciemno, natychmiast przystąpiliśmy do planowania ostatniego rozdziału kampanii przeciwko Chamudiemu, dowódcy resztek hyksoskiego motłochu w delcie Matki Nil.

Chamudi urządził sobie stolicę w Memfis, w dół rzeki od miejsca, gdzie się znajdowaliśmy. Miałem rzetelne i aktualne informacje o jego siłach, dostarczane przez ludzi działających na podporządkowanych Hyksosom ziemiach Egiptu.

Z ich meldunków wynikało, że Chamudi ogołocił swoje terytorium w północnym Egipcie prawie ze wszystkich wojowników i rydwanów, wysyłając ich na południe, gdzie mieli zadać cios, który, jak miał nadzieję, ostatecznie rozbije resztki naszych sił. Ale, jak już wspomniałem, przybycie króla Hurotasa w ostatniej chwili położyło kres wielce ambitnym aspiracjom Chamudiego. Większość hyksoskich żołnierzy poległa na przełęczy pod Tebami i ścierwojady uctowały na trupach. Wiedziałem, że nigdy nie powtórzy się równie fortunna okazja, żeby położyć kres obecności Hyksosów w naszym Egipcie, niż ta, z której zamierzaliśmy skorzystać.

Resztki armii hyksoskiej, piechota i jazda, przebywały obecnie z Chamudim w Memfis, na północy w delcie Nilu. Łącznie było ich nie więcej niż trzy tysiące, podczas gdy Hurotas i ja mogliśmy wysłać w pole siłę prawie dwa razy większą, w tym kilkaset rydwanów. Prawie wszystkie należały do Lacedemończyków, więc chociaż bez wątplenia byłem najbardziej doświadczonym i uzdolnionym dowódcą w Egipcie i prawdopodobnie w cywilizowanym świecie, czułem, że z uprzejmości powinienem przekazać dowodzenie nad naszymi połączonymi siłami królowi Hurotasowi. Poprosiłem go o wyrażenie opinii, jak powinna zostać przeprowadzona druga faza ofensywy, co się równało z zaoferowaniem mu objęcia dowodzenia.

Hurotas w odpowiedzi obdarzył mnie szerokim chłopcym uśmiechem, który pamiętałem z dawnych czasów, i odparł:

– Gdy chodzi o dowodzenie, kłaniam się tylko jednemu człowiekowi i tak się składa, że siedzi on naprzeciwko mnie przy tym stole. Proszę, Taito, kontynuuj. Wysłuchajmy twojego planu bitwy. Pójdziemy, gdzie poprowadzisz.

Skinąłem głową, aprobując jego mądrą decyzję. Hurotas jest wielkim wojownikiem, a co więcej, nigdy nie pozwala dumie przeważać nad zdrowym rozsądkiem. Dlatego zadałem mu kolejne pytanie:

– Chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że nagle zjawiłeś się w Tebach bez niczyjej wiedzy, nie wyłączając Hyksosów. Jak przeprowadziłeś flotę złożoną z dwudziestu wielkich galer wojennych setki mil w górę rzeki, mijając hyksoskie forty i otoczone murami miasta, żeby do nas dotrzeć?

Hurotas od niechcienia wzruszył ramionami, bagatelizując moje pytanie.

– Na statkach mam najlepszych przewodników na tej ziemi, oczywiście nie licząc ciebie, Taito. Kiedy weszliśmy w ujście Nilu, płynęliśmy tylko nocą, a za dnia cumowaliśmy przy brzegu i ukrywaliśmy galery pod naciętymi gałęziami. Na szczęście bogini Nut zesłała nocie ciemnego księżyca, żeby osłaniać naszą podróż. Mijaliśmy wrogie warownie po północy i trzymaliśmy się środka rzeki. Może widziało nas kilku rybaków, ale w ciemności wzięli nas za Hyksosów. Posuwaliśmy się szybko, bardzo szybko. Od ujścia rzeki Nil do miejsca, gdzie się spotkaliśmy, minęło tylko sześć nocy twardego wiosłowania.

– W takim razie wciąż mamy przewagę zaskoczenia – mruknąłem z zadumą.  
– Nawet jeśli kilku wrogów przeżyło bitwę na przełęczy, co zresztą wydaje się mało prawdopodobne, powrót na piechotę do Memfis, gdzie mogliby wszcząć alarm, zajmie wiele tygodni. – Wstałem i krążyłem po pokładzie, myśląc szybko. – Teraz absolutnie najważniejsze jest to, żeby po naszym ataku na siedzibę Chamudiego nikt nie zdołał uciec na wschód do granicy Suezu i Synaju, a stamtąd do ojczyzny swoich przodków dalej na wschodzie, gdzie mogliby się przegrupować i za kilka lat znowu na nas ruszyć, żeby powtórzyć ten sam oplakany cykl wojny, podboju i niewoli.

– Masz rację, Taito – zgodził się ze mną Hurotas. – Należy to skończyć. Przyszłe pokolenia muszą mieć możliwość życia w pokoju i dobrobycie, jak większość istniejących cywilizowanych narodów, bez lęku przed barbarzyńskimi hordami Hyksosów. Ale jak mamy osiągnąć takie szczęśliwe zakończenie?

– Planuję użyć rydwanów do zablokowania wschodniej granicy, żeby żaden Hyksos nie zdołał wrócić do swojego kraju ojczystego.

Hurotas rozważał moją propozycję przez kilka uderzeń serca, po czym się uśmiechnął.

– Szczęście, że cię mamy, Taito. Jesteś bez wątpienia najbardziej doświadczonym i wprawnym dowódcą, jakiego znałem. Z tobą pełniącym straż na granicy nie dałbym żadnemu hyksoskiemu psu najmniejszej szansy na powrót do psiarni.

Czasami podejrzewałem, że mój stary przyjaciel Hurotas pokpiwa ze mnie swoimi przesadnymi pochwałami, ale jak zwykle puściłem je mimo uszu.

Dochodziła północ, jednak ciemność tylko nieznacznie spowolniła nasze przygotowania do podróży. Zapaliliśmy pochodnie i przy ich świetle załadowaliśmy wszystkie rydwany na lacedemońskie galery. Później na pokład weszli żołnierze, łącznie z resztkami moich egipskich oddziałów.

Po przyjęciu dodatkowych pasażerów statki były tak zatłoczone, że nie wystarczyło miejsca dla koni. Rozkazałem stajennym pognać je na północ wzdłuż wschodniego brzegu Nilu. Następnie, wciąż w ciemności, odbiliśmy i popłynęliśmy w dół rzeki ku opanowanym przez Hyksosów terytoriom, z ludźmi sondującymi na dziobie, sprawdzającymi głębokość i zapowiadającymi każdy zakręt rzeki. Kłusujące konie niemal dotrzymywały nam kroku, choć nurt ochoczo niósł nasze statki ku ujściu.

Do wschodu słońca pokonaliśmy prawie sto mil. Wyszliśmy na brzeg, żeby przeczekać upał dnia. Po kilku godzinach stado nas dogoniło i zdrożone konie jęły szczytać trawę na pastwiskach i polach uprawnych wzdłuż rzeki.

Pola zostały obsiane przez hyksoskich rolników, byliśmy już bowiem na terytorium zajmowanym przez wroga. Podziękowaliśmy chłopom za hojność, po czym posłaliśmy ich na galery admirała Huiego, gdzie posadzono ich na ławach i wprawnie zakuto im nogi w kajdany niewolników. Ludzie Hurotasa zabrali ich kobiety; nie dociekałem, co się z nimi stało. Wojna jest brutalna, a Hyksosi przybyli do naszego kraju bez zaproszenia, wydarli pola naszym rolnikom i traktowali ich gorzej niż niewolników. Nie spodziewali się z naszych rąk niczego lepszego.

Kiedy wszystko zostało zabezpieczone, usiedliśmy we trójkę pod sykomorą na brzegu rzeki, a kucharze podali nam śniadanie złożone z pieczonej kiełbasy i chrupkiego brązowego chleba, świeżo wyjętego z glinianych pieców. Jedliśmy, popijając strawę dzbanami świeżo uwarzonego piwa. Tego posiłku nie

zamieniłbym na ucztę przy stole faraona.

Wróciliśmy na pokład, gdy tylko słońce minęło zenit, i podjęliśmy podróż na północ w kierunku Memfis. Wciąż mieliśmy przed sobą prawie dwa dni żeglugi i po raz pierwszy od tego jakże niespodziewanego powrotu Hurotasa i Huiego miałem okazję porozmawiać z nimi o życiu, które wiedliśmy razem przed tak wielu laty. W szczególności chciałem wiedzieć, jak się potoczyły losy dwóch młodych księżniczek, które zabrali ze sobą na wygnanie, uciekając przed gniewem ich brata, faraona Tamose.

Kiedy siedzieliśmy we trójkę na rufie okrętu flagowego, poza zasięgiem słuchu załogi, zwróciłem się do nich obu:

– Mam pytania, których z pewnością obaj wolelibyście uniknąć. Pamiętacie, że darzyłem wyjątkowym uczuciem dwie piękne młode dziewczęta, które wy, szubrawcy, mieliście czelność ukraść mnie, ich obrońcy, i faraonowi Tamosemu, ich kochającemu bratu.

– Pozwól, Taito, że cię uspokoję, bo wiem, jak działa twój lubieżny umysł. – Hurotas mi przerwał, zanim mogłem zadać pierwsze pytanie. – Już nie są ani młode, ani dziewicze.

Hui zachichotał, przyznając mu rację.

– Jednak kochamy je coraz bardziej z każdym mijającym rokiem, okazały się bowiem niezrównanie lojalne, szczerze i płodne. Moja Bekatha dała mi czterech urodziwych synów.

– A Tehuti urodziła córkę, która jest tak piękna, że brak mi słów na opisanie jej urody – oznajmił z dumą Hurotas. Sceptycznie podszedłem do tego stwierdzenia, bo wiem, że wszyscy rodzice mają przesadnie dobre zdanie o swoim potomstwie. Dopiero znacznie później, kiedy po raz pierwszy ujrzałem jedynaczkę Hurotasa i Tehuti, zrozumiałem, jak daleki był od oddania jej sprawiedliwości.

– Nie przypuszczam, żeby Tehuti czy Bekatha dały wam wiadomości dla mnie. – Starłem się nie okazać tęsknoty. – Były nikłe szanse, że się spotkamy, a nadto z pewnością ich wspomnienia o mnie zatarły się przez lata... – Nie pozwolili mi dokończyć; jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Zapomnieć ciebie? – zapytał Hurotas, wciąż się śmiejąc. – Z największym trudem zdołałem przekonać żonę, żeby została w Lacedemonie, zamiast wracać do Egiptu na poszukiwanie ukochanego Taty.

Serce załomotało mi w piersi, gdy usłyszałem, jak wiernie naśladuje jej wymowę mojego zdrobniałego imienia.

– Nawet nie chciała przekazać ustnej wiadomości, nie ufając mojej pamięci – dodał. – Uparła się napisać ją na papiirusie, żebym osobiście ci go dostarczył.

– Papiirus! – wykrzyknąłem z radością – Gdzie jest? Daj mi go natychmiast.

– Wybacz mi, Taito. – Hurotas miał zmieszana minę. – Zwój naprawdę był zbyt nieporęczny, żebym go ze sobą zabierał. Postanowiłem go zostawić

w Lacedemonie. – Z konsternacją wbiłem w niego wzrok, próbując znaleźć słowa, żeby go złąć tak surowo, jak na to zasłużył. Pozwolił mi cierpieć tylko chwilę dłużej, potem nie mógł się już powstrzymać i wyszczerzył zęby. – Wiedziałem, co sobie pomyślisz, Taito! Jest w sakwach, które leżą w kajucie na dole.

Uderzyłem go w ramię mocniej niż było to konieczne.

– Przynieś natychmiast, obwiesiu, bo inaczej nigdy ci nie wybaczę.

Hurotas zszedł na dół i wrócił prawie od razu, niosąc gruby zwój papirusu. Wyrwałem mu go z rąk i zabrałem na dziób, gdzie mogłem być sam i gdzie nikt nie powinien mi przeszkodzić. Ostrożnie, niemal ze czcią zламаłem pieczęć i rozwinąłem pierwszy arkusz, żeby przeczytać pozdrowienia.

Nikt, kogo znam, nie umie malować hieroglifów tak artystycznie jak moja umiłowana Tehuti. Narysowała sokoła ze złamanym skrzydłem, będącego moim hieroglifem, w taki sposób, że zdawał się wzbijać z arkusza przez mgłę łez, które zasnuły mi oczy, i szybować prosto do mojego serca.

Napisane przez nią słowa wzruszyły mnie tak głęboko, że nie mogę się zmusić, by je powtórzyć innej żyjącej istocie.

Trzeciego dnia rano po wyruszeniu z cumowiska pod Tebami nasza flotylla dotarła do miejsca odległego niespełna sześćdziesiąt mil od hyksoskiej warowni Memfis położonej na obu brzegach Nilu. Tam wciągnęliśmy nasze galery na plażę i wyładowaliśmy rydwany. Stajenni przypędzili konie i podzielili je na pary, które woźnice zaprzęgli do rydwanów.

Zebraliśmy się we trójkę na pokładzie flagowego okrętu lacedemońskiej floty, żeby odbyć ostatnią naradę wojenną. Po raz kolejny omówiliśmy w najdrobniejszych szczegółach nasze plany, rozpatrując wszelkie sytuacje, do których mogło dojść podczas ataku na Memfis. Zanim się rozstaliśmy, szybko, acz serdecznie uściskałem Huiego i Hurotasa, po czym poprosiłem wszystkich bogów o zesłanie na nich błogosławieństwa i łaski. Z moją grupą rydwanów ruszyłem na północne brzegi Morza Czerwonego, żeby zablokować Hyksosom drogę ucieczki z Egiptu, oni zaś mieli kontynuować podróż na północ, żeby przypuścić ostateczny atak na warownię hyksoskiego naczelnika, Chamudiego.

Kiedy Hurotas i Hui dotarli do portu pod Memfis, stwierdzili, że Chamudi już go opuścił i podpalił statki cumujące przy kamiennych nabrzeżach. Całun czarnego dymu z płonących statków był widoczny nawet dla mnie i moich woźniców czekających wiele mil dalej na granicy Egiptu w Suezie. Jednakże Hurotas i Hui przybyli na czas, żeby uratować z pożogi prawie trzydzieści hyksoskich galer, oczywiście jednak nie mieliśmy dość załóg, żeby obsadzić te cenne zdobycze.

Tak oto do gry wkroczył mój szwadron rydwanów. Ledwie godzinę po zajęciu stanowisk wzdłuż granicy Egiptu z Suezem i Synajem przystąpiliśmy do ciężkiej pracy, jaką było otoczenie setek uciekinierów ze skazanego na klęskę miasta Memfis. Oczywiście wszyscy nieśli najcenniejszy dobytek.

Starannie podzieliliśmy jeńców. Starsi i niedołążni jako pierwsi zostali uwolnieni od całego bagażu, a następnie pozwolono im odejść na Pustynię Synajską – po złożeniu przysięgi, że nigdy więcej nie wrócą na egipską ziemię. Młodych i silnych powiązano po dziesięciu i pognano z powrotem w kierunku Memfis i Nilu, objuczonych rzeczami ich oraz tych, którym pozwolono iść dalej. Ci jeńcy, niezależnie od ich pozycji, mieli przed sobą krótkie życie w łańcuchach na ławach naszych galer albo na polach nad Nilem, gdzie będą tyrać jak woły. Młodsze kobiety – te, które nie były groteskowo szpetne – czekała służba w domach publicznych, a pozostałe znajdą zatrudnienie w kuchniach lub piwnicach wielkich rezydencji naszego Egiptu. Role się odwróciły i wszyscy oni będą traktowani tak, jak traktowali nas, Egipcjan, kiedy mieli nas w swojej władzy.

Kiedy z szeregami smętnych jeńców maszerujących przed naszymi rydwanami dotarliśmy do Memfis, miasto było obleżone przez wojska Hurotasa.



Rydwany nie są najskuteczniejsze podczas oblężenia, więc moi chwaccy woźnice zostali odesłani do kopania tuneli pod murami, żeby stworzyć wyłomy umożliwiające nam wywleczenie Chamudiego i jego łajdaków z ponurych kryjówek w mieście.

Jak wszystkie oblężenia, także to było nudnym, czasochłonnym przedsięwzięciem. Nasza armia była zmuszona obozować pod murami przez prawie sześć miesięcy, zanim z dudnieniem i rykiem, w kolumnie pyłu widocznej na wiele mil ze wszystkich stron, cały wschodni mur miasta runął pod swoim ciężarem i nasi ludzie mogli się wdrzeć przez wyłomy.

Zdobycie miasta zajęło wiele więcej dni, ponieważ Memfis leżało na obu brzegach rzeki. Jednakże nasze zwycięskie oddziały w końcu zdołały pojmać Chamudiego, który wraz z rodziną znalazł kryjówkę w głębokich lochach pod pałacem. Czystym przypadkiem siedzieli na wielkim skarbie złożonym ze sztab srebra i złota, a także niezliczonych wielkich skrzyń z klejnotami; Chamudi, a przed nim przez stulecia jego poprzednicy, bez litości łupili ciemionych mieszkańców Egiptu. Żołnierze Hurotasa odeskortowali tę bandę królewskich łotrów i łajdaków nad Nil, a tam przy akompaniamencie muzyki i śmiechu topili jednego po drugim, poczynając od najmłodszych członków rodziny.

Były wśród nich bliźniaczki, dwu-, może trzyletnie. Wbrew temu, czego się spodziewałem po barbarzyńskim plemieniu, wcale nie wyglądały odrażająco; zaiste były to śliczne kruszynki. Ich ojciec Chamudi płakał, gdy wrzucono je do Nilu i trzymano pod wodą. Na to też nie byłem przygotowany. Dotąd wierzyłem, że – jak wszystkie brutalne zwierzęta – Hyksosi są niezdolni do miłości i rozpaczy.

Sam budzący postrach Chamudi zajmował ostatnie miejsce na liście egzekucji. Kiedy nadeszła jego kolej, zagwarantowano mu bardziej wyrafinowane odejście z tego świata niż członkom jego rodziny. Zaczęło się od odzierania ze skóry przy użyciu rozgrzanych do czerwoności noży, a później nastąpiło rozciąganie członków i ćwiartowanie, które wzbudziło jeszcze większą wesołość widzów. Wyglądało na to, że ludzie Hurotasa mają wyjątkowo rubaszne poczucie humoru.

Zdołałem podczas tych zabiegów zachować niewzruszony wyraz twarzy. Wolałbym ich nie oglądać, lecz gdybym się wykręcił, moi ludzie uznaliby to za oznakę słabości. Pozory są ważne, a reputacja – ulotna.

Hurotas, Hui i ja byliśmy przygaszeni po powrocie do memfickiego pałacu, ale gdy tylko zaczęliśmy liczyć i sortować zawartość piwnic pod pałacem Chamudiego, szybko odzyskaliśmy radosny nastrój. To naprawdę godne uwagi, że złoto fascynuje i pozostaje atrakcyjne nawet wtedy, kiedy wszystko inne w życiu traci swój smak.

Chociaż mieliśmy do pomocy pięćdziesięciu najbardziej zaufanych ludzi Hurotasa, wydobycie całego skarbu zajęło nam kilka dni. Gdy wreszcie

skierowaliśmy latarnie na górę cennych kruszców i kolorowych kamieni, odbity blask dosłownie nas oślepił. Patrzyliśmy, zdjęci podziwem i zdumieniem.

– Pamiętasz kreteński skarbiec, który zajęliśmy w fortecy Tamiat? – zapytał mnie cicho Hurotas.

– Kiedy wciąż byłeś młodym kapitanem i miałeś na imię Zaras? Nigdy tego nie zapomnę. Myślałem, że nie ma więcej srebra i złota na całym szerokim świecie.

– To nie była nawet dziesiąta część tego, co mamy tutaj – powiedział Hurotas.

– I dobrze.

Hurotas i Hui spojrzeli na mnie pytająco.

– Co masz na myśli, Taito?

– To, że musimy podzielić skarb co najmniej na cztery części – wyjaśniłem, a kiedy wciąż nie okazali zrozumienia, dodałem: – Dla ciebie i Huiego, dla mnie i Utteryka Tura.

– Chyba nie chodzi ci o Utteryka Histeryka? – Hurotas był głęboko zbulwersowany.

– Owszem, o tego – potwierdziłem. – O Utteryka Wielkiego, faraona Egiptu. Ten skarb został skradziony jego przodkom.

Przez chwilę obaj w milczeniu rozważali moje słowa, po czym Hurotas taktownie zapytał:

– W takim razie wygląda na to, że zamierzasz pozostać w królestwie Utteryka Tura?

– Naturalnie. – Nie kryłem zaskoczenia. – Jestem egipskim arystokratą. Mam w tym kraju wielkie posiadłości. Gdzie indziej miałbym się udać?

– Ufasz mu?

– Komu?

– Utterykowi Histerykowi, a komuż by innemu?

– Jest moim faraonem. Oczywiście, że mu ufam.

– Gdzie był twój faraon w czasie bitwy pod Tebami? – zapytał bezlitośnie Hurotas. – Gdzie był, kiedy szturmowaliśmy mury Memfis?

– Biedny Utteryk nie jest wojownikiem. Jest delikatny. – Starłem się go wytłumaczyć. – Jednakże jego ojciec, Tamose, był niezrównanym dzielnym wojownikiem.

– Mówimy o synu, nie o ojcu – zaznaczył Hurotas.

Umilkłem, rozważając konsekwencje jego słów, i w końcu zapytałem:

– Mogę zatem założyć, że nie wrócisz ze mną do Teb, kiedy ruszę z raportem do faraona Utteryka Tura?

Pokręcił głową.

– Moje serce zostało w Lacedemonie z piękną kobietą, która jest moją królową, i z naszą córką. Zakończyłem sprawy w Tebach. Poza tym w mieście są

ludzie, którzy wciąż mnie pamiętają jako młodego Zarasa. Wystarczyło mi jedno spotkanie z twoim faraonem Utterykiem Turem. Nie dał mi powodu, żebym go polubił albo mu zaufał. Wolę wrócić do własnej twierdzy, gdzie mam kontrolę nad sytuacją. – Podeszedł do mnie i poklepał po ramieniu. – Stary przyjacielu, jeśli jesteś tak mądry, za jakiego cię mamy, oddasz mi swoją część tego wspaniałego skarbu na bezpieczne przechowanie, dopóki nie zażadasz zwrotu. Jeśli sprawdzą się moje podejrzenia, będziesz miał powody być mi wdzięczny.

– Pomyślę nad tym – wymamrotałem ze smutkiem.

Hurotas i Hui zostali jeszcze dziesięć dni; nadzorowali ładowanie na statki niewolników i łupów zdobytych w Memfis, łącznie z moją częścią hyksoskiego skarbu, który niechętnie zgodziłem się oddać pieczy Hurotasa. Następnie wysłali na pokład swoje rydwany i konie i wtedy się pożegnaliśmy, stojąc na kamiennym nabrzeżu na zachodnim brzegu Nilu.

W Memfis było z nami czterech synów Huiego i księżniczki Bekathy. Każdy z nich dowodził oddziałem rydwanów. Miałem niewiele okazji, żeby się z nimi poznać, jednak odniosłem wrażenie, że wiele cech odziedziczyli po ojcu i swojej królewskiej matce. Byli pięknymi młodymi ludźmi, dzielnymi wojownikami i wprawnymi woźnicami. Najstarszy z oczywistych względów miał na imię Huisson, a trzech pozostali zwali się Sostratus, Palmys i Leo. Nosili barbarzyńskie greckie imiona, ale objęli mnie i nazwali „czcigodnym i znamienitym”, co potwierdziło moje wysokie o nich mniemanie. Obiecali przekazać wyrazy uszanowania ode mnie swojej matce i ciotce natychmiast po powrocie do Lacedemonu.

Hurotas opisał, jak żeglować z delty Nilu na wyspę Lacedemon, i wcisnął mi w rękę skrawek papirusu wraz z pokwitowaniem przyjęcia mojej części skarbu na przechowanie.

– Teraz nie będziesz miał wymówek, żeby nie złożyć nam wizyty przy pierwszej nadarzającej się okazji – powiedział szorstkim tonem, próbując zamaskować smutek spowodowany naszym drugim rozstaniem.

Napisałem na zwojach papirusu listy do moich ukochanych księżniczek, Tehuti i Bekathy, i dałem je ich mężom z przykazaniem, że mają je doręczyć, gdy tylko dotrą do domu. Nie mogłem liczyć na to, że tych dwóch sympatycznych łotrów ustnie przekaże żonom moje cenne słowa. Były to sformułowania tak poetycko piękne, że nawet po wszystkich tych latach powtarzania ich sobie w duchu wciąż doprowadzają mnie do łez.

Później wszyscy weszli na pokład i galery odbiły od nabrzeża. Bębny wybijały rytm wiosłarzem, długie wiosła zanurzały się, zakreślały łuk nad wodą i znowu opadały. Statki ruszały jeden za drugim, przywodząc na myśl budzącego się potężnego węża morskiego, i niesione nurtem Nilu kolejno nikły za pierwszym zakrętem, kierując się ku delcie, gdzie rzeka uchodzi do wielkiego Morza

Śródziemnego.

Zostałem sam i usychałem z tęsknoty.

Trzy dni później wszedłem na pokład galery i popłynęliśmy na południe, w kierunku złotego miasta Teb. Serce wciąż ciążyło mi w piersi, a myśli podążały w przeciwnym kierunku do tego, w jakim niósł mnie wiatr wraz z rzędami wiosł.

Kiedy zawinęliśmy do portu poniżej miasta, wyglądało, że wieści o naszym wspaniałym zwycięstwie w Memfis dotarły przed nami, przyniesione przez gołębia pocztowego do pałacu faraona Utteryka. Trzech starszych urzędników czekało na nabrzeżu na czele tłumu, który tworzyli chyba wszyscy mieszkańcy Górnego Egiptu. Za tłumem stało co najmniej dwadzieścia wozów, każdy zaprzężony w dwanaście wołów. Przypuszczałem, że mają posłużyć do przewiezienia hyksoskiego skarbu do Teb, gdzie bez wątpienia czekał na nie chętny skarbiec faraona. Liczni muzykanci grający na harfach, lutniach, lirach, trąbkach, tamburynach i bębnach z werwą wyrzyczeli wersję nowego hymnu na cześć faraona Utteryka Tura, podobno skomponowanego przez niego samego. Zdawało się, że ludzie odarli każdą palmę w kraju z liści, którymi teraz entuzjastycznie wymachiwali, śpiewając do wtóru instrumentów.

Kiedy mój okręt flagowy dobił do głównego nabrzeża, byłem przygotowany na przyjęcie pochwał i wyrazów wdzięczności faraona Utteryka Tura i całego ludu Egiptu za to, że raz na zawsze uwolniłem ich od widma Chamudiego wraz z jego koszmarnym plemieniem, a nadto wróciłem z bajecznym skarbem z kufrów nieprzyjaciela.

Utteryk mianował swoim wezyrem pięknego młodzieńca, który zbił wielką fortunę na handlu niewolnikami. Był to pan Mennakt, przyjaciel faraona od serca i prawdopodobnie znacznie mu bliższy w innych, bardziej intymnych częściach ciała, słyszałem bowiem plotki, że obaj mają sprzeczne z naturą upodobania. Jakiś skryba musiał napisać mu mowę, bo czytał ją ze straszną monotonią, potykając się na słowach złożonych z więcej niż jednej sylaby. Mógłbym wybaczyć mu ten brak kunsztu oratorskiego, ale natychmiast mnie zirytowało, że nie wspomniał o mojej roli w ostatniej genialnej kampanii, którą poprowadziłem przeciwko Hyksosom. W rzeczywistości nawet nie wymienił mojego imienia. Mówił tylko o swoim patronie Utteryku Turze i o lojalnej, dzielnej armii, którą rzekomo dowodził w bitwie. Wychwalał zdolności przywódcze i odwagę faraona, a także jego mądrość i czysty geniusz, ujawnione w wyzwoleniu Egiptu z niewoli i cudzoziemskiej dominacji. Podkreślił, że pięciu bezpośrednio poprzedzających go faraonów, łącznie z jego ojcem Tamosem, było żałośnie nieudolnych w próbach osiągnięcia tego samego ostatecznego rezultatu. Zakończył laudację, dodając, że wspaniałe zwycięstwo z pewnością zapewniło faraonowi Utterykowi Turowi wybitne miejsce obok Horusa, Izydy, Ozyrysa i Hathor w panteonie naszej ojczyzny. Z tego powodu, wyjaśnił, główna część skarbu, który faraon zdobył na

Hyksosach w Memfis, zostanie przeznaczona na budowę świątyni dla uczczenia wyniesienia go ponad stan zwyczajnych ludzi na wyżyny boskich i nieśmiertelnych.

Podczas gdy pan Mennakt raczył nas i oświecał tą mową, moja załoga wyładowywała przewieziony skarb i piętrzyła go na nabrzeżu. Ten nadzwyczajny pokaz całkowicie odwrócił uwagę zgromadzonych tłumów od dowcipu Mennakta i jego mistrzowskiego opanowania słowa mówionego.

Kiedy wezyr w końcu wydukał ostatnie zdanie i umilkł, wydano rozkaz. Podjechały wozy i spoceni niewolnicy załadowali na nie skrzynie ze skarbami. Woźnice strzelili z długich biczy, eskorta ciężkozbrojnych strażników pałacowych natychmiast otoczyła wozy i karawana ruszyła po grobli w kierunku głównej bramy miasta.

Wszystko to kompletnie mnie zaskoczyło. Przypuszczałem, że przypadnie mi zaszczyt poprowadzenia tego pochodu i oficjalnego przekazania skarbu faraonowi. Skoro przyjął mój dar, był zobowiązany do okazania mi uznania i aprobaty. Ruszyłem, żeby złożyć protest na ręce pana Mennakta i upomnieć się o przynależne mi miejsce na czele karawany ze skarbem.

W panującym wokół mnie ścisku nawet nie spostrzegłem, że na pokład mojego okrętu weszło sześciu starszych oficerów straży pałacowej. Bez zamieszania czy krzyku otoczyli mnie kokonem pancerzy i dobytej broni.

– Panie Taito, zgodnie z rozkazem faraona aresztuję cię za zdradę stanu. Proszę, chodź ze mną. – Dowódca mówił cicho, ale stanowczym tonem do mojego ucha. Odwróciłem się i spojrzałem na niego w zdumieniu. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to kapitan Weneg, który tak wysoko mnie cenił.

– Co to za bzdury, kapitanie? Prawdopodobnie jestem najwierniejszym poddanym faraona – zaprotestowałem z oburzeniem. Zignorował mój wybuch i skinął na swoich pomocników. Natychmiast stłoczyli się wokół mnie tak blisko, że nie mogłem się ruszyć. Jeden z nich wyjął mój miecz z pochwy, a potem poprowadzili mnie do trapu. W tym czasie pan Mennakt dał znak muzykantom, którzy zebrali się za jego plecami. Zabrział następny żywy, głośny hymn pochwalny na cześć boskiego faraona, więc moje protesty nie były słyszalne. Zanim strażnicy sprowadzili mnie na kamienne nabrzeże, gęste tłumy gapiów pociągnęły za muzykami i karawaną wozów do głównych bram miasta.

Gdy tylko zostaliśmy sami, kapitan Weneg wydał rozkazy i jego ludzie skórzaną liną związali mi ręce za plecami, podczas gdy inni sprowadzili cztery rydwany bojowe. Skrępowali mnie i wepchnęli na platformę pierwszego pojazdu. Trzasnęły bicze i ruszyliśmy galopem – nie za muzykami i wozami ze skarbem, lecz wokół miasta, jednym z podrzędnych szlaków, i dalej odnogą na skaliste wzgórze. Szlak był nieczęsto używany; co więcej, starannie unikała go większość obywateli. Nie było to niczym nadzwyczajnym, zważywszy, dokąd prowadził.

Niespełna piętnaście mil za pałacem królewskim i murami miasta ciągnęło się pasmo wzgórz, a na szczycie jednego z nich stała groźnie wyglądająca budowla wzniesiona z lokalnej skały w ponurym odcieniu błękitu. Projekt budowli niedwuznacznie świadczył o jej przeznaczeniu. Było to królewskie więzienie, wewnątrz którego znajdował się dziedziniec z szubienicami i izby tortur.

Musieliśmy przeciąć niewielki strumień, żeby dotrzeć do podnóża wzniesień. Most był wąski i kopyta koni głośno po nim bębniły; w mojej rozpalonej wyobraźni dudnienie brzmiało niemal jak łoskot bębna podczas Marszu Śmierci. Moja eskorta i ja bez przeszkód dotarliśmy do bramy osadzonej w masywnym kamiennym murze, noszącej trafną nazwę Wrót Udręki i Smutku, zapewniającej dostęp do trzewi więzienia. Kapitan Weneg zeskoczył z platformy naszego pojazdu i rękojęścią miecza załomotał w bramę. Prawie natychmiast wysoko nad nami pojawił się odziany na czarno dozorca. Głowę miał nakrytą kapturem w tym samym kolorze, skrywającym twarz tak, że widać było tylko oczy i usta.

– Kto chce tu wejść? – ryknął.

– Więzień i eskorta! – odparł Weneg.

– Wchodźcie na własne ryzyko – przestrzegł nas dozorca. – Wiedźcie, że wszyscy wrogowie faraona i Egiptu są skazani na zgubę, kiedy raz się znajdą w tych murach! – Krata uniosła się ociężale i tylko nasz rydwan wjechał za bramę. Pozostałe trzy zostały za murami, gdy brona opadła z dudnieniem.

Mury wewnętrznego dziedzińca pięły się na taką wysokość, że musiałem zdrzeć głowę, żeby zobaczyć maleńki kwadrat błękitnego nieba. Zdobily je rzędy nisz i w każdej z nich, a były ich setki setki, szczyrzyła się ludzka czaszka. Widziałem je nie pierwszy raz. Od czasu do czasu odwiedzałem uwięzionych w tych murach nieszczęśników, żeby zaoferować im odrobinę pomocy i pociechy. Mój duch zawsze truchlał i ciarki przechodziły mi po skórze, gdy czułem tak złowieszczą i intensywną obecność śmierci – teraz tym bardziej, gdyż groźba była osobista i skierowana konkretnie do mnie.

– Tylko tak daleko mogę ci towarzyszyć, panie Taito – rzekł cicho Weneg. – Zrozum, proszę, że tylko wykonuję rozkazy. Nie ma nic osobistego w tym, co muszę robić, i nie sprawia mi to cienia przyjemności.

– Rozumiem twoją trudną sytuację, kapitanie – zapewniłem go. – Mam nadzieję, że nasze następne spotkanie będzie przyjemniejsze dla nas obu.

Weneg pomógł mi zejść z platformy rydwanu, po czym sztyletem przeciął więzy na moich nadgarstkach. Szybko dopełnił formalności, przekazując mnie dozorcóm więzienia wraz ze zwojem zawierającym akt oskarżenia. Rozpoznałem hieroglif faraona Utteryka na dole dokumentu. Weneg zasalutował mi i odszedł. Patrzyłem, jak wskakuje na rydwan, chwytając lejce i zawraca konie ku bramie. Gdy tylko krata uniosła się dość wysoko, przemknął pod nią i bez oglądania się za siebie pojechał w światło dnia.

Zajęło się mną czterech dozorców. Gdy tylko Weneg opuścił dziedziniec, jeden z nich ściągnął czarny kaptur i popatrzył na mnie z drwiącym uśmiechem. Był to obleśny grubas z tłustym podgardlem opadającym na pierś.

– Czujemy się zaszczytzeni twoją obecnością, panie. Nieczęsto mamy okazję gościć tak znamienitą, sławną i bajecznie bogatą osobę, oczywiście po samym faraonie. I dlatego jestem zdecydowany dać ci tyle, na ile zasługujesz, a nawet więcej. Pozwól, że najpierw się przedstawię. Nazywam się Gub. – Skłonił wielką łysą głowę pokrytą obscenicznymi tatuażami, które wyobrażały oddane kreskami postacie robiące jedna drugiej odrażające rzeczy, i mówił: – Człowiek o twojej erudycji i inteligencji natychmiast zrozumie, że Gub doprowadza do zguby, i będzie wiedział, czego się po mnie spodziewać. Ci, którzy mnie znają, często nazywają mnie Gubem Straszny. – Miał nerwowy tik i szybko mrugał prawą powieką na zakończenie każdego zdania. Nie mogłem się oprzeć pokusie i też do niego mrugnąłem.

Przestał się szczerzyć.

– Widzę, panie, że lubisz żarciki. W swoim czasie tak sobie pożartujemy, że skonasz ze śmiechu – obiecał. – Ale musimy odłożyć tę przyjemność na trochę później. Faraon aresztował cię za zdradę stanu, lecz jeszcze nie osądził ani nie uznał za winnego. Jednak gdy nadejdzie pora, będę gotowy, zapewniam.

Ruszył z miejsca, żeby mnie okrążyć, ale obróciłem się równie szybko, chcąc stać do niego przodem.

– Trzymać go! – warknął do swoich pomagierów, którzy wykręcili mi ręce za plecami i rzucili mnie na kolana.

– Masz piękny strój, panie – skomentował Gub. – Rzadko widuję takie piękne stroje.

Prawdę rzekł, spodziewałem się bowiem przemawiać do faraona i jego rady, kiedy dostarczę mu hyksoski skarb. Miałem złoty hełm, dawno temu zdarty z głowy hyksoskiego generała na innym polu bitwy, istne arcydzieło ze złota i srebra. Na mojej szyi wisiały równie wspaniałe łańcuchy – Złoto Męstwa i Złoto Chwały – które dostałem z rąk samego faraona Tamosego za służbę i poświęcenie. Wiedziałem, że cudownie się prezentuję.

– Nie możemy pozwolić, żeby takie piękne rzeczy zabrudziły się albo podarły. Natychmiast musisz je zdjąć. Będą w mojej pieczy – wyjaśnił Gub. – Zapewniam cię, że je zwrócę, gdy tylko zostaniesz uznany za niewinnego i zwolniony z więzienia. – Patrzyłem na niego w milczeniu, nie chcąc sprawiać mu satysfakcji protestowaniem albo usilnymi prośbami. – Moi ludzie pomogą ci się rozebrać. – Gub zakończył swoją krótką mowę, wygłoszoną, czego byłem pewien, do wszystkich ludzi, z których zostały tylko czaszki w niszach na murach.

Skinął na swoich siepaczy, a oni zerwali hełm z mojej głowy i złote łańcuchy z szyi, a potem całą odzież, zostawiając mi tylko krótką przepaskę biodrową. Na



koniec poderwali mnie z ziemi i pociągnęli do drzwi w tylnej ścianie dziedzińca.

Gub szedł obok mnie.

– Wszyscy, którzy pracujemy w tych więziennych murach, jesteśmy nadzwyczaj podekscytowani i szczęśliwi z wyniesienia faraona Utteryka Tura na tron. – Mrugnął cztery lub pięć razy, dając upust podekscytowaniu, kiwając głową zgodnie z ruchem powiek. – Faraon odmienił nasze życie i dzięki niemu znaleźliśmy się wśród najważniejszych obywateli Egiptu. Za czasów panowania faraona Tamosego rzadko puszczaliśmy krew. Obecnie dzięki jego najstarszemu synowi mamy zajęcie od rana do nocy. Jeśli nie ścinamy ludziom głów, wypruwamy im wnętrzności albo wykręcamy członki, albo wieszamy ich za szyję lub przyrodzenie, bądź odzieramy ze skóry gorącymi żelazami. – Zaśmiał się wesoło. – Moi bracia i pięciu moich synów ledwie rok temu prawie nie mieli pracy, a teraz wszyscy są katami całą gębą. Faraon Utteryk Turo co kilka tygodni zaprasza nas do swojego pałacu w Tebach, bo lubi patrzeć, jak wykonujemy nasze obowiązki. Oczywiście sam nigdy tu nie zagląda. Jest przekonany, że te mury są obłożone klątwą. Jedynymi, którzy tu przychodzą, są ci, którzy tu umierają, a my, nieliczni wybrańcy, pomagamy im rozstać się z tym światem. Ale faraon uwielbia mnie oglądać podczas pracy nad dziewczętami, szczególnie gdy są brzemiennie. Dlatego zabieramy je do pałacu. Jedną z moich słabostek jest wieszanie ich na brązowych hakach wbitych w piersi, a następnie wypruwanie innymi hakami żywego płodu z brzucha. – Gub ślinił się jak głodne zwierzę, podniecony swoimi słowami.

Zmuszony słuchać takich potworności, czułem żółć podchodzącą mi do gardła.

– Pozwolę ci popatrzeć, gdy będziesz czekał na swoją kolej. Zwykle biorę opłatę, ale dałeś mi hełm i złote łańcuchy, za co jestem wdzięczny... – Był jedną z najbardziej odrażających osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. Czerń kaptura i peleryny oczywiście miała maskować krew jego ofiar, jednak z bliska widziałem, że niektóre plamy są jeszcze wilgotne, a pod tymi zaschniętymi tkanina butwieje. Smród rozkładu i śmierci wisiał nad nim jak wilgotne wyziewy nad bagnem.

Pomagierzy powlekli mnie przez tę ludzką rzeźnię, gdzie ich kamraci zabierali się do swej brudnej roboty. Wrzaski ofiar, odbite echem od nagich kamiennych ścian, mieszały się z trzaskiem biczów i jowialnym śmiechem urodzonych oprawców. Zapach świeżej krwi i ekskrementów był tak przytłaczający, że zacząłem się krztusić i walczyć o oddech.

W końcu zeszliśmy po wąskich kamiennych schodach do maleńkiej, oświetlonej świeczką podziemnej celi. Było tam ledwie dość miejsca, żeby usiąść z kolanami podciągniętymi pod brodę. Wepchnięto mnie do tej nory.

– Faraon będzie cię sądzić za trzy dni od dzisiaj. Wtedy po ciebie przyjdziemy. Do tego czasu nie będziemy cię niepokoić – zapewnił mnie Gub.

– Ale będę potrzebować jedzenia i świeżej wody do picia i mycia – zaprotestowałem. – I czystego odzienia, żebym miał w co się ubrać na proces.

– Więźniowie sami starają się o takie zbytki. My mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Chyba nie oczekujesz, że będziemy się kłopotać takimi drobiazgami. – Gub z rechotem zdmuchnął płomyk i wrzucił ogarek do kieszeni peleryny. Zatrzasnął drzwi i usłyszałem grzechot kluczy po drugiej stronie zamka. Przetrawanie trzech dni bez wody w tej dusznej, wilgotnej kamiennej celi będzie straszliwie trudne i nie miałem pewności, czy zdołam tego dokonać.

– Zapłacę. – Usłyszałem mój głos podniesiony z rozpacz.

– Nie masz ze sobą niczego, czym mógłbyś mi zapłacić. – Odpowiedź Guba przebiła się nawet przez grube drzwi. Zaraz potem kroki dozorców zupełnie ucichły i cela pogrążyła się w nieprzeniknionej ciemności.

Wszczególnych okolicznościach potrafię czasami utkać czar ochronny, który służy mi w taki sam sposób, jak kokon pewnym owadom. Potrafię wycofać się do tajemnego miejsca głęboko w mojej jaźni. Tak właśnie wtedy uczyniłem.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia uwięzienia Gub i jego siepacze mieli niemały kłopot, żeby przywołać mnie z tego odległego miejsca w głębinach mojego umysłu. Słyszałem ich słabe, płynące z dali głosy i powoli zacząłem sobie uświadamiać, że ktoś mnie szarpie, okłada pięściami i kopie. Oprzytomniałem w pełni dopiero wtedy, kiedy chlusnęli mi w twarz wodą z kubła. Chwyciłem go oburącz i wlałem resztkę wody do gardła, pomimo wysiłków trzech oprawców, którzy chcieli mi wyrwać naczynie. Ten łyk brudnej, letniej wody był moim zbawieniem; moc i energia wpłynęły z nim do mojego wyschniętego ciała, a bastiony mojej duszy zostały zaopatrzone. Ledwie czułem na nagich plecach razy bicia Guba, gdy gnali mnie po schodach ku światłu i słodkiemu powietrzu dnia. Zaiste, obrzydliwy smród panujący w murach tego więzienia był niczym różany nektar w porównaniu z miazmatami celi, z której mnie wywleczono.

Zaciągnęli mnie na Dziedziniec Czaszek, gdzie kapitan Weneg czekał obok swojego rydwanu. Po jednym spojrzeniu na moją pokiereszowaną twarz i odwodnione ciało odwrócił wzrok i zajął się stawianiem swojego hieroglify, gdyż Gub zażądał podpisu na moim zwolnieniu. Potem woźnice pomogli mi wsiąść na platformę. Chociaż próbowałem tego nie okazać, wciąż byłem słaby i ślaniałem się na nogach.

Gdy Weneg chwycił lejce i zawrócił rydwan ku otwartej bramie, Gub spojrział na mnie z szerokim uśmiechem.

– Nie mogę się doczekać twojego powrotu, panie! – zawołał. – Opracowałem kilka nowych pomysłów specjalnie na twoją egzekucję. Jestem pewien, że uznasz je za zabawne.

Kiedy dotarliśmy do strumienia u stóp wzgórz, Weneg wstrzymał konie i wyciągnął do mnie rękę. Pomógł mi wysiąść z rydwanu i zaprowadził na brzeg.

– Z pewnością chcesz się odświeżyć, panie. – W przeciwieństwie do zacnego Guba, Weneg nazwał mnie panem bez odrobiny ironii. – Nie mam pojęcia, co się stało z twoim wspaniałym mundurem, ale mam dla ciebie świeżą tunikę. Nie możesz stanąć przed władcą w tym, co masz na sobie.

Woda w strumieniu była słodka i zimna. Obmyłem się z zaschniętej krwi i oblepiającego mnie więziennego brudu, a potem wycesałem długie gęste włosy, z których mam prawo być dumny.

Oczywiście z wcześniejszych doświadczeń Weneg musiał dobrze wiedzieć, co stało się z moim hełmem i złotymi łańcuchami, i dlatego przywiózł ze sobą skromną niebieską tunikę woźnicy do okrycia mojej nagości. Co dziwne, tunika poprawiła mój wygląd, ani trochę mu nie szkodząc, gdyż idealnie podkreślała szczupły, muskularny tors. Oczywiście nie miałem ze sobą brązowego lustra, ale odbicie w strumieniu podniosło mnie na duchu. Naturalnie, byłem w nie najlepszym stanie, lecz mimo posiniaczonej przez oprawców twarzy mogłem unieść głowę ze sporym przekonaniem, że niewielu może się ze mną równać pod względem prezencji, nawet na dworze faraona.

Weneg miał też dla mnie strawę i napitek: chleb z zimnymi filetami nilowego suma i dzbanek piwa do popicia. Posiłek był smaczny i pożywny. Czuję, że odnowiona siła wraca do mojego ciała. Później wróciliśmy do rydwanu i pojechaliśmy do pałacu, który stał w samym środku otoczonych murami Teb. Według zapowiedzi faraona mój proces miał się rozpocząć w południe, ale weszliśmy do wielkiej sali dobrą godzinę przed czasem. Czekaliśmy do późnego popołudnia, zanim faraon i jego świta zjawili się w sali. Natychmiast stało się jasne, że pili mocne trunki, przede wszystkim faraon. Miał zarumienioną twarz, zaśmiewał się rehotliwie i szedł niepewnym krokiem.

Wszyscy, którzy od wielu godzin czekaliśmy na jego przybycie, padliśmy przed nim na twarze i przycisnęliśmy czoła do marmurowej podłogi. Faraon usadowił się na tronie, a kilku pochlebców rozłożyło się po obu stronach, chichocząc i wymieniając żarty, które bawiły tylko ich.

W tym czasie do wielkiej sali weszli urzędnicy oraz członkowie rodziny królewskiej i zajęli miejsca na kamiennych ławach ustawionych za tronem, naprzeciwko mnie, oskarżonego.

Najstarszym i najważniejszym z tych świadków był drugi syn faraona Tamosego, następca tronu po swoim przyrodnim bracie Utteryku Turze.

Nazywał się Ramzes. Jego matką była pierwsza i ulubiona żona faraona, królowa Masara, która niestety urodziła sześć córek, zanim powiła chłopca. Inna z późniejszych i mniej kochanych żon, megiera o imieniu Saamorti, ubiegła ją o kilka miesięcy, odbierając jej zaszczyt noszenia pierworodnego syna i następcy

tronu. Pierworodnym był Utteryk Turo.

Urzednicy i członkowie rodziny królewskiej zachowywali pełne godności milczenie, w przeciwieństwie do Utteryka Tura i jego sługusów, którzy jeszcze przez jakiś czas gawędzili i zanosili się śmiechem. Nie zwracali najmniejszej uwagi na mnie i moją eskortę, każąc nam cierpieć, bo faraon miał taki kaprys.

Nagle faraon po raz pierwszy skierował na mnie spojrzenie i jego głos zabrzmiał niczym trzask bicia, ostry i złośliwy.

– Dlaczego ten niebezpieczny więzień w mojej obecności nie jest skuty?

Kapitan Weneg udzielił odpowiedzi bez unoszenia głowy, nie patrząc na Utteryka.

– Wasza Potężna Wysokość... – Nigdy dotąd nie słyszałem takiego wydumanego tytułu, ale później się dowiedziałem, że tak należy zwracać się do faraona, pod groźbą królewskiego gniewu. – Nie pomyślałem, żeby skuć tego więźnia, jako że jeszcze nie został osądzony ani uznany za winnego jakiegoś przestępstwa.

– Nie pomyślałeś, człowieku? Czy właśnie to usłyszałem? Oczywiście, żeś nie pomyślał. Myślenie sugerowałoby obecność mózgu. – Pochlebcy zgromadzeni u jego stóp chichotali i klaskali w dłonie, zachwyceni królewskim docinkiem. Dwóch ludzi Wenega podniosło mnie, posadziło i skuto mi ręce kajdanami Guba. Weneg ze wstydu nie mógł na mnie spojrzeć, gdy wypełniali rozkazy faraona. Kiedy skończyli, znowu pchnęli mnie twarzą na posadzkę.

Nagle faraon Utteryk Turo wstał z tronu i ruszył w moją stronę. Nie śmiałem unieść głowy, więc go nie widziałem, ale dobrze słyszałem klekot sandałów na marmurze. Coraz szybsze tempo świadczyło o tym, że sam się wpędza w stan furii.

Nagle ryknął:

– Spójrz na mnie, ty zdradziecka świni!

Któryś z ludzi Wenega natychmiast chwycił mnie za włosy, poderwał do pozycji siedzącej i obrócił moją twarz ku faraonowi.

– Spójrzcie na ten szpetny, głupawo uśmiechnięty, zadowolony z siebie ryj! Powiedźcie mi, jeśli macie śmiałość, czy wina nie jest na nim wypisana wielkimi hieroglifami od ucha do ucha! – krzyknął do wszystkich w wielkiej sali. – Zaraz wyrecytuję zbrodnie popełnione przez ten wór ekskrementów przeciwko mnie i mojej rodzinie. Dowiedcie się, że w pełni zasłużył na śmierć zdrajcy, na jaką go skazę. – Trząś się z wściekłości, palcem prawej ręki wskazując moją twarz. – Jego pierwszą ofiarą, o której wiem na pewno, choć prawdopodobnie poprzedzały ją dziesiątki innych, była moja babka ze strony ojca, królowa Lostris.

– Nie! Nie! Kochałem królową Lostris! – wybuchnąłem w udreće, niezdolny się powstrzymać na wzmiankę jej imienia. – Kochałem ją bardziej niż samo życie.

– Zapewne z tego powodu ją zamordowałeś. Nie mogłeś jej mieć, dlatego ją zabiłeś. Zabiłeś ją, a potem chełpiłeś się swoim nikczemnym postępkami

w zwojach złożonych w jej królewskim grobie. Napisane twoją ręką słowa, które widziałem na własne oczy, brzmią następująco: „Zabiłem zło Seta, które rosło w jej łonie”.

Jęknąłem na wspomnienie guza, który podły bóg Set posiał w jej ciele. W moich traktatach medycznych nadałem mu nazwę „rak”. I to prawda. Wydarłem tę potworność z jej martwego ciała, ubolewając, że moje lekarskie umiejętności okazały się niewystarczające, żeby ocalić Lostris przed jego atakiem. Rzuciłem guz w płomienie i spaliłem na popiół, zanim zacząłem mumifikację jej nadal pięknych szczątków.

Jednakże brakło mi słów, żeby wyjaśnić to wszystko wnukowi królowej. Jestem poetą bawiącym się słowami, lecz nie mogłem ich znaleźć na własną obronę. Szlochałem urywanie, gdy faraon Utteryk Turo bezlitośnie wymieniał kolejne oskarżenia. Uśmiechał się, ale jego oczy przypominały ślepią gotowej do ataku kobry: pełne zimnej, gorzkiej nienawiści. Jad, którym na mnie tryskał, był równie trujący jak węzowy.

Opowiedział zgromadzonym arystokratom i potomkom rodu faraonów, jak kradłem złoto i srebro z królewskiego skarbcza, który jego ojciec, faraon Tamose, powierzył mojej pieczy. Na dowód mojej zdrady podał fakt, że zgromadziłem przez lata bajeczną fortunę w posiadłościach ziemskich i skarbach. Teatralnym ruchem rozwinął zwój i głośno przeczytał listę moich rzekomych defraudacji ze skarbcza na sumę ponad stu milionów lakhów, a to więcej srebra, niż istnieje na całej naszej ziemi.

Oskarżenia były tak niedorzeczne, że nawet nie wiedziałem, od czego zacząć replikę. Wszystkim, co mogłem wymyślić na moją obronę, było zaprzeczanie i powtarzanie:

– Nie! To nie tak było. Faraon Tamose był dla mnie niczym syn, jedyny syn, jakiego miałem. Dał mi to wszystko w nagrodę za usługi, jakie świadczyłem przez ponad pięćdziesiąt lat jego życia. Nigdy niczego mu nie ukradłem, ani złota, ani srebra, ani nawet bochenka chleba.

Równie dobrze mogłem się nie odzywać, faraon bowiem wymieniał kolejne oskarżenia:

– Ten oto Taita użył swojej wiedzy o lekach i truciznach, żeby zamordować drugą najdroższą mi kobietę królewskiego rodu. Tym razem jego ofiarą padła moja piękna, łagodna i umiłowana matka, królowa Saamorti.

Ze świstem wciągnąłem powietrze, słysząc opis tej potwornej rozpustnicy. Opiekowałem się wieloma niewolnikami, których osobiście wykastrowała albo zatłukła niemalże na śmierć. Wielką przyjemność sprawiały jej okrutne słowa, jakich mi nie szczędziła, szydząc z mojej okaleczonej męskości; bolała, że inni ją ubiegli z nożem do trzebień. Opłacała służące, żeby przemycaly niezliczonych niewolników do jej wymyślnie urządzonej komnaty sypialnej. Pługastwa, jakich się

dopuszczała z tymi żalnymi stworzeniami, prawdopodobnie zaowocowały splodzeniem osoby, która stała teraz przede mną, odczytując mój wyrok śmierci: Jego Potężnej Wysokości faraona Utteryka Tura.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że wywary i lekarstwa, które z desperacją podawałem królowej Saamorti, nie wystarczyły, żeby wyleczyć ją z brudnych chorób wstrzykniętych przez jednego czy wielu z niezliczonych kochanków w dolne otwory jej ciała. Życzę jej, żeby spoczywała w pokoju, chociaż jestem pewien, że bogowie w swojej mądrości tego jej odmówią.

Jednakże nie był to koniec przerażających oskarżeń, którymi obrzucał mnie faraon Utteryk. Kolejne było równie naciągane jak wszystkie poprzednie razem wzięte.

– Następnie mamy skandaliczne potraktowanie moich dwóch królewskich ciotek, księżniczek Bekathy i Tehuti. Mój ojciec zaaranżował dla nich obu małżeństwo z najpotężniejszym i bajecznie bogatym monarchą na świecie, wielkim Minosem z Krety. Faraon, mój ojciec, wysłał z karawaną te królewskie dziewczęta na zaślubiny z Minosem. Ich orszak odzwierciedlał nasze bogactwo jako narodu, liczył kilkaset osób, a posag moich sióstr wart był prawie dwa tysiące lakhów w pięknych sztabach srebra. Mój ojciec faraon Tamose powierzył ów skarb temu plugawemu zbrodniarzowi i potępieńcowi, którego widzicie przed sobą: Taicie. Przyznał mu dowództwo nad karawaną. Jego pomocnikami byli dwaj oficerowie, kapitan Zaras i pułkownik Hui. Z moich informacji wynika, że temu bydlęciu, Taicie, udało się dotrzeć na Kretę i wydać moje siostry za Minosa. Jednakże w wybuchu Góry Kronosa, spowodowanym przez gniew boga noszącego takie samo imię, ojca Zeusa, skutego przezeń łańcuchami na całą wieczność w głębiach góry...

Tutaj faraon na chwilę przerwał dla zaczerpnięcia tchu, po czym podjął swoje kuriozalne oskarżenia:

– Minos został zabity przez spadające skały, kiedy wybuch zniszczył wyspę Kretę. W wyniku chaosu tych dwóch piratów, Zaras i Hui, uprowadziło moje ciotki. Ukradli dwa statki, które należały do floty mojego ojca faraona Tamosego, i popłynęli na północ, na niezbadany, dziki archipelag leżący na końcu świata. Wszystko to stało się wbrew woli moich ciotek, ale za cichym przyzwoleniem i zachętą oskarżanego Taity. Po powrocie do Egiptu ten łajdak powiedział faraonowi, że jego siostry zginęły w wybuchu wulkanu, i faraon odwołał poszukiwania. Na Taitę spada ciężar winy za ich porwanie i cierpienia, na jakie z pewnością zostały narażone. Sam ten nikczemny czyn wystarczy, by wydać na niego wyrok śmierci.

Jedyny werdykt, z jakim mogłem się szczerze zgodzić, brzmiał winny: winny przyzwoleniu, żeby dwie młode kobiety, które kochałem jeszcze bardziej, niż one kochały mnie, miały okazję znaleźć prawdziwe spełnienie i szczęście po

tym, jak zgodnie z wolą ojca wypełniły swój obowiązek. Tak! – chciałem krzyknąć, ale znów mogłem tylko wlepić oczy w mojego oskarżyciela i zachować milczenie, to bowiem obiecałem Bekacie i Tehuti, kiedy wysłałem je na poszukiwanie szczęścia z mężczyznami, których darzyły prawdziwą miłością.

Faraon odwrócił się ode mnie, wyprężył ramiona i spojrzął na szeregi arystokratów i książąt, trwających w milczeniu, oszołomionych przez jego rewelacje i oskarżenia. Patrzył na nich kolejno, przedłużając chwilę napięcia. W końcu przemówił. Nie spodziewałem się po nim miłosierdzia i pod tym względem nie sprawił mi zawodu.

– Uznaję tego więźnia za winnego oskarżeń, jakie mu przedstawiłem. Zostanie pozbawiony całej swojej własności, wielkiej czy małej, ruchomej czy nieruchomej, wszędzie na świecie. Skonfiskowany majątek trafi do mojego skarbcza, bez żadnych wyjątków.

Widzowie zaszemrali i wymienili zawistne spojrzenia, bo wszyscy wiedzieli, o jakie bogactwa chodzi. Nie od dziś wiadomo, że byłem w Egipcie najbogatszym człowiekiem, zaraz po samym faraonie. Utteryk pozwolił im poszeptywać przez krótką chwilę, po czym uniósł rękę, nakazując ciszę, i natychmiast zamarli. Nawet będąc w tym strasznym położeniu, nie posiadałem się ze zdumienia, jaki lęk budził w nich nowy faraon, ale mieli powody, by się bać.

Faraon zachichotał. W tym momencie zrozumiałem, że Utteryk Turo jest kompletnie szalony i nie panuje nad swoim szaleństwem ani nawet nie podejmuje próby, żeby je powściągnąć. Ten piskliwy chichot mógł popłynąć tylko z ust osoby niespełna rozumu. Nagle przypomniałem sobie, że przecież jego matka także była obłąkana, tyle że jej szaleństwo przyjęło formę rozwiązłości seksualnej. U Utteryka Tura miało postać totalnej megalomanii. Faraon nie był w stanie pohamować najniższych instynktów czy fantazji. Chciał być bogiem, więc sam się nim obwołał i wierzył, że to wszystko, czego potrzeba, żeby faktycznie nim zostać.

Gdy to pojąłem, o władnęło mną współczucie dla równych mi obywateli tego największego państwa w dziejach świata. Dopiero zaczęli sobie uświadamiać, co ich czeka. Niewiele dbałem o własny los, bo wiedziałem, że już został przesądzony w wynaturzonym umyśle tego szaleńca. Ale głęboko przejmowałem się tym, co czeka mój umiłowany Egipt.

Faraon znowu przemówił:

– Martwi mnie tylko jedno: że śmierć za szybko przyjdzie do tego zbrodniarza po całym cierpieniu, jakie zadał mojej rodzinie. Wolałbym patrzeć, jak do granic wytrzymałości swojej przesiąkniętej złem duszy cierpi za pychę, którą zawsze okazywał, uważając się za mądrego i wykształconego.

Tutaj zdobyłem się na uśmiech, bo Utteryk jawnie okazał zazdrość o moją wyższą inteligencję. Gniew wykrzywił jego oblicze na widok mojej reakcji, ale perorował dalej:

– Jestem świadom, że kara jest niewspółmierna do winy, jednakże nakazuję zabrać cię stąd w łańcuchach i łańcuchach do miejsca Udręki i Smutku. Tam zostaniesz przekazany katom, którzy... – Tu wyrecytował listę okrucieństw tak strasznych, że kilka wrażliwszych kobiet zbladło i zapłakało z przerażenia.

Na koniec faraon zwrócił się do mnie:

– Jestem gotów wysłuchać, jak wyrażasz skruchę i żal, zanim cię odeślę na spotkanie z przeznaczeniem.

Wstałem, wciąż skuty i na poły nagi, i przemówiłem wprost, jasnymi słowami, nie miałem bowiem nic do stracenia:

– Dziękuję, Wasza Potężna Wysokość, faraonie Utteryku Turo. Teraz rozumiem, dlaczego wszyscy twoi poddani, nie wyłączając mnie, czują do ciebie to, co czują. – Nie podjąłem wysiłku zatuszowania sardonicznego tonu mojego głosu. Tchórz Utteryk obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem i skinął ręką, żeby mnie odprawić. Byłem jedyną wciąż uśmiechniętą osobą w wielkiej sali tebańskiego pałacu. Ten drwiący uśmiech był jedynym możliwym dla mnie sposobem na udzielenie nagany potworowi, który objął władzę w Egipcie.



Posłuszni nakazowi faraona, Weneg i jego żołnierze wyprowadzili mnie, ubranego tylko w przepaskę biodrową i łańcuchy, z pałacu. Przystanąłem w zdumieniu u szczytu wielkich schodów i spojrzałem w dół na tłumy wypełniające plac u ich stóp. Zdawało się, że przyszli tam wszyscy obywatele naszego wielkiego miasta i plac pękał w szwach. Stali w zupełnej ciszy.

Czułem ich nienawiść i wrogość, mimo że większość z nich była moimi ludźmi. Oni sami albo ich ojcowie i dziadowie walczyli u mojego boku w pięćdziesięciu bitwach. Tych, którzy zostali kalekami, zabierałem do moich posiadłości i tam im pomagałem, zapewniając schronienie przed żywiołami i co najmniej jeden treściwy posiłek dziennie. Wdowy również mogły liczyć na moją hojność. Dawałem im zatrudnienie i posyłałem do szkół ich potomstwo, przygotowując je do znalezienia sobie miejsca w tym trudnym świecie. Zrozumiałem, że gardzili moim miłosierdziem i przyszli dzisiaj, żeby dać upust swoim uczuciom.

– Dlaczego oni tu są? – zapytałem Wenega, ledwie poruszając ustami.

Odpowiedź wyszeptał jeszcze ciszej niż ja swoje pytanie.

– To rozkaz faraona. Są tutaj, żeby napiętnować cię jako zdrajcę i obrzucić łajnem.

– Dlatego rozkazał mnie rozebrać. – Wcześniej się zastanawiałem, dlaczego na to nalegał. – Chce, żebym poczuł brud na ciele. Lepiej nie idź za mną zbyt blisko.

– Będę dwa kroki za tobą. Co jest dość dobre dla ciebie, Taito, jest dość dobre dla mnie.

– Okazujesz mi zbyt wiele szacunku, zacny Wenegu – zaprotestowałem. Wziąłem się w garść i ruszyłem po schodach ku wściekłemu ludzkiemu morzu. Słyszałem kroki eskorty, chętnej podzielić mój los. Nie śpieszyłem się ani nie kulilem – szedłem spokojnie z wyprostowanymi ramionami i uniesioną głową. Mierzyłem wzrokiem twarze czekającego na mnie wielkiego tłumu, wypatrując oznak nienawiści, czekając na grad obelg.

Gdy wyraźnie ujrzałem twarze w pierwszych szeregach, popadłem w zakłopotanie. Wiele kobiet płakało, a mężczyźni byli ponurzy i – czy śmiałem bodaj pomyśleć? – smutni jak żałobnicy na pogrzebie. Nie tego się spodziewałem.

Nagle jakaś kobieta przedarła się przez kordon uzbrojonych strażników, ostentacyjnie tam rozmieszczonych, żeby tłum nie wyrwał się spod kontroli. Przystanęła kilka kroków przede mną i rzuciła we mnie czymś, co upadło u moich stóp. Pochyliłem się i skutymi rękami podniosłem to z kamiennych płyt.

Nie była to gruda ekskrementów, jak zarządził faraon, ale piękna niebieska lilia wodna z wód Nilu, tradycyjna ofiara składana bogu Horusowi, dowód miłości

i wielkiego szacunku.

– Taito! – krzyknęła do mnie kobieta. – Kochamy cię!

Potem drugi głos poniósł się nad głowami zbitego tłumu.

– Taita!

A potem następny:

– Taita! – I nagle tysiąc, a potem drugi tysiąc osób wykrzykiwało moje imię.

– Musimy śpiesznie wywieźć cię za mury miasta! – wrzasnął Weneg do mojego ucha. – Zanim faraon zrozumie, co się dzieje, i uderzy na nas w swym gniewie.

– Wszak nawet ja nie rozumiem, co się dzieje! – ryknąłem do niego. Nic na to nie powiedział, tylko mnie złapał za ramię, a jeden z jego ludzi mocno chwycił za drugie. Niemal nieśli mnie w powietrzu, biegnąc ku otwartemu przejściu, które się zwiężało, gdyż tłum napierał, żeby mnie dotknąć albo zmiążdżyć w uścisku; nie byłem pewien zamiarów zgromadzonych.

Na końcu szpaleru czterech ludzi Wenega czekało z rydwanami. Dotarliśmy do nich, w ostatniej chwili unikając pochłonięcia przez tłuszcę. Ryk płoszył konie, ale gdy tylko wsiedliśmy, woźnice popuścili im cugli. Pogalopowały po brukowanych ulicach, kierując się ku głównym bramom miasta. Wkrótce zostawiliśmy tłumy za sobą. Brama już się zamykała, gdy dojeżdżaliśmy, ale Weneg strzelił z bicia nad grzbietami koni i zdążyliśmy przemknąć przez wąską lukę na otwarty teren za murami miasta.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem, lecz Weneg mnie zignorował. Podał klucz do kajdan swojemu łucznikowi, który stał tuż za mną, przytrzymując mnie w podskakującym rydwanie.

– Zdejmij te okowy, a potem okryj nagość Maga. – Nadal nie odpowiedział na moje pytanie, ale miał zadowoloną z siebie, tajemniczą minę.

– Czym zamierzasz mnie okryć? – zdziwiłem się. Znów nie otrzymałem odpowiedzi, za to łucznik podał mi mały tobolek z koszyka na burcie rydwanu.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś taki sławny – powiedział, gdy wciągnąłem zieloną tunikę przez głowę. Jak na złość, była jedyna w worku, więc niestety nie miałem wyboru. Zieleń jest moim najmniej ulubionym kolorem, gdyż potwornie kłóci się z barwą moich oczu. – Słyszałeś, jak krzyczeli na twoją cześć? – Łucznik wpadał w entuzjazm. – Myślałem, że tobą wzgardzą, ale cię kochają. Cały Egipt cię kocha, Taito. – Chciał mnie uściskać, więc szybko się obróciłem w stronę Wenega.

– Nie jest to najkrótsza droga do Guba we Wrotach Udręki i Smutku – zauważyłem, a on wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przykro mi, że sprawiam ci zawód, panie. Zostałeś umówiony na spotkanie z kimś innym, nie ze szlachetnym Gubem. – Strzelił z bata i skręcił na brukowaną drogę, która prowadziła do portu na Nilu. Zanim tam dotarliśmy, skierował konie

na północny trakt biegnący równoległe do rzeki. Jechaliśmy w milczeniu przez kilka mil. Nie chciałem dalszym dopytywaniem sprawiać satysfakcji Wenegowi i przydawać mu wagi. Nie dąsałem się, nigdy tego nie robię, muszę jednak wyznać, że byłem lekko zirytowany jego tajemniczym zachowaniem.

Od czasu do czasu widziałem rzekę przez gąszcz zarośli na brzegu, ale udawałem obojętność i odwracałem wzrok ku dalekim wzgórzom na wschodnim horyzoncie. Nagle usłyszałem, jak Weneg chrząka i krzyczy:

– Ach! Jest! Dokładnie tam, gdzie obiecał!

Obróciłem głowę – leniwie, bez zainteresowania. Ale nagle usiadłem prosto jak strzała na platformie rydwanu, bo ledwie sto kroków od brzegu Nilu kotwiczył okręt flagowy naszej floty wojennej, bez wątplenia najpiękniejsza i najszybsza triera. Mogła prześcignąć każdy inny statek i unieść na pokładzie stu członków walczącej załogi.

Nie zdołałem spokojnie usiedzieć. Wstałem i nie mogąc się pohamować, ryknąłem:

– Na pełne piersi i śliską szparkę wielkiej bogini Hathor! Ten statek to *Memnon*!

– Na sztywnego kutasa i rozkołysane jaja wielkiego boga Posejdona! Zdaje się, że masz rację, Taito, przynajmniej tym razem – powiedział Weneg, bezczelnie mnie małpując.

Żachnąłem się, ale zaraz potem parsknąłem śmiechem i poklepałem go między łopatkami.

– Nie powinieneś mi pokazywać tego pięknego okrętu. Gdy na niego patrzę, w głowie lęgnie mi się chmara paskudnych myśli.

– Wyznam, że zgodnie z moim zamiarem. – Weneg krzyknął do pary siwków: – Prrr! – Wspaniałe zwierzęta skłoniły łby i, ściągane lejcami, wygięły karki i rydwan zatrzymał się na brzegu naprzeciwko wielkiego okrętu wojennego.

W chwili gdy nas rozpoznano, załoga *Memnona* skoczyła do kołowrotu i podniosła ciężką miedzianą kotwicę w kształcie krzyża. Następnie z lekkim zachodnim wiatrem w żaglu okręt powoli ruszył do brzegu, gdzie z radością czekaliśmy na jego przyjęcie.

Zalała mnie przytłaczająca fala entuzjazmu, ponieważ czułem, że moje ocalenie jest bliskie i oszczędzono mi kolejnego spotkania ze strasznym Gubem we Wrotach Udręki i Smutku.

Imię *Memnon* nosił w dzieciństwie mój umiłowany faraon Tamose, powalony przez hyksoską strzałę tak niedawno, że jeszcze nie zakończono procesu balsamowania, który poprzedza złożenie ciała w grobie w Dolinie Królów na zachodnim brzegu Nilu. Miał tam spoczywać wraz ze swoimi przodkami przez całą wieczność.

*Memnon* był ogromnym okrętem. Znałem jego wymiary, co nie powinno

dziwić, gdyż byłem jego głównym projektantem. Prawda, faraon Tamose przypisał sobie zasługi za to dokonanie, ale odszedł, a ja nie jestem taki wredny, żeby wydzierać sławę zmarłemu.

Długość kadłuba *Memnona* wynosiła sto łokci, a szerokość mniej niż trzynaście, więc mknął lekko po wodzie. Z pełnym ładunkiem zanurzał się ledwie na trzy łokcie, co ułatwiało podchodzenie do brzegu. Załoga liczyła dwieście trzydzieści osób. Miał łącznie pięćdziesiąt sześć wiosł w trzech rzędach na burcie, co sugeruje też nazwa: triera. Piętrowe ławy wiosłarzy i odsadnie na najwyższym poziomie zapobiegały zderzaniu się wiosł. Jedyny maszt można było zdemontować i położyć, a postawiony dźwigał wielki prostokątny żagiel. *Memnon* był po prostu najpiękniejszym istniejącym okrętem wojennym.

Gdy podchodził do brzegu rzeki, zauważyłem na rufie wysoką, tajemniczą postać w długiej czerwonej szacie z kapturem w tym samym kolorze, zasłaniającym twarz z wyjątkiem oczu, widocznych przez szczeliny. Najwyraźniej mężczyzna nie życzył sobie zostać rozpoznany i gdy załoga zacumowała okręt, zszedł pod pokład bez ujawniania swoich rysów i tożsamości.

– Kto to? – zapytałem Wenega. – Czy to z nim mamy się spotkać?

Pokręcił głową.

– Nie mogę powiedzieć. Zaczekam na ciebie tutaj na brzegu.

Bez wahania wspiałem się na dziób *Memnona* i szedłem po górnym pokładzie, aż dotarłem do luku, w którym zniknął odziany w czerwień nieznamy. Tupnąłem w pokład i natychmiast usłyszałem cichy głos o arystokratycznym akcencie, ale go nie rozpoznałem.

– Luk jest otwarty. Zejdź i zamknij go za sobą.

Postąpiłem zgodnie z instrukcjami i zgarbiony wszedłem do maleńkiej kajuty, był to bowiem okręt wojenny, a nie statek przeznaczony do pływania dla przyjemności. Mój noszący czerwoną szatę gospodarz już siedział. Nie spróbował się podnieść, tylko wskazał wąską ławkę naprzeciwko siebie.

– Wybacz mi, proszę, przebranie, ale z powodów, które zaraz staną się dla ciebie jasne, muszę ukrywać swoją tożsamość przed pospólstwem, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Dobrze cię znałem w dzieciństwie, ale od tamtej pory okoliczności nas rozdzielały. Znałeś się z moim ojcem, który cię wielce szanował, a ostatnio zawarłeś znajomość z moim starszym bratem, który ze znacznie mniejszym entuzjazmem...

Zanim skończył mówić, bez cienia wątpliwości wiedziałem już, kto przede mną siedzi. Skoczyłem na równe nogi, żeby okazać mu szacunek, na który w pełni zasłużył, i w konsekwencji mocno trzasnąłem ciemieniem w belki górnego pokładu. Były solidne, wyciosane z najlepszych libańskich cedrów, i moja czaszka nie mogła się z nimi równać. Padłem na ławkę, oburącz ściskając głowę, z ciekim strumyczkiem krwi spływającym do lewego oka.

Mój gospodarz wstał, ale miał dość rozsądku, żeby nie wyprostować nóg. Ściągnął z głowy czerwony kaptur i zwinął go w kulę. Mocno przycisnął tkaninę do rany, żeby zahamować potok krwi mojego życia.

– Nie jesteś pierwszym, który odniósł takie obrażenia – oznajmił. – Bolesne, lecz nie śmiertelne, zapewniam, panie Taito. – Teraz, gdy jego kaptur zdołał moją czaszkę, zamiast zasłaniać jego twarz, mogłem potwierdzić, że opatruje mnie księżę Ramzes.

– Proszę, Wasza Królewska Wysokość, to tylko stłuczenie, na które w pełni zasłużyłem za moją gapiowatość. – Byłem zakłopotany jego troską, ale też wdzięczny za okazję na pozbieranie myśli i przyjrzenie się księciu z tak bliska.

Miał rangę najwyższego admirała floty i z takim poświęceniem pełnił swoje obowiązki, że bardzo rzadko udzielał się towarzysko; przebywał prawie wyłącznie ze swoimi oficerami i, co dość naturalne, z ojcem. Oczywiście bawiłem się z nim, gdy był dzieckiem, a także opowiadałem mu baśnie o szlachetnych księżętach ratujących piękne panny przed smokami i innymi potworami, ale gdy wszedł w okres dojrzewania, nasze drogi się rozeszły i znalazł się pod wyłącznym wpływem ojca. Od tamtej pory nie utrzymywaliśmy znajomości, dlatego zaskoczyło mnie jego podobieństwo do ojca, faraona Tamosego. Oczywiście to podobieństwo potwierdzało, że miałem rację; nie bez kozery zawsze darzyłem go wysokim szacunkiem. Pomyślałem, że jest może nawet przystojniejszy od ojca, co natychmiast przepełniło mnie poczuciem winy, jednakże taka była prawda.

Zarys szczęki miał wyrazistszy, zęby równiejsze i białe. Był trochę wyższy niż ojciec i smuklejszy i miał bardziej giętkie członki. Jego skóra połyskiwała nadzwyczajnym odcieniem ciemnego złota, odzwierciedlając abisyńską spuściznę matki, królowej Masary. Oczy, o ton jaśniejsze i bardziej błyszczące, patrzyły przenikliwie, inteligentnie i życzliwie.

Moje serce rwało się do niego, jakby lata rozłąki nigdy nie istniały. Jego następne słowa potwierdziły moje odczucia.

– Mamy wiele wspólnego, Taito, w tej chwili jednak najbardziej naglącą dla nas kwestią jest zgubna, nieprześlądana wrogość mojego starszego brata. Faraon Utteryk Turo nie spocznie, dopóki nie zobaczy nas martwych. Oczywiście na ciebie już zapadł wyrok śmierci. Ja też zostałem skazany, chociaż mniej otwarcie, aczkolwiek z równą lub nawet większą rozkoszą i skwapliwością.

– Ale dlaczego? Dlaczego brat cię nienawidzi? – Nie miałem kłopotów z zadaniem pytania. Czuję, że doskonale się rozumiemy. Nie miałem przed nim nic do ukrycia ani on do ukrycia przede mną.

– Po prostu dlatego, że faraon Tamose mnie i ciebie kochał bardziej niż Utteryka, swojego pierworodnego. – Umilkł i uderzenie serca później podjął: – I również dlatego, że mój brat jest obłąkany. Prześladowają go duchy i zmary będące wytworem jego chorego umysłu. Pragnie pozbyć się każdej osoby, która jest

mądrzejsza i szlachetniejsza od niego.

– Wiesz to na pewno? – zapytałem, a on skinął głową.

– Tak, na pewno! Mam swoje źródła, Taito, podobnie jak ty. Potajemnie, tylko w ścisłym gronie największych pochlebców, Utteryk chełpił się swoimi wrogimi zamiarami względem mnie.

– Co zamierzasz w związku z tym zrobić?

Odpowiedź Ramzesa zabrzmiała mi w uszach jak mój własny głos.

– Nie mogę się zmusić, żeby go zabić. Ojciec go kochał i to wystarczy, żeby powstrzymać moją rękę. Ale też nie zamierzam pozwolić, żeby mnie zamordował. Dzisiaj opuszczam Egipt. – Jego ton był spokojny i rozsądny. – Popłyniesz ze mną, Taito?

– Z radością służyłem twojemu ojcu – odparłem. – Nie mogę zrobić mniej dla ciebie, mój księżę, który powinien być faraonem. – Podszedł do mnie i uściśnął moją prawicę w geście przyjaźni i zgody, a ja mówiłem: – Jednakże są inni, którzy ryzykują dla mojego dobra.

– Tak, wiem, o kogo ci chodzi – powiedział Ramzes. – Kapitan Weneg i jego żołnierze są dobrymi, lojalnymi ludźmi. Już z nimi rozmawiałem. Połączą swój los z naszym losem.

Pokiwałem głową.

– W takim razie nie mam żadnych zastrzeżeń. Pójdę za tobą, panie Ramzesie, dokądkolwiek mnie poprowadzisz. – Dobrze wiedziałem, dokąd; wiedziałem to lepiej niż sam księżę. Było jednak za wcześnie, żeby poruszać ten temat.

Wyszliśmy razem na pokład i zobaczyłem, że Weneg i jego ludzie już rozmontowali rydwany i wnoszą części do ładowni. Po rydwanach przyszła kolej na konie. W niecałą godzinę *Memnon* był gotów do drogi. Odbiliśmy od brzegu i zwróciliśmy dziób ku północy. Z wiatrem w żaglach, niesieni przez nurt i potrójne rzędy wiosł bijących wodę Nilu na pianę, płynęliśmy na północ w kierunku otwartego morza i wolności od niewoli wrogiego faraona.

Jedną z nielicznych zalet długowieczności jest dar niezwykłej mocy uzdrawiania i powrotu do zdrowia. Niespełna godzinę od uderzenia w głowę rana przestała krwawić i zaczęła się zasklepiać. Zanim dotarliśmy do ujścia, gdzie Nil wpada do wielkiego Morza Śródziemnego, pręgi po biczu, siniaki i inne obrażenia spowodowane przez straszego Guba i jego pacholków zupełnie się zagoiły. Moja skóra znów była gładka i lśniąca zdrowiem jak u młodego człowieka.

W czasie długich dni, gdy płynęliśmy na północ w kierunku morza, książę i ja mieliśmy mnóstwo czasu na odnowienie znajomości.

Następna ważna decyzja, jaką musieliśmy powziąć, dotyczyła określenia ostatecznego celu podróży, gdy opuścimy Egipt. Zdawało się, że Ramzesowi chodził po głowie przerażający pomysł zeglowania za skalistą Bramę Hathor na końcu świata – po prostu żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Dobrze wiedziałem, co tam leży. Wielka nicość. Jeśli obierzemy ten kurs, zsuniemy się z krawędzi świata i będziemy spadać w ciemności przez całą wieczność.

- Skąd wiesz, co się z nami stanie? – zapytał mnie Ramzes.
- Stąd, że nikt nigdy nie wrócił zza Bramy – wyjaśniłem całkiem rozsądnie.
- Skąd wiesz?
- Wskaż mi jednego, kto wrócił – rzuciłem wyzywająco.
- Scaeva Hiszpan.
- Nigdy o nim nie słyszałem. Kto to taki?
- Wielki podróżnik. Znał go mój prapradziad.
- Ale ty go nie poznałeś?
- Oczywiście, że nie! Zmarł na długo przed moimi narodzinami.
- Więc twój prapradziad ci o nim powiedział?
- Nie, niezupełnie. Widzisz, on też zmarł, zanim się urodziłem. Ojciec opowiedział mi o Senebsenie.

– Wiesz, że szanuję pamięć twojego ojca, nigdy jednak nie miałem okazji rozmawiać z nim o podróżach tego Senebsena. Co więcej, wątpię, czy relacja z trzeciej ręki o tym, co leży za Wrotami, wystarczyłaby, żeby mnie przekonać do podjęcia ryzykownej podróży.

Na szczęście dwie noce później miałem sen. Śniłem, że farsiańscy piraci porwali księżniczkę Bekathę i Tehuti razem z ich dziećmi i przykuli je łańcuchami do skały na brzegu morza w ofierze dla ułagodzenia straszego potwora morskiego zwanego Tarquistem. Jest to skrzydlate stworzenie latające w przestworzach niczym wielki ptak albo pływające w morzu jak ogromna ryba. Ma pięćdziesiąt łaknących ludzkiego mięsa paszcz, którymi może zniszczyć nawet największe okręty zbudowane przez ludzi.

Naturalnie nie kwapiłem się do opowiedzenia Ramzesowi o moim śnie, ale

w końcu musiałem wziąć pod uwagę poważny obowiązek wobec królewskiego rodu Egiptu. Ramzes oczywiście dobrze wiedział o mojej sławie wróżbity i interpretatora snów. W milczeniu, z powagą wysłuchał mojego objaśnienia, po czym bez wydawania opinii poszedł na dziób, gdzie siedział w odosobnieniu przez resztę popołudnia. O zachodzie słońca wrócił do mnie na rufę i nie marnując czasu, przeszedł prosto do rzeczy.

– Surowo ci nakazuję, żebyś powiedział mi prawdę o tym, co się stało z moimi ciotkami, które mój ojciec, faraon Tamose, wysłał do imperium Krety jako oblubienice Najwyższego Minosa, tamtejszego króla. Jak rozumiem, wypełniły obowiązek zgodnie z ojcowską wolą i zostały żonami Minosa, a potem zginęły w potężnym wybuchu Góry Kronosa. Tak powiedział mi ojciec. Ale byłem obecny, kiedy mój brat Utteryk oskarżał cię o zdradę i oszustwa. Oznajmił, że moje ciotki przeżyły erupcję wulkanu, która zabiła ich męża Minosa, a później uchyliły się od obowiązku i zamiast wrócić do Egiptu, uciekły z tymi dwoma łajdakami, Zarasem i Huim, i ślad po nich zaginął. Zlekceważyłem oskarżenia Utteryka, biorąc je za brednie wariata, ale teraz ten twój sen sugeruje, że moje ciotki żyją. – Urwał i przeszył mnie tym swoim bystrym spojrzeniem. – Powiedz mi prawdę, Taito – zażądał. – Co naprawdę się stało z moimi ciotkami?

– Były pewne okoliczności. – Spróbowałem się wykręcić od bezpośredniej odpowiedzi.

– To nie jest odpowiedź – zbeształ mnie. – Co rozumiesz przez „okoliczności”?

– Proszę, Ramzesie, podam ci inny przykład.

Skinął głową.

– Słucham.

– Przypuśćmy, że księżę z królewskiego rodu Egiptu zaczyna sobie uświadamiać, iż jego starszy brat, który jest faraonem, zamierza go zamordować właściwie bez żadnego powodu, i znając jego plany, postanawia uciec z kraju, zamiast zostać i zginąć. Czy uważałbyś to za zaniedbanie obowiązku?

Ramzes kołysał się na piętach i patrzył na mnie w zdumieniu. W końcu potrząsnął głową, jakby chciał, żeby w niej pojaśniało, i cicho rzekł:

– Chcesz powiedzieć, że uznałbym to za okoliczności łagodzące?

– A nie?

– Chyba tak – przyznał i wyszczerzył zęby. – Przypuszczam, że już to zrobiłem.

Wykorzystałem jego wyznanie.

– Dobrze. Opowiem ci zatem o twoich ciotkach. Były uroczymi dziewczętami, w równym stopniu lojalnymi i oddanymi, jak mądrymi i pięknymi. Twój ojciec wysłał je na Kretę jako oblubienice tamtejszego władcy. Zostałem mianowany ich opiekunem. Wypełniły swój obowiązek względem twojego ojca



i Egiptu. Poślubiły Minosa, mimo że były zakochane w mężczyznach, których same wybrały. Niedługo później Minos zginął podczas wybuchu Góry Kronosa i nagle znów były wolne. Postanowiły uciec ze swoimi ukochanymi, a ja, zamiast je odwieść od tego zamiaru, chętnie im w tym pomogłem.

Patrzył na mnie z fascynacją w oczach, gdy kontynuowałem opowieść:

– Miałaś słuszość w swoich podejrzaniach. Twoje ciotki żyją.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Ponieważ nie więcej niż miesiąc temu rozmawiałem z ich mężami. Chcę, żebyś udał się ze mną z wizytą. Możesz podróżować incognito, jako kapitan *Memnona*, nie jako księżę z królewskiego rodu Tamosego. Wtedy będziesz miał możliwość je osądzić i porównać ich decyzję zniknięcia ze swoją, dokładnie taką samą.

– A jeśli uznam, że moje ciotki nie dopełniły królewskiego obowiązku?

– Wtedy poześlę z tobą przez Bramę Hathor i razem skoczmy ze skraju świata w wieczność.

Ramzes parsknął śmiechem, a kiedy się opanował, wytarł łzy wesołości z policzków i zapytał:

– Wiesz, gdzie znaleźć te dwie nieuchwytnie panie?

– Wiem.

– W takim razie pokaż nam drogę – poprosił.

Dwa dni później bez poważnych opóźnień dotarliśmy do ujścia Nilu. Hyksoska flota została zniszczona i nie było innego okrętu, który śmiałyby nam rzucić wyzwanie, *Memnon* bowiem władał rzeką tak, jak jego imiennik lądem. Przed nami leżało Morze Śródziemne. Popłynęliśmy Fatnikiem, największym z siedmiu ujść Nilu, i moje serce radowało się na myśl, że po raz kolejny będę żeglować po falach największego z mórz.

Wiedziałem, że musimy obrać północny kurs i wskutek tego na wiele dni, może nawet na tydzień, stracimy ląd z oczu. O tej porze roku chmury będą przysłaniać słońce. W takich okolicznościach nawigowanie zawsze było problemem, więc uznałem, że nadszedł czas pokazać Ramzesowi moją magiczną rybę. Wiele lat temu dał mi ją pewien afrykański uzdrowiciel. Ocaliłem jego najstarszego syna przed śmiercią od ukąszenia węża i w ten sposób mi się odwdzieczył.

Magiczna ryba jest wyrzeźbiona z ciężkiego czarnego kamienia, który można znaleźć tylko w Etiopii nad ostatnią kataraktą Nilu. Tamtejsze plemiona zwą go „kamieniem powrotu do domu”, bo dzięki niemu są w stanie znaleźć powrotną drogę. Wielu lekceważy wiedzę czarnych plemion, ja jednak do nich nie należę.

Magiczna ryba ma długość mniej więcej mojego małego palca, ale jest cienka jak drzazga. Kiedy zachodzi potrzeba, przyklejam ją do drewnianka w kształcie kadłuba łodzi i umieszczam tę maleńką łódkę w okrągłej misie z wodą. Misa musi być drewniana i ozdobiona tajemnymi afrykańskimi wzorami w żywych kolorach. Teraz zaczyna się magiczna część. Rzeźbiona kamienna rybka obraca się wraz ze swoją łódką i powoli, ale uparcie płynie ku leżącemu najbardziej na północ punktowi na obwodzie misy, niezależnie od tego, gdzie zwrócony jest dziób statku. Na tym etapie naszej podróży musieliśmy skierować dziób *Memnona* lekko w lewo od kierunku wskazywanego przez nos ryby. W dzień czy w nocy magiczna ryba jest niezawodna. Podczas podróży powrotnej wystarczy, że zwrócimy dziób *Memnona* w przeciwną stronę; oczywiście pod warunkiem, że w ogóle kiedykolwiek wrócimy do Egiptu.

Ramzes pokpiwał sobie z mojej rybki.

– Umie też zaśpiewać odę do bogów albo przynieść mi dzban dobrego wina, albo wskazać drogę do urodziwej dziewczyny z cipką, która smakuje słodko jak miód? – dopytywał. Pozostałem głuchy na takie niestosowne żarty.

Pierwszej nocy na otwartym morzu chmury zupełnie zasnuwały niebo. Nie było słońca, księżyca ani gwiazd, żeby nas prowadzić. Przez całą noc żeglowaliśmy w styksowych ciemnościach, mając za przewodnika tylko „kamień powrotu do domu”. Długo przed świtem wyszliśmy na pokład i usiedliśmy przy

drewnianej misce; obserwowaliśmy ją w kapryśnym blasku skwierczącej lampki oliwnej. Ramzes zabijał czas, nie przestając żartować. Mina mu zrzedła o wschodzie słońca, kiedy niebo się przetarło i zobaczył, że *Memnon* rzeczywiście płynie kursem wyznaczonym przez moją rybkę, lekko na zachód od północy.

– Naprawdę jest magiczna – mamrotał do siebie, kiedy sytuacja powtórzyła się trzeciego dnia z rzędu. Czwartego dnia rano, gdy słońce wysunęło gorejącą głowę nad horyzont, prosto przed naszym dziobem w odległości nie większej niż piętnaście mil ukazała się zniszczona wyspa Kreta.

Wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy ujrzałem tamtejsze góry, były zielone i porośnięte lasem. Na brzegach tej najbogatszej na świecie wyspy leżały wielkie miasta i porty. Na wodach wokół wybrzeży roily się statki, wojenne i handlowe.

Lasy i miasta zniknęły, spalone na czarne popioły przez ogniste tchnienie wielkiego boga Kronosa, który w przypływie złości zniszczył górę, gdzie jego rodzony syn Zeus przykuł go łańcuchami; rozsadził ją na kawałki w ognistej erupcji wulkanu. Resztki tej szczególnej góry zatoneły pod wodą, nie zostawiając śladu po swoim istnieniu. Zmieniliśmy kurs i płynęliśmy tak blisko brzegu, jak tylko uznaliśmy to za bezpieczne, ale nie rozpoznałem żadnych znanych mi z przeszłości punktów orientacyjnych. Nawet po wszystkich tych latach powietrze wciąż cuchnęło siarką, a także martwymi zwierzętami i rybami. Może w rzeczywistości zwodziła mnie moja żywa wyobraźnia wraz z przewrażliwionym zmysłem powonienia. Tak czy siak, w wodach pod naszym kilem nie było życia; wrzące morze zabiło rafy koralowe. Nawet Ramzes i jego załoga, którzy nie znali tego świata, byli przygnębieni i przerażeni widokiem takiej totalnej destrukcji.

– To wystarczająco dobitnie potwierdza fakt, że w obliczu bogów wszystkie ludzkie wysiłki są drobne i nieznaczące – rzekł Ramzes ściszym głosem. – Odpłynijmy stąd jak najszybciej i zostawmy to miejsce apokaliptycznemu gniewowi boga Kronosa.

Rozkazałem przełożyć ster wiosłowy i zwiększyć tempo. Popłynęliśmy na północ w kierunku Morza Greckiego, wciąż sterując lekko na zachód od północy.

Żeglowaliśmy po niezbadanych wodach. Nigdy nie byłem dalej na północy niż na Krecie. W ciągu dnia minęliśmy obszar zniszczony przez wulkan i morze odzyskało swój przyjazny, miły dla oka wygląd.

Ramzes miał bystry i chłonny umysł. Pragnął się uczyć, a ja z chęcią mu w tym pomagałem. Najbardziej interesowały go dzieje i pochodzenie jego rodziny, a ja wiedziałem o tym wiele. Przeżyłem już cztery pokolenia faraonów, miałem więc informacje z pierwszej ręki. Z przyjemnością dzieliłem się z nim moją wiedzą.

Ale przeszłość Egiptu nie pochłonęła nas do tego stopnia, żebyśmy zaniedbali naszych obowiązków jako dowódcy najświetniejszego okrętu wojennego na świecie. Czas spędzany na zgłębianiu historii był niczym

w porównaniu z tym, który poświęcaliśmy przygotowaniom na wszelkie ewentualności. Jak przystało na okręt tej klasy, załogę stanowili ludzie osobiście wybrani przez Ramzesa i nie mieli sobie równych, jednakże zawsze byłem zwolennikiem udoskonalania ideału, gdy tylko było to możliwe. Ramzes bezlitośnie musztrował swoich ludzi, a ja pomagałem mu trenować ich, żeby osiągnęli najwyższe poziomy sprawności.

Najlepsi dowódcy wojskowi instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo i obecność wroga. Przed południem trzeciego dnia po zostawieniu za rufą Krety zaczął mnie nękać znajomy, aczkolwiek trudny do opisanego niepokój. Znaczną część popołudnia spędziłem na ukradkowym przeszukiwaniu horyzontu nie tylko przed okrętem, ale również za nami. Z doświadczenia wiedziałem, że ignorowanie tych przeczuć bywa niebezpieczne. W pewnym momencie spostrzegłem, że nie jestem odosobniony w zaniepokojeniu. Ramzes też wydawał się podenerwowany, chociaż nie umiał tego ukryć tak dobrze jak ja. Oczywiście miał w tym względzie mniejsze doświadczenie. Późnym popołudniem, kiedy słońce wisiało tylko o szerokość dłoni nad zachodnim horyzontem, odłożył broń i hełm, po czym wspiął się na czubek masztu. Przez chwilę patrzyłem, jak spogląda nad kilwaterem, i nie mogłem się dłużej powstrzymać. Odpasałem miecz, zdjąłem półpancerz i stanąłem u stóp masztu. W tym czasie członkowie załogi, zwłaszcza ci, którym przypadła kolej pociągania za długie wiosła, obserwowali mnie z zainteresowaniem. Bez przystanków wspiąłem się do bocianiego gniazda i Ramzes zrobił dla mnie miejsce w ciasnym koszu. Nie mówiąc słowa, patrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Zauważyłeś go? – W końcu przerwałem milczenie, a on zrobił zaskoczoną minę.

– Kogo? – zapytał ostrożnie.

– Tego, kto za nami podąża – odparłem i zaśmiałem się cicho.

– Więc ty też ich wyczułeś. Jesteś szcwanym starym psem, Taito.

– Nie zostałem szcwanym starym psem, gdybym był głupi, młodzieńcze. –

Jestem wrażliwy na aluzje do mojego wieku.

Ramzes przestał się śmiać.

– Kogo masz na myśli? – zapytał poważniej.

– To północne morze jest terenem łowów dla każdego pirata, który kiedykolwiek poderżnął gardło człowiekowi. Jak mógłbym nazwać bodaj jednego z nich?

Obserwowaliśmy słońce, powoli i dostojnie zanurzające się w morzu. Na horyzoncie za nami nie było śladu życia. Nagle razem krzyknęliśmy:

– Jest!

Chwilę przed tym, zanim słońce zostało wessane pod wodę, złoty snop światła wystrzelił nad ciemniejące fale. Obaj wiedzieliśmy, że to odbicie od żagla okrętu, który nas tropił.

– Myślę, że chce naszej krwi, w przeciwnym razie dlaczego miałby się skradać? Spodziewa się, że o zachodzie słońca zrefujemy żagiel albo nawet go zrzucimy, więc się dostosuje, żebyśmy go nie wypatrzyli. Chce podpłynąć do nas w ciemności bez powodowania zderzenia – przewidywałem. – Dlatego powinniśmy przygotować dla niego małą niespodziankę.

– Co proponujesz, Taito? Jestem przyzwyczajony do walki z okrętami na Nilu, ale nie na otwartym morzu. Dlatego zdam się na twoją większą wiedzę.

– Widziałem, że masz zapasowy żagiel w ładowni na rufie.

– Aha, chodzi ci o ten czarny. Odpowiedni do nocnych działań, kiedy nie chcemy zostać wykryci przez wroga.

– A właśnie na tym nam teraz zależy – powiedziałem.

Zaczekaliśmy, aż ciemność pochłonie ostatnie światło dnia. Zmieniliśmy kurs, skręcając pod kątem prostym w lewo, i przepłynęliśmy mniej więcej milę. Wtedy zdjęliśmy nasz biały żagiel i zastąpiliśmy go czarnym. W ciemności zadanie było skomplikowane i trwało znacznie dłużej, niż się spodziewałem. W końcu, pod czarnym jak noc żaglem, wróciliśmy na pierwotny kurs, co umożliwiła nam moja magiczna ryba i błyskawice, które co jakiś czas rozświetlały chmury.

Miałem nadzieję, że drugi statek wciąż podąża pierwotnym kursem, że w czasie opóźnienia spowodowanego przez zmianę żagla zdążył nas ominąć i teraz żegluje przed nami, z całą załogą patrzącą przed dziób. Przypuszczałem, że piraci podnieśli żagiel, żeby nas dopędzić, więc rozkazałem Ramzesowi uczynić to samo. *Memnon* mknął przez ciemność i odkosy dziobowe bryzgały na nas jak grad. Każdy członek naszej załogi był w pełni uzbrojony i gotów do walki, ale w miarę upływu czasu jałem powątpiewać w trafność moich obliczeń względnych pozycji dwóch okrętów.

Nagle piracki okręt jakby wyskoczył na nas z mroku nocy. Ledwie zdążyłem wykrzyknąć ostrzeżenie do sternika, i oto był przed nami, zwrócony burtą, widoczny w blasku kolejnej błyskawicy. Wydawało się, że kapitan stracił nadzieję na podejście do nas od rufy. Doszedł do wniosku, że minął nas w ciemności, i teraz zawracał, żeby nas odszukać. Leżał na wodzie jak kłoda, prosto na naszym kursie. Pędziliśmy na niego z prędkością ataku i nasz ostry jak siekiera dziób przeciąłby go na dwoje, ale sam też zostałby zmiażdżony przez siłę zderzenia.

Dzięki umiejętnościom żeglarskim Ramzesa i szkoleniu załogi zdołaliśmy zapobiec kolizji, która zniszczyłaby oba okręty i posłała je na dno wraz z nami wszystkimi. Ramzes zdążył zmienić kurs na tyle, że ustawiliśmy się burtą do tamtego okrętu. Mimo to zderzenie było tak potężne, że każdy członek pirackiej załogi padł na pokład, łącznie z kapitanem i sternikiem. Leżeli jedni na drugich, w większości ranni albo ogłuszeni, a ci nieliczni, którzy zdołali się pozbierać, stracili broń i nie byli w stanie stawiać oporu.

Większość załogi *Memnona* została ostrzeżona w porę, żeby się przygotować

i czegoś uchwycić. Inni polecili na pokład pirackiego statku niczym kamienie wstrzelone z procy. Byłem jednym z nich. Nie mogłem zwolnić z własnej woli, więc wybrałem najmniejszą przeszkodę na drodze i ku niej skręciłem. Tak się złożyło, że wpadłem na samego kapitana piratów. Razem runęliśmy na pokład, ale ze mną na wierzchu, siedzącym okrakiem na jego torsie. Straciłem miecz podczas tej gwałtownej zmiany statków, więc nie mogłem go zabić od razu, i raczej dobrze się stało. Mężczyzna, na którym siedziałem, z żalonym jękiem pchnął zasłonę brązowego hełmu na tył głowy i wlepił we mnie oczy. W tej chwili błyskawica oświetliła jego twarz.

– Na cuchnący zad Seta, admirałe Hui, co tutaj porabiasz? – zapytałem.

– Przypuszczam, że dokładnie to samo co ty, zacny Taito. Chciałem zgarnąć trochę srebra, żeby nakarmić głodujące dziecko – odrzekł chrapliwie, usiłując odzyskać oddech i usiąść. – A teraz, jeśli tylko raczysz ze mnie zejść, uściskam cię i zaproponuję ci czarkę przedniego lacedemońskiego czerwonego wina, żeby uczcić nasze jakże fortunne spotkanie.

Po jakimś czasie, gdy obie załogi stanęły na nogach, zajęto się tymi poważniej rannymi i wybieraniem wody z pirackiego okrętu, bo zniszczenia odniesione wskutek zderzenia były znacznie większe niż nasze i groziło mu zatonięcie.

Dopiero wtedy miałem okazję przedstawić Ramzesa admirałowi Huiemu – nie jako następcę egipskiego tronu, ale zwyczajnego kapitana statku. Potem z kolei przedstawiłem Huiemu nie jako wuja Ramzesa, ale jako admirała lacedemońskiej floty, dorabiającego na boku piractwem.

Pomimo różnicy wieku od razu przypadli sobie do serca i zanim napoczęliśmy drugi dzban czerwonego wina, gawędzili jak starzy znajomi.

Resztę nocy i większość następnego dnia załogi poświęciły na naprawę uszkodzonych okrętów, a ja zszywałem skaleczenia i nastawiałem złamane kości ofiarom zderzenia obu stron. Kiedy w końcu postawiliśmy żagle i ruszyliśmy do portu Gythion na południowym wybrzeżu Lacedemonu, Hui wskazywał drogę *Memnonowi*, płynąc na swoim okręcie flagowym, który na cześć żony nazwał *Bekatha*.

Zostawiłem Ramzesa, żeby dowodził *Memnonem*, a sam przesiadłem się na pokład *Bekathy*, więc mogłem na osobności wyjaśnić Huiemu skomplikowane okoliczności naszego nagłego przybycia. Hui słuchał w milczeniu i dopiero gdy skończyłem, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Co cię tak bawi? – zapytałem.

– Mogło być znacznie gorzej.

– Pod jakim względem, może raczysz mi powiedzieć? Jestem pozbawionym posiadłości i tytułów wyrzutkiem, bez możliwości powrotu do ojczyzny pod karą śmierci. – Po raz pierwszy od podjęcia ucieczki z Egiptu miałem okazję poużalać

się nad swoim losem. Czuję się kompletnie zdruzgotany.

– Przynajmniej jesteś bogatym wyrzutkiem i nadal bardzo żywym – podkreślił. – Wszystko to dzięki królowi Hurotasowi.

Minęła chwila, nim sobie przypomniałem, kim jest Hurotas. Wciąż myślałem o nim po prostu jako o Zarasie. Hui miał jednak rację. Nie tylko byłem zamożnym człowiekiem, ale po trwającej prawie trzydzieści lat rozłące miałem się spotkać z moimi ukochanymi księżniczkami.

Nagle znowu ogarnęła mnie radość.

Szczyty gór Tajgetos zapowiedziały, że zbliżamy się do Lacedemonu, którego nigdy dotąd nie widziałem. Były ostre jak kły smoka, strome jak gardziel Hadesu i, choć nastąpiła wczesna wiosna, wciąż pokryte lśniącymi polami lodu i śniegu.

Gdy żeglowaliśmy w ich stronę, wznosiły się coraz wyżej. Zobaczyłem, że dolne ich partie porośnięte są wysokimi lasami. Podpłynawszy jeszcze bliżej, ujrzelśmy szare skały urwistego brzegu. Fale maszerowały ku nim niczym karne szeregi atakujące dzikich wojowników i jedna po drugiej wyładowywały swą furię w grzmiącym przyboju.

Wpłynęliśmy do głębokiej, rozległej zatoki. Była to zatoka Gythion. Tutaj fale były łagodniejsze, bardziej poskromione, więc mogliśmy podejść bliżej do brzegu. Weszliśmy w ujście szerokiej spływającej z gór rzeki.

– Rzeka Hurotasa – powiedział Hui. – Nazwana imieniem kogoś, z kim się dobrze znasz.

– Gdzie jest twierdza? – zapytałem.

– Prawie dwanaście mil w głębi łądu. Rozmyślnie ukryliśmy ją od strony morza, żeby nie kusić nieproszonych gości.

– Gdzie zatem kotwiczysz twoja flota? Z pewnością trudno ukryć tyle galer wojennych, ile, jak mi wiadomo, posiadasz.

– Rozejrzyj się, Taito – zaproponował Hui. – Są ukryte na widoku.

Mam bystre oczy, ale niczego nie zdołałem dostrzec. Zirykowało mnie to. Nie lubię, gdy ktoś się ze mnie naigrawa. Hui musiał to odgadnąć, bo ustąpił i podał mi podpowiedź.

– Spójrz tam, gdzie góry schodzą do samego morza.

Wtedy oczywiście widok nabrał ostrości i zrozumiałem, że to, co pierwotnie wziąłem za martwe drzewa rozproszone wzdłuż brzegu, jest rzędem prostych pni zupełnie pozbawionych gałęzi i listowia.

– Czy nie są to gołe maszty galer wojennych? Ale wyglądają na wyniesione na brzeg, bo nie widzę kadłubów.

– Doskonale, Taito! – pochwalił mnie wylewnie, łagodząc moją irytację spowodowaną przez jego dziecinne zagadki. – Kadłuby naszych galer są ukryte za falochronem portu, który specjalnie dla nich zbudowaliśmy. Tylko kilka ma postawione maszty. Na pozostałych są opuszczone, dzięki czemu jeszcze trudniej je wykryć.

– Przemysłna kryjówka – przyznałem wspaniałomyślnie.

Kierowaliśmy się ku ukrytemu portowi, a *Memnon* płynął za nami. Dopiero o pół strzału z łuku od brzegu zobaczyliśmy wejście, zamaskowane od strony morza przez zachodzące na siebie falochrony. Gdy podpłynęliśmy bliżej,



opuściliśmy żagle i dalej poruszaliśmy się na wiosłach. Minęliśmy ostatni zakręt i ujrzeliśmy wewnętrzny port z całą lacedemońską flotą zacumowaną wzdłuż falochronu. To ukryte miejsce tętniło życiem. Na każdym okręcie ludzie szykowali się do wyjścia w morze: naprawiali żagle i kadłuby albo wnosili na pokład świeże zapasy żywności, ekwipunku i broni.

Jednakże wszystkie te prace ustały w chwili, gdy nasze dwie galery weszły do portu. Widok *Memnona* spowodował wielkie poruszenie wśród ludzi na brzegu. Wątpię, czy kiedykolwiek widzieli coś równie wspaniałego jak okręt flagowy Ramzesa. Zaraz potem ich uwagę przyciągnęło coś innego. Wszyscy skupili spojrzenia na pierwszej galerze, na *Bekacie* Huiego. Wskazywali naszą małą grupę oficerów na pokładzie rufowym i pokrzykiwali jeden do drugiego. Usłyszałem moje imię – „Taita” – przekazywane z ust do ust.

Oczywiście większość z nich dobrze mnie znała nie tylko jako dawnego towarzysza broni i osobę o wyjątkowej, niezwykłej powierzchowności, ale także z innego powodu, znacznie lepiej zapadającego w pamięć pospolitego żeglarza czy woźnicy.

Otóż, zanim się z nimi rozstałem po zajęciu miasta Memfis, po rozgromieniu hyksoskich hord i klęsce Chamudiego, poprosiłem króla Hurotasa o rozdzielenie małej części mojego udziału w łupach wśród jego żołnierzy na znak uznania za rolę, jaką odegrali w bitwie. Poświęciłem lakh srebra z przypadających mi dziesięciu lakhów, więc każdy dostał mniej więcej dziesięć srebrnych monet o wadze pięciu debenów. Oczywiście, to drobna suma dla ciebie i dla mnie czy każdego innego arystokraty, ale dla człowieka z plebsu równa się prawie dwuletnim zarobkom – innymi słowy, to istna fortuna. Pamiętali o mojej hojności i pewnie będą pamiętać do dnia śmierci.

– To pan Taita! – krzyczeli jeden do drugiego, wskazując mnie palcami.

– Taita! Taita! – Inni podchwycili okrzyk i tłumnie wylegli na nabrzeże, żeby mnie przywitać. Próbowali mnie dotknąć, gdy zszedłem z galery, a kilku nawet miało czelność poklepać mnie po plecach. Wiele razy o mało nie zbili mnie z nóg, aż Hui i Ramzes sformowali straż złożoną z dwudziestu swoich ludzi, żeby ochraniać moją osobę. Śpiesznie przeprowadzono mnie przez tłumy do miejsca, gdzie czekały konie, żeby nas ponieść do twierdzy króla Hurotasa i królowej Sparty.

Kiedy zostawiliśmy wybrzeże za sobą, okolica piękniała z każdą przebytą milą. Niezmienne tło ośnieżonych gór przypominało nam o niedawno minionej zimie. Łąki na zboczach były soczyście zielone, porośnięte wysoką do pasa, świeżą trawą i miriadami cudownych kwiatów, które skłaniały głowy na lekkiej bryzie dmącej od szczytów Tajgetosu. Przez jakiś czas jechaliśmy wzdłuż Rzeki Hurotasa, wciąż wezbranej po odwilży, ale dość czystej, żeby widzieć w głębi sylwetki dużych ryb zwróconych pyskami pod prąd. Na wpół nadzy mężczyźni i kobiety

brodzili w sięgającej piersi lodowatej wodzie, ciągnąc rozpięte sieci i łowiąc w nie ryby, które piętrzyli w lśniących stertach na brzegu. Hui przystanął, żeby wytargować pięćdziesiąt największych z tych wysmienitych stworzeń i umówić ich dostarczenie do kuchni królewskich w twierdzy.

Wzdłuż drogi stali mali chłopcy sprzedający pęki upolowanych gołębi i przepiórek, a na straganach leżały tusze turów i jeleni. Na pastwiskach pasły się stada udomowionych zwierząt: bydło i kozy, owce i konie, wszystkie w dobrej kondycji, pulchne i mocne, porośnięte lśniącą sierścią. Mężczyźni i kobiety pracujący na polach w większości byli młodzi albo bardzo starzy, ale jedni i drudzy wydawali się równie zadowoleni. Gdy przejeżdżaliśmy, wykrzykiwali radosne powitania.

W pobliżu twierdzy przeważali mężczyźni w wieku odpowiednim do służby wojskowej, zakwaterowani w porządnym koszarach zbudowanych bez oglądania się na koszty, zajmujący się ćwiczeniami z bronią i doskonaleniem taktyk bitwy. Ich nowe rydwany, zbroje i broń wydawały się najlepszego gatunku, łącznie z łukami o wygiętych ramionach oraz lekkimi, mocnymi rydwanami zaprzęganymi w cztery konie.

Niejeden raz przystanęliśmy, żeby patrzeć, jak ćwiczą, i szybko stało się jasne, że są pierwszorzędnymi, gotowymi do boju żołnierzami w szczytowej formie. Tylko tego można się było spodziewać po Hurotasie i Huim, będących ich dowódcami.

Od chwili opuszczenia wybrzeża wjeżdżaliśmy coraz wyżej w dolinę. Przebywszy dwanaście mil, znaleźliśmy się na kolejnym lesistym wzniesieniu i znów się zatrzymaliśmy, tym razem w zdumieniu, gdyż przed nami, pośrodku szerokiej kotliny otoczonej przez wysokie szczyty gór, wznosiła się twierdza.

Środkiem kotliny płynęła Rzeka Hurotasa rozdzielająca się na dwa ramiona, które obejmowały twierdzę, tworząc naturalną fosę. Odnogi łączyły się poniżej budowli i spływały ku zatoce Gythion.

Twierdzę tworzyły skały wulkaniczne wyrzucone na powierzchnię ziemi przez boga Hefajstosa. Kiedy po wieluset wiekach bóg znudził się swoim dziełem, porzucił je i odszedł. Cytadelę zawłasczyło dzikie, prymitywne plemię Neglintów, którzy mieszkali w górach Tajgetos. Neglintowie z kolei zostali pokonani i wzięci w niewolę przez króla Hurotasa i admirała Huiego.

Ci dwaj wykorzystali zdobytych niewolników do umacniania fortyfikacji, aż stały się niemal nie do zdobycia, i urządzania wewnątrz, aż stały się nie tylko przestronne, ale również nadzwyczaj wygodne. Huratos był zdecydowany uczynić twierdzę stolicą swojego nowego państwa.

Nie marnowałem czasu na oglądanie budowli z daleka ani na słuchanie Huiego, który opowiadał o jej historii. Może jest pierwszorzędnym admirałem, ale jako gawędziarz zbytnio się popisuje. Potrząsnąłem wodzami i dałem ostrogę

wierzchowcowi, prowadząc grupę galopem w kotlinę i w kierunku zabudowań. W pewnym momencie zobaczyłem, że opuszcza się most. Gdy tylko zetknął się z brzegiem, wypadło na niego dwóch jeźdźców. Ich zrazu ciche okrzyki podniecenia i radości z chwili na chwilę stawały się głośniejsze.

Natychmiast rozpoznałem jeźdźca na czele: Tehuti prowadziła, jak zawsze. Jej włosy powiewały niczym flaga na wietrze. Kiedy ostatnio ją widziałem, miały piękny rdzawy kolor, teraz zaś były białe i połyskiwały w słońcu niczym ośnieżone szczyty gór Tajgetos, które miała za plecami. Ale nawet z daleka widziałem, że jest szczupła jak dziewczyna, którą z taką miłością nosiłem w pamięci.

Za nią w bardziej statecznym tempie podążała starsza i tęzsza pani, której, czego byłem pewien, nigdy dotąd nie widziałem.

Tehuti i ja jechaliśmy ku sobie, wykrzykując czułe słowa. Oboje zeskoczyliśmy z koni niemal w pełnym galopie i utrzymaliśmy się na nogach, wykorzystując resztki impetu, żeby paść sobie w ramiona i zewrzeć się w dzikim uścisku.

Tehuti jednocześnie śmiała się i płakała.

– Gdzieś się ukrywał przez wszystkie te lata, nicponiu? Myślałam, że więcej cię nie zobaczę! – Łzy radości spływały jej po policzkach i ściekały z podbródka.

Moja twarz też była mokra, oczywiście nie od łez moich, ale kobiety, którą trzymałem w objęciach. Miałem jej tyle do powiedzenia, lecz słowa uwięzły mi w gardle. Mogłem tylko przytulać ją do piersi i modlić się, żebyśmy więcej się nie rozstali.

Podjechała jej towarzyszka. Ostrożnie zsiadła z konia i podeszła do nas z wyciągniętymi ramionami.

– Taita! Jakże za tobą tęskniłam. Dziękuję Hathor i wszystkim innym bogom i boginiom, że pozwolili ci do nas wrócić – powiedziała pięknym melodyjnym głosem, który nie zmienił się przez te wszystkie lata i którego brzmienie przywołałem z pamięci z nagłą radością przemieszaną z poczuciem winy.

– Bekatha! – krzyknąłem i podbiegłem, żeby ją także wziąć w ramiona. Ale mocno trzymałem Tehuti, gdy ściskałem jej siostrzyczkę, do której już nie pasowało to dawne zdrobnienie.

Obejmowaliśmy się we trójkę, szlochając i paplając radosne bzdurki, w ten sposób próbując wymazać wspomnienia wszystkich tych długich lat rozłąki.

Nagle Tehuti, która zawsze z nich dwóch była bardziej spostrzegawcza, powiedziała:

– To naprawdę osobliwe, Tato, mój kochany gałganie. Nie zmieniłeś się ani na jotę, odkąd pożegnałam się z tobą przed laty, a jeśli nawet, to wydajesz się młodszy i piękniejszy.

Oczywiście pomrukiwałem przecząco, ale Tehuti zawsze miała smykałkę do jak najtrafniejszego ujmowania każdego tematu.

– Obie jesteście o wiele piękniejsze, niż pamiętam – zapewniłem. – Musicie wiedzieć, że niedawno wiele o was słyszałem od waszych kochających mężów, ale ich opowieści tylko zaostrzyły mój apetyt, zamiast go zaspokoić. Poznałem wszystkich twoich synów, Bekatho, kiedy przybyli do Egiptu, by pomóc uwolnić naszą ojczyznę z hyksoskiej niewoli. Było to tylko krótkie spotkanie, dlatego chcę usłyszeć o nich wszystko od ciebie. – Dla każdej matki dzieci są najbardziej fascynującymi istotami na świecie i tak oto w drodze do zamku Bekatha raczyła nas krótkimi opowieściami o cnotach swoich czterech synów.

– Niezupenie są tacy idealni, jak maluje ich moja siostra. – Tehuti ukradkiem puściła do mnie oko. – Ale żaden żyjący człowiek nie jest ideałem.

– Przemawia przez nią czysta zazdrość – wtrąciła z samozadowoleniem Bekatha. – Widzisz, moja biedna siostra ma tylko jedno dziecko, i to dziewczynę.

Tehuti ze spokojem przyjęła docinek, wyraźnie wyświechtany od nadmiernie częstego używania.

Chociaż włosy jej posiwiały, a może właśnie dlatego, wciąż wyglądała cudownie. Ani czas, ani żywioły nie pomarszczyły jej oblicza. Członki miała smukłe i kształtne, z elegancko wyrzeźbionymi twardymi mięśniami. Nie nosiła przybranych wstążkami i kwiatami kobiecych fatałaszków; miała na sobie tunikę oficera. Poruszała się z kobiecą gracją i elegancją, ale również z męską siłą i zdecydowaniem. Była skora do śmiechu, choć nigdy głośnego i nie bez dobrego powodu. Miała białe, równe zęby i głębokie, badawcze spojrzenie. Pachniała owocującą jabłonią. Kochałem ją.

Kiedy przeniosłem uwagę na Bekathę, zobaczyłem, że stanowi krańcowe przeciwieństwo starszej siostry – jeśli Tehuti uznać za boginię wojny, to Bekatha mogłaby uchodzić za uosobienie Gai, bogini ziemi. Miała pulchną twarz, krągłą niczym księżyc w pełni, tyle że bardziej rumianą i lśniąca. Śmiała się często i głośno, bez żadnego innego powodu, jak tylko z czystej radości życia. Pamiętałem ją jako śliczne chucherko u progu kobiecości, o połowę mniejsze niż Hui, jej mąż. Teraz była rośła i tęga po licznych ciążach, a on wciąż ją uwielbiał, i wkrótce odkryłem, że podzielam jego uczucia.

Jechaliśmy we trójkę daleko przed resztą oddziału. Hui i Ramzes taktownie trzymali się z tyłu, pozwalając siostrze i mnie odnowić naszą bardzo wyjątkową znajomość. Mieliśmy tyle do wspomnienia i radości, że zbrakło czasu, bo wkrótce stanęliśmy przed główną bramą twierdzy Sparty. Choć od wielu dziesięcioleci pracowały tam armie niewolników, jeszcze nie została ukończona, sądziłem jednak, że potężne mury, fosy i fortyfikacje będą w stanie odeprzeć największą i najbardziej zdeterminowaną armię każdego możliwego wroga, o jakim wiedziałem. Ściągnąłem wodze, żeby dokładniej przyjrzeć się budowli, więc Hui i Ramzes mieli czas do nas podjechać.

Tehuti i Bekatha natychmiast przeniosły spojrzenia ze mnie na Ramzesa. Nie

mogłem się temu dziwić. Poświęciły mi więcej uwagi, niż zasługiwałem, a Ramzes był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną. Muszę przyznać, że nie znałem nikogo, kto mógłby się z nim równać; no, może nie jest to do końca prawda, ale skromność nie pozwala mi czynić dalszych porównań. Z wdziękiem się wycofałem.

– A kimże ty jesteś, młody panie? – Bekatha nigdy nie trzymała się na uboczu. Śmiało przypatrywała się Ramzesowi.

– Nikim szczególnym, Wasza Królewska Wysokość. – Ramzes zbagatelizował pytanie skromnym uśmiechem. – Jestem tylko kapitanem statku, który przywiózł pana Taitę w odwiedziny do was na waszej pięknej wyspie. Zwią mnie Rammy. – Uzgodniliśmy, że nie będziemy mówić o jego bliskim związku z tronem Egiptu. Obaj byliśmy w pełni świadomi, że faraon Utteryk Turo Wielki ma swoich szpiegów w różnych miejscach.

Tehuti przypatrywała się Ramzesowi w skupieniu, które było bardziej wymowne niż paplanina jej młodszej siostry.

– Należysz do egipskiej rodziny królewskiej. – Wyrzeczone przez nią słowa zabrzmiały oskarżycielsko i wyzywająco.

– Skąd wiesz, Wasza Wysokość? – Ramzes nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Mówisz z charakterystycznym akcentem – wyjaśniła Tehuti. Jeszcze przez chwilę uważnie przyglądała się jego twarzy, po czym z przekonaniem dodała: – Przypominasz mi kogoś, kogo dobrze znałam, lecz nie widziałam od wielu długich lat. Niech pomyślę! – Nagle jej mina zmieniła się; Tehuti wyglądała na przejętą i zafascynowaną. – Przypominasz mi mojego brata faraona Tamosego... – Urwała i wbiła oczy w opornego krewniaka. – Rammy! Tak, oczywiście! Jesteś moim bratankiem Ramzesem. – Odwróciła się od niego i zogniskowała na mnie swoją dezaprobatę, nieco złagodzoną przez iskrę szczęścia w oczach i ledwie tłumiony śmiech na ustach. – Tata, ty nicponiu! Skąd przyszedł ci pomysł, że zdołasz mnie oszukać? Jakbym mogła nie rozpoznać mojego ciała i krwi. Nauczyłam tego gagatka przeklinać. Nie pamiętasz, Ramzesie?

– Ruja i porubstwo! I jechał cię pies... z kulawą nogą! Dobrze pamiętam. – Ramzes wybuchnął śmiechem. – Miałem tylko trzy albo cztery lata, a ty byłaś szesnasto- czy siedemnastoletnią starszą panią, ale nigdy nie zapomnę tych słodkich słów mądrości.

Tehuti zeskoczyła z wierzchowca i szeroko rozpostarła ramiona w zapraszającym geście.

– Chodź i ucałuj starą ciotkę, ty okropne dziecko!

Z radością patrzyłem, jak serdecznie biorą się w objęcia, i byłem rad nie tylko dlatego, że już nie groził mi skok z krańca ziemi w wieczność, zgodnie z obietnicą złożoną Ramzesowi. Powitalna ceremonia trwała dłuższy czas, bo naturalnie Bekatha poczuła się zobligowana do dodania jej swojej znacznej wagi, ale w końcu znów mogliśmy sięść na konie i kontynuować jazdę do cytadeli.

Siostry jechały o wyciągnięcie ręki od Ramzesa, po obu stronach.

Brama otworzyła się na całą szerokość, gdy podjechaliśmy, i król Hurotas zszedł z rusztowania przy nowych fortyfikacjach, skąd kierował budowniczymi. Sam, pokryty kurzem i brudem, wyglądał bardziej na robotnika niż króla. Oczywiście rozpoznał mnie z daleka. Nie jestem osobą, którą łatwo przeoczyć nawet w gęstym tłumie. Zaraz potem zaintrygował go widok żony i jej siostry adorujących młodego nieznajomego, który jechał pomiędzy nimi.

– To mój bratanek Ramzes! – wrzasnęła do niego Tehuti, kiedy dzieliła ich odległość pięćdziesięciu kroków.

– Jest drugim synem naszego brata Tamosego. – Bekatha potwierdziła łączące ich więzy krwi. Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie może być żadnych wątpliwości co do tego, jak pojmuje słowo „bratanek”. – I zasiądzie na tronie Egiptu, gdy tylko ty i Taita uwolnicie świat od Uterryka. – Byłem trochę zaskoczony jej założeniem, że w przyszłości przyjmie na siebie rolę królotwórców. Hurotas był oczywiście przyzwyczajony do jej dzikich fantazji. Chętnie uściskał Ramzesa, przenosząc na jego admiralski mundur szczodłą porcję pyłu ze swojej królewskiej osoby.

Wreszcie się odsunął i równie donośnie jak Bekatha oznajmił:

– To prosi się o uroczyste powitanie księcia Ramzesa. Powiedz kucharzom, że wieczorem wyprawiam ucztę z najlepszym winem i dobrą strawą dla wszystkich.

Tego wieczoru wewnętrzny dziedziniec cytadeli był oświetlony przez dziesiątki wielkich ognisk i zastawiony tyloma stołami na kozłach, żeby pomieścić kilkuset najważniejszych arystokratów Lacedemonu. Król i jego najbliższa rodzina siedzieli pośrodku podwyższenia, widoczni dla wszystkich pośledniejszych istot. Ja oczywiście siedziałem między moimi byłymi podopiecznymi, Tehuti i Bekathą. Miejsca tuż poniżej nas zajmowali synowie Bekathy i Huiego. Byli to czterej wspaniali młodzieńcy, którzy towarzyszyli ojcu w Egipcie podczas kampanii uwalniania świata od króla Chamudiego. W owym czasie nasze spotkanie było bardzo krótkie, jestem jednak nieomylnym znawcą rodzaju ludzkiego. Wiedziałem, że Bekatha jest nieodrodną córką rodu faraonów i że jej synowie będą doskonałymi przedstawicielami egipskiej arystokracji. Dwóch jej chłopców już się ożeniło i siedziało ze swoimi ślicznymi młodzietkami żonami. Wszyscy byli bliscy wiekiem Ramzesowi i traktowali go jak gościa honorowego, którym wszak był. Pochwaliłem ich postawę, a Bekatha uznała moje pochlebne słowa za rzecz oczywistą.

– Prawdę mówiąc miałam nadzieję, że któryś z moich chłopców poślubi swoją kuzynkę Serrenę – wyznała. W tym czasie już wiedziałem, że tak ma na imię tajemnicza, nieuchwytna córka Tehuti; puste krzesło czekało na jej przybycie, żeby zajęła miejsce obok ojca, króla Hurotasa, u szczytu stołu. Bekatha mówiła dalej, prawie nie robiąc przerwy na zaczerpnięcie tchu: – Wszyscy czterej starali się o jej rękę, jeden po drugim. Odmawiała im z wdziękiem, tłumacząc, że nie może wyjść za kogoś, z kim się kąpała nago jako dziecko i rozmawiała o różnicach między płciami, korzystając z tego samego nocnika. Zastanawiam się, jaką wymówkę znalazła dla stu jeden zalotników, którzy nieprzerwanym strumieniem napływają z krańców ziemi, żeby proponować jej małżeństwo.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam. Wnoszę, że jest bardzo urodziwą młodą damą – powiedziałem, a Bekatha natychmiast podjęła ten wątek.

– Wszyscy mówią, że jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie, godną rywalizować z boginią Afrodytą, chociaż ja tego nie widzę. W każdym razie Serrena tak wybrzydza przy wyborze męża, że najpewniej umrze jako stara panna. – Bekatha obrzuciła przekornym spojrzeniem siostrę siedzącą u mojego drugiego boku. Tehuti słuchała naszej rozmowy, jednak nie zniżyła się do odpowiedzi i tylko pokazała Bekacie koniuszek różowego języka.

– Gdzież jest to ucieleśnienie kobiecej nadobności? – zapytałem. Pomyślałem, że lepiej zmienić temat, zanim lekka rozmowa przerodzi się we wściekłą kłótnię. – Dołączycie do nas dzisiaj?

– Widzisz pusty stółek gdzieś na dziedzińcu? – zapytała Bekatha i znacząco spojrzała w kierunku króla Hurotasa, który siedział naprzeciwko nas. Miejsce po

jego lewej stronie było jedynym obecnie niezajętym na zatłoczonym dziedzińcu. Bekatha uśmiechnęła się i odpowiedziała na swoje pytanie, zanim siostra miała szansę się odezwać. – Księżniczka Serrena Spartańska tańczy tak, jak sama sobie zagra, i tylko ona słyszy swój instrument.

Powiedziała to żartobliwym tonem, niemal jakby prawiła komplement, a nie wysuwała zarzut. Ale król Hurotas, który śledził tok rozmowy, pochylił się szybko i interweniował:

– Kiedy piękna kobieta spóźnia się godzinę, to dlatego, że podejmuje wyjątkowy wysiłek, żeby zdążyć na czas.

Bekatha natychmiast się uciszyła, a ja zrozumiałem, kto naprawię władę królestwem i dla kogo bije jego serce. Zaraz potem zapadła nagła przerwa w gwarze świętowania i pomyślałem, że reszta towarzystwa reaguje na przyganę króla. Po chwili zdałem sobie sprawę, że przecież niewielu mogło słyszeć jego słowa i że biesiadnicy wcale nie patrzą ani na Hurotasa, ani na nikogo innego na dziedzińcu. Wszystkie głowy obróciły się w kierunku głównych drzwi cytadeli.

Przechodziła przez nie młoda kobieta. To nieścisty opis jej wejścia w moje życie, i w życie Ramzesa. Księżniczka Serrena nie szła: sunęła, na pozór bez poruszania nogami skrytymi przez długie spódnice. Wysoko podpięte włosy tworzyły na jej głowie koronę gęstego migotliwego złota. Lekko opalona skóra jej ramion i rąk była nieskazitelna, lśniąca jak polerowany marmur albo świeżo utkany jedwab. Księżniczka była wysoka, ale miała idealne proporcje.

Nie powiem, że była śliczna, ponieważ takie określenie sugerowałoby mizdrzącą się bezmyślność. Była po prostu wspaniała. Każdy rys jej twarzy sięgał ideału, a razem wzięte wykraczały poza moją moc oddania ich urody w słowach. Gdy szła, jej twarz subtelnie się zmieniała, ideał prześcigał ideał. Jej najbardziej uderzającą cechą – jeśli w ogóle można ją wyróżnić – były oczy. Ogromne, lecz idealnie harmonizujące z resztą twarzy. Miały wyjątkowy odcień zieleni, jaśniejszy niż każdy szmaragd. Były również przenikliwe i spostrzegawcze, a zarazem łagodne i wybaczące.

Tylko dwie inne znane mi kobiety mogłyby próbować dorównać jej pod względem urody. Jedną była królowa Lostris, moja pierwsza miłość. Druga siedziała obok mnie: królowa Tehuti, wciąż będąca moją drugą miłością. Jedna była matką, a druga babką tej młodej kobiety.

Księżniczka Serrena była jednak zdecydowanie najpiękniejszą osobą wśród żywych czy już zmarłych, jaką kiedykolwiek widziałem.

Dostrzegła matkę siedzącą obok mnie i skrzyła ku nam z uśmiechem rozkwitającym na ustach. Nagle przy drugim końcu stołu Ramzes skoczył na równe nogi i jego ruch przyciągnął uwagę księżniczki. Jej uśmiech przygasał, a na twarzy odmalował się bezbrzeżny zachwyt. Zamarła w pół kroku, z noskiem maleńkiego pantofelka wyczierającym spod rąbka sukni. Wspaniała para patrzyła na siebie przez



długą chwilę, w której nikt inny nie istniał na świecie ni dla niej, ni dla niego. W końcu Serrena postawiła stopę na ziemi, ale wciąż nie odrywała wzroku od Ramzesa. Nagle pokraśniała – różany blask rozświetlił jej lico, czyniąc je, choć to niemożliwe, jeszcze piękniejszym.

– Czy nie ty jesteś moim kuzynem Ramzesem? Mama mi powiedziała, że przybyłeś do nas z wizytą – rzekła bogatym, cudownie melodyjnym głosem, który był tylko lekko zadyszany. Niósł się wyraźnie po całym cichym dziedzińcu. Światło w jej oczach przypomniało mi, jak Tehuti patrzyła na Zarasa w chwili ich pierwszego spotkania niemal trzydzieści lat temu. Ramzes zgiął się w głębokim ukłonie, nie odpowiadając na pytanie i ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej niewysłowienie pięknego oblicza.

Tehuti siedziała blisko mnie. Nikt inny w cytadeli na nas nie patrzył, gdy ukradkiem wyciągnęła rękę pod blatem stołu i ścisnęła moje palce.

– Tak! – szepnęła cicho, ale z żarem. – Tak!

Z własnego doświadczenia rozpoznała tę czarowną chwilę, kiedy jej córka w zaawansowanym wieku dziewiętnastu lat wreszcie znalazła pokrewną duszę.

Późniejsze dni, tygodnie i miesiące należały do najszcześniejszych, jakie pamiętam.

Pierwszą radością było dla mnie zaproszenie króla Hurotasa i jego królowej, żebym zwiedził niedawno wykopane komory skarbcza w głębi lochów cytadeli. Zeszliśmy po kamiennych schodach za dziesięcioma uzbrojonymi po zęby strażnikami. Każdy z nich niósł zapaloną pochodnię, żeby oświetlać nam drogę. Kiedy dotarliśmy do stóp najniższych schodów, Hurotas przekreślił wykuty z brązu klucz w zamku masywnych drzwi. Trzech strażników wyteżyło siły, żeby je otworzyć.

Wszedłem za królem do skarbcza i ciekawie omiotłem go wzrokiem. Choć nie padło ani słowo o celu tej wyprawy w głąb ziemi, przypuszczałem, że wiem, czego się spodziewać. Hurotas i Tehuti obserwowali mnie, a w ich oczach płonęło oczekiwanie. Prawie od razu zauważyłem to, czego szukałem. W kącie pod ścianą z ciężkich granitowych bloków stało około dwudziestu masywnych cedrowych skrzyń spiętrzonych na wysokość głowy. Zwykle potrafię się pohamować od żywiołowych reakcji, jednak przy tej okazji zrobiłem wyjątek i wydałem radosny okrzyk podniecenia. Pośpieszyłem przez komorę i spróbowałem zdjąć skrzynię ze stosu. Nie dałem rady. Potrzebowałem pomocy trzech strażników, żeby ją postawić na kamiennych płytach podłogi. Unieśli wieko ostrzami mieczy i cofnęli się.

Nie jestem chciwym człowiekiem, ale trzeba pamiętać, że niedawno faraon Utteryk Turo odebrał mi każdy łokieć ziemi i każdy deben srebra, jakie posiadałem. Kiedy masz lakh srebra, właściwie o nim nie myślisz. Kiedy z lakha zostaje jeden deben, nie możesz myśleć o niczym innym.

– Myślałem, że nigdy nie ujrzę niczego równie cudownego – powiedziałem głośno do nikogo w szczególności, mrużąc oczy w blasku odbitym od ściśle zapakowanych sztab cennych metali, srebra i złota. Otarłem dłonią łzy z policzka i odwróciłem się w stronę króla Hurotasa. Podeszedłem do niego i ukląknęłem.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – szepnąłem i pochyliłem się, żeby ucałować jego stopy. Okazał się zbyt szybki, chwycił mnie za ramiona, podniósł i spojrzał mi w oczy.

– Czym jest jedna uprzejmość wobec setek wyświadczonych przez ciebie mnie i Tehuti? – zapytał.

Trzy dni zajęło mnie i kilkunastu niewolnikom wypakowanie, zważenie i ponowne zapakowanie tego wielkiego bogactwa. Tehuti szybko, choć mało precyzyjnie, porachowała, że skarb pozwoli mi żyć w dostatku przez niezliczone lata.

– Pod warunkiem że będziesz żyć tak długo – uściśliła swoją ocenę.

– To żadne wyzwanie – zapewniłem ją. – Chociaż to drugie pięćset lat

skłania mnie do refleksji.

Czterech synów Huiego tworzyło bliskie rodzinne przymierze, jednak z powodu wieku, piękna, czarującej osobowości i wyjątkowych względów swojego ojca króla Serrena była niekwestionowanym przywódcą watahy. Tańczyła jak wir i jeździła konno jak furia. Umiała grać na każdym instrumencie znanym ludzkości i śpiewać niczym syreny, które wabią żeglarzy na skały słodkim brzmieniem głosów. Ale jej głos był radosny, ani trochę nienapiętnowany zgubą.

Umiała układać zagadki i rymować, i rozbawiać innych samym uśmiechem lub jednym miłym słowem.

Bogaci i potężni mężczyźni przybywali ze wszystkich stron świata, żeby zdobyć jej rękę i ją poślubić. Odprawiała ich z takim wdziękiem i słodyczą, że żadnemu nie złamała serca, więc odjeżdżali z takim zadowoleniem, jakby im wyświadczyła największy zaszczyt.

Tak jak jej matka, była niezrównaną łuczniczką i po mistrzowsku posługiwała się innymi rodzajami broni. Tehuti tylko jej pozwalała władać błękitnym mieczem z rubinową głowicą. Była to broń niemal mityczna, o ogromnie zawiłym pochodzeniu. Po raz pierwszy ujrzałem ją przed wielu laty, kiedy należała do pana Tanusa, będącego wiernym, potajemnym kochankiem królowej Lostris przez większą część jej życia. Na łożu śmierci Tanus przekazał miecz księciu Memnonowi, który był synem Lostris. Był również jego synem, choć poza rodzicami tylko ja o tym wiedziałem. Kiedy Lostris odeszła, Memnon zastąpił ją na tronie jako faraon Tamose. Był starszym bratem moich ukochanych Tehuti i Bekathy, a tym samym cioteczynym dziadkiem Serreny.

To Tamose z moją pomocą wynegocjował małżeństwo sióstr z potężnym Minosem Kreteńskim. Jako prezent ślubny dał swojej starszej siostrze Tehuti błękitny miecz z rubinową głowicą. Kiedy Minos i jego wyspiarskie królestwo zostały niemal zupełnie zniszczone przez potężny wybuch wulkanu, dwie owdowiałe siostry uciekły ze swoimi ukochanymi, Huim i Zarasem, i pożeglowały na północ, żeby stworzyć własne królestwo w Lacedemonie. Oczywiście pomogłem siostronom w ucieczce zamiast w powrocie do Egiptu. I, oczywiście, legendarny miecz popłynął z Tehuti.

Jako zapamiętała wojowniczką, Tehuti była oczarowana błękitnym mieczem. Nie istniało drugie takie ostrze i w jej rękach miecz stawał się nadzwyczajną bronią. Prawdopodobnie był to jedyny dar, który mógł jej wynagrodzić wygnanie na Krete.

Tehuti nikomu nie pozwalała dotykać zaczarowanego błękitnego ostrza, nawet swojemu mężowi, królowi Hurotasowi. Własnoręcznie zmywała zaschniętą krew wrogów z lśniącego błękitnego metalu. Sama polerowała i ostrzyła broń do śmiertelności perfekcji, w konsekwencji stając się doświadczonego miecznikiem.

Ów dzień na brzegu Rzeki Hurotasa był jednym z tych nieczęstych dni, kiedy zdarza się magia. Tego dnia księżniczka Serrena skończyła czternaście wiosen; tego dnia z dziewczęcia przeobraziła się w kobietę. Żaden dar nie byłby dla niej zbyt kosztowny.

Oczywiście nie było mnie wówczas z nimi. Tehuti opowiedziała mi o wszystkim w Lacedemonie, w dniu dwudziestych urodzin swojej córki.

Jak miały w zwyczaju, pojechały obie nad sekretny staw na Rzece Hurotasa wysoko nad zamkiem. Przekazały wierzchowce stajennym i trzymając się za ręce, przebiegły ostatnie sto łokci do królewskiego domku myśliwskiego zbudowanego na brzegu rzeki poniżej wodospadu. Stajenni i słudzy wiedzieli, że nie wolno im pójść za nimi. Mieli czekać z końmi do powrotu dwóch kobiet.

Tehuti miała błękitny miecz u biodra, ale nie było to niczym dziwnym, gdyż często go nosiła. Ich słudzy i niewolnicy wcześniej przybyli do domku i idealnie go wysprzątałi. Postawili świeże kwiaty w wielkich miedzianych wazonach, więc główny pokój wychodzący na staw przypominał ogród rozkoszy. Nakryli leżanki jelenimi skórami i zarzucili je jedwabnymi poduszkami. Zapalili ogień w palenisku pośrodku podłogi, bo zima jeszcze nie odeszła. Potem rozłożyli obfity posiłek, który wystarczyłby dla setki wygłodniałych ludzi, dobrze wiedząc, że to, co zostanie, przeznaczone będzie dla nich.

Tehuti i Serrena zdjęły wierzchnie odzienie, gdy tylko weszły do tego ustronia. Tehuti odpięła pas z mieczem i z czcią położyła go na stole naprzeciwko paleniska. Rzuciły resztę ubrań na kryte jelenią skórą leżanki. Później, zupełnie nagie i znów trzymając się za ręce, wyszły z domu i pobiegły na brzeg. Tam skoczyły do przejrzystej wody, wzbijając chmurę kropelek. Pisnęły z szoku, ponieważ na powierzchni unosiły się wielkie bryły lodu zmytego z góry. Chlapały się wodą, aż wreszcie Tehuti skapitulowała i próbowała uciec przed dalszym dręczeniem. Serrena rzuciła się w pościg za matką, dopadła ją, wciągnęła pod dudniący wodospad i trzymała, aż ta zaczęła błagać ją o zmiłowanie. Tehuti była silna, musiała jednak wyteńczyć wszystkie siły, żeby dorównać córce. Zdawało się, że ciało Serreny jest wyrzeźbione nie z ludzkich mięśni i kości, lecz z jakiejś boskiej substancji równie twardej jak błękitny metal legendarnego miecza.

Jednak żadna z tych wspaniałych kobiet nie była odporna na zimno górskiego lodu. Kiedy objęte brnęły do brzegu, trzęsły się gwałtownie niczym ofiary febry, z pośladkami i brzuchami zaróżowionymi z chłodu. W domku dorzuciły kłód do gasnącego ognia i stanęły tak blisko, że groziło im poparzenie, gdy tarły skórę suchymi ręcznikami, które wyłożyli dla nich służący.

Kiedy rozgrzały się na tyle, żeby zapanować nad drżeniem, Tehuti postawiła na węglach duży dzban z czerwonym winem i gdy się zagotowało, dorzuciła do niego garść suszonych ziół. Rozgrzane i suche, ubrały się i położyły obok siebie na leżance przed ogniem. Przekazywały sobie parujący dzban, rozkoszując się ciepłem

wina i swoim towarzystwem.

Tehuti położyła na kolanach błękitny miecz w nabijanej klejnotami pochwie. Pochyliła się w stronę córki i wolną ręką objęła jej ramiona. Serrena odwzajemniła się, całując matkę w policzek i szepcząc:

– Dziękuję ci za ten cudowny dzień, umiłowana matko. Dzięki tobie jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

– Już nie jesteś dziewczyną, kochanie. Jesteś dorosłą kobietą, tak piękną, że nie sposób wyrazić tego słowami. Ale twoje urodziny jeszcze nie minęły. Mam dla ciebie kolejny prezent.

– Już dałaś mi więcej niż nadto... – zaczęła Serrena i umilkła, patrząc na matkę bez słowa.

Tehuti podniosła błękitny miecz i położyła go na kolanach córki. Ujęła jej rękę i zamknęła palce na wysadzanej klejnotami rękojeści.

– To mój dar dla ciebie, Serreno – powiedziała. – Używaj go mądrze i z rozważą, ale gdy zajdzie potrzeba, nie wahaj się przeszyć nim serca wroga.

– To zbyt wiele. – Serrena założyła ręce za plecy i pokręciła głową, patrząc na broń leżącą na kolanach. – Wiem, jak wiele dla ciebie znaczy. Nie mogę go przyjąć.

– Daję ci go wraz z miłością, więc nie możesz go odrzucić bez odtrącania również tego drugiego – rzekła na to Tehuti.

Serrena oderwała spojrzenie od miecza i przeniosła je na twarz matki.

– Błękitny miecz stanowi część ciebie, prawda? – zapytała.

Tehuti niechętnie pokiwała głową.

– Tak, chyba tak.

– Ale ja też jestem częścią ciebie, a ty jesteś częścią mnie, prawda?

Tehuti poznała, w jakim kierunku zmierza córka, i powaga na jej twarzy ustąpiła uśmiechowi zadowolenia.

– W takim razie wszyscy troje jesteśmy jednością, miecz jest częścią nas obu i tym samym wszyscy troje należymy do siebie wzajemnie. – Serrena zamknęła palce na rękojeści miecza, wyciągnęła ostrze z wysadzanej klejnotami pochwy i dodała prostymi słowami: – Dzielenie się z tobą tą wspaniałą bronią jest dla mnie zaszczytem, najukochańsza matko.

Potem wstała i uniosła miecz jak płonąca pochodnię. Zdawało się, że głównia rozjaśniła pokój błękitnym płomieniem. Przystąpiła do ćwiczeń, których Tehuti uczyła ją od czasu, gdy córka była dość duża i silna, żeby unieść zabawkową broń. Zaczęła od dwunastu zasłon, potem przeszła do cięć i pchnięć, wszystkich wykonywanych z nieśpieszną perfekcją.

Tehuti nagrodziła ją oklaskami i klaskała coraz szybciej, a Serrena zwiększała tempo, aż ostrze jęło się rozmywać w migotliwym, eterycznym blasku jak skrzydła kolibra, kiedy ptak zawisa przed kwiatem. Jej ręka stała się częścią

tęgo skrzydła, które bezustannie zmieniało kształt. Jej całe ciało tańczyło w rytm narzucony przez lśniące ostrze. Po chwili zaczęła wirować i jej stopy poruszały się z prędkością migotania letniej błyskawicy. Przy każdej ewolucji ścinała najwyższy kwiat z bukietów w miedzianych wazonach, tnąc tak schludnie, że kwiat jakby nie zdawał sobie sprawy, że już nie stanowi jedności z łodygą, i trwał przez uderzenie serca, zanim spadł na podłogę, a w tym czasie Serrena ścinała trzy czy cztery kolejne. Padały gęsto jak płatki śniegu podczas zimowej burzy, aż zostały gołe łodyżki, i Serrena przestała tańczyć tak nagle, jak zaczęła, i znowu uniosła głównie niczym płonąca pochodnię.

Pokaz sztuki szermierczej był tak cudowny, że Tehuti miała go zapamiętać na zawsze. To ona mi go opisała, kiedy zwróciłem uwagę na błękitny miecz wiszący u pasa Serreny.

Jeśli te dni były dla mnie szczęśliwe, to dla Ramzesa i Serreny musiały być niebiańskie. Słyszałem powiedzenie, że nie ma czegoś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia, ale ta para zadała kłam tej bzdurze.

Nie próbowali ukrywać obopólnej fascynacji i pociągu. Dotykali się przy każdej okazji i wzajemnie spijali sobie wzrokiem słowa z ust albo po prostu siedzieli w milczeniu, przez długie minuty głęboko patrząc sobie w oczy.

Początkowa radość Tehuti z ich obopólnego oczarowania szybko przemieniła się w trwogę. Wymogła na córce solenną przysięgę dochowania czystości, a później się poskarżyła:

– Nie dotrzyma słowa. Grzeje się jak klaczka w pierwszej rui. Czuję to, gdy na niego patrzyła. Musisz mi pomóc, Tato.

Udałem niewiniątko.

– Masz na myśli taki sam sposób, w jaki strzegłem twojego dziewictwa przed zakusami Zarasa?

Wzdrygnęła się i spiorunowała mnie wzrokiem.

– Bardzo ci współczuję. Masz takie brudne myśli.

– Kiedy? – zapytałem. – Wtedy, gdy chodziło o ciebie i Zarasa, czy teraz, gdy chodzi o Ramzesa i Serrenę?

Z frustracją poderwała ręce i opuściła je ze śmiechem.

– To duża różnica – wyjaśniła mi z powagą, gdy tylko odzyskała panowanie nad sobą. – Mój brat faraon nie dał szansy Zarasowi i mnie. Zostałam oddana okropnemu starcowi, zmuszona do zawarcia politycznego małżeństwa. Chciałam tylko raz w życiu być z mężczyzną, którego kochałam. Serrena i Ramzes mają całkowitą aprobatę nas wszystkich. Po prostu chcemy, żeby zachowali odrobinę cierpliwości.

– Sądzę, że ty i twoja córka inaczej pojmujecie odrobinę cierpliwości. Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby trzymać Ramzesa na krótkiej smyczy.

Nie była to czcza obietnica. Tak samo jak Tehuti, wiedziałem, jaka

gwałtowna i niepohamowana jest namiętność młodej miłości. Król Hurotas i Tehuti popierali związek Ramzesa i Serreny, ale małżeństwo było również sprawą najwyższej wagi państwowej. Ogromnie im zależało, żeby władcy licznych bliskich i dalekich królestw otaczających Lacedemon uczestniczyli w ceremonii. Król Hurotas i królowa Sparty Tehuti byli zdecydowani zbić na tym mariażu jak największy kapitał polityczny.

Oceniali, że muszą wysłać zaproszenia ślubne do potencjalnych sprzymierzeńców politycznych, których przychylność chcieli scementować, prawie rok przed terminem uroczystości, żeby zebrać ich wszystkich jednocześnie w twierdzy Lacedemonu, co i tak wydawało się zadaniem prawie niemożliwym.

– Rok? – zaprotestował Ramzes, przeżywając katusze ze zniecierpliwienia. – W tym czasie mogą się zestarzeć i umrzeć.

Ku mojemu zdumieniu Serrena okazała się znacznie bardziej wyrozumiała i praktyczna.

– Jeśli kochasz mnie tak bardzo, jak mówisz – powiedziała do Ramzesa w obecności mojej i rodziców – to przystaniesz na to, o co proszą nas mój ojciec i matka. Jako dziedzice tronu tego cudownego, ukochanego przeze mnie kraju, mamy wobec narodu obowiązek, który przeważa nad naszymi małostkowymi pragnieniami. Poza tym czas i wyrzeczenia mogą tylko umocnić naszą miłość. – Pokonała go natychmiast tą prostą, acz robiącą wrażenie logiką.

Do tego czasu postrzegałem ją po prostu jako piękną młodą kobietę, lecz od tego dnia zacząłem rozumieć, że naprawdę jest nadzwyczajną osobą. Jej talenty i siła były ukryte przed większością z nas pod powierzchownym parawanem piękna. Ale gdy ktoś zdołał zajrzeć za tę fasadę, jak ja, odkrywał inteligencję i twardą jak diament wolę, co było nadzwyczajne.

Spędzali ze sobą wiele czasu, więc ich związek stał się oczywisty dla całego świata, jednak Serrena starała się nie schodzić z widoku, żeby nie wzbudzić niezdrowej ciekawości i nie dać powodu do plotek. Co więcej, obojga zakochanych pociągało towarzystwo innych mężczyzn i kobiet o wyjątkowych umysłach, a Serrenie w szczególności sprawiały przyjemność uczone dysputy. Prawie codziennie przychodziła do mnie na kilkugodzinne rozmowy dotyczące szerokiego wachlarza zagadnień, od kształtu naszego świata, przez przyczynę przyptyków i odpływów, po naturę substancji, które tworzą Księżyc i Słońce.

Niecierpliwie czekałem na nasze spory i dyskusje i już po kilku miesiącach znajomości zrozumiałem, że kocham Serrenę równie mocno, jeśli nie silniej, niż jej matkę Tehuti. Bez względu na to, z jakim uporem ją przekonywałem, odrzucała moją starannie przemyślaną logikę i nie chciała przyznać, że ziemia jest płaska, że odpływy są konsekwencją nienasyconego pragnienia Posejdona, który dwa razy dziennie chciwie pije wody morza. Ani że Księżyc i Słońce są jednym i tym samym ciałem niebieskim złożonym z palnej materii, która spala się w ciągu dnia



i regeneruje w nocy. Miała własne teorie, tak niedorzeczne, że nie warto ich tutaj przytaczać. Gdyby zgodnie z jej sugestiami świat rzeczywiście był okrągły jak dynia, to w jaki sposób ludzie mogliby się utrzymać po drugiej stronie i nie spaść?

W ciągu kilku następnych miesięcy powoli spływało na mnie zrozumienie, że Serrena nie jest dzieckiem dwojga zwyczajnych istot, że przynajmniej jedno z jej rodziców musi mieć boską naturę. Takie piękno i inteligencja należały do wyższej płaszczyzny. Wiem, ponieważ jestem podobnie dotknięty albo pobłogosławiony. Nie mam pojęcia, jak lepiej to opisać.

Darzę króla Huratosa, domnianego ojca Serreny, najwyższym szacunkiem. Jest pomysłowym, odważnym żołnierzem i drogim, wiernym przyjacielem. Jest nawet dobrym królem, najlepszym, jakiego poznałem po faraonie Tamose, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłby go za boga.

Nie może być żadnych wątpliwości, które z dwojga rodziców nosiło Serrenę w łonie, bo przecież tylko jedno z nich jest odpowiednio wyposażone do tego zadania. Dlatego wydało mi się oczywiste, że Tehuti musiała zboczyć z wąskiej ścieżki wierności małżeńskiej.

Jednakże, po prostu dla podwójnej pewności, postanowiłem poddać próbie pochodzenie Serreny. Chciałem to zrobić nie dlatego, że jestem wścibski, jak myślą niektórzy, ale z powodu mojego szczerego głębokiego uczucia do niej i jej rodziców.

Istnieje wiele niezawodnych sprawdzianów boskości, a jednym z nich jest zdolność posługiwania się tajemnym językiem mędrców i magów, przekazanym nam przez boga Hermesa albo Merkurego, bo znany jest także pod tym imieniem. Hermes jest synem Zeusa Gromowładnego, który wyznaczył ulubieńcowi wiele ról do odegrania w historii i rozwoju ludzkości. Do najważniejszych należy obdarowanie ludzi mową, językami, zdolnością uczenia się i elokwencji. Z drugiej strony, Zeus uczynił Hermesa również bogiem mijania się z prawdą, a także autorem przebiegłych i pokrętnych słów. W ramach tych licznych obowiązków Hermes stworzył język boskich, który nazwał tenmass.

Nie musiałem zbyt długo czekać na okazję. Przez większość wieczorów kobiety z rodziny królewskiej – Tehuti, Bekatha i Serrena – wybierały się na długie konne przejażdżki wzdłuż rzeki w góry Tajgetos albo wzdłuż złotych piasków plaży ciągnącej się po północnej stronie wyspy. Oczywiście zapraszały Ramzesa i mnie, żebyśmy im towarzyszyli. Tak jak ja, Serrena była zafascynowana morskimi stworzeniami, które obficie występowały w otaczających nas wodach, a także ptakami i dzikimi zwierzętami zamieszkującymi góry i lasy. Kolekcjonowała ptasie jaja i muszle wyrzucone na brzeg. Wymyślała własne fantastyczne nazwy dla każdego rodzaju i nie posiadała się z radości, ilekroć odkryła coś nowego albo dotąd jej nieznanego. Ramzes, jak większość żołnierzy i ludzi czynu, nie był szczególnie zainteresowany tymi przyrodniczymi tematami,

ale gdziekolwiek go prowadziła, szedł z nią posłusznie.

Tego szczególnego dnia, gdy jechaliśmy brzegiem morza, odpływ sięgnął dalej niż zwykle.

Serrena wysunęła niedorzeczną teorię, że jest to skutkiem nie wzmożonego pragnienia Posejдона, lecz jakiegoś tajemniczego ustawienia się Słońca i Księżycy.

Jak wszyscy uczeni, którzy studiowali ciała niebieskie, jestem w pełni świadom, że Słońce i Księżyc są w istocie jednością, Słońcem w pełni sił za dnia, a potem Księżycem, kiedy płomienie się wypalają. W nocy Księżyc odzyskuje siły, będąc w tym czasie ledwie cieniem samego siebie.

Kiedy to wyjaśniłem, Serrena natychmiast rzuciła mi wyzwanie.

– Jak mogą być tym samym ciałem niebieskim, skoro w jednym i tym samym czasie widziałam Słońce i Księżyc na niebie? – zapytała mnie tonem osoby, która rozstrzyga kwestię raz na zawsze.

Wstrzymałem konia, zmuszając ją, żeby zrobiła to samo.

– Zaciśnij pięść, Serreno – poleciłem. Kiedy posłuchała, płynnie przeszedłem na język tenmass, mówiąc: – Teraz ją unieś ku słońcu.

– W ten sposób? – zapytała w tajemnym języku. Bezbłędnie wypowiadała słowa, choć wyraźnie nie była świadoma, co robi.

– Teraz spójrz na ziemię przed sobą i powiedz mi, co tam widzisz.

– Nic z wyjątkiem mojego cienia – odparła w tenmass, z lekko zdziwioną miną.

– Czym jest ten okrągły kształt? – zapytałem, pochylając się w siodle, gdy wskazywałem.

– To cień mojej ręki.

– Więc to znaczy, że jednocześnie widzimy twoją rękę i cień twojej ręki, podobnie jak często w tym samym czasie widzimy Słońce i jego cień, który zwiemy Księżycem? – zapytałem, a ona otworzyła śliczne usta, by dalej się spierać, po czym je zamknęła i dalej jechaliśmy w milczeniu. Dość dziwne, ale później nigdy nie wróciliśmy do tematu Słońca i Księżycy.

Jednakże często rozmawiamy w tenmass, kiedy jesteśmy sami, choć Serrena nie zdaje sobie sprawy, że używa obcego języka. Odczuwam wówczas wielką przyjemność, ponieważ jest to bezsprzecznym świadectwem jej boskiego pochodzenia.

Długo i poważnie się zastanawiałem, jak zagadnąć jedyną na tym świecie osobę, która mogłaby wyjawić mi szczegóły dotyczące cudownego poczęcia. Nawet mój wyjątkowy związek z główną ludzką bohaterką tego dramatu nie dawał mi przywileju stawiania bezpośrednich pytań. Wiedziałem, że dojście do prawdy bez wywoływania niebezpiecznego poruszenia będzie wymagało całej mojej subtelności i przebiegłości. Chcę tutaj jasno dać do zrozumienia, że kierowała mną nie chorobliwa ciekawość, ale szczerą troską o dobro wszystkich zainteresowanych. Skłaniałem się nawet w swej mądrości ku zgodzie na to, by prawda nigdy nie wyszła na jaw.

Po raz pierwszy zezwoliłem Tehuti i jej siostrze Bekacie na skosztowanie napoju z owoców winorośli dawno temu, kiedy liczyły sobie nie więcej niż piętnaście czy szesnaście wiosen, a ja eskortowałem je z Egiptu na Kretę, gdzie miały poślubić potężnego Minosa. Podczas długiej podróży obie błagały, żebym pozwolił im się zabić, bo nie chciały wychodzić za władcę Krety, więc raczyłem je winem, żeby usmierzyć ich cierpienie. Podziałało, bo z tego, co mi wiadomo, wtedy po raz ostatni rozważały odebranie sobie życia. Spotkawszy się z nimi w Lacedemonie, zauważyłem, że lata ani trochę nie zmniejszyły ich upodobania do soku z winogron. Jedyna różnica polegała na tym, że stały się bardziej wybredne i wymagające pod względem smaku – piły wyłącznie wino z najstaranniej wybranych amfor pełnych produktu z królewskich winnic, do czego zresztą miały prawo.

Czekałem na okazję z cierpliwością myśliwego, który przy wodopoju zasadził się na zwierza. W końcu moja cierpliwość została nagrodzona. Z jednego z tajemniczych, dalekich wschodnich królestw przybył do Lacedemonu z oficjalną wizytą poseł, na pozór dla umocnienia stosunków handlowych, a w rzeczywistości prosić o rękę księżniczki Serreny. Pogłoski o jej pięknie rozeszły się jak świat długi i szeroki, ale tylko nieliczni wiedzieli o jej zaręczynach.

Byłem w Lacedemonie jedyną osobą, która znała perski, dlatego powierzono mi zadanie taktownego powiadomienia króla Simaszkiego, bo tak miał na imię zalotnik, że serce i ręka Serreny są już zajęte. Jego Wysokość wyraził rozczarowanie w tak pięknych poetyckich słowach, że Serrena się rozplakała. Następnie ucałował Ramzesa i Serrenę w policzki i przekazał szczęśliwej parze weselny prezent w postaci dwudziestu dużych amfor czerwonego wina ze swoich winnic.

Kiedy Tehuti po raz pierwszy go skosztowała, powiedziała do męża:

– Za dwadzieścia kolejnych amfor tego cudownego nektaru pozwoliłabym Simaszkiemu się poślubić.

Król Hurotas pociągnął łyk z kubka, cmoknął i pokiwał głową.

– A za dwadzieścia więcej ja bym mu na to pozwolił.

Pomyślałem, że na szczęście nasz gość nie zna słowa po egipsku. Simaszki tylko uniósł kubek w toaście i z lekko zaintrygowaną miną dołączył do ogólnej wesołości, jaka zapanowała po tej wymianie zdań.

Tehuti zwykle przestrzegała narzuconej samej sobie zasady i ograniczała wieczorne spożywanie wina do dwóch dużych kubków.

– Taka ilość wystarczy, żeby przyjemnie szumiało mi w głowie, ale wciąż mogę pójść do łóżka z pomocą tylko dwóch służących – tak to ujęła.

Wykorzystując zamieszanie i dobre humory panujące podczas uczty, udało mi się ukradkiem dwu-, a nawet trzykrotnie zwiększyć limit Tehuti. Dopełniałem jej kubek z mojego za każdym razem, gdy się ode mnie odwracała, żeby pocałować męża albo obdarzyć go inną pieśczętą. Kiedy wreszcie postanowiła opuścić wieczerzę i spróbowała się podnieść, musiała chwycić mnie pod ramię. Odprawiłem jej służki i poniosłem ją po schodach do sypialni, a ona oburącz trzymała mnie za szyję i chichotała wesoło.

Rozebrałem ją, ułożyłem i okryłem, jak dawno temu, kiedy była małą dziewczynką. Potem usiadłem obok niej i gawędziliśmy ze śmiechem. Przez cały czas kierowałem rozmowę w obranym przeze mnie kierunku.

– Dlaczego masz tylko jedno dziecko, podczas gdy Bekatha ma czwórkę, i dlaczego tak długo czekałaś? – zapytałem.

– Tylko bogowie znają odpowiedź na to pytanie – odrzekła. – Zaras i ja nie opuściliśmy prawie jednej nocy w ciągu trzydziestu lat, nawet kiedy wywieszałam czerwoną flagę. Jest nienasycony, a moja namiętność niemal dorównuje jego chuci. Ogromnie chciałam mieć dziecko. Jak zauważyłeś, moja młodsza siostra Bekatha wyjmowała je z pieca jedno po drugim, jak pieczone ciastka. Omal jej za to nie znienawidziłam. Modliłam się do Taweret, bogini płodności, i każdej nocy, zanim Zaras przyszedł do mojego łóżka, składałam jej ofiary. Wszystko na próżno. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Ale jak można ufać bogini, która wygląda jak hipopotamica stojąca na zadnich nogach? Pożerała wszystkie moje ofiary i nigdy nie dała mi nic w zamian, nie mówiąc o dziecku.

– Co więc zrobiłaś? – zapytałem.

Jej odpowiedź była mętna i wymijająca.

– Nie będziesz miał nic przeciwko, Tato, jeśli myśląc nad tym, skorzystam z nocnika? – Wskoczyła z łóżka i przycupnęła na urynale, który stał w kącie pokoju. Przez chwilę oboje słuchaliśmy ciurkania, a potem Tehuti zapytała: – Jeśli ci powiem, Tato, czy obiecasz nie powtórzyć tego nikomu innemu? – Język jej się plątał od nadmiaru wina, aczkolwiek tylko trochę.

– Niechaj bogowie mnie powalą, jeśli to uczynię – odparłem posłusznie, a ona pisnęła z przerażenia.

– Nie powinienes mówić takich rzeczy, Tato. Natychmiast cofnij te słowa.

Nie wolno prowokować bogów! – Zrobiła znak chroniący przed złym okiem.

Odpowiedziałem na jej wyzwanie i przestrzegłem panteon nieśmiertelnych, którzy prawdopodobnie słuchali z cieni pokoju.

– Nie ważcie się mnie tknąć, obmierzli bogowie, bo jak nie, królowa Tehuti zeskoczy z nocnika i nasika każdemu z was do ucha!

Wybuchła śmiechem.

– To nie jest zabawne! – skarciła mnie, bez powodzenia próbując zachować powagę. – Nie wolno żartować z bogów. Nie mają poczucia humoru, ani trochę, chyba że to oni platają nam figle.

– Koniec żartów – obiecałem. – Powiedz mi jednak, co zrobiłaś, żeby zajść w ciążę. Z niecierpliwością czekam, żeby poznać ten sekret, i ponownie obiecuję, że nikomu go nie wyjawię.

– Zrobiłam to, co powinnam zrobić na samym początku. Zwróciłam się do męskiego boga, nie do bogini. Poświęciłam mu wołu i modliłam się do niego na kolanach przez połowę nocy.

– Co pomyślał o tym król Hurotas, twój mąż?

– O niczym nie wiedział. W owym czasie prowadził wojnę z naszymi sąsiadami, a gdy wrócił, nie przyszło mi na myśl, żeby go powiadomić.

– I czy ten bóg odpowiedział na twoje błagania?

– Kiedy zasnęłam, nawiedził mnie we śnie. – Ściszyła głos do szeptu, zaróżowiona, nakrywając piękne ciemne oczy powiekami o długich rzęsach. – To był tylko sen, Taito, przysięgam. Zawsze byłam grzeczną dziewczynką. Zaras jest moim mężem. Nigdy go nie zdradziłam.

– Kim był ten bóg? Czy ci się przedstawił? – zapytałem, a ona poczerwieniała i zwiesiła głowę, po czym przemówiła tak cicho, że nie byłem pewien, czy dobrze ją zrozumiałem.

– Mów głośniej, Tehuti, proszę. Kto to był?

Spojrzała na mnie i wyraźnie powtórzyła:

– Powiedział, że jest Apollem, bogiem płodności, muzyki, prawdy i uzdrawiania. Uwierzyłam mu, był bowiem taki piękny...

Mądrze pokiwałem głową. Oczywiście mógłbym dodać co nieco do tej krótkiej listy cech, które wyrecytowała. Nie licząc innych wad i zalet, Apollo jest również bogiem żądz i gniewu, wina i pijaństwa, choroby i fałszu.

– Oczywiście, spółkowaliście ze sobą. – Ująłem to jako stwierdzenie faktu, nie pytanie.

Tehuti zrobiła się śmiertelnie blada.

– To był sen, nie rozumiesz, Tato? – Jej głos wzniósł się w udręce. – Nic nie było prawdziwe. Serrena jest córką mojego męża, a ja jestem jego cnotliwą żoną. Kocham męża i kocham córkę, nie jakąś zjawę z Olimpu czy zaświatów.

Patrzyłem na nią z milczącym współczuciem, pogłębionym przez miłość.

Podniosła się i podbiegła do mnie. Rzuciła się do moich stóp, chwyciła mnie pod kolana i przycisnęła twarz do moich nóg.

– Wybacz mi, ukochany Tato. – Głos miała stłumiony przez fałdy mojej szaty. – To był tylko sen i nie miałam kontroli nad tym, co się działo. To była magia i czary. Byłam piórkiem miotanym w żarze całopalnej ofiary. To było straszne, i było wspaniałe. Każdą cząstkę mego ciała i umysłu przepełnił nieznośnym bólem i niewiarygodną rozkoszą, oślepiającym złotym światłem i ciemnością próżni. Był niewysłowienie piękny, a zarazem przerażający i brzydki jak grzech. Trwało to tylko chwilę i tysiące lat. Czułam, że składa w moim łonie cud, którym okazała się Serrena, i cieszyłam się z tego. Ale to nie była rzeczywistość. Czy kiedyś będziesz w stanie wybaczyć mi moją niegodziwość, Taito?

Czule gładziłem jej włosy, delikatne jak jedwab pod moimi palcami, i szeptałem:

– Nie ma niczego do wybaczenia, Tehuti. Twój mąż i twoja córka są całą rzeczywistością, a wszystko inne to cienie. Niech pozostaną bliscy twemu sercu, miłuj ich i nie mów nikomu o swoich dziwnych, fantastycznych snach. Zapomnij nawet, że mi o tym powiedziałaś.

Przygotowania do wesela Ramzesa i Serreny trwały jeszcze dłużej, niż przewidywał Hurotas. W tym czasie stoczyliśmy dwie niespodziewane małe wojny. Hurotas i Hui mieli ambicję ujarzżenia całej wyspy, a także ziem otaczających Cyklady i południowe Morze Egejskie, ale po trzydziestu latach prawie bezustannych działań wojennych nie dopięli swego nawet w połowie. Gdy tylko zdołali podbić jeden archipelag, bunt wybuchał na innym w drugim końcu imperium. Co więcej, Persowie wicznie komplikowali sytuację i wprowadzali zamęt. Ilekroć wykryli słabość, szybko się zakradali, podrzynali kilka gardeł, po czym ładowali łupy na statki i znikali tak nagle, jak przybyli, uciekając do swojego wielkiego, tajemniczego królestwa, które balansowało na wschodniej krawędzi świata.

– Są nikim więcej jak ciemnymi dzikusami i bezlitosnymi piratami – powiedział mi Hui z wściekłością.

– Prawdopodobnie to samo mówią o nas – zaznaczyłem rozsądnie.

– My jesteśmy pionierami i budowniczymi imperium – oświadczył wyniośle.

– Naszym przeznaczeniem jest cywilizowanie świata i władanie nim w imię prawdziwych bogów, których czcimy.

– Ale ty i twoi ludzie kochacie dobrą walkę tak bardzo jak każdy dzikus. Wszak sam mi to mówiłeś.

– Jest tylko jedna rzecz, która cieszy moich ludzi bardziej niż dobra walka, i jest nią dobra zabawa – przyznał Hurotas. – Mam zamiar zapewnić im udział w największym, najbardziej hucznym i najwspanialszym weselu, o jakim każdy z nich kiedykolwiek marzył i jakiego nikt nie chciałby przegapić.

Z aprobatą pokiwałem głową.

– W takim razie, podczas gdy twoi goście wciąż będą dochodzić do siebie po przepiciu i przejedzeniu, możesz po cichu zagarnąć ich królestwa.

– Mój drogi Taito, zawsze podziwiałem twoją polityczną przenikliwość. – Hurotas pogładził brodę i uśmiechnął się niewinnie.

Więc podjąłem:

– Gdyby twoja piękna córka Serrena wybrała na męża któregoś z wyspiarskich naczelników, zrobiłaby ci wrogów z piętnastu pozostałych. Jej wybór padł na Ramzesa, dzięki czemu cała szesnastka zostanie twoimi sojusznikami i poddanymi. Jest młoda, ale nad wiek mądra.

– Mogę tylko powtórzyć moje ostatnie stwierdzenie o tobie, Taito. – Hurotas wciąż się uśmiechał. – Zawsze z wielką jasnością umiałeś dostrzec drogę prowadzącą do przodu.

Choć byliśmy sami, ściszyłem głos, więc musiał się pochylić, żeby usłyszeć, co mam do powiedzenia.

– Z tymi szesnastoma sprzymierzeńcami mógłbyś zająć Egipt i ukarać tyrana Utteryka Tura.

– Muszę przyznać, że myślałem o takiej możliwości. Kogo proponowałbyś na miejsce Utteryka jako faraona w Tebach, Taito?

– Wybór ciebie jest oczywisty – odparłem bez wahania, ale zachichotał.

– Nie mam specjalnego życzenia wracać tam na stałe. Jest mi bardzo wygodnie w mojej nowej twierdzy w Lacedemonie. Wiele wysiłku włożyłem w jej budowę. Poza tym mam niezbyt szczęśliwe wspomnienia Egiptu. Ale kogo innego mógłbym wysłać, żeby wypełnił zadanie? – zapytał, a ja przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią.

– Faraon Ramzes ładnie brzmi – zaryzykowałem i wyraz twarzy Hurotasa natychmiast się zmienił. Miał powątpiewającą minę. Zrozumiałem swój błąd i gładko go naprawiłem. – Z drugiej strony, choć o ile mi wiadomo kobieta nigdy nie włądała Egiptem, tytuł faraonka Serrena ma w moim uchu jeszcze szlachetniejszy wydźwięk.

Hurotas wybuchnął śmiechem.

– Ty zawsze umiesz mnie rozbawić, Taito. Skąd bierzesz te pomysły? Dobrze, niech będzie faraonka.

Minęło tylko kilka miesięcy od czasu, gdy przybyłem do Lacedemonu, ale już zajmowałem pozycję prawie nie do obalenia. Trzydzieści lat wcześniej Hurotas wykonywał moje rozkazy. Pod tym względem niewiele się zmieniło, tyle że obecnie polecenia przybrały bardziej dyplomatyczną formę sugestii.

Na tym etapie nie mogłem zbyt szybko popierać wyniesienia Ramzesa nad Huiego i jego synów, ale taktownie dopilnowałem, żeby znajdował się w centrum wojskowych i morskich spraw Lacedemonu, a także zachował dowodzenie na potężnym okręcie *Memnon*, na którym obaj uciekliśmy z Egiptu. Oficjalnie miał rangę kontradmirała i podlegał bezpośrednio admirałowi Huiemu. Królewska krew i zaręczyny z księżniczką Serreną zapewniły mu wysoki status, ale pomimo młodego wieku był dość mądry, żeby się z tym nie obnosić. Już był ulubieńcem rodziny Huiego. Kiedy księżna Bekatha go przyjmowała, co zdarzało się często, sadzała go obok siebie przy suto zastawionym stole, nie żałując jedzenia i picia. Nazywała go „kochanym Rammym”. Jej synowie przyjęli go do rodziny bez cienia urazy czy zazdrości, a ich dzieciaki były zachwycone, że mają nowego wuja do terroryzowania, wyłudzenia słodyczy, męczenia o opowiadanie historii i noszenia na barana.

Oczywiście król Hurotas i królowa Tehuti byli zachwyceni na myśl, że w swoim czasie, kiedy zostaną dopełnione wszystkie formalności, Ramzes będzie ojcować ich wnukom. Przydzielili mu komnaty sąsiadujące z ich własnymi w rozległym zamku, jak najdalej od komnat Serreny. Liczba strażników strzegących księżniczkę bez wątplenia została podwojona, jakby mój nadzór nie



wystarczał do dopilnowania, żeby nie straciła dziewictwa przed czasem.

Moja kwatera niemal dorównywała wspaniałości komnatom króla Hurotasa i królowej Tehuti, ale miałem powody wierzyć, że zawdzięczam to samej królowej. Nie było dnia, żeby nie zjawiała się bez zaproszenia w mojej prywatnej jadalni z taką ilością żywności, że wystarczyłoby dla setki czy więcej ludzi, i z taką ilością wina, że mógłbym być pijany przez rok. Często budziła mnie po północy; ubrana w koszulę nocną, ze świeczką w ręce wskakiwała na moje łóżko, zapewniając:

– Zajmę ci nie więcej niż chwilę, Tato, obiecuję. Po prostu muszę zapytać cię o coś bardzo ważnego i to nie może poczekać do rana.

Kilka godzin później, kiedy zanosilem ją śpiącą w moich ramionach do małżeńskiego łóża, jej mąż burczał:

– Może wreszcie zapamiętasz, Taito, żeby zamykać przed nią drzwi na klucz?

– Ma swój.

– W takim razie niech śpi u ciebie.

– Czasami chrapie.

Hurotas z rozpaczą kręcił głową.

– Myślisz, że mówisz mi coś, o czym nie wiem?

Jednakże godziny straconego snu były niewielką ceną za wygodę i korzyści, jakie zapewniała mi ta wspaniała kwatera. Z tarasu na najwyższym piętrze monumentalnej budowli miałem widok na ośnieżone szczyty gór i szeroką dolinę aż po zatokę. Mogłem obserwować wymarsze i powroty wojsk, a także całą aktywność w porcie. Kocham dzikie ptaki i codziennie rano wykładałem na tarasie pokarm dla różnych gatunków, a ich widok sprawiał mi wielką przyjemność. W jednym z większych pokoi urządziłem bibliotekę i kwaterę główną. Wkrótce półki wypełniły się moimi zwojami, a nadmiar piętrzył się w kątach na wysokość głowy.

Kapitan Weneg, któremu byłem winien ogromny dług wdzięczności za uratowanie mnie przed brutalnymi zabiegami straszego Guba we Wrotach Udręki i Smutku, czuł się nie na miejscu w Lacedemonie. Przyszedł mnie prosić o wyznaczenie mu roli godnej jego rangi, doświadczenia i zdolności. W bardzo krótkim czasie poczyniłem przygotowania. Weneg i jego mała grupa ludzi potajemnie wrócili do Egiptu, gdzie utworzyli siatkę szpiegowską, żeby zaopatrywać mnie w aktualne informacje o cierpieniach mojej biednej egipskiej ojczyzny w jarzmie faraona Utteryka Tura.

Dopilnowałem, żeby Weneg został wyposażony w ilość srebrnych debenów wystarczającą, żeby płacić informatorom i sprzymierzeńcom, a nadto kupiłem trzy małe, szybkie statki handlowe, żeby wraz ze swoimi ludźmi mógł wypełnić misję. Było po północy, kiedy wypłynęli z portu Gythion, i oczywiście stałem na nabrzeżu, żeby ich pożegnać i życzyć szczęścia podczas podróży na południe.

Pod fałszywym imieniem i z gęstą kręconą brodą maskującą jego przystojne rysy Weneg w krótkim czasie urządził kwaterę główną w winiarni niemal w cieniu murów tebańskiego pałacu Utteryka.

Oczywiście zaopatrzyłem go w liczne skrzynki, każdą z gołębiami pocztowymi. Wszystkie wykluły się w gołębnikach nadzorowanych przez królewskiego gołębiarza w Lacedemonie. Weneg przemycił ptaki do Egiptu. W ciągu kilku miesięcy jego siatka zdobyła mocną pozycję w Tebach, działała gładko i skutecznie, i regularnie otrzymywałem wiadomości przynoszone przez gołębie Wenega nad wodami północnego morza. Te dzielne ptaki pokonywały dzielącą nas odległość średnio w mniej niż cztery dni. Wartość przynoszonych przez nie informacji była dla mnie bezcenna.

Z gołębiej poczty dowiedziałem się, że Utteryk zmienił imię na Utteryk Bubastis dla uczczenia wyniesienia go do panteonu bogów. Bubastis był między innymi bogiem męskiego piękna i waleczności. Jediną cechą, jakiej naprawę mu zazdrościłem, było to, że jego penis w erekcji osiągał długość stu łokci, co pozwalało mu zaskoczyć każdą niewiastę, na którą miał ochotę.

Boga Bubastisa często przedstawiano w postaci kota albo kotki. Najwyraźniej mógł wedle uznania zmieniać płeć i orientację seksualną – co być może wyjaśniało pociąg Utteryka akurat do tego bóstwa.

Od Wenega dowiedziałem się również tego, że faraon Utteryk Bubastis buduje dla siebie wymyślną świątynię na wyspie na Nilu poniżej Teb. Wydał na to przedsięwzięcie prawie całe dziesięć lakhów srebra, które zdobyłem dla niego na Chamudim w Memfis.

Niedługo później dotarła wiadomość, że agenci faraona Utteryka Bubastisa wytropili potężną wojenną trierę *Memnon*, na której uciekłem z Ramzesem, w jej nowym kotwicowisku w porcie Gythion. Weneg zameldował, że oficerowie floty faraona otrzymali rozkaz odzyskania okrętu i przyprowadzenia go do Teb. Mieli dopilnować, żeby zdrajca Taita był na pokładzie i w łańcuchach, kiedy *Memnon* wróci do Egiptu. Faraon wyznaczył nagrodę w wysokości pół lakha srebra za moją głowę. Wyraźnie ani nie zapomniał, ani mi nie wybaczył.

Ostatnio zacząłem się zaniedbywać, jeśli chodzi o osobiste bezpieczeństwo. Wierzyłem, że nic mi nie grozi w zbyt licznych, wygodnych kwaterach w twierdzy, ale ta ostatnia wiadomość wyrwała mnie z marazmu. Do tej chwili Ramzes pozwalał, żeby tylko niezbędna załoga obsadzała *Memnona*, który kotwiczył pośrodku portu Gythion, w pełnym widoku dla każdego, kto nosił się ze złymi zamiarami. Na moje rozkazy ustawiono okręt wzdłuż falochronu i pod powierzchnią wody przeciągnięto liny grube jak moja ręka w nadgarstku, cumując go do pierścieni osadzonych w kamiennym nabrzeżu. Przez cały czas na pokładzie przebywało dwudziestu ciężko uzbrojonych żeglarzy, którzy zmieniali się co sześć godzin. Kolejnych pięćdziesięciu ludzi kwaterowało w kamiennym budynku na

nabrzeżu, ledwie trzydzieści kroków od trapu *Memnona*. Wszyscy oni mogli wkroczyć do akcji na pierwszy znak, że wrogi oddział wychodzi na brzeg, żeby zająć okręt i wyprowadzić go w morze.

Dwa tygodnie później przyleciał kolejny gołąb z Teb. Weneg napisał, że z ujścia Nilu wypłynęła mała, nierzucająca się w oczy łódź rybacka z załogą liczącą od piętnastu do dwudziestu ludzi. Podał mi nazwisko porucznika dowodzącego ekspedycją. Był to podejrzany typ zwany Panmasi, znany z widzenia mnie i Ramzesowi, obecnie jeden z ulubieńców Utteryka. Miał ledwie dwadzieścia pięć lat, ale już wyrobił sobie reputację bezwzględnego łotra. Łatwo go było rozpoznać po bliźnie na prawym policzku i utykaniu; rana odniesiona w wojnie sprawiała, że przy każdym kroku lekko powłóczył prawą nogą.

Niedługo później nasi obserwatorzy na wysokich zboczach gór Tajgetos zameldowali o dziwnej łodzi rybackiej mającej w dali na wodach rozległej zatoki Gythion. Rybacy wyglądali na zajętych zarzucaniem sieci, ale zapadał wieczór i byli zbyt daleko od brzegu, żeby mieć całkowitą pewność. Kiedy wiadomość o tych niezapowiedzianych gościach dotarła do cytadeli, Ramzes i ja natychmiast skoczyliśmy na konie i pojechaliśmy pełnym galopem do portu. Nasi ludzie strzegący *Memnona* zameldowali, że panuje cisza i spokój. Mimo to nakazałem im zachowanie najwyższej czujności. Wszyscy zajęliśmy stanowiska bojowe i usiedliśmy, czekając. Byłem prawie pewien, że Panmasi nie podejmie próby zajęcia *Memnona* do późnych godzin nocnych, bo będzie liczył na obniżenie uwagi i energii strażników. Okazało się, że jak zwykle miałem rację. Jakaś godzinę przed świtem usłyszałem krzyk lelka w lesie nad zatoką, a raczej kiepskie naśladownictwo ptasiego zawołania. Lelek należy do moich ulubionych ptaków, więc nie dałem się zwieść. Po cichu przekazałem wiadomość, żeby zasadzka była gotowa.

Nastąpiła krótka chwila spokoju. Później odkryliśmy, że w tym czasie zbiry Panmasiego podkraśli się do wartowników u wejścia do portu i uciszyły ich, podrzynając gardła albo tłukąc po głowach pałkami. Nagle dostrzegliśmy ciemne postacie prawie bezgłośnie biegnące wśród magazynów. Potrząsając bronią, intruzi pędzili po kamiennym nabrzeżu w kierunku burty *Memnona*, gdzie rozkazałem zostawić opuszczony trap jako milczące zaproszenie na pokład.

Wcześniej poleciłem ustawić na nabrzeżu wiele beczek z wodą i skrzyń, jakby przygotowanych do jutrzejszego załadunku. Za nimi ukrywali się moi łucznicy i włócznicy. Rozpoznałem Panmasiego kuśtykającego na czele bandy piratów. Zaczekałem, aż znajdą się na otwartej przestrzeni. Panmasi prawie dotarł do zapraszającego trapu i wszyscy byli zwrócenii do nas plecami, gdy wydałem rozkaz. Moi chłopcy wyskoczyli z kryjówek za beczkami i skrzyniami. Każdy z nich miał strzałę już założoną na cięciwę i wypuścili je jednocześnie. Odległość była niewielka i prawie wszystkie pociski trafiły w cel. Z krzykami bólu

i zaskoczenia prawie połowa ludzi Panmasiego padła na ziemię, a inni odwrócili się w naszą stronę.

Mieliśmy po swojej stronie element zaskoczenia i walka skończyła się chwilę po rozpoczęciu. Niedobitki rzuciły broń i padły na kolana z wysoko uniesionymi rękami, pochlipując i błagając o łaskę. Oddział składał się z dwudziestu pięciu ludzi, ale tylko szesnastu przetrwało ostrzał. Byłem zadowolony, że Panmasi przeżył. Chciałem dopilnować, żeby został odpowiednio ukarany za arogancję i zdradę. Uprzedzając bieg wypadków, powiem, że niedługo później spotkał mnie srogi zawód i odsiecz dla niego przybyła z zupełnie niespodziewanej strony. Tamtej nocy ludzie Ramzesa mieli łańcuchy przygotowane dla naszych jeńców. Najpierw kazali im się rozebrać do przepasek, a potem skuli im ręce za plecami i nogi w kostkach w taki sposób, że mogli stawiać tylko drobne kroki. Następnie załadowali ich na dwa duże wozy do przewożenia gnoju i pognali woły w górę doliny do cytadeli.

Wysłałem ludzi przodem, żeby uprzedzić mieszkańców o pojmaniu piratów. Wieśniacy stali wzdłuż drogi, szydzili z jeńców i obrzucali ich błotem i łajnem, gdy przejeżdżali w drodze do więzienia, na sąd i pewną egzekucję za swoje przestępstwa.

Trzy dni później król Hurotas znalazł czas, żeby na dziedzińcu cytadeli rozpatrzeć sprawę piratów, chociaż wyrok był przesądzony. Wydarzenie ściągnęło wielu widzów, w tym królową Tehuti i jej córkę Serrenę, która siedziała na stosie poduszek u stóp matki.

Przedstawiłem dowody winy i uczciwie, obiektywnie zrelacjonowałem przebieg wypadków, co wystarczyło, żeby skazać Panmasiego i jego zbójców od ręki. W zasadzie król Hurotas nawet nie musiał wysłuchiwać obrony, ale był wspaniałomyślnym człowiekiem.

– Czy przywódca tej bandy łotrów ma coś do powiedzenia, zanim wydam wyrok na wszystkich? – zapytał.

Panmasi, który wraz ze swoimi ludźmi klęczał przed tronem z czołem przyciśniętym do ziemi, teraz się podniósł. Już zasugerowałem, jaki z niego szczywany łajdak, ale nawet mnie zdołał zaskoczyć i rozbawić talentem aktorskim.

Jego mina wyrażała ogrom nieszczęścia i skruchy za popełnione przestępstwa. Odegrał wielkie przedstawienie, powłócząc okulawioną nogą, żeby uzyskać współczucie. Smarki i łzy spływały mu po policzkach i ściekały po brodzie. Głos mu drżał, gdy opowiadał o rodzinie pozostawionej w Egipcie: o swoich trzech żonach, z których każda była przy nadziei, o dwunastu głodujących dzieciach i uwielbianej kalekiej córeczce. To wszystko było tak nedorzeczne, że miałem kłopot z powstrzymaniem się od śmiechu. Otrzymałem pewne informacje, że Panmasi jest właścicielem czterech doskonale prosperujących domów rozpusty w Tebach i że jest ich najlepszym klientem. Bił swoje żony dla czystej

przyjemności słuchania ich pisku, a jego córka została kaleką z powodu ciosu w głowę, jaki jej zadał łopata, jeszcze zanim nauczyła się dobrze chodzić. Kiedy dławiąc łkanie, dotarł do końca swojej wypowiedzi, król spojrział na mnie, pytając o opinię. Pokręciłem głową, a on skinął na znak, że popiera mój werdykt.

– Więźniowie wstaną, żeby wysłuchać wyroku – rozpoczął przemowę.

Szubrawcy pozbiali się z klęczek i stanęli przodem do niego, ale ze spuszczonej oczami. Chyba wiedzieli, jaka ich czeka kara.

– Za sześćdziesiąt dni moja córka Serrena poślubi księcia Ramzesa ze szlachetnego rodu faraonów Egiptu. Z tej radosnej okazji cała szesnastka więźniów zostanie złożona w ofierze Herze, bogini małżeństwa, żeby zapewnić mojej córce przyszłe szczęście. Zanim umrą, ich wnętrzności zostaną wywleczone przez dolny otwór cielesny za pomocą haczyków na ryby. Następnie zostaną ścięci. Na koniec ich szczątki zostaną spalone na popiół i rzucone do morza podczas odpływu. W tym czasie kapłanki Hery odśpiewają modlitwy, prosząc boginię o przyszłe szczęście małżeńskie mojej córki.

Pokiwałem głową, zgadzając się z wyrokiem króla Hurotasa. Wydawał mi się sprawiedliwy i najzupełniej odpowiedni, biorąc pod uwagę skalę i charakter popełnionych zbrodni.

– Nie!

Krzyk zaskoczył wszystkich, łącznie z królem i ze mną. Oniemiali, jak jeden mąż odwróciliśmy głowy w kierunku księżniczki Serreny, która skoczyła na równe nogi, żeby stawić czoło ojcu.

– Nie! – powtórzyła. – Po stokroć nie!

Hurotas pierwszy otrząsnął się po tym niespodziewanym ataku swojego jedyne dziecko, które prawdopodobnie było również jego jedyną słabością.

– Dlaczego nie, moja kochana córko? – Widziałem, że podejmuje potężny wysiłek, żeby nie stracić panowania nad sobą. – Wszak robię to dla twojego dobra, dla twojego szczęścia.

– Bardzo cię kocham, ojcze, ale szesnaście leżących w rzędzie bezgłowych trupów sprawi mi niewiele przyjemności, nie mówiąc o szczęściu.

Panmasi i jego ludzie unieśli głowy i spojrzeli na księżniczkę. Ich miny wyrażały rodzącą się nadzieję, ale przede wszystkim zdumienie graniczące z niedowierzaniem, gdy ujrzeli jej piękno podkreślone przez ożywienie: kolory na policzkach, błysk oczu i drżenie pięknych warg. Jej głos dźwięczał niczym niebiański instrument, zniewalając i urzekając widownię, nawet mnie, który wszak byłem do niego przyzwyczajony.

– Co zatem miałbym zrobić z tymi łajdakami? – zapytał z irytacją Hurotas. – Mogę kazać ich przykuć do ław wioślarzy na jednej z galer albo posłać do kopalni miedzi...

– Odeślij ich do kochających żon i rodzin w Egipcie – poprosiła Serrena. –

Okazując taką łaskawość i współczucie, uszczęśliwisz wielu ludzi, szczególnie mnie w dniu moich zaślubin, kochany tatusiu.

Hurotas rozchylił wargi, żeby przemówić, i dostrzegłem iskry gniewu strzelające z jego oczu. Nagle zamknął usta i, jak czyni wielu ludzi w chwili głębokiej rozterki, przeniósł spojrzenie na mnie. Miałem ochotę się roześmiać; zabawnie było patrzeć, jak posiwiały heros wielu zaciekłych konfliktów czmycha z pola walki, zmuszony do odwrotu przez dziewczynę.

Dawno temu nauczyłem go czytać z ruchu moich warg i teraz wyrzekłem jedno bezgłośnie słowo. „Poddaj się” – poradziłem mu.

Tłumiąc uśmiech, obrócił głowę ku Serrenie.

– To czysta głupota – powiedział surowo. – Nie będę brać w tym udziału. Daję ci tych łajdaków jako część prezentu ślubnego ode mnie. Zrób z nimi, co tylko chcesz.

Poszukiwania na brzegu po drugiej stronie wyspy zaowocowały znalezieniem małej łodzi rybackiej, na której Panmasi i jego ludzie przyплыли z ujścia Nilu. Wywlekli ją na plażę i nakryli martwymi paprociami i gałęziami. Musiała być mocniejsza i bardziej chyża niż wyglądała, skoro tak szybko przebyła tę dużą odległość z tyloma ludźmi na pokładzie. W odpowiedzi na życzenie księżniczki Serreny moi ludzie zapakowali Panmasiego i jego niedobitków na pokład, bez broni i zapasów. Wskazałem im drogę na południe i do ujścia Matki Nil.

– Nie mamy jedzenia ani wody – poskarżył się Panmasi. – Umrzemy z pragnienia albo głodu. Miej litość, dobry Taito, błagam.

– Mogę ci dać dobrą radę, ale nie jedzenie i picie, które jest drogie i nigdy go nie ma w nadmiarze. Pamiętaj, żeby chłodzić szczyny. Są znacznie smaczniejsze, gdy pijesz je w tym stanie – powiedziałem przyjaźnie. – Dam ci dwadzieścia cztery godziny, a potem wyślę wojenną trierę, żeby was pośpieszyć. Żegnaj, dobry Panmasi. Przekaż ode mnie wyrazy szacunku faraonowi Utterykowi, kiedy albo raczej, jeśli dotrzesz do Egiptu. – Skinąłem na moich ludzi, którzy pilnowali uwolnionych jeńców, a oni zsiadli z koni i przygotowali się do zepchnięcia łodzi na wodę. Powstrzymał ich liryczny, znajomy głos.

– Czekaaj, Taito! Nie pozwól im odpłynąć! – Z westchnieniem rezygnacji odwróciłem się w stronę księżniczki Serreny Lacedemońskiej, która na czele karawany sześciu juczych koni obładowanych koszami z jedzeniem i bukłakami z wodą wyjeżdżała z leśnej ścieżki na złoty piasek plaży. – Zapomniałeś o zapasach dla tych biedaków, głuptasie. Pomarliby z głodu albo pragnienia, nie docierając do Egiptu.

– Taka była moja żarliwa nadzieja – mruknąłem, ale udało, że mnie nie słyszy. Z wielkim niezadowoleniem zobaczyłem, że przywiezione przez nią zapasy obejmują dwa wielkie bukłaki wybornego czerwonego wina jej ojca. Moim

zdaniem, było to przejawem krańcowej głupoty.

Panmasi podszedł i rozpląszczył się u stóp Serreny, sławiąc jej piękno, miłosierdzie i hojność i wzywając wszystkich bogów do zesłania na nią błogosławieństw, ale widziałem, jak spoglądał na nią spod powiek, i to wzbudziło we mnie niepokój. Podszedłem do niego od tyłu, wymierzyłem mu między pośladki takiego kopniaka, że aż się skulił, i powiedziałem:

– Zabieraj się stąd, cuchnący śmieciu, i nigdy nie wracaj, bo inaczej dopilnuję, żebyś tu został na zawsze, pogrzebany głęboko pod ziemią.

Pokuśtykał do łodzi, masując obolałe członki i wrzaskliwie przeklinając swoich ludzi. Skwapliwie chwycili wiosła i gdy tylko wyszli za rafę, postawili żagiel i oddalili się na południe. Panmasi i ja patrzyliśmy jeden na drugiego, aż odległość pomiędzy nami stała się zbyt wielka. Wtedy się odwróciłem i pojechałem z moją umiłowaną księżniczką w kierunku cytadeli. Ale wiedziałem już, że nie po raz ostatni widzę tego odrażającego zbira z odległości większej niż długi strzał z łuku.

Paskudne przeczucia nie chciały mnie opuścić nawet w trakcie pracowitych i radosnych dni, które nastąpiły potem. Niejeden raz byłem o krok od złamania obietnicy danej Serrenie i wysłania *Memnona* w pościg za Panmasim, żeby raz na zawsze zakończyć tę sprawę. Wiedziałem, że mógłbym przekonać Ramzesa, żeby mi towarzyszył. Ale jestem człowiekiem honoru i moje słowo jest dla mnie święte.

Niewielką pociechę niesie mi świadomość, że gdybym je złamał przy tej jednej okazji, ocaliłbym życie tysiącowi dzielnych i honorowych ludzi, nie mówiąc o smutku i bóleści, jakiej oszczędziłbym sobie i tym, którzy są dla mnie najdrożsi.

Przygotowanie wesela księcia Ramzesa Egipskiego i księżniczki Serreny Spartańskiej w zasadzie spadło na moje barki. To oznaczało, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, cała zasługa przypadnie królowi Hurotasowi i królowej Tehuti. Jeśli dojdzie do katastrofy, klapy albo jakiegoś nieszczęścia, wtedy wszystkie głowy natychmiast zwrócą się w moją stronę.

Wstępne uroczystości miały się rozpocząć miesiąc przed rzeczywistą ceremonią zaślubin, a później trwać jeszcze przez miesiąc. Na prośbę królowej Tehuti obchody miały być poświęcone Apollinowi, bogu płodności – między innymi, bo również niewierności.

Uroczystości miały obejmować ucztowanie i hulanki, oddawanie czci stu pięćdziesięciu głównym bogom i boginiom, wyścigi rydwanów i łodzi, tańce i obfite picie wina, zapasy, zawody w śpiewanej sztuce krasomówczej i łucznictwie, muzyce, tańcu i wyścigach konnych, wszystko to z wysokimi nagrodami w złocie i srebrze dla zwycięzców.

W dodatku musiałem nadzorować budowę odpowiednich kwater dla szesnastu królów i ich orszaków, zaproszonych przez króla Hurotasa i jego królową do udziału w uciechach.

Pozwolę sobie na krótką dygresję, żeby wyjaśnić relacje Hurotasa z tymi drobnymi naczelnikami czy królami. Kiedy prawie trzydzieści lat temu Hurotas, po ucieczce z Krety ze swoją nową oblubienicą Tehuti, po raz pierwszy zawinął do portu Gythion, szukając miejsca w świecie, gdzie mogliby władać i rosnąć w siłę, zajął terytorium obecnie będące Lacedemonem, wówczas należące do króla Klydesa. Dokonał tego w ten sposób, że zwrócił przeciwko królowi jego własnych niezadowolonych poddanych, i pokonał go w zacieklej bitwie, która przez trzy dni szalała na brzegach Rzeki Hurotasa.

Klydes był sprzymierzony z trzema naczelnikami z terenów leżących na północ od jego królestwa. Wszyscy trzej poległi z mieczem w dłoni, walcząc u jego boku, ich najstarsi synowie zaś poddali się nowemu królowi Hurotasowi. Zamiast ich stracić, czego się spodziewali, zażądał od nich przysięgi wierności. Zgodzili się ją złożyć nadzwyczaj skwapliwie, dobrze wiedząc, jaka jest alternatywa. Hurotas oddał im terytoria po północnej stronie gór Tajgetos, wyrwane ich nieżyjącym ojcom, zachowując dla siebie tylko ziemie Klydesa.

Naturalnie przysięgli również płacić mu po wieczne czasy znaczną daninę od całego dochodu, jaki będzie spływał do nich i ich dziedziców z wszelkiego możliwego źródła. Był to układ korzystny dla wszystkich – dla niektórych bardziej niż dla innych.

Tak oto trzech synów zachowało życie i nominalną władzę nad królestwami swoich ojców, podczas gdy Hurotas uwolnił się od męczącego obowiązku



trzymania w ryzach mnóstwa dzikich plemion, które nie rozumiały nawet podstaw przymierza i lojalności. W późniejszych latach zwerbował szesnastkę drobnych naczelników z pobliskiego archipelagu na tych samych warunkach: złożenie hołdu albo śmierć. Hurotas jako jedyny był dostatecznie brutalny i przebiegły, żeby utrzymać ich wszystkich w karbach. Bez niego, trzaskającego biczem, w nieskończoność skakaliby sobie do gardeł. Z nim – utrzymywali niełatwe przymierze, darząc go podziwem i szacunkiem tak głębokim, że nigdy nie kwestionowali jego rozkazów ani nie zapominali płacić daniny, zwykle na długo przed uzgodnionym terminem.

Tak oto ponad trzydzieści lat później Hurotas zaprosił na wesele córki wszystkich szesnastu naczelników albo tych, którzy ich zastąpili, a ja miałem obowiązek kierować przygotowaniem.

Wszystko musiało być gotowe trzydzieści dni przed początkiem pory szomu, która jest okresem niskiej wody Nilu i pełni egipskiego lata. Choć Lacedemon jest odrębnym królestwem, wciąż wiernie trzymaliśmy się kalendarza używanego w Egipcie, tam bowiem urodzili się Hurotas i jego żona Tehuti, a egipski był ich ojczystym językiem.

Królowa Tehuti i księżniczka Serrena wybrały pierwszy dzień szomu na ceremonię ślubną. Starannie obliczyły datę czerwonego księżyca oblubienicy i dodały do niej dziesięć dni, żeby mieć pewność, że zapewni mężowi odpowiednie przyjęcie, gdy po raz pierwszy zagości w jej łóżu.

To oznaczało, że pierwszych gości należy spodziewać się miesiąc przed szomem, czyli w renwecie, ostatnim miesiącu okresu wysokiej wody Nilu.

Wszyscy tyraliśmy jak niewolnicy pod biczem, czas bowiem uciekał, a moje dwa oczka w głowie, Tehuti i Serrena, wciąż wymyślały nowe rozrywki dla gości, przy czym każda kolejna była bardziej wymyślna i skomplikowana od poprzedniej.

– Wiemy, że z łatwością sobie poradzisz, kochany Tato. Jesteś absolutnym geniuszem. Nic nie wykracza ponad twoje talenty. Nigdy nie sprawiłyś mi zawodu. Przecież to wesele Serreny – przekonywała Tehuti, na zachętę całując mnie w policzek.

Kiedy długie statki zaczęły się pojawiać na horyzoncie, ściągając ze wszystkich stron do wielkiej zatoki Gythion, kompanie naszych wojowników pod wodzą oficerów ruszały na brzeg, żeby powitać gości, a następnie odeskortować ich w górę Rzeki Hurotasa, do zamku, gdzie czekały na nich okazałe kwatery. Zdarzało się, że jednocześnie przybywało kilka statków, co komplikowało sytuację, gdyż goście byli bardzo wrażliwi na punkcie starszeństwa, gotowi zębami i mieczami bronić swoich przywilejów. Wystawiło to na poważną próbę moją dyplomację, ponieważ musiałem uważać, żeby żadnego z nich nie obrazić.

Jednakże mój wielki urok rozładowywał napięcie, a moje niezrównane wyczucie protokołu zapobiegło wybuchowi niejednej awantury.

Gdy tylko najważniejsi goście wraz z żonami i konkubinami wysiedli na brzeg, prowadzono ich do czekających rydwanów i jeźdźcy wraz z muzykami eskortowali ich w góry. Wzdłuż drogi stały wiwatujące tłumy, a dziewczęta tańczyły i rzucały kwiaty od nabrzeża w Gythionie po bramy twierdzy.

Tutaj król Hurotas i królowa Tehuti czekali na ich przyjęcie. Niewielu gości widziało już wcześniej Serrenę, a ze wszystkich pozostałych, choć z pewnością słyszeli o jej nadzwyczajnej urodzie, nikt nie wydawał się przygotowany na to, co zobaczy w rzeczywistości. Jeden po drugim tracili mowę i mogli tylko wytrzeszczać oczy w zdumieniu. Po kilku minutach Serrena przerywała czar swoją pełną ciepłą naturalnością i promiennym uśmiechem.

Wydawała się nieświadoma wspaniałości swojego wyglądu i nie była ani trochę próżna, co stanowiło jedną z jej licznych zalet. Oczywiście, ta skromność budziła tym większe zainteresowanie. Mogłem poznać, gdzie akurat przebywa, po wywoływanych przez nią falach podniecenia i ożywienia wśród tych, którzy tłumnie ją otaczali, żeby się pławić w jej pięknie. Co dziwne, nie budziła zawiści i zazdrości innych kobiet, tak, jakby uważały, że nie są godne z nią konkurować; była nieosiągalna jak spadająca gwiazda. Patrzyły na nią z dumą, widząc w niej uwieńczenie i uosobienie cnót swojej płci. Jej piękno znajdowało odzwierciedlenie w nich wszystkich i za to ją kochały.

Tak oto rozpoczęliśmy okres poprzedzający królewskie zaślubiny. W miarę jak zbliżał się ten wielki dzień, goście stawali się coraz bardziej podekscytowani i przepełnieni radosnym oczekiwaniem. Mogło się wydawać, że sama natura jest świadoma wagi wydarzenia i popiera je z całego serca. Padał deszcz, ale tylko nocami. Szum kropel na dachach uspokajał i kołysał do snu. O świcie chmury zniknęły i słońce świeciło na nas dobrotliwie. Wiatr słabł do łagodnego zefiru dmącego z południa, dość silnego, żeby marszczyć wodę i statecznie nieść łodzie ostatnich weselnych gości do portu Gythion.

Została tylko jedna troska, która rzucała cień na świętowanie. Była nią podjęta przez faraona Utteryka i zakończona niepowodzeniem próba wyprowadzenia galery wojennej *Memnon* z Gythionu, sugerująca zagrożenie dla księcia Ramzesa i jego oblubienicy.

W tym czasie cały cywilizowany świat już wiedział, że faraon Utteryk jest szaleńcem, który ma na zawołanie armię i flotę, i że nie zawaha się użyć jednego i drugiego przy najmniejszej prowokacji – albo bez żadnego powodu.

Król Hurotas naprawdę kochał swoją córkę Serrenę i uroczystości weselne organizowano głównie na jej cześć, jednak za kulisami z radością wykorzystywał okazję do zadbania o sprawy państwowe. Codziennie w południe zwoływał tajne spotkania za zamkniętymi drzwiami, w których brali udział wszyscy królowie i naczelnicy zgromadzeni w Lacedemonie. Pora tych spotkań została starannie przemyślana. Późniejsze godziny, kiedy wznawiano świętowanie i przednie wino

z winnic Hurotasa lało się strumieniami, nie były odpowiednie na omawianie paktu wzajemnej ochrony.

Dwa tygodnie przed ustaloną datą zaślubin księcia Ramzesa Egipskiego i księżniczki Serreny Lacedemońskiej osiemnaście głów państw, łącznie z Hurotasem i księciem Ramzesem, zebrało się w komnacie narad w cytadeli.

Poprzedniego dnia rada zagłosowała, że z powodu obłędu Utteryka nie będzie uznawać go jako faraona Egiptu. Wybrali Ramzesa na jego następcę.

Kiedy wszyscy członkowie rady zajęli miejsca, Hurotas przywołał ich do porządku.

– Obraduje Rada Północy i wzywam pana Taitę, jej sekretarza, żeby odczytał Pakt Wzajemnej Ochrony, przedłożony nam do zatwierdzenia przez tyrana Kallipolis, króla Tyndarkosa.

Tyndarkos, Ramzes i król Hurotas jako jedyni członkowie rady umieli czytać. Tylko ja w tej komnacie nie musiałem poruszać ustami podczas cichego czytania. Hurotas wybrał Tyndarkosa, żeby przekazał mi zwój papyrusu, a ja odczytałem treść dokumentu. Zawierał jedynie nieco ponad pięćset słów, lecz zobowiązywał wszystkie obecne państwa członkowskie Rady Północy do przybycia z pomocą każdemu, czyj kraj albo obywatele zostaną zagrożeni przez stronę trzecią.

Wywiązała się krótka dyskusja, ale zaraz potem wszyscy złożyli podpisy na dole zwoju. Panował jowialny, żartobliwy nastrój. Członkowie rady wyszli z komnaty na dziedziniec, gdzie stał spętany wspinały kary ogier króla Hurotasa.

Gdy zebrali się wokół konia, każdy z nich otrzymał srebrny dzbanek. Hurotas podniósł topór bojowy i jednym ciosem rozplątał czaszkę rumaka, uśmiercając go na miejscu. Władcy i królowie występowali jeden po drugim, żeby napełnić dzbanki tryskającą świeżą krwią, unosili je i z powagą intonowali:

– Jeśli złamię moją solenną przysięgę, niechaj moja krew popłynie równie obficie. – Potem wypijali zawartość dzbanka. Jedni ryczeli ze śmiechu, a inni się krztusili, czując smak gorącej krwi. Jestem pewien, że żaden z nich nie przypuszczał, że będą wezwani do wywiązania się z danego słowa jeszcze przed końcem miesiąca.

Obchody poprzedzające zaślubiny Ramzesa i Serreny osiągnęły apogeum, gdy zbliżyła się wyznaczona data. Czternaście dni przed ceremonią Hurotas ogłosił łowy na lakońskiego dzika. Był to zwierz z długą historią, budzący wyjątkowy postrach.

Kiedy Zaras z Tehuti przed laty przybył do Lacedemonu i został królem Hurotasem, jedna z jego innowacji polegała na założeniu pierwszych winnic i wyrobie wina z dojrzałych winogron.

Popełnił jednak poważny błąd. Poświęcając winnice bogom, zapomniał umieścić boginię Artemidę na liście honorowej. Artemida jest między innymi boginią lasów i wszystkich dzikich zwierząt. Hurotas wyciął lasy, żeby zrobić miejsce pod winnice, i przepędził albo wybił zwierzęta, łącznie z dzikami, które mogły niszczyć pola. Jako że dzik należy do ulubionych stworzeń Artemidy, rozsierdziło ją to aroganckie i wyniosłe zachowanie.

Wysłała lakońskiego dzika, żeby zniszczył winnice i nauczył Hurotasa pokory. Zwierzę nie było zwyczajną dziką świnią. Mogła je zabić tylko boska istota albo ktoś urodzony, żeby zostać królem, i to tylko po morderczej walce. Niezależnie od tego, ile razy zabijano lakońskiego dzika, Artemida pilnowała, żeby co roku się odradzał i na nowo nękał Hurotasa. Co roku zwierzę przysyłane przez boginię było większe, bardziej zajadłe i straszliwsze niż poprzednie.

Ostatni dzik Artemidy był wysoki jak mężczyzna i miał podobno sześć łokci w kłębie, a ważył pięćset debenów, jak rosły koń.

Lakoński dzik mieszkał w gęstych lasach wysoko w górach Tajgetos i wychodził niszczyć pola uprawne w dolinach tylko nocą, dlatego niewielu go widziało. Mógł w ciągu jednej nocy pożreć roczne plony pięciu lub sześciu małorolnych chłopów. Czego nie zjadł, tratował kopytami.

Dolne szable miał długie jak miecz wojownika. Mógł nimi wypruć końskie wnętrzności jednym ruchem szkaradnego łba. Jego twarda, gruba skóra porośnięta gęstą, szorstką szczeciną odbijała grot każdej włóczni z wyjątkiem tej, która została najwprawniej i najsilniej rzucona. Racice miał tak ostre, że jednym wierzgnięciem mógł wypatroszyć konia bojowego. Nic dziwnego, że dwóch byłych zalotników Serreny odrzuciło zaproszenie na polowanie, jeden wymawiając się podeszłym wiekiem, a drugi ostatnio pogarszającym się zdrowiem. Obaj jednak przystali na obserwowanie łowów z daleka albo z wysokiego drzewa.

Atmosfera nerwowego podniecenia panowała wśród tych, którzy przyjęli wyzwanie do walki z potworem. Naturalnie król Hurotas przewodził łowom wraz z admirałem Huim, swoim serdecznym druhem jadącym po jego prawicy. Niedawno sam Hurotas widział, jak walczyłem w bitwie o Teby przeciwko hyksoskim hordom, które napadły na Egipt, więc dla nikogo nie było

niespodzianką, że jechałem u jego lewego boku.

Przykazał żonie i równie umiłowanej córce trzymać się daleko z tyłu za łowcami, a księciu Ramzesowi towarzyszyć im jako ich główny obrońca. Gdyby zapytał mnie o radę, mógłbym mu oszczędzić wielkiego zdenerwowania i utraty godności, jako że jego pomysł natychmiast spotkał się z zaciekłym sprzeciwem całej trójki. Królowa Tehuti przystąpiła do kontraktaku z umiejętnością domorosłego jurysty i całym autorytetem trzydziestu lat małżeństwa.

– Kiedy po raz pierwszy ocaliłam ci życie, kochanie? – zapytała słodko Hurotasa. – Czy nie było to jeszcze przed ślubem? Tak, teraz sobie przypominam. Wciąż byłeś skromnym kapitanem o mieniu Zaras. Razem z Taitą przybyliście mi na ratunek, żeby uwolnić mnie z rąk tego porywacza Hawsawiego, ale bandyta dźgnął cię w brzuch, zanim miałeś szansę zabrać się do wypełnienia swojej szlachetnej misji. W końcu doszło do tego, że Taita i ja uratowaliśmy ciebie! – Położyła taki wyjątkowy nacisk na ostatnim słowie, że Hurotas pobladł z wściekłości. Nawet ja osłupiałem, słysząc, jak Tehuti manipuluje relacją z tego szczególnego wydarzenia. Zanim któryś z nas odzyskał mowę, żeby zaprotestować, śpiesznie podjęła: – Wtedy po raz pierwszy uratowałam ci życie, a było wiele późniejszych przypadków... – kontynuowała, przypominając mu o kilku innych.

Potem na dany przez nią znak Serrena wygłosiła swoją kwestię tak gładko, że gdyby nawet z dziesięć razy to przećwiczyły, nie wypadłoby równie idealnie:

– Mama i ja zawarłyśmy pakt, że będziemy się dzielić błękitnym mieczem, który dostała w darze od swojego ojca. – Jej piękny głos zadrżał z ckliwego sentymentalizmu. – Jeśli razem nie weźmiemy udziału w tych łowach, będzie to oznaczało, że jedna z nas zostanie pozbawiona broni, która może ocalić życie jej albo tobie. Nie możemy pozwolić, żeby któraś z nas, bezbronna, została rzucona na pastwę tej morderczej świni, prawda, tatku?

Hurotas odwrócił się ku córce, nawet nie odpowiedziawszy żonie, ale księżę Ramzes nie dopuścił go do słowa.

– Mam obowiązek chronić moją przyszłą żonę przed strasznym niebezpieczeństwem, Wasza Wysokość. Muszę być u jej boku, kiedy napotkamy tę żarłoczną bestię.

Król Hurotas piorunował wzrokiem całą trójkę, ale stali niewzruszenie ramię w ramię. Rozejrzał się w poszukiwaniu wsparcia i oczywiście zobaczył mnie, dyskretnie stojącego w tle.

– Taito, wyjaśnij tym idiotom, że polujemy na wyjątkowo groźnego zwierza. Wszyscy znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, kiedy go wytropimy.

– Wasza Wysokość, tylko głupiec nie przestaje się kłócić, kiedy został przechytzony i nie ma przewagi liczebnej. Ja pierwszy poświadczę, że nie jesteś głupcem. Proponuję, żebyś pogodził się z tym, co nieuniknione – rzekłem, a on przeszył mnie wzrokiem. Gniewna mina konkurowała z błyskiem śmiechu w jego

oczach, gdy zrozumiał, że nie może liczyć nawet na moje poparcie. Odwrócił się i podszedł do dwóch stajennych, którzy trzymali jego wierzchowca. Skoczył na siodło i zebrał wodze. Powiedział po nas wszystkich wściekłym spojrzeniem.

– No to jedziemy! Jeśli jesteście absolutnie zdecydowani umrzeć, za mną! I niechaj Artemida i wszyscy inni bogowie ulitują się nad waszą głupotą, choć jestem przekonany, że to mało prawdopodobne.

Obszar, który musieliśmy przemierzyć, był ogromny, górzysty i porośnięty gęstym lasem, z winnicami rozsianymi u podnóży. Hurotas narzucił takie tempo, jakby chciał ukarać żonę i córkę za zuchwalstwo, z jakim przeciwstawiły się jego rozkazom, jednak obie bez wysiłku mu dorównywały. Nie trzeba mówić, że ja również jechałem na czele, o końską długość za dwiema paniami. Reszta myśliwych, niemal setka, rozciągnęła się za nami na przestrzeni kilku mil. Humory dopisywały, większość wierzyła, że relacje o zwierzynie są mocno przesadzone i że lakoński dzik jest zwyczajnym nieszkodliwym stworzeniem, które można zabić dziesiątką strzał i pchnięciem włócznią. Wielu bardziej interesowały dzbany wina przekazywane z ręki do ręki.

Nasza mała grupa szybko napotkała liczne dowody obecności dzika. Na wielkich połaciach winnic winorośl została bez skrępów wyrwana z korzeniami, a kanały irygacyjne, pracowicie wykopane przez wieśniaków, zniszczone. Woda wyciekała na zbocze do rzeki w dolinie, skąd pochodziła, i spływała prosto do morza. Pędy, których nie stratował dzik, zbrązowiały i straciły liście, usychając z pragnienia. Chłopi odpowiedzialni za utrzymanie kanałów byli zbyt przerażeni, żeby pracować na polach, i kulili się w swoich chałupach, bardziej bojąc się potwornego zwierza niż gniewu Hurotasa.

Bogini Artemida nie mogłaby w imperium Hurotasa wybrać miejsca bardziej czulego i bolesnego niż winnice, żeby go ukarać za arogancję. Król kochał swoje wino niemal jak zawartość skarbca i kiedy miał w jednej ręce dzban płynnej czerwonej magii, a drugą trzymał za pasem, był człowiekiem sytym. Choć zarządcy powiadomili go o skali spustoszeń, sam jeszcze ich nie widział. Słuchanie o czymś jest jedną rzeczą, a ujrzanie tego na własne oczy to zupełnie inna sprawa.

Jechał na czele naszego oddziału, wymachując włócznią myśliwską nad głową, i pomstował na boginię oraz jej sługę. Drżałem, słysząc takie obelgi miotane na córkę Zeusa. Najłagodniejszy z tych epitetów brzmiał „wstrętne, szkaradne jędzowata dziwka”. Najgorszy był bezczelnym oskarżeniem bogini o sprzeczny z naturą związek z dzikiem. Obraz wyczarowany przez moją wyobraźnię był zbyt straszny, żeby go kontemplować, ale Tehuti i jej umiłowana córka Serrena uznały go za nadzwyczaj zabawny.

Nagle ich wesoły śmiech został gwałtownie ucięty przez straszny dźwięk, który niemal ogłuszył nas wszystkich. Hurotas ściągnął wodze i rozejrzał się z zaskoczoną miną. Wyznam, że nawet ja, którego niełatwo przestraszyć, byłem

zaskoczony.

Tylko raz w życiu słyszałem coś równie groźnego i miało to miejsce na brzegach Nilu w Etiopii. Taki dźwięk zjeżyłby włos na karku dzielnego człowieka i może nawet otworzył mu zawory w pęcherzu i odbycie. Ponownie usłyszałem ryczenie czarnogrzywego lwa, tylko znacznie głośniejsze. Moja głowa jakby z własnej woli obróciła się w kierunku, z którego płynął grzmiący odgłos.

Na skraju lasu nad winnicą pojawił się ogromny klinowaty łeb, który zdawał się należeć do mitycznego stwora. Porastała go kędzierzawa, czarna jak smoła szczecina. Dzik miał szpiczaste, zwrócone przed siebie uszy i jasne, złośliwe świńskie oczka. Nozdrza w spłaszczonym ryju wietrzyły nasz zapach. Długie szable były tak mocno zakrzywione, że ostre jak brzytwa czubki niemal stykały się nad masywną czaszką.

Z gardzieli bestii popłynął kolejny lwi ryk i zrozumiałem, że jest ona dziełem kaprysu bogini, a nie natury. Potwór mógłby prawdopodobnie skrzeczeć jak orzeł albo beczeć jak koza, gdyby tak postanowił. Drzewa gięły się i kołysały, gdy parł wśród nich, żeby wyjść na otwartą przestrzeń. Miał potężnie umięśniony zad i kudłaty garb pomiędzy łopatkami. Darł ziemię racicami wielokrotnie większymi od kopyt dzikiego bawołu, na którego polowałem u źródeł rzeki Nil. Wzbijał gęstą chmurę brązowego pyłu, która go spowijała i użyczala mu mistycznej aury powiększającej wrażenie zagrożenia. Nagle zaszarżował w dół zbocza, mknąc przez winnice prosto na Hurotasa, jakby rozpoznał w nim głównego wroga swojej pani, Artemidy.

Hurotas natychmiast opuścił włócznię i pogalopował na spotkanie z pędzącym potworem. Wydał dziki okrzyk wojenny, prawdopodobnie bardziej po to, żeby dodać sobie odwagi, niż przestraszyć zwierza, który odpowiedział kakofonią ryku i chrząkania.

Dzik miał przewagę, ponieważ atakował z góry. Posiadając ogromną masę, mknął niepohamowanie niczym skalna lawina schodząca z górskiego zbocza, wywołana przez trzęsienie ziemi. Gdy się spotkali, Hurotas stanął w strzemionach i dźwignął ciężką włócznię myśliwską. Rzucił nią w bestię całą siłą prawego ramienia, zahartowanego i utwardzonego w piecu wielu bitew. Rzut był idealny. Włócznia trafiła w cel, przebiła grubą skórę porośniętą kudłatą sierścią i do połowy ugrzęzła w klatce piersiowej. Miałem nadzieję, że przeszła serce i inne ważne narządy wewnętrzne.

A jednak dzik nijak nie zareagował na zadaną mu głęboką i straszną ranę. Nie zachwiał się ani nie zgubił kroku. Pędził jak wiatr; ryk furii stał się jeszcze bardziej ogłuszający, gdy obrócił ohydny łeb z wprawą i siłą wymachującego toporem kata. Wielkie zakrzywione białe kły błysnęły w powietrzu i wbiły się w pierś ogiera. Rozdarły skórę, ciało i kość, zadając jedną koszmarną ranę od środka piersi przez łopatkę i żebra wzdłuż boku, wypruwając trzewia, a potem

strzaskały staw kolanowy zadniej nogi. Koń runął z dwiema odciętymi nogami. Hurotas też powinien stracić nogę, ale impet zderzenia wyrzucił go z siodła chwilę przed tym, zanim kły rozplątały wierzchowca. Upadł w bezpiecznej odległości, lecz na głowę, i pomimo hełmu stracił przytomność.

Dzik skupił uwagę na powalonym koniu; wściekle rozdzierał go szablami. Popędziłem swojego wierzchowca w górę stromego zbocza, ale Tehuti już była daleko przede mną; szarżowała na wielkiego dzika, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Serrena i Ramzes pędzili pół końskiej długości za nią. Wszyscy troje dziko wrzeszczeli. Tehuti klęła zwierza za zabicie męża i groziła mu śmiercią, potrząsając błękitnym mieczem nad głową. Ramzes i Serrena ponaglali się wzajemnie, oszaleli z podniecenia, porzucając cały zdrowy rozsądek. Krzychałem do nich, żeby zachowali ostrożność, odstąpili od bestii i pozwolili mi się z nią rozprawić. Jak zwykle, żadne nie zwróciło najmniejszej uwagi na moje słowa.

Tehuti zajechała dzika od tyłu i pochyliła się w siodle, żeby ciąć ściętno w zadnich nogach. W tej samej chwili dzik wierzgnął i racica trafiła w prawy nadgarstek Tehuti. Kość pękła i błękitny miecz zawisł w powietrzu, wyrwany z jej ręki. Ból musiał być silny, bo straciła równowagę i zsunęła się na ziemię. Spadła pod wierzgające racice wielkiego dzika, zdrową ręką ściskając złamany nadgarstek. Ramzes, który jechał tuż za nią, w lot dostrzegł niebezpieczeństwo i zeskoczył z konia. Dobry chłopak, wykorzystał pęd, żeby podbiec, złapać Tehuti w ramiona i potoczyć się z nią w dół zbocza poza zasięg groźnych kłów i bijących jak cepy racic.

Serrena była tak przejęta losem matki, że na chwilę się zdekoncentrowała. Kiedy dzik ruszył na jej konia i zwierzę się spłoszyło, została wyrzucona z siodła. Zdołała wylądować na nogach, ale straciła włócznie i teraz oszalałym wzrokiem szukała innej broni albo przynajmniej drogi ucieczki z oparów.

Tymczasem ja widziałem, gdzie upadł błękitny miecz, w błoto wśród tratowanych winorośli. Ostrze z magicznego srebrnego metalu, który połyskiwał niczym świeżo złowiony tuńczyk, przyciągnęło moje oko.

Spinając konia, skierowałem się w tamtą stronę i wychyliłem z siodła w pełnym galopie. Zamknąłem palce na wysadzonej klejnotami rękojeści. Gdy znowu się wyprostowałem, krzyknąłem: „Serrena!”, a mój głos poniósł się nad wrzaskiem i dzikimi okrzykami, grzmotem galopujących kopyt i wściekłym rykiem wielkiego wieprza bogini Artemidy.

Gdy tylko dziewczyna zwróciła ku mnie oczy, zakręciłem błękitnym mieczem nad głową.

– Tutaj, Serreno! Łap!

Z całej siły go rzuciłem. Obrócił się w powietrzu, kiedy ku niej spadał. Księżniczka podskoczyła z wdziękiem i chwyciła go w locie. Teraz, gdy cudowna broń znalazła się w prawicy półbogini, zagadka obmyślona dla nas przez Artemidę



była o krok od rozwiązania. Serrena biegła prosto na dzika. Patrzyłem na nią z łomoczącym sercem, rozdieranym przez dumę i przerażenie. Byłem dumny z jej piękna i odwagi; przerażony z powodu grożącego jej niebezpieczeństwa.

Dzik musiał ją wyczuć, bo zostawił konia, nad którym się pastwił, i obrócił się ryjem w jej stronę. W chwili gdy ją zobaczył, ruszył do szarży. Serrena przystanęła i balansowała na palcach, jakby popisując się przed wielką świnią, i w ostatniej chwili uskoczyła na bok. Mijając ją, dzik machnął strasznymi kłami, którymi bez wysiłku wypatroszył konia króla Hurotasa. Jeden z kościanych szpiców zahaczył o fałdy tuniki, ale tylko rozdarł tkaninę, nie przewracając księżniczki.

Gdy zwierz przemykał, zamierzyła się na niego srebrnobłękitnym ostrzem. Jasny skraj trafił w staw zadniej nogi i przeciął ją czysto. Odcięta kończyna została, tkwiąc w lepkim błocie, ze skręcającymi się, podrygującymi włóknami mięśni.

Jednakże na trzech nogach dzik był niemal równie zwinny jak na czterech. Obrócił się na ocalałej zadniej nodze. Już nie ryczał, tylko kłapał szczękami i kły z przerażającym odgłosem grzechotały niczym zderzające się kamienie. Serrena znów pozwoliła mu podejść, po czym odskoczyła i ostrze w jej ręce zdawało się rozpuszczać w smugę żywego srebra, gdy cięło prawą przednią nogę niczym gotowany szparag.

Pozbawiony dwóch nóg dzik runął łbem na ziemię i przewrócił się na grzbiet. Szaleńczo próbując wstać, szorował grubym jak pień drzewa karkiem po błotnistej ziemi. Serrena stanęła nad nim, oburącz chwyciła rękojeść, wzniosła błękitny miecz wysoko nad głowę i opuściła go w łśniącym łuku. Ostrze ze świstem cięło powietrze, napędzane siłą jej ramion. Zdawało się, że wielki łeb dzika zeskoczył z garbatych barków. Z szeroko rozwartego ryja popłynął żalospny dźwięk, ni to wycie wściekłości, ni to śmiertelny lament. Fontanna ciemnej krwi bluznęła z przeciętej gardzieli i zmoczyła dół tuniki Serreny, która stała nad zwierzem w triumfalnej postawie.

Krzyknąłem dziko na znak aprobaty i natychmiast zawtórowało mi sto innych głosów. Ramzes podbiegł, żeby z ulgą uściskać narzeczoną. Tehuti podniosła się z ziemi i tuląc do piersi strzaskany nadgarstek, z trudem panując nad bólem, śpieszyła do nich dołączyć. Cudzoziemscy królowie i generałowie pod wodzą admirała Huiego na czele jego Spartan stłoczyli się w winnicy, żeby sławić odwagę i umiejętności Serreny. Jeden po drugim padali przed nią na kolana, obsypując ją pochwałami i nie szczędząc pochlebstw. Podziękowała im zamaszystym gestem, po czym objęła ramiona matki i pomogła jej podejść do nieprzytomnego ojca.

Szybko go ocuciły i król Hurotas usiadł, wodząc dokoła mętym wzrokiem. Dopiero potem dwie kobiety, które kochałem najbardziej na świecie, jednocześnie odwróciły się w moją stronę i uśmiechnęły z wdzięcznością nad głowami

hałaśliwego tłumy.

To proste podziękowanie sprawiło, że poczułem się syty.

Ber Argolid z beockich Teb, człowiek zwany Silnorękim z powodu ciężaru miecza, jakim włada, był najważniejszym i najpotężniejszym spośród drobnych naczelników. Rozkazał sługom zabrać na łowy krzesło tronowe – dla wygody, a co ważniejsze, dla podkreślenia swojego znaczenia. Teraz nalegał, żeby Serrena zajęła miejsce na tronie w uznaniu dla jej wyczynu zbrojnego, jakim było zabicie wielkiego dzika. Nie chcąc być gorsi, inni królowie i naczelnicy okazali szacunek, po ośmiu niosąc księżniczkę na tronie w honorowym pochodzie. Zmieniali się, dźwigając ją na ramionach i śpiewając pieśni pochwalne, gdy maszerowali z gór Tajgetos do twierdzy.

Wieści o cudownym wyczynie wyprzedziły orszak i miałem wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Lacedemonu wylegli na drogę, żeby wiwatować na cześć Serreny, zasypywać ją płatkami kwiatów i burzliwie oklaskiwać. Szedłem po jej lewej stronie, na honorowym miejscu. Wrodzona mi skromność dyktowała, że nie powinienem tak się wyróżniać, ale księżniczka nalegała.

Powrót do domu zajął prawie resztę dnia i słońce zbliżało się do linii horyzontu, kiedy wreszcie przenośny tron stanął na podwyższeniu na dziedzińcu cytadeli. Nawet wtedy nie pozwolono Serrenie z niego zejść.

Jej ojciec, król Hurotas, w tym czasie zupełnie doszedł do siebie po starciu z wielkim dzikiem i, zawsze oportunistyczny, skorzystał z okazji, żeby potwierdzić lojalność szesnastu drobnych władców.

W zamku panowała atmosfera radosnego podniecenia, wywołana przez nadzwyczajny czyn Serreny. Jeśli wcześniej jej uroda oszałamiała, teraz stała się niewysłowiona, gdy promieniała, szczerze obsypywana pochwałami. Nikt – mężczyzna czy kobieta, stary czy młody, arystokrata czy plebejusz – nie był w stanie się mu oprzeć. Królewscy goście i ongisiejsi zalotnicy dali się unieść nastrojowi jak wszyscy inni.

Król Hurotas postanowił przemówić. Stał pomiędzy ranną królową, szlachetną i dzielną z ręką na przygotowanym przeze mnie temblaku, i swoją piękną córką. Wszyscy spijali słowa z jego ust i wiwatowali po każdym egzaltowanym zdaniu. W tym czasie większość królów już dostała dzbany przedniego czerwonego wina, które traktowali z należą estymą. Niewolnicy stali w pogotowiu, żeby dopełniać kielichy, zanim opróżnią się do połowy.

Hurotas powiedział zgromadzonym królom i dostojnikom, że widzi ich jako braci zjednoczonych przez wspólną sprawę i wzajemny szacunek. Te słowa spowodowały wyjątkowo głośny i entuzjastyczny wybuch aplauzu. Kiedy hałas wreszcie ucichł, wstał król Ber Argolid, zdecydowany nie dać się prześcignąć krasomówczemu Hurotasowi.

– Od tej chwili obraza jednego z nas jest obrazą dla nas wszystkich! –

krzyknął. – Złączmy ręce i złożmy przysięgę wzajemnej ochrony.

– Kto wysłucha naszej przysięgi? – zapytał Hurotas.

– Któż by inny, jak nie najpiękniejsza kobieta na świecie? – odpowiedział Ber Argolid. – Któż by inny, jak nie najdzielniejsza kobieta, która zabiła lakońskiego dzika?

Tak oto jeden po drugim, bez szczególnego porządku, szesnastu królów występowało i zginało kolano przed księżniczką Serreną, żeby złożyć Przysięgę Wielkiego Dzika. Ceremonia i świętowanie, które towarzyszyły zdarzeniu, ciągnęły się długo w noc. Ktoś mógłby pomyśleć, że w tym czasie towarzystwo powinno być zmęczone, ale był to dopiero początek. Tańce, pijatyka i hulanki dopiero się zaczęły. Serrena była najbardziej niezmordowana. Tańczyła ze wszystkimi królami, łącznie z ojcem i Ramzesem, który jeszcze nie był królem. Tańczyła nawet ze mną, i to nie jeden raz. Skomplementowała mnie, mówiąc, że mam najłżejsze stopy ze wszystkich jej partnerów z wyjątkiem Ramzesa, ale z pewnością zrobiła dla niego wyjątek tylko dlatego, że była z nim zaręczona.

Kiedy Hurotas wyzwał Bera Silnorękiego Argolida na mocowanie się na rękę, większość mężczyzn przestała tańczyć, żeby obstawiać wynik pojedynku. Zakładali się o niebotyczne sumy ze współmiernym do nich podnieceniem i ryczeli, dopingując swoich faworytów. Rozebrani do przepasek zawodnicy zajęli miejsca naprzeciwko siebie przy dębowym stole i stękali, jęczeli, zlewali się potem, wzajemnie próbując wyrwać sobie ręce z ramion.

Prawdopodobnie byłem jedyną obecną osobą, która miała dość wyczulony słuch, żeby usłyszeć cokolwiek innego w pandemonium tworzonym przez zawodników i widzów. Stopniowo stałem się świadom cichych tonów słodkiego śpiewu płynącego zza murów cytadeli.

Zostawiłem zmagania i wyszedłem na ganek zewnętrznego muru, skąd ujrzałem grupę nie mniej niż pięćdziesięciu kobiet, wszystkich ubranych w długie do kostek białe szaty, z twarzami pomalowanymi ołowiem na odcień śmiertelnej bieli, a oczami okolonymi czarnym proszkiem antymonowym. Szły po grobli do murów, każda z zapaloną latarnią, i śpiewały odę do Artemidy. Po umalowanych twarzach i zakonnych szatach rozpoznałem akolitki bogini. Wiedziałem, że Hurotas i jego wierni zwolennicy nie będą zadowoleni, gdy służki Artemidy lamentujące nad śmiercią ulubionej świni przeszkodzą im w świętowaniu. Zbiegłem po schodach do głównej bramy cytadeli, chcąc przykazać strażnikom, że mają zakazać im wstępu, i zobaczyłem, że już jest za późno. Strażnicy rozpoznali procesję i szeroko otworzyli bramę.

Pięćdziesiąt kapłanek Artemidy i dwakroć tylu uzbrojonych strażników zatarasowało wejście do cytadeli, wąskie ze względów strategicznych dla ułatwienia obrony. Zepchnęli mnie do tyłu i znowu znalazłem się na dziedzińcu, gdzie natychmiast zostałem porwany przez wir nowych sprzymierzeńców

Hurotasa, drobnych naczelników pod wodzą Bera Silnorękiego Argolida. Wszyscy krzyczeli, łącznie ze mną, i żaden z nas nie słuchał.

Nagle i niespodziewanie nad panujący zgiełk wzbił się czystszy, bardziej liryczny głos. Tak przykuwał uwagę, że natychmiast umilkliśmy. Wszystkie głowy obróciły się w kierunku, z którego napływał. Tłum utworzył szpaler i stanęła w nim gibka, piękna księżniczka Serrena.

– Wielebna matko! – Przyklękła przed najwyższą kapłanką. – Witaj w cytadeli mego ojca.

– Kochane dziecko, przynoszę ci pozdrowienia i wiadomość od bogini Artemidy. Czy jesteś chętna przyjąć jej święte słowo? Jeśli tak, błagam, klęknij, żeby go wysłuchać – odparła siostra Hagne, wielebna matka Zakonu Sióstr Złotego Łuku. Złoty łuk był jednym z licznych atrybutów Artemidy.

Król Hurotas podszedł z wojowniczą miną i zadziornym błyskiem w oczach.

– Jeszcze się przekonamy... – zaczął, ale na szczęście stałem dość blisko, żeby go złapać za ramię, nagie i śliskie od potu po niedawnym wysiłku.

– Pohamuj się, Zarasie – szepnąłem, żeby tylko on mnie usłyszał. Użyłem jego dawnego imienia, wykorzystując moją dawną władzę nad nim. Natychmiast się zmitygował i spokorniał. Nasza drobna scysja nie zwróciła niczyjej uwagi w religijnej gorączce chwili. Serrena posłusznie opadła na kolana przed najwyższą kapłanką, która palcem wskazującym wyrysowała symbol łuku na jej czole, a następnie niższym i budzącym grozę tonem, który sprawił, że gęsia skórka pokryła moje przedramiona, podjęła:

– Bogini Artemida uznaje cię za siostrę z krwi i kości...

Nie mogłem się powstrzymać od zerknięcia na Tehuti, która stała przy mężu, trzymając go za rękę. Tak jak ja, próbowała zachować panowanie nad sobą. Odruchowo odwzajemniła moje spojrzenie, gdy tylko poczuła je na sobie. Zarumieniła się i spuściła oczy, gdyż oboje pamiętaliśmy, co mi opowiedziała o swoim śnie, bardzo realistycznym i odczuwalnym śnie o poczęciu jej jedyne dziecko. Po chwili ponownie przeniósłem uwagę na najwyższą kapłankę. Jak wszyscy inni, z niecierpliwością czekałem, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Artemida uznaje i pochwała cios, jaki dziś zadałaś dla wywyższenia i prestiżu całego stanu kobiecego. Dowiodłaś, że my, kobiety, w pełni dorównujemy mężczyznom, którzy próbują nas zdominować i podporządkować. – Gdy to rzekła, spostrzegłem, że Hurotas otwiera usta, chcąc zaprotestować z odnowioną wściekłością i werwą. Tehuti kopnęła go w goleń, żeby uniemożliwić mu świętokradztwo. Był to nie lada kopniak, bo wręcz słyszałem włożoną w niego siłę, a Hurotas ryknął z bólu.

– Och, kobieto! Chcesz mnie okulać na całe życie?

Krzyknąłem razem z nim, a ponieważ stałem bliżej kapłanki, zagłuszyłem jego słowa:

– Och, kobieto, ocaliłaś królowi życie!

Szesnastu królów podchwyciło krzyk.

– Księżniczka Serrena ocaliła króla! Chwała jej!

Najwyższa kapłanka, szumnie zwana Hagne, czyli Czysta, była zachwycona tą aprobatą. Zobaczyłem, że oczy się jej rozświeciły pomimo czerni tłumiącej ich lśnienie, gdy po raz pierwszy spojrzała na króla Bera Argolida.

Bogini Artemida jest dziewicą i żadne zwierzę, mężczyzna czy bóg nigdy jej nie tknęli. Ona i jej ciało są przenajświętsze. Wywarłaby straszliwą zemstę na każdym samcu, który bodajby spróbował poznać jej ciało. Jednakże jeden z najważniejszych obowiązków jej kapłanek polega na odgrywaniu roli erotycznych zastępczyń umiłowanej bogini. Mają jej pozwolenie na zbliżenia płciowe z każdym stworzeniem znanym na tej ziemi, czy to mężczyzną i kobietą, czy też zwierzęciem, rybą, ptactwem albo bestią. Wszystkie doznania zmysłowe, jakich doświadczają, są w całości przekazywane Artemidzie. Sama bogini na zawsze pozostanie czysta i nie skalają jej sprzeczne z naturą połączenia ciała i narządów ani też najdziwniejsza penetracja otworów cielesnych zastępczyń. Ten układ zawsze mnie fascynował, gdyż obiecywał nieograniczone możliwości nawet komuś tak fizycznie upośledzonemu jak ja.

Pięćdziesiąt kapłanek Artemidy poszło za swoją najwyższą kapłanką do głównej sali cytadeli. Zachowywały się z pełnym godności wdziękiem, ale tętniąca w nich wszyskkich zachłanność przywiodła mi na myśl ryby tygrysie w Nilu, kiedy wyczują krew w wodzie. W ciągu godziny kapłanki porzuciły wszelkie pozory skromności wraz z większą częścią ubrań. Ich tańce przypominały akt kopulacji, chociaż przyznam, że większość z nich miała dość taktu, żeby udać się do sąsiednich komnat przed zrobieniem ostatnich kroków w pogoni za uciechami życia.

Odczułem ulgę, widząc, że Bekatha i Tehuti przez cały wieczór mają oko na swoich mężów, a także Serrenę. Bekatha była jednak bardziej pobłażliwa, gdy szło o jej czterech synów. Podśluchałem rozmowę Serreny i jej najmłodszego kuzyna, kiedy wrócił z krótkiej wizyty w jednej z zewnętrznych komnat.

– Gdzie byłeś, Palmysie, i co robiłeś? – zapytała Serrena. – Chciałam, żebyś ze mną zatańczył.

– Składałem ofiarę Artemidzie – odparł, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Myślałam, że czcisz tylko Apolla?

– Czasami dobrze jest postawić na dwa rydwany w tym samym wyścigu.

– Pokażesz mi, jak składasz ofiarę jednemu z tych boskich? – poprosiła naiwnie.

– Kiedyś proponowałem, że to zrobię, ale odmówiłaś. Głuptas z ciebie. Teraz będziesz musiała poczekać, aż Ramzes w końcu się zabierze, żeby cię tego nauczyć.

Patrzyła na niego, dumając nad odpowiedzią, potem jej oczy zogniły i ich zieleń nabrała głębi, gdy zrozumiała sens jego aluzji.

– Kiedyś byłeś małym świntuchem, czyż nie, Palmysie? – powiedziała słodko. – Ale wygląda na to, że z wiekiem stałeś się zbereźnym starcem. – Trzepnęła go po uchu tak niespodziewanie i mocno, że zawył w proteście.

Nie wszystkie spotkania tego wieczoru były równie niefortunne. Król Ber Argolid z szelmowską miną i lubieżnym błyskiem w oku wrócił znacznie później z miejsca, gdzie romansował z najwyższą kapłanką. Poszedł prosto do gospodarza, króla Hurotasa, żeby ogłosić swoje zaręczyny z Hagne, która właśnie zrzekła się urzędu wielbnej matki Zakonu Sióstr Złotego Łuku.

– Czyżbym cię źle zrozumiał, kiedy mówiłeś, że już masz dziesięć pięknych żon na swojej ojczystej wyspie? – Hurotas nie mógł się powstrzymać od szczerzenia zębów w uśmiechu.

– Dokładna liczba wynosi trzynaście, mój drogi Hurotasie. Bez wątpienia jesteś świadom, że to najbardziej pechowa liczba w naszej numerologii, podczas gdy czternastka jest wyjątkowo pomyślna.

Hurotas tego samego dnia udzielił im ślubu, co stało się kolejnym doskonałym powodem do dalszego świętowania. Nazajutrz wypadał trzynasty dzień przed weselem Serreny i Ramzesa, lecz w owym czasie w ogóle o tym nie myślałem.

Rano zbudziłem się z potwornym bólem głowy, a do tego pełen najgorszych przeczuć. Leżałem na sienniku i próbowałem zgłębić przyczynę tej nagłej zmiany nastroju, która zaszła we mnie od wczoraj. Wysłałem służącego, żeby dopytał o nowożeńców, króla Bera Argolida i była wielbłądź matkę Hagne. Po powrocie zameldował, że wciąż przebywają w komnacie sypialnej. Sądząc po kobiecych piskach rozkoszy i innych odgłosach sugerujących energiczne przesuwanie ciężkich mebli, a może nawet rozbijanie ich na drobne kawałki, zapewne nie spali. Wszystkie inne żony i dzieci, łącznie z księżniczką Serreną, miały się dobrze; nikt nie został powalony przez chorobę ani nie wydarzyła się żadna inna tragedia. Co więcej, gdy sługa donosił mi o swoich odkryciach, słyszałem radosne krzyki i śmiech wpadający przez okna moich pokoi. Podszedłem i wyjrzałem na dziedziniec.

Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem, że Ramzes i księżniczka Serrena wyjeżdżają przez bramę na swoich ulubionych rumakach; wybierali się na jakąś wycieczkę w towarzystwie dwóch służących i licznych zbrojnych. Uśmiechnąłem się do siebie, gdy zrozumiałem, że przecucie zbliżającego się nieszczęścia jest prawdopodobnie skutkiem dwóch czy trzech dzbanów wybornego czerwonego wina, które wczorajszej nocy wypilem za namową Hurotasa – naturalnie wbrew mojemu zdrowemu rozsądkowi.

Zszedłem nad rzekę i wykąpałem się nago w zimnej wodzie, co jest uniwersalnym lekarstwem na nieprzyjemne następstwa braku umiaru w spożywaniu soku ze sfermentowanych winogron. Później z jasną głową i czystym sumieniem wróciłem do cytadeli, żeby dołączyć do Hurotasa i Huiego w komnacie narad, gdzie debatowali z dwunastoma ze swoich szesnastu królewskich sprzymierzeńców. Pozostali czterej przysłali przeprosiny i wyjaśnienie, że wciąż są niedysponowani.

Niedługo po południu Ramzes wrócił do cytadeli i dołączył do nas, żeby wziąć udział w wojennych przygotowaniach.

– Gdzie jest księżniczka Serrena? – Tak brzmiały moje pierwsze słowa.

– Zostawiłem ją na północnej plaży, przy Błękitnym Stawie.

Dobrze znałem to miejsce.

– Nie zostawiłeś jej samej, mam nadzieję?

– Prawie samą. – Popatrzył na mnie z miną sugerującą, że ma świętą cierpliwość. – Z dwiema służkami i ośmioma moimi najlepszymi wojownikami. Sądzę, że powinna być bezpieczna przez kilka następnych godzin. Uznałem, że mam obowiązek uczestniczyć w naradzie, gdyż wasze plany obejmują wykorzystanie mojego okrętu i moich ludzi. Powinieneś mieć na uwadze, że Serrena już nie jest dzieckiem, Taito. Doskonale umie o sobie zadbać. Obiecała tu



wrócić cztery godziny po południu.

– Ramzes ma rację. – Hurotas, nieproszony, włączył się do naszej prywatnej rozmowy. – Jest pod dobrą ochroną.

Oczywiście Hui musiał wścibić swój długi nos tam, gdzie nie był szczególnie potrzebny.

– Jednym z jej strażników jest Palmys, mój najmłodszy – powiedział. – Może jest młody, ale nie brakuje mu zaciekłości – dodał chełpliwie.

Znów spochmurniałem, ale inni zbyli temat i przeszli do dalszych rozważań. Chciałem zachować powściągliwość, lecz wciąż mi się narzucali i nalegali, żebym wziął udział w planowaniu. Trudno było ich zignorować i wbrew sobie stopniowo dałem się wciągnąć w dysputę. Prawdę mówiąc, okazała się tak pasjonująca, że stopniowo traciłem poczucie mijającego czasu.

W pewnej chwili dwie niewolnice po cichu weszły do komnaty i zaczęły zapalać lampy oliwne od płonących świeczek. Byłem tym zdziwiony, dopóki nie spojrzałem przez okna na malowniczy widok gór Tajgetos. Zobaczyłem, że słońce opada za urwiste szczyty.

– Na potężnego Zeusa! – zabluzniłem z zaskoczenia i zerwałem się na równe nogi. – Która godzina?

Hui wstał i podszedł do zegara wodnego, który stał na stole w kącie komnaty. Postukał w niego palcem.

– Ten zegar z pewnością się zepsuł. Woda ścieka zbyt szybko. Wskazuje ósmą. Na pewno się myli.

– Spójrz przez okno na słońce. Ono się nigdy nie myli – powiedziałem i zaraz potem zwróciłem się do Ramzesa: – Mówiłeś, że o której Serrena powinna wrócić z resztą towarzystwa?

Ramzes zerwał się od stołu ze skruszoną miną.

– Na pewno już są w cytadeli. Wrócili kilka godzin temu, ale Serrena nie chciała nam przeszkadzać. Hurotas zostawił ściśle instrukcje...

Nie czekałem, żeby słuchać jego dalszych pobożnych życzeń. Byłem w połowie drogi do drzwi, kiedy Hurotas zawołał:

– Wracaj, Taito! Dokąd się wybierasz?!

– Do głównej bramy. Strażnicy będą wiedzieć, czy Serrena wróciła! – krzyknąłem przez ramię. Ledwie rozpoznałem własny głos, przesywający z paniki, dźwięczący mi w uszach. Nie mam pojęcia, dlaczego byłem taki poruszony. Nagle wszystkie moje wcześniejsze złe przeczucia zaczęły krążyć nade mną na sępich skrzydłach i smród nieszczęścia drażnił mi nozdrza. Biegłem niczym jeleń ścigany przez psy i słyszałem klekot sandałów na schodach, gdy inni pędzili za mną. Wypadłem na dziedziniec i z odległości stu kroków ryknąłem do strażników: – Czy księżniczka Serrena wróciła do cytadeli? – Musiałem powtórzyć pytanie, zanim jeden z nich mnie zrozumiał.

– Jeszcze nie, panie Taito! – odkrzyknął. – Czekaliśmy...

Nie mogłbym znieść dalszej zwłoki. Przemknąłem obok niego i pobiegłem w kierunku stajni. Przypomniałem sobie, że zostawiłem miecz w komnacie narad, ale nie mogłem po niego wrócić, nie teraz. Wiedziałem z całkowitą pewnością, że coś strasznego spotkało Serrenę, że rozpaczliwie mnie potrzebuje.

Wsunąłem wędzidło w pysk mojego ulubionego wierzchowca, pięknej kasztanki, którą dała mi Tehuti. Nie marnując czasu na siodłanie, wskoczyłem na goły grzbiet i wbiłem pięty w jej żebra.

– Wio, Lato! – krzyknąłem. Wypadliśmy przez bramę i obraliśmy drogę przez górską przełęcz na północne wybrzeże. Raz się obejrzałem i daleko w tyle zobaczyłem innych pod wodzą Ramzesa, Hurotasa i Huiego, jadących co koń wyskoczy w daremnej próbie zrównania się ze mną.

Światło gasło, gdy dotarłem do wąskiej ścieżki wiodącej na plażę i do Błękitnego Stawu. Wciąż popędzałem Lato, kiedy nagle klacz tak dziko skoczyła w bok, że mniej wprawny jeździec runąłby na ziemię. Ściągnąłem wodze i zmusiłem, żeby się zatrzymała. Posłuchała, dziko potrząsając łbem. Spojrzałem na to, co ją przestraszyło. Z nagłym przerażeniem zrozumiałem, że na ścieżce leżą ludzkie zwłoki. Zsunąłem się z grzbietu kasztanki i podprowadziłem ją, drżącą i potrząsającą łbem, do zlanego krwią, leżącego twarzą w dół trupa. Opadłem na kolano i ostrożnie przewróciłem go na plecy.

Natychmiast rozpoznałem Palmysa, najmłodszego syna Huiego i Bekathy. Był zupełnie nagi. Mordercy zabawili się nim, zanim poderżnęli mu gardło. Rozplatali mu brzuch i wypruli wnętrzności. Odcięli mu przyrodzenie i wyłupili oczy, zostawiając puste oczodoły. Już nie był pięknym młodzieńcem, i gorzko współczułem jego rodzicom.

Kiedy się podniosłem i rozejrzałem, zobaczyłem, dlaczego tak go torturowali. Palmys wyznaczył wysoką cenę za swoją głowę. W pobliskich krzakach leżały zwłoki czterech napastników, których zabrał ze sobą w podróż do Anubisa.

Przekląłem ich w najgorszych słowach, ale przekleństwa nie pomogą martwym. Przeniósłem uwagę na tych jeszcze żywych, o ile ktoś przeżył. Ilu było napastników? – zastanawiałem się, widząc ścieżkę stratowaną przez liczne stopy. Oszacowałem, że musiało ich być co najmniej trzydziestu, łącznie z tymi, których Palmys zabrał w zaświaty.

Pierwsze miejsce w moich myślach, przysłaniając wszystko inne, zajmował wizerunek Serreny. Co z nią zrobili? Kiedy zdarli z niej odzienie, czy któryś z nich był w stanie oprzeć się jej nagiemu pięknu? Niemal słyszałem ich lubieżne krzyki, gdy ją powalili i czekali na swoją kolej, żeby ją dosiąść. Czuję łzy spływające po mojej twarzy, łzy gniewu, zgrozy i współczucia. Wgramoliłem się na grzbiet Lato i w dzikiej rozpaczycy popędziłem w kierunku Błękitnego Stawu.

Po drodze zobaczyłem kilka innych trupów, samych mężczyzn, w większości okrutnie okaleczonych. Byli to ci, którym Ramzes zlecił pilnowanie narzeczonej. Nie traciłem czasu na zatrzymywanie się i oglądanie zwłok. Wbrew sobie czułem iskierkę nadziei, bo nie znalazłem ani Serreny, ani jej służących. Może najeźdźcy oszczędzili kobiety. Może znali wartość okupu za księżniczkę, jeśli nie zostanie z maltretowana i zgwałcona.

Wyjechałem z lasu nad plażą i zatrzymałem się. Światło dnia szybko gasło, jednakże widziałem ślady intruzów zostawione na złotym piasku, prowadzące na skraj wody. Ponury mrok spowijał daleki horyzont i nie dostrzegłem nawet cienia obcego statku na ciemniejącym morzu. Pod wpływem pierwszego impulsu chciałem zjechać do wody, ale zdołałem się powstrzymać, kiedy zrozumiałem, że mogę zatrzeć cenne tropy, które porywacze zostawili w miękkim piasku.

Zsiadłem z klaczy i szybko przywiązałem wodze do mocnej gałęzi na skraju lasu. Ruszyłem wydłuż śladów na piasku, w pewnej odległości, żeby ich nie zniszczyć. Po kilku krokach zauważyłem coś, co w pełni odpłaciło mi za ostrożność. Na odciski licznych stóp nakładały się podłużne rowki. Rozpoznałem je prawie natychmiast.

W mojej głowie już zagnieździła się myśl, że napastnicy byli bandą piratów, którzy czystym przypadkiem natknęli się na Serrenę i jej towarzyszy. Teraz zrozumiałem, że się pomyliłem. W tej samej chwili rozproszył mnie tętent kopyt i głosy wykrzykujące moje imię, płynące ze ścieżki przecinającej las nad plażą. Rozpoznałem głos Ramzesa i Hurotasa.

– Tutaj! – zawołałem w odpowiedzi.

Wyjechali na otwartą przestrzeń. Natychmiast mnie zauważyli i zwrócili ku mnie wierzchowce, rozpaczliwie wykrzykując pytania:

– Serrena! Znalazłeś ją?

– Jest tutaj?

– Nie! Zniknęła, ale chyba wiem, gdzie jest – odparłem.

– Na łagodną Artemidę! – krzyknął z rozpaczą Ramzes. – Kimkolwiek są ci szubrawcy, zamordowali Palmysa i wszystkich naszych ludzi. Zostawiliśmy Huiego z ciałem jego syna. Jest zdruzgotany poniesioną stratą. Błagam, nie pozwól, żeby to samo zrobili z moją Serreną.

Jadący na lewo od Ramzesa Hurotas wpadł w niekontrolowaną wściekłość; miotał dzikie przekleństwa i groźby.

– Znajdę sprawcę tych potworności, nawet gdybym miał poświęcić na to resztę życia! A kiedy ich dorwę, zapewnię im śmierć, jaka wprawi w zdumienie samych bogów!

Ściągnęli wodze obok mnie.

– Kto to był, Taito? Ty wiesz wszystko. – Ramzes zeskoczył z siodła i chwycił mnie za ramiona. Zaczął potrząsać mną dziko.

– Puść mnie i uspokój się! – wrzasnąłem na niego i z pewnym wysiłkiem zdołałem się uwolnić. – Tam! Sam zobacz! – Wskazałem ślady na piasku.

– Nie rozumiem...! – ryknął do mnie Hurotas. – Co nam pokazujesz?

– Spójrzcie na ślady pośrodku szlaku. Widać, że ten, kto je zostawił, powłóczy prawą nogą.

– Panmasi! – Ramzes wreszcie zrozumiał, co do niego mówię. – Ten, którego sama Serrena kazała nam uwolnić. Brudny niewdzięczny łajdak przyszedł tu prosto po nią i zabrał ją do leża Utteryka.

– Ha, w takim razie przynajmniej wiemy, że są duże szanse, iż Utteryk nie pozwoli mu zabić takiego bezcennego zakładnika. – Próbowałem pocieszyć Hurotasa i Ramzesa.

– Modlę się, żebyś miał rację, Taito. Natychmiast musimy ruszyć za nimi. – Ramzes mówił jak człowiek rozpięty na kole tortur. – Musimy wyrwać Serrenę z ich szponów.

– Ci łajdacy ukradli moją córkę, moje jedyne dziecko. Ramzes ma słuszość. Natychmiast ruszamy w pogoń. – Hurotasa także trawiła wściekłość i rozpacz. – Z łaską bogów może ich dopadniemy, zanim dotrą do ujścia Nilu, bo z pewnością tam właśnie ją zabierają.

Byłem w nie lepszym stanie niż oni, ale lepiej panowałem nad emocjami.

– Nie wolno tracić czasu na lamenty i bicie się w piersi – powiedziałem szorstko, próbując ich zmobilizować. – Ale zanim dotrzemy do portu Gythion i przygotujemy się do wyjścia w morze, Panmasi będzie miał prawie dziesięć godzin przewagi. Do tego dochodzi fakt, że nie mamy pojęcia, na jakim statku ją uprowadził. – Wskazałem ślady zostawione przez dziób na piasku na skraju wody. – Znaki wskazują, że to mała handlowa barka. Na morzu pomiędzy Lacedemonem i Egiptem jest mnóstwo takich statków. Gdy tylko któryś nas zauważy, weźmie nas za piratów i zacznie uciekać. Przyjdzie nam ścigać każdy dostrzeżony statek, co będzie długotrwałym, żmudnym przedsięwzięciem. W tym czasie Panmasi ucieknie na Nil z postawionymi wszystkimi żaglami i podwójną osadą przy wiosłach.

W tej chwili mieli dość zmartwień, więc nie dodałem możliwości, że Panmasi wcale nie musi żeglować prosto do ujścia Nilu. Być może w jednym z licznych maleńkich portów na wybrzeżu Północnej Afryki czekały na niego umówione rydwany, żeby przewieźć go wraz z branką do Teb. Kiedy tylko Panmasi wpłynie na Nil albo stanie na egipskiej ziemi, znajdzie się poza naszym zasięgiem.

– Hurotas ma rację – oświadczyłem z taką siłą, jaką zdołałem z siebie wykrzesać. – Każda chwila jest cenna. Natychmiast trzeba jechać do portu Gythion. Musimy wyjść w morze i próbować zwietrzyć trop Panmasiego, zanim ostygnie.

Moja brawura nie rozjaśniła bezkسیężycowej ciemności, która nas spowalniała, i dawno minęła północ, zanim dotarliśmy do portu.

Podczas gdy Ramzes, Hurotas i Hui w desperackim pośpiechu szykowali okręty do wyjścia w morze, mnie przypadło straszne zadanie powrotu do cytadeli, gdzie miałem przekazać Tehuti i Bekacie wieści, że straciły dzieci. Sugerowanie, że ani Hurotas, ani Hui nie mieli odwagi, żeby to zrobić, prawdopodobnie jest z mojej strony wielce niezycliwe, zwłaszcza że sam byłem już uodporniony na okropności spotykające nas wszystkich.

Najpierw poszedłem przekazać Bekacie okaleczone zwłoki Palmysa. Kiedy służące ją zbudziły, wziąłem ją w ramiona i próbowałem wyjaśnić, jaki straszny los spotkał jej najmłodszego syna. Sądzę, że wciąż była odurzona wcześniej wypitym winem. Zapewniała mnie, że Palmys zjadł kolację i już śpi w swoim łóżku.

Z najwyższą delikatnością zaprowadziłem ją do komnaty, gdzie moi ludzie złożyli ciało jej syna. Pomimo starań, jakie podjąłem, żeby ukryć rany – zmyłem krew z twarzy i uczesałem włosy, zamknąłem powieki na pustych oczodołach i owiązałem wypatroszony brzuch – widok byłby zbyt straszny dla każdej matki. Bekatha odsunęła się od Palmysa i przywierała do mnie przez dobrą chwilę, po czym rzuciła się na jego ciało, zawodząc i dygocząc z rozpacz.

Po jakimś czasie zdołałem ją namówić do wypicia mocnego środka na uspokojenie, który przygotowałem z zapasów z mojej skrzyni z lekami, i czekałem, aż mikstura zadziała. Kiedy to nastąpiło, wezwałem jednego z synów, żeby się nią zajął, i poszedłem na poszukiwanie Tehuti.

To spotkanie było dla mnie jeszcze gorsze niż zmierzenie się z wybuchem rozpacz jej młodszej siostry.

Odesłałem służące, żeby czekały w zewnętrznych pokojach, i wszedłem do jej sypialni. Spała na kocach, leżąc na wznak, ubrana w sięgającą kostek koszulę nocną. Jej piękne długie włosy we wpadającym przez wysokie okna blasku księżyca połyskiwały niczym śnieg na szczytach Tajgetosu. Znow wyglądała jak dziewczyna. Położyłem się obok niej i wziąłem ją w ramiona.

– Taita! – szepnęła, nie otwierając oczu. – Wiem, że to ty. Zawsze tak ładnie pachniesz.

– Masz rację, Tehuti. To ja.

– Tak się bałam... Miałam straszny sen.

– Musisz być dzielna, Tehuti, dzielna jak zawsze.

Przekręciła się w moich ramionach i ułożyła twarzą do mnie.

– Masz dla mnie smutne wieści, czuję. Chodzi o Serrenę, prawda?

– Tak mi przykro, moje kochanie. – Zadławiłem się własnymi słowami.

– Mów, Taito. Nie próbuj mnie chronić przed prawdą.

Wysłuchiwała mnie w żalnym milczeniu, z kamiennym wzrokiem, blada w świetle lampki nocnej, której nie gasiła, żeby przepędzić zmory. Kiedy w końcu

zamilkłem, cicho zapytała:

– Mówisz, że zrobił to Utteryk?

– To może być tylko on.

– Czy ją skrzywdzi?

– Nie! – Podniosłem głos w gwałtownym zaprzeczeniu, żeby zamaskować niepewność. Utteryk był obłąkany. Nie zachowywał się ani nie myślał jak inni ludzie. – Zabita albo okaleczona nie będzie miała dla niego żadnej wartości. – Skrzyżowałem palce lewej ręki, kiedy to mówiłem. Nie chciałem zirytować bogów takimi daleko idącymi twierdzeniami.

– Znajdziesz moje dziecko i sprowadzisz je do mnie, Taito?

– Tak, Tehuti. Wiesz, że to zrobię.

– Dziękuję – szepnęła. – Lepiej już idź, zanim zrobię z siebie kompletną idiotkę.

– Jesteś najdzielniejszą kobietą, jaką znam.

– Bekatha będzie mnie potrzebować. Muszę do niej iść. – Pocałowała mnie.

Wstała, zarzuciła pelerynę leżącą na stole przy łóżku i z godnością wyszła z komnaty. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, usłyszałem stłumione łkanie, chociaż mogę się mylić, Tehuti bowiem nie należy do tych, którzy są skłonni do płaczu.

Górny skraj słońca wyłonił się zza horyzontu, zanim wreszcie dotarłem do portu Gythion. Wypatrzyłem Hurotasa na pokładzie okrętu flagowego i wszedłem na pokład, żeby mu złożyć meldunek. Akurat kończył naradę z szesnastoma członkami przymierza. Wszyscy kacykowie potwierdzili złożoną przysięgę i gotowość jej dotrzymania: Obraza jednego jest obrazą dla pozostałych.

W ciągu kilku dni każdy z nich miał ruszyć na morze i pożeglować do swoich krajów ojczystych, żeby zebrać wojska na czekającą nas wszystkich kampanię. W istocie były to doniosłe wieści. Osobiście spodziewałem się, że dwóch czy trzech zaprzysiężonych sprzymierzeńców nie dotrzyma słowa, jeśli nawet wywiązanie się z obietnicy służyło ich interesom. Pogratulowałem Hurotasowi i Huiemu, po czym zakomunikowałem, że powiadomiłem ich małżonki o uprowadzeniu Serreny i śmierci Palmysa. Jak się spodziewałem, byli mi wdzięczni i zawstydzeni swoim zachowaniem – żaden nie wykazał się odwagą, żeby osobiście przekazać straszne wieści i stawić czoło pierwszym falom żalu i rozpacz.

– Teraz musimy ruszać za Panmasim – powiedziałem im. – Czas gadania się skończył. Nadchodzi czas zabijania.

W końcu miałem wolną rękę, żeby pośpieszyć wzdłuż nabrzeża do *Memnona*; właśnie wybierano cumy w przygotowaniu do wyjścia z portu.

– Już myślałem, że nigdy nie będziesz gotowy – wycedził ponuro Ramzes, gdy wszedłem na pokład. Nie widziałem jego uśmiechu, odkąd się dowiedział o zaginięciu Serreny. – Na honor i godność wielkiego boga Zeusa, Taito, gdzie się ukrywałeś?

– Czyżbyś oskarżał mnie o tchórzostwo? – zapytałem go takim tonem, że pobleł i cofnął się o krok.

– Wybacz mi, Taito. Komu jak komu, ale tobie nie powinienem tego mówić. Odchodzę od zmysłów z rozpacz.

– Podobnie jak ja, Ramzesie. Dlatego nie słyszałem tego, coś właśnie powiedział. – Natychmiast zmieniłem temat. – Kazałeś sprowadzić na pokład moje gołębie?

– Dwanaście w klatce, wszystkie samice, bo są najsilniejsze, najszybsze i najbardziej zdeterminowane, jak to kobiety, co często sam mi powtarzałeś. – Usłyszałem znajome gruchanie płynące z dolnego pokładu. Ramzes blade się uśmiechnął, prawdopodobnie po raz pierwszy od czasu, gdy utracił Serrenę.

– Rozpoznały twój głos. Kochają cię, Tato, jak my wszyscy.

– W takim razie dowiedz mi tego, natychmiast, jeśli nie szybciej, wychodząc w morze – przykazałem mu surowo i zszedłem do moich ślicznotek.

W kajucie poza klatką znalazłem skrzynkę z przyborami skryby na biurku,

czyli tam, gdzie powinna być, i obok niej zwój papirusu. Natychmiast zabrałem się do pisania krótkiej, klarownej wiadomości do Wenega, który prowadził winiarnię pod samymi murami tebańskiego pałacu Utteryka. Powiadomiłem go, że jestem całkowicie pewien, że to Utteryk zlecił Panmasiemu porwanie Serreny.

Napisałem, że Panmasi jest w drodze do Egiptu, a my ruszamy w pościg. Ma ponad dwanaście godzin przewagi i istnieje poważna możliwość, że nie zdołamy go dopędzić. Jeśli bezpiecznie dotrze do Egiptu, wtedy prawie na pewno Utteryk zamknie Serrenę w pałacu w Tebach albo za Wrotami Udręki i Smutku. Poprosiłem zatem Wenega o potwierdzenie, czy moja ocena sytuacji jest poprawna, i o informowanie mnie o wszystkim, co może być nam przydatne w próbach znalezienia i uratowania księżniczki.

Sporządziłem trzy kopie na skrawkach papirusu. Zawsze trzy razy kopiuję wiadomości. Robię to dla pewności, żeby co najmniej jedna dotarła do celu. Niebo, gorliwie patrolowane przez jastrzębie i pustułki, jest niebezpiecznym miejscem dla pulchnych młodych gołębi, ale minione doświadczenia przekonały mnie, że co najmniej jeden z trzech ptaków wraca bezpiecznie do gołębnika, w którym się wykluł.

Następnie wybrałem z klatki trzy najsilniejsze gołębicę i przywiązałem im do nówek identyczne wiadomości. Zabrałem jedną z nich na pokład, dwie pozostałe zostawiając w klatce.

Na pokładzie z ulgą zobaczyłem, że już wyszliśmy z portu i kierujemy się na otwarte morze. Puściłem na wiatr pierwszego ptaka. Trzy razy okrążył statek i pofrunął mniej więcej na południe. Oczekałem godzinę, po czym wypuściłem drugiego, godzinę później ostatniego, i patrzyłem, jak znika nad horyzontem. *Memnon* bardziej statecznie podążał w ślad za nimi.

Rzeński wiatr dał z północnego zachodu, prosto od rufy, więc niósł nas na prostopadle ustawionym żaglu. Po sześciu dniach miniliśmy wyspę Krete, a pięć dni później ujrzeliśmy afrykańskie wybrzeże. W tym czasie zatrzymaliśmy dziewięć obcych statków i weszliśmy na pokład każdego z nich, żeby je przeszukać. Wszystkie brały nas za piratów i próbowały uciekać, więc musieliśmy ścigać każdy z nich. Głównie dlatego żegluga na południe z portu Gythion do ujścia Nilu zabrała nam tyle czasu. Nie było dla mnie niespodzianką, że nie znaleźliśmy Serreny na żadnym z zatrzymanych statków, ale obaj z Ramzesem nie mogliśmy ryzykować, że coś przegapimy.

Modliłem się do Artemidy, żeby, jeśli Serrena już jest zamknięta za Wrotami Udręki i Smutku, bogini nie pozwoliła koszmarnemu Gubowi zająć się nią po swoim. Nie niosła mi pociechy świadomość, że sam faraon nie obrałby takiej drogi.

Kiedy dotarliśmy do ujścia Nilu, patrolowaliśmy je przez trzy kolejne dni. W godzinach dziennych trzymaliśmy się za horyzontem, a pod osłoną nocnych



ciemności zbliżaliśmy się do lądu. Czwartego dnia Ramzes i ja zgodziliśmy się, że dalsze czuwanie jest daremne. Wiedzieliśmy, że prawie na pewno Serrena jest już w Egipcie, zważywszy, jak dawno temu została uprowadzona. Dlatego zawróciliśmy na północny zachód i popłynęliśmy do portu Gythion w Lacedemonie. Wiatr już nam nie sprzyjał. Dni mijały z doprowadzającą do szału powolnością.

Kiedy wreszcie ujrzeliśmy Gythion, wyszła nam na spotkanie łódź rybacka. Kołysaliśmy się na falach i czekaliśmy, aż podejdzie do naszej burty. Okazało się, że dowodzi nią syn admirała Huiego, postawny i ujmujący chłopak o imieniu Huisson.

– Wujek Tata! – krzyknął, gdy tylko znalazł się dość blisko, żebyśmy go usłyszeli. – Dostaliśmy wiadomości o Serrenie. Jest bezpieczna, cała i zdrowa! – krzyczał do nas, gdy nasze statki się zbliżały. – Lewantyński kupiec pływający do Egiptu dostarczył wiadomość z tebańskiego dworu Utteryka dla naszego dobrego króla Hurotasa. Utteryk się chełpi, że jego ludzie porwali naszą kuzynkę Serrenę i że ją przetrzymuje jako zakładniczkę w Tebach. Proponuje wymianę, ale na własnych warunkach.

Zalała mnie wielka fala ulgi, gdy to usłyszałem, a zaraz potem runąłem w otchłań rozpaczy. Poczułem ulgę na myśl, że Serrena żyje. Rozpaczalem, ponieważ Utteryk miał w swoich oślizłych łapach tak ważną dla nas wszystkich kartę przetargową.

Huisson wszedł na pokład *Memnona* i pożeglowaliśmy do portu Gythion, z niepokojem i trwogą rozmawiając o wszystkich konsekwencjach tych wydarzeń. Gdy tylko zacumowaliśmy, kazałem Ramzesowi i Huissonowi na mnie czekać, a sam poszedłem do gołębiarza po wiadomości przyniesione przez ptaki. Wybiegł mi na spotkanie ze skrawkami papirusu w ręce, wszystkimi od Wenega z Teb. Były dla mnie gorzką lekturą i zalewałem się łzami, kiedy skończyłem je czytać.

Z doniesień Wenega wynikało, że Panmasi i jego branka, księżniczka Serrena, dotarli do Teb osiemnaście dni temu, czyli trzy dni przed tym, jak ścigający ich *Memnon* zbliżył się do ujścia Nilu.

Weneg stał w tłumie złożonym z kilkuset obywateli, którzy zebrali się w porcie na rozkaz faraona Utteryka Bubastisa, kiedy Serrena wyszła na brzeg zupełnie naga i bosa, okryta tylko cudownymi długimi włosami, acz nie na tyle długimi, żeby zasłoniły srom.

Weneg napisał, że jej piękno uciszyło obywateli Teb i wszyscy byli wstrząśnięci takim upokorzeniem. Oczywiście nikt nie miał pojęcia, kim jest ta nieznajoma.

Na nabrzeżu porywacze rzucili Serrenę na kolana i jeden z królewskich stajennych ściał jej cudowne włosy. Niski pomruk protestu przetoczył się nad widzami.

Utteryk piorunował ich wzrokiem, próbując ustalić, którzy z nich rzucają mu wyzwanie. To wymusiło milczenie. Następnie Utteryk skinął na Guba, królewskiego oprawcę i kata. Gub podszedł śpiesznie, a za nim banda zamaskowanych pomagierów z zaprzężonym w woły wozem do przewożenia gnoju. Postawili Serrenę na wozie i przywiązali do pionowego słupa, więc nie mogła ukryć nagości. Z bębniącą na czele powieźli ją ulicami, wzdłuż których stali mieszkańcy Teb podburzani przez ludzi Guba do obrzucania jej obelgami i grudami łajna. W końcu wywieźli ją na wzgórze do Wrót Udręki i Smutku. Zniknęła za bramą, która się za nią zatrzasnęła. Od tamtej pory Weneg jej nie widział.

Kiedy skończyłem czytać relację o poniżeniu księżniczki, opuściłem port Gythion i wspiałem się na najwyższy szczyt gór Tajgetos. Większą część drogi przebiegłem, żeby zdusić rozpacz ciężkim wysiłkiem fizycznym. Z górskiego wierzchołka wykrzyczałem moje oburzenie bogom Olimpu i uprzedziłem, że jeśli nie zatroszczą się lepiej o swoją córkę, będę musiał wziąć na siebie ten obowiązek.

Może było to tylko skutkiem forsownej wspinaczki, ale czułem się znacznie bardziej pewny siebie i tego, co musiałem zrobić, kiedy zszedłem i zobaczyłem Ramzesa i Huissona czekających na mnie z osiodłanymi końmi. Natychmiast wyruszyliśmy do cytadeli. Na miejscu pośpieszyliśmy do komnaty narad, gdzie król Hurotas i admirał Hui odbywali zebranie z trzema kacykami. Hurotas wstał i podbiegł do mnie, gdy tylko przestąpiłem próg.

– Słyszałeś wieści?! – krzyknął. – Otrzymaliśmy wiadomość bezpośrednio od Utteryka, dostarczoną przez lewantyńskiego kupca. Miałeś rację, Taito. To rzeczywiście Panmasi, fagas Utteryka, uprowadził moją Serrenę. Chelpi się tym bez wstydu. To ona ocaliła mu życie i oto, jak ta świnia się jej odpłaciła. Ale teraz znamy najgorsze i wiemy, gdzie ją przetrzymują. Najważniejsze jak na razie jest to, że nie uczynili jej krzywdy, chociaż upokorzyli w najpodlejszy sposób.

– Tak. – Objąłem Hurotasa, żeby mu dodać otuchy. – Huisson już mi to powiedział. I że Utteryk proponuje wymianę.

– Nie ufam mu. Utteryk jest jadowitym wężem. W końcu pewnie i tak będziemy musieli ruszyć na wojnę – oznajmił Hurotas. – Najpierw zobaczymy, jakiej ceny zażąda. Nie będzie mała, nie ma co się łudzić. Ale i w srebrze, i w krwi zapłacę mu tyle, na ile sobie zasłużył – obiecał ponuro, po czym wskazał trzech naczelników przy stole rady. – To wodzowie Fass, Parviz i Poe.

– Tak, znam ich dobrze. – Przywitałem się z całą trójką.

– Oczywiście, zapomniałem. – Hurotas był lekko speszony. – Rozproszyły mnie wiadomości o mojej Serrenie. Wybacz mi, Taito.

– Przekazałeś dobre wieści Tehuti? – zapytałem.

– Jeszcze nie – odparł. – Sam je usłyszałem niespełna przed godziną. Tak czy inaczej, wybrała się na przejażdżkę i nie wiem, gdzie jej szukać. – Hurotas urwał wyczekująco i oczywiście wiedziałem, czego ode mnie chce.

– Chyba wiem, gdzie jest. Za twoim pozwoleniem sam do niej pojedę – zaproponowałem.

– Tak! Jedź niezwłocznie, Taito. Tehuti ma złamane serce. Tylko ty będziesz wiedział, jak jej dodać otuchy.

Pojechałem do królewskiego domku myśliwskiego na brzegu Rzeki Hurotasa. Zostawiłem konia przy słupie i przeszedłem przez puste pokoje, wykrzykując jej imię, nikt mi jednak nie odpowiedział. Zszedłem na brzeg rzeki.

Usłyszałem plusk, zanim zbliżyłem się do stawu, gdzie matka i córka spędzały tyle czasu na pływaniu. Za zakrętem rzeki zobaczyłem płynącą Tehuti z mokrymi gęstymi włosami przylegającymi do głowy. Nie spostrzegła mnie, więc znalazłem sobie miejsce na głazie na skraju wody i patrzyłem na nią z przyjemnością. Wiedziałem, że ujarzmił wewnętrzny ból ciężkim wysiłkiem fizycznym, tak jak ja, gdy wspinałem się na szczyt w górach Tajgetos.

Pływała tam i z powrotem tak długo, że sam poczułem ból w mięśniach. W końcu podpłynęła do brzegu pode mną i naga stanęła na płyciźnie. Jej ciało było smukłe i umięśnione jak przed trzydziestu laty. Brnęła do brzegu, wciąż nie dostrzegając mnie siedzącego cicho na skale.

Wstałem i wtedy mnie zobaczyła. Spojrzała na mnie z trwogą w oczach. Uśmiechnąłem się do niej i w jednej chwili jej twarz odmieniła radość, która mnie też rozpieszczała. Pobiegła ku mnie, chlupiąc wodą.

– Dziękuję! Dziękuję, Taito! – Śmiała się przez łzy ulgi.

Roześmiałem się wraz z nią.

– Skąd wiesz, że przynoszę dobre nowiny?

– Poznałam po twojej twarzy! Po twojej pięknej uśmiechniętej twarzy! –

Wbiegła na brzeg, uściskaliśmy się i zapytała: – Gdzie ona jest?

– W więzieniu Utteryka. – Nie chciałem podawać jego okropnej nazwy.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– W Tebach? – zapytała.

Przytaknąłem.

– Jest cała i zdrowa. Utteryk chce negocjować jej zwolnienie.

– Och, jak żałuję, że mnie przy niej nie ma! – Jej głos opadł do szeptu.

Pokręciłem głową.

– Nie! Ty nigdy byś nie wróciła, ale Serrena wróci. To może potrwać, ale przysięgam ci, że ją do ciebie sprowadzę – zapewniłem prostymi słowami. – Wyruszę, gdy tylko zakończę przygotowania. Nie sądzę, żebym zdołał dotrzeć do niej tam, gdzie jest przetrzymywana, ale może uda mi się dać jej znać, że jestem blisko, co doda jej odwagi i trochę złagodzi cierpienie.

– Wszyscy jesteśmy ci tyle winni, Taito. Jak kiedykolwiek zdołamy ci się odwdziaczyć?

– Uśmiech i pocałunek jest wszystkim, o co cię proszę, Tehuti. Teraz muszę pójść do twojej siostry. Ona też mnie potrzebuje.

– Pójdę z tobą. Jutro chowają jej najmłodszego syna. Kolejną ofiarę

potwornego Utteryka.

Palmys był lubianym, a nawet kochanym chłopakiem i kilkuset żałobników szło z nami w góry Tajgetos do kompleksu jaskiń, gdzie chowano wszystkich krewnych i bliskich towarzyszy króla Hurotasa i admirała Huiego. Dziesięć czarnych wołów ciągnęło trumnę z zabalsamowanymi zwłokami Palmysa.

Bekatha szła za nią, zapłakana, niepokieszona w rozpacz, podtrzymywana przez posepnego męża i siostrę. Tuż za nią kroczyło trzech pozostałych synów, a za nimi ich towarzysze broni, wszyscy w pełnych zbrojach, śpiewając pieśni chwalebne i bojowe. Był to wspaniały pokaz i piękny hołd oddany mężnemu młodemu wojownikowi, którego życie zostało tak okrutnie przerwane.

Nawet ja, który widziałem niezliczonych młodych ludzi składanych do grobów albo palonych na popiół na stosach pogrzebowych, czułem się poruszony. Łaknąłem zemsty. Weszliśmy w dolinę Aresa, syna Zeusa, boga brutalnej przemocy i okrutnego oblicza wojny.

Wznoszące się ku niebu strome urwiska pogrążyły dno doliny w ponurych cieniach. Woły dowlekły trumnę do wejścia grobowca, wąskiej szczeliny w licu góry, prowadzącej do głębokiej pieczary. Nie mogły iść dalej, więc zostały wyprężone i pognane tam, skąd przysły. Towarzysze Palmysa ponieśli go do ostatniego miejsca spoczynku. Bekatha rzuciła się na trumnę, szlochając i zawodząc z rozpacz. Tehuti i Hui odciągnęli ją wspólnymi siłami i poprowadzili do twierdzy drogą, którą przysliśmy.

Owiele za wolno jak dla mojego rwącego się do boju serca naczelnicy zaczęli zbierać swoje wojska, ściągające ze wszystkich stron do Lacedemonu. Lazurowe wody usiane były śnieżnobiałymi żaglami, gdy kolejne flotylle wchodziły do zatoki Gythion i rzucały kotwice na przybrzeżu. Sam port był tak gęsto wypełniony okrętami, że można by przejść z jednego krańca nabrzeża na drugi po ich pokładach, przestępując nad wąskimi lukami, które oddzielały kadłuby. Na otwartych polach wzdłuż brzegów Rzeki Hurotasa stopniowo wyrastały namioty i szalasy rzeszy przywiezionych na okrętach uzbrojonych wojowników. W dolinie niosły się echa szczęku mieczy o tarcze i o hełmy, a także okrzyki instruktorów wzywające żołnierzy do podjęcia większego wysiłku.

Codziennie kilka godzin spędzałem w górach, z wysoka wypatrując na zatłoczonej zatoce żagli wracającej z południa lewantyńskiej barki kupieckiej, która miał przywieźć żądania faraona Utteryka. Minęło wiele tygodni, zanim w końcu dostrzegłem w dali wyróżniające się niebieskie płótna. Kolor, uzyskiwany przez barwienie sokiem otrzymanym z nieczęsto spotykanych ślimaków morskich, posiada moc ochrony statku przed niebezpiecznym morzem i jeszcze groźniejszymi korsarzami. Wbrew wszystkiemu miałem nadzieję, że ten widok jest pomyślnym znakiem, chociaż wątpiłem, czy taka jest prawda, biorąc pod uwagę, skąd przybył.

Port był zbyt zatłoczony, żeby pozwolić na wejście Lewantyńczykowi. Musiałem wziąć małą rybacką łódkę i powiosłować mu na spotkanie. Ben Zaken, bo tak się nazywał kapitan, przyznał, że ma wiadomość od faraona Utteryka Bubastisa Wielkiego i Dobrego – tak brzmiały kolejne sprzeczne z prawdą tytuły Utteryka – ale nie chciał mi jej przekazać. Upierał się, że musi osobiście dostarczyć ją do rąk własnych króla Hurotasa, związany solenną przysięgą. Wiedziałem, że uważa również za swój solenny obowiązek odebranie od Hurotasa każdego debena nagrody. Próbowałem go przekonać, że powinien mi przynajmniej pokazać wiadomość, bym mógł przekazać najbardziej przygnębiające części Hurotasowi i Tehuti w łagodny i dyplomatyczny sposób, pozostał jednak nieugięty.

Razem pojechaliśmy w górę doliny do cytadeli, gdzie zastaliśmy niecierpliwie czekających rodziców Serreny. Doszło do krótkiego opóźnienia w odczytaniu wiadomości, gdyż Ben Zaken wyliczał poniesione koszty i spierał się o wysokość nagrody. Hurotas wyładował na nim pełnię swego gniewu i w końcu kupiec odszedł ze zboląłą miną, mamrocząc skargi na rażąco niesprawiedliwe traktowanie.

Kiedy Hurotas, Tehuti i ja zostaliśmy sami w komnacie narad, Hurotas złamał pieczęć na małym alabastrowym dzbanie, który nam przysłał Utteryk. Naczynie zawierało zwój papirusu i zapieczętowany flakonik z matowego

zielonego szkła, w jakich ja i inni uczeni lekarze przechowujemy najrzadsze i najcenniejsze leki albo okazy.

Hurotas położył te na pozór zwyczajne przedmioty pośrodku stołu i przez chwilę patrzyliśmy na nie w milczeniu. Nagle Tehuti rzekła cicho:

– To mnie przeraża. Nie chcę wiedzieć, co zawierają, ale wyczuwam zło.

Żaden z nas jej nie odpowiedział, wiedziałem jednak, że wszyscy czujemy to samo.

Wreszcie Hurotas się wstrząsnął niczym zbudzony z koszmaru. Przetarł twarz dłonią i zamrugał, jakby chciał, żeby przejaśniało mu w oczach. Sięgnął po zwój papirusu i obejrzał woskową pieczęć. Wyjął sztylet z pochwy u pasa, wsunął czubek pod pieczęć i oderwał ją od papirusu. Zwój szeleścił, gdy go rozwijał i nachylał do światła z wysokich okien. Poruszał ustami, bezgłośnie czytając hieroglify.

– Nie! – zaprotestowała ostro Tehuti. – Czytaj na głos. Ja też muszę wiedzieć, co tam jest napisane.

Wzdrygnął się na jej żądanie.

– Staram się cię chronić.

– Czytaj! – powtórzyła, a on skrzywił się, lecz szybko skapitulował i jął czytać głośno:

DO ZARASA I HUIEGO,

TCHÓRZLIWYCH DEZERTERÓW ZE WSPANIAŁEJ

ARMII EGIPTU

MAM TĘ MAŁĄ LADACZNICĘ O IMIENIU SERRENA. PRZEBYWA W MOIM NAJGŁĘBSZYM LOCHU, GDZIE NIGDY JEJ NIE ZNAJDZIECIE. JESTEM JEDNAK SKŁONNY WYMIENIĆ JĄ ZA TO, CO NASTĘPUJE:

PUNKT PIERWSZY. ZAPŁACICIE MI TRZYSTA LAKHÓW SREBRA. TO DOKŁADNIE TAKA SUMA, JAKĄ UKRADLIŚCIE MI OD CZASU, GDY JAKO MŁODSI OFICEROWIE W ARMII MOJEGO OJCA, FARAONA TAMOSEGO, ZDEZERTEROWALIŚCIE Z SIŁ ZBROJNYCH EGIPTU.

PUNKT DRUGI. PRZEKAŻECIE MI OSOBĘ BŁĘDNIE PRZEZ WAS ZWANĄ KSIĘCIEM RAMZESEM. TEN PRZESTĘPCA W RZECZYWISTOŚCI JEST NĘDZNYM NIEWOLNIKIEM, KTÓRY ZBIEGŁ Z ARMII EGIPSKIEJ I UDAJE PRZYNALEŻNOŚĆ DO KRÓLEWSKIEGO RODU. MUSI ZOSTAĆ DOSTARCZONY W MOJE RĘCE, ŻEBY PONIEŚĆ ZASŁUŻONĄ I PRZYKŁADNĄ KARĘ.

PUNKT TRZECI. PRZEKAŻECIE MI RÓWNIEŻ OSOBĘ BŁĘDNIE PRZEZ WAS ZWANĄ PANEM TAITĄ. TO STWORZENIE JEST W RZECZYWISTOŚCI NEKROMANTĄ, ADEPTEM CZARNEJ I ZŁEJ SZTUKI MAGICZNEJ. W DODATKU JEST NĘDZNYM NIEWOLNIKIEM, KTÓRY PORZUCIŁ SWOJEGO PANA. MUSI ZOSTAĆ MI DOSTARCZONY,



ŻEBY PONIEŚĆ ZASŁUŻONĄ I PRZYKŁADNĄ KARĘ.

MACIE MIESIĄC NA SPEŁNIENIE MOICH ŻĄDAŃ. JEŚLI SIĘ NIE WYWIĄŻECIE W TERMINIE, CO MIESIĄC BĘDĘ PRZYSYLAĆ WAM PRZYPOMNIENIE. PIERWSZE Z NICH DOŁĄCZAM W ZIELONEJ SZKLANEJ FIOLCIE.

FARAON UTTERYK BUBASTIS, WŁADCA EGIPTU (ZNANY RÓWNIEŻ JAKO NIEZWYCIEŻONY)

Wszyscy troje zwróciliśmy oczy na z pozoru niewinny zielony szklany flakonik w alabastrowym dzbanku. To Tehuti przerwała śmiertelną ciszę, która zniewoliła całą naszą trójkę.

– Nie sądzę, bym mogła znieść wiele więcej. Znałam tego bydlaka Utteryka. Jest pierworodnym mojego brata, faraona Tamosego, co czyni go moim bratankiem. Był chorowitym i bojaźliwym dzieckiem, więc uważałam go za nieszkodliwego. Smutne, jak źle go osądziłam. Jest uosobieniem największego zła. – Mówiła szeptem rwącym się od stłumionego szlochu, więc z trudem rozumieliśmy jej słowa. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od flakonika z zielonego szkła. – Drzę na myśl, co nam przysłał. Otworzysz to, Taito?

– Jedno z nas musi – zgodziłem się, wziąłem flakonik i obejrzałem zatyczkę. Zobaczyłem, że jest wycięta z miękkiego drewna i uszczelniona woskiem pszczelim. Ostrożnie ją przekręciłem, żeby złamać pieczęć, i zatyczka wyskoczyła sama z cichym sykiem, jakby wypchnięta przez gaz. Wysypałem zawartość na stół i wszyscy patrzyliśmy w grobowym milczeniu.

Był to ludzki palec wskazujący, odcięty przy trzecim stawie. Smukły i elegancki w kształcie, o gładkiej, wypielęgnowanej skórze: palec młodej arystokratki nieskalany przez pracę.

Tehuti zrozumiała, co oznacza ta makabryczna przesyłka, i z przeraźliwym zawrotem rozpaczy skuliła się pod ścianą.

– Utteryk zaczął rozczłonkowywać moją kochaną Serrenę! Czy dla niego nic nie jest święte? – Odwróciła się i uciekła z komnaty, podczas gdy Hurotas i ja patrzyliśmy za nią z wielkim niepokojem.

W końcu przerwałem milczenie.

– Musisz do niej iść – powiedziałem. – Może sama tak nie uważa, ale potrzebuje cię jak nigdy dotąd. Idź ją pocieszyć. Zaczekam tu na ciebie.

Hurotas skinął głową i śpiesznie wyszedł z komnaty, zostawiając uchylone drzwi.

Po chwili, gdy otrząsnąłem się z koszmarnego szoku, podszedłem do stołu. Pochyliłem się nad nim, żeby z bliska i beznamiętnie obejrzeć odcięty palec. Nie miałem powodu wątpić, że to palec młodej kobiety, prawdopodobnie arystokratycznego rodu. Nigdy drobiazgowo nie przyglądałem się rękom Serreny, ale ten palec zdawał się należeć do niej, tylko że... Czułem, że coś tu się nie

zgadza. Po chwili namysłu przypomniałem sobie cichy syk umykającego gazu, kiedy korek wyskoczył ze szklanej fiolki. Pochyliłem się nisko nad odciętym palcem i wciągnąłem powietrze. Pomimo warstewki soli użytej jako środek konserwujący, poczułem charakterystyczny zapach rozkładu.

Byłem tak skupiony na zagadce, na jaką się natknąłem, że nie usłyszałem powrotu Hurotasa i zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z jego obecności, dopóki nie odezwał się cicho za moimi plecami.

– Boskie ciało nie gnije – powiedział.

Obróciłem się i spojrzałem na niego z konsternacją.

– Co powiedziałeś? – zapytałem głupio.

– Sądzę, że słyszałeś mnie wystarczająco dobrze, stary przyjacielu. – Ze współczuciem pokiwał głową.

– Tak, słyszałem – przyznałem z zakłopotaniem. – Ale co rozumiesz przez... przez to, co powiedziałeś?

– Boskie ciało nie gnije – powtórzył, po czym dodał coś więcej: – Ten palec nie należy do Serreny, to absolutnie niemożliwe. – Wskazał żalony szczątek leżący na stole. – Albowiem Serrena jest boskiego pochodzenia.

– Wiedziałaś! – krzyknąłem, a on po raz trzeci przytaknął skinieniem głowy. – Skąd?

– Ja też miałem sen – wyjaśnił. – Bogini Artemida przysłała do mnie w tym śnie i powiedziała, jak została poczęta Serrena. – Urwał, przygaszony jak nigdy dotąd. – Artemida rzekła: „Twoja żona nosi dziecko twojego serca, lecz nie twoich łądzwi”.

– Powiedziałeś o tym Tehuti? – zapytałem, a on pokręcił głową.

– Nie, nigdy bym tego nie zrobił. To mogłoby zniszczyć nasze wzajemne zaufanie i nasze szczęście. Dlatego do ciebie wróciłem. Chcę, żebyś jej powiedział, skąd wiesz, że to tylko kolejny odrażający podstęp Utteryka. Chcę, żebyś ocalił nasze zaufanie do siebie. – Chwycił mnie za ramię i potrząsnął, aczkolwiek delikatnie. – Zrobisz to dla mnie, dla nas, dla mnie i Tehuti?

– Oczywiście! – zapewnilem go i wyszedłem do zalanego słońcem ogrodu, gdzie, jak wiedziałem, znajdę jego żonę. Siedziała przy sadzawce z rybkami, będącej jednym z jej ulubionych miejsc. Spojrzała na mnie, gdy przed nią stanąłem. Miała beznadziejnie smutną minę.

– Co mam począć, Taito? Nie mogę wydać ciebie i mojego bratanka Ramzesa w szpony tego potwora i nie mogę pozwolić, żeby rozczłonkował moją rodzoną córkę.

– Nie musisz podejmować żadnej z tych strasznych decyzji. – Usiadłem obok niej, objąłem jej ramiona i przytuliłem ją. – Widzisz, moja kochana Tehuti, boskie ciało nigdy się nie rozkłada.

Pokręciła głową.

– Nie pojmuję.

– Ten palec gnije pomimo soli, którą został obłożony. Nie jest boskim ciałem, więc tym samym nie należy do Serreny. Utteryk kazał go odciąć jakiejś innej nieszczęsnej młodej kobiecie.

Patrzyła na mnie, a jej ramiona prostowały się i prężyły z nową siłą i determinacją.

– Masz rację, Taito. Poczułam zapach, gdy tylko otworzyłeś flakonik. Niewiele o tym myślałam. Teraz, gdy mi wyjaśniłeś, to jest wystarczający dowód.

– Tak, lecz nie wolno dopuścić, żeby Utteryk nabrał bodaj najmniejszych podejrzeń, że nie daliśmy się zwieść jego podstępowi.

– Oczywiście, że nie! – zgodziła się. – Ale co z moim mężem? Obiecuj mi, że nigdy nie powiesz Hurotasowi, kto jest prawdziwym ojcem Serreny.

– Twój mąż jest wspaniałym człowiekiem i wielkim królem, ale wątpię, czy umie odróżnić boga od kozła. Nigdy by nie uwierzył, że można zajść w ciążę we śnie. Co więcej, ufa ci bez zastrzeżeń – zapewniłem ją. Umiem kłamać bez zająknięcia, kiedy tylko zachodzi potrzeba.

Wahałem się przed podjęciem decyzji, czy mam powiedzieć Ramzesowi o moim niezłomnym zamiarze ukradkowego powrotu do Egiptu i dotarcia do Serreny, żeby zapewnić jej pociechę i wsparcie, nawet jeśli nie zdołam jej uwolnić z okrutnej niewoli. Wreszcie poszedłem do jego pokoi i po przeszukaniu ich dla pewności, że jesteśmy zupełnie sami, wyjawiałem mu swoje plany. Na zakończenie przykazałem, żeby nikogo nie dopuścił do tajemnicy. Ramzes słuchał w milczeniu, a kiedy umilkłem, żałośnie pokręcił głową.

– Podjąłem dokładnie to samo postanowienie, ale nie zamierzałem powiedzieć nawet tobie – wyznał.

– Czy to oznacza, że popłyniesz ze mną? – Udałem zaskoczenie, choć właśnie to miałem nadzieję usłyszeć.

– Niepoważne pytanie, Tato. – Zamknął mnie w krótkim uścisku. – Kiedy ruszamy?

– Im prędzej, tym lepiej! – odparłem.

Wypuściłem trzy gołębice, żeby uprzedzić Wenega o naszym rychłym przybyciu do Teb. Ramzes i ja pożegnaliśmy się z królem Hurotasem i królową Tehuti. Oboje odzyskali nadzieję, gdy usłyszeli o naszych planach ruszenia na ratunek Serrenie. Tehuti dała mi nadzwyczajny i cenny dar dla córki, kiedy – jeśli – do niej dotrzemy. Obiecałem strzec go za cenę życia i przy pierwszej okazji przekazać Serrenie.

Potem wyszliśmy w morze na *Memnonie*. Podczas podróży na południe ćwiczyliśmy role, jakie mieliśmy odgrywać na egipskiej ziemi. Ja przemieniałem się w niezdarnego półgłówka, który bełkotał, potykał się i chodził rozchwianym krokiem. Ramzes, mój rozczochrany dozorca, prowadził mnie na końcu pastuszej laski. Kostiumy sprawiliśmy sobie od dwóch żebraków przy bramie portu Gythion. Zakupu dokonał jeden z moich służących, żeby nikt ich z nami nie skojarzył. Były to prawdziwe łachmany, brudne i cuchnące. Na szczęście nie musieliśmy ich wkładać, dopóki nie ujrzymy egipskich wybrzeży.

Czekaliśmy za horyzontem, aż zapadła noc, i wówczas, w ciemności popłynęliśmy na południe. Gdy dostrzegliśmy ląd, spuściliśmy na wodę felukę, którą wieźliśmy w ładowni *Memnona*. Pożegnaliśmy się z członkami załogi i wyprawiliśmy ich z powrotem na wyspę Spartańskiego Lacedemonu. Przebrani w łachmany, wpłynęliśmy w Wadi Tumilat, jedno z najmniej znaczących z dziewięciu ujść potężnego Nilu.

Kiedy nastał świt, byliśmy już dwanaście czy piętnaście mil dalej: jedna wśród dziesiątków łodzi, które tłoczyły się na egipskich wodach. Płynęliśmy pod prąd, więc minęło wiele ciężkich dni, zanim dotarliśmy do złotego miasta Teby. W tym czasie nasze rozczochrane włosy i zarośnięte twarze wyglądały najzupełniej

autentycznie. Kiedy prowadzony na kiju przez Ramzesa, bezwładnie kiwając głową, przewracając oczami i szurając nogami wszedłem do winiarni Wenega, ten pocziwy człowiek nie rozpoznał nas i próbował przepędzić tam, skąd przyszliśmy. Gdy w końcu zdołaliśmy go przekonać, że jesteśmy tymi, za kogo się podajemy, z początku nie krył zdumienia, a potem nie posiadał się z radości. Większą część tej pierwszej nocy spędziliśmy na rozmowach o możliwym i prawdopodobnym miejscu pobytu księżniczki Serreny, a także na kosztowaniu wina, które dobrze świadczyło o smaku naszego gospodarza. Skorzystałem z okazji, żeby w tym czasie pod stosem dzbanów w piwniczce winiarni ukryć dar od królowej Tehuti, który przy pierwszej okazji miałem przekazać jej córce.

Po rozważeniu wszystkich innych możliwości ostatecznie stanęło na tym, że Serrena najprawdopodobniej jest gościem straszliwego Guba. Widziano ją w jego towarzystwie, przewożoną ulicami Teb. Oczywiście nie mogliśmy wykluczyć, że Utteryk i jego pachołkowie chcieli, żebyśmy przyjęli takie założenie, podczas gdy przetrzymywali ją gdzie indziej, w jednym z licznych więzień, które wyrosły od czasu zajęcia przez Utteryka tronu faraona. Z drugiej strony były niemałe szanse, że Utteryk rezerwuje Wrota Udręki i Smutku dla swoich najznamienitszych gości, choćby tylko z uwagi na powabną nazwę więzienia. Z naszej trójki tylko ja miałem szczęście przebywać w tej nadzwyczaj zdrowej okolicy, dlatego miałem za zadanie narysować z pamięci plan wnętrza więzienia.

Słynę z doskonałego wzroku. Gdy tylko jest dobre światło, mogę z odległości trzech mil – a taką odległość człowiek przechodzi w godzinę – rozpoznać rysy każdej osoby. Dlatego w kolejnym zadaniu przypadło mi czuwanie nad przybytkiem Guba z otaczających wzgórz. Szczerze mówiąc, sam je sobie wybrałem. Pragnąłem choćby z daleka zobaczyć boską kobietę, którą tak bardzo kochałem, choćby tylko dla wzmocnienia determinacji, z jaką chciałem wyrwać ją ze szponów tych nikczemnych łotrów, Utteryka i Guba.

Weneg przez swoich przyjaciół wystarał się o stadko kudłatych czarnych owiec. Codziennie rano, potrząsając laską pasterską, pędziłem zwierzęta na wzgórze ciągnące się nad drogą z Teb do więzienia. Tam przez większą część dnia czuwałem nad owcami, ukradkowo obserwując ruch na drodze. Wkrótce zauważyłem, że większość pasażerów jadących do więzienia odbywa podróż w jedną stronę. Pod tym względem mogłem się uważać za wyjątkowego szczęśliwca, ponieważ byłem wyjątkiem.

Oczywiście Ramzes chciał mi towarzyszyć podczas tych codziennych ekspedycji, ale wybiłem mu to z głowy, zadając dwa proste pytania:

– Czy widziałeś kiedyś dwóch pasterzy pilnujących stada owiec? I gdybyś zobaczył, czy nie wydałoby ci się to trochę podejrzanę?

Z frustracją wyrzucił w górę ręce.

– Co czuje człowiek, Taito, gdy zawsze ma rację?

– Z początku jest dziwnie, ale z czasem się przyzwyczajają – zapewniłem go.

Dwudziestego dnia czuwania pogałem stado przez południową bramę miasta, gdy tylko strażnicy ją otworzyli, co nastąpiło o wschodzie słońca. W tym czasie już byłem dla nich znajomą postacią i przepuścili mnie z ledwie pobieżnym spojrzeniem. Mój tryk o zakręconych rogach znalazł drogę na wzgórze i wyprowadził nas z okolic miasta. Mieszkańcy Teb unikali tej szczególnej drogi, uważając, że przynosi pecha, bo wszyscy dobrze wiedzieli, dokąd prowadzi. Moje stadko i ja mieliśmy wzgórze dla siebie, dopóki nie dotarliśmy do pierwszego ostrego zakrętu w gęstym lesie. Usłyszałem klekot kopyt i dudnienie kół z brązowymi obręczami, a zaraz potem wypadła na nas kolumna pięciu rydwanów. Jechały w przeciwną stronę, w kierunku Teb. Czołowy pojazd galopem wpadł na moje owce, łamiąc kark trykowi i przednie nogi jagnięciu. Biedne zwierzę padło na ziemię i meczało żałościwie. Zdażyłem polubić moje stadko, więc podbiegłem, żeby zaprotestować i wyładować wściekłość.

Woźnica pierwszego rydwanu klął mnie i moje „parszywe zwierzęta”, wymachując biczem z niewyprawionej skóry. Kiedy się pojawiłem, zrzucił czarny kaptur na ramiona, odsłaniając okropne rysy Guba Straszego. Nie rozpoznał mnie, miałem bowiem niechlujną brodę, długie skołtunione włosy i brudny, obszarpany strój. Dla pewności odwróciłem głowę, gdy ścigałem z drogi zabitego tryka i dobijałem ranne jagnię kamieniem, który podniosłem z pobocza. Kiedy oczyściłem przejazd, Gub ruszył, chlaszcząc mnie biczem po na wpół nagich plecach. Jęknąłem żałościwie, gdy mijał mnie drugi rydwan. Zaraz potem wlepiłem oczy w pasażerkę trzeciego rydwanu, kiedy się ze mną zrównał.

Ogolili jej głowę i była bita, bo miała opuchniętą, posiniaczoną twarz i prawie zamknięte jedno oko. Była ubrana w krótką tunikę, podartą i pokrytą plamami zaschniętej krwi oraz brudu niewiadomego pochodzenia. Mimo wszystko pozostała zdecydowanie najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Serrena spojrzała na mnie, gdy stałem przy drodze. Dzielila nas odległość dwóch, może trzech wyciągniętych rąk. Z początku nie rozpoznała mnie w tym przebraniu, ale nagle jej mina gwałtownie się zmieniła. Szeroko otworzyła oczy z szoku i radości, nawet to o spuchniętych powiekach. Jej usta ułożyły się w moje imię, aczkolwiek bez wypowiedania słowa. Lekko ściągnąłem brwi, żeby ją ostrzec, a ona natychmiast się pohamowała i spuściła wzrok. Chwilę później jej rydwan odjechał. Serrena nie obejrzała się ani w żaden inny sposób nie okazała, że się znamy, tylko wyprostowała dotąd zwieszona w rozpacz ramiona i lekko uniosła ogoloną głowę. Zdawało się, że spowiła ją aura odrodzonej nadziei, co było widoczne nawet z daleka.

Ja też poczułem się podniesiony na duchu, a zwłaszcza przez widok jej skępowanych rąk. Niewątpliwie miała wszystkie palce, co do jednego, i żaden nie był naruszony. Próba oszustwa Utteryka została zdemaskowana. Co więcej,

wiedziałem, że obrażenia na jej pięknej twarzy wkrótce cudownie się zagoją, wszak miała boskie ciało.

Stałem w postawie potulnej, bezradnej uległości, dopóki rydwany Guba nie zniknęły za następnym wzniesieniem, a wtedy wydałem potężny okrzyk radości i tańczyłem w kółko jak szaleniec, wyrzucając laskę pasterską w powietrze. Po niedługim czasie odzyskałem panowanie nad sobą, podniosłem laskę i pobiegłem w kierunku miasta. Pożyczone owce, przestraszone moim nagłym odejściem, popędziły za mną z żalosnym meceniem. Pierwszy dotarłem do winiarni Wenega, wyprzedzając stado o spory kawał drogi.

Znalazłem Wenega i Ramzesa w tajemnej piwnicy, gdzie ten pierwszy pod nosem Utteryka przechowywał ekwipunek powiązany z jego prawdziwym celem pobytu w Tebach. Były tam klatki z gołębiami, które prznosiły wiadomości tam i z powrotem pomiędzy Lacedemonem i Tebami, a także wielki zapas łuków, strzał i różnej innej broni.

– Znalazłem ją! – krzyknąłem zaraz po wejściu.

Spojrzeli na mnie w zdumieniu, skoczyli na równe nogi i jednocześnie zapytali:

– Kogo?

– Serrenę! A kogóż by innego?

– Mów. – Ramzes przypadł do mnie. – Gdzie jest? – Chwycił mnie za ramiona i potrząsnął. – Cała i zdrowa? Czy ją skrzywdzili? Jak prędko można...

Musiałem poczekać, aż się uspokoją, żebym sam mógł siebie słyszeć.

– Gub ma ją we Wrotach Udręki. Wiózł ją w konwoju rydwanów w tę stronę...

Szybko wyjaśniłem, że prawdopodobnie eskortował ją do pałacu Utteryka na dalsze brutalne przesłuchanie. Potem im powiedziałem, w jakim jest stanie i co najpewniej ją czeka.

– Bili ją i maltretowali. Jest poturbowana, ma posiniaczoną twarz i ręce, ale chyba nie spowodowali trwałego uszczerbku na zdrowiu. Na przekór groźbom Utteryka nie odcięli jej palca ani innych części ciała. Nic złego nie stało się z jej wzrokiem i umysłem. Jest przytomna i w pełni władz umysłowych. To ma sens, ponieważ jest zbyt cenna dla Utteryka jako zakładniczka, żeby pozwolił tym bydlakom zrobić jej poważną krzywdę. – Udało mi się uspokoić i uciszyć ich obu na tyle, że byli gotowi wysłuchać głosu mojego zdrowego rozsądku. – Nadarza się prawdopodobnie najlepsza, jeśli nie jedyna sposobność, żeby odbić Serrenę i zabrać w bezpieczne miejsce. Zamknięta za Wrotami Udręki i Smutku będzie całkowicie poza naszym zasięgiem. Możecie mi wierzyć na słowo. Byłem tam i wiem, co mówię.

Żaden nie próbował się ze mną spierać, ale twarz Ramzesa wyrażała dziwną mieszaninę nadziei i złych przeczuć.

– Powiedz nam, co mamy zrobić – poprosił.

– Oto, jak to widzę. Wiemy, że w tej chwili Serrena przebywa poza murami więzienia. Niezależnie od powodów, jakie wylęgły się w chorym umyśle Utteryka, być może tylko chciał się przed nią chełpić i jeszcze bardziej ją upokorzyć, dlatego rozkazał Gubowi sprowadzić ją do pałacu. Prawie na pewno Gub odwiezie ją z powrotem do Wrót Udręki i Smutku przed zapadnięciem nocy. Pomiędzy południem i zachodem słońca będą wracać tą samą drogą, na której spotkaliśmy się dziś rano. – Zwróciłem się do Wenega z pytaniem: – Ilu dobrych, pewnych ludzi możesz zwerbować dzisiaj do południa?

Rozwagał moje pytanie nie dłużej niż kilka uderzeń serca, w milczeniu licząc na palcach.

– Dwunastu na pewno – odparł. – Piętnastu przy odrobinie szczęścia. Wszyscy są śmiertelnymi wrogami Utteryka i doświadczonymi wojownikami, ale nie wiem, ilu z nich będzie miało konie.

Pokiwałem głową.

– Najważniejsze, żeby mieli broń. Jeśli wszyscy się stawiają, będziemy mieli w miarę wyrównane szanse w walce ze zbirami Guba, a co więcej, weźmiemy ich z zaskoczenia.

– Jedno jest pewne, niczego nie osiągniemy, jeśli będziemy tu siedzieć i trajkotać jak stare baby. – Poruszony Ramzes krążył po piwnicy. Był prawie tak samo jak ja zmartwiony rozpaczliwym położeniem Serreny i podekscytowany perspektywą jej uwolnienia. Zostałem w piwnicy chwilę dłużej i spod stosu dzbanów z winem wydobyłem dar, który przywiozłem ze sobą od Tehuti z twierdzy w Lacedemonie, żeby przekazać go jej umiłowanej córce. Przytroczyłem go na plecach pod złachmanioną, brudną tuniką, ukryty przed pobieżną kontrolą.

Dałem Wenegowi listę niezbędnych rzeczy, które musieli zabrać ze sobą zarówno on, jak i jego rekruci. Uzgodniliśmy, że spotkamy się przy kamiennym moście nad strumieniem spływającym ze wzgórz półtora mili za miejscem, gdzie niedawno widziałem rydwany Guba. Dałem mu do zrozumienia, że każdy członek naszej grupy musi się tam zjawić co najmniej godzinę przed południem. Wiedziałem, że to nieprawdopodobny termin, ale go wyznaczyłem, żeby odwieść ludzi od guzdrania się po drodze.



Resztką mojego wiernego stadka czekała na mnie na podwórzu za winiarnią. Zabrałem owce i w leniwym tempie drugi raz tego dnia opuściliśmy miasto przez południową bramę. Jak było do przewidzenia, pierwszy stawilem się w umówionym miejscu przy moście nad strumieniem, ale niedługo później zaczęli ściągać wojownicy Wenega. Zgodnie z moim przykazaniem, przybywali w pojedynkę lub parami, żeby nie ściągnąć na siebie niepożądaney uwagi. Oczywiście byli uzbrojeni, ale to nie wzbudziłoby niczyich podejrzeń; noszenie broni świadczyło o rozsądku i przezorności podróżnych w tych burzliwych czasach.

Naturalnie nie wszyscy stawili się o wyznaczonej przeze mnie porze. Dopiero w połowie popołudnia ostatni przybył na miejsce zbiórki. Ale w końcu miałem trzynastu uzbrojonych, groźnych wojowników ukrytych w lesie po obu stronach drogi prowadzącej do kamiennego mostu nad strumieniem.

Wszyscy ci ludzie służyli pode mną co najmniej w jednej kampanii, gdy walczyliśmy przeciwko Hyksosom, i każdy z nich natychmiast mnie rozpoznał, wyrażając radość ze spotkania. Nie trzeba było powtarzać im więcej niż raz, jakie role mają pełnić w tej zasadzce. Robili to wcześniej, i to z rewelacyjnym skutkiem.

Zająłem pozycję w punkcie obserwacyjnym, skąd miałem widok na całą drogę do miasta. Przyznam, że robiłem się już niespokojny, ale wreszcie ujrzałem w dole chmurę wzbijaną przez nadciągającą kolumnę rydwanów. Jadąc szybko i pewnie, minęli miejsce, gdzie rano Gub i ja wymieniliśmy uprzejmości. Wiedziałem, że podejrzliwy Gub musiał być zaniepokojony naszym wcześniejszym spotkaniem, ale odzyskał spokój i przestał się mieć na baczności. Wziąłem to pod uwagę, kiedy rozlokowywałem ludzi. Przezorność jest często cechą prawdziwego geniuszu.

Kłusem wjechali w moją pułapkę, przekomarzając się między sobą i okrzykami poganiając konie. Zobaczyłem, że wiozą Serrenę w trzecim rydwanie. Właśnie na to liczyłem i dlatego zająłem dalsze miejsce w linii ataku, żeby móc dotrzeć do niej jako pierwszy.

Minął nas pierwszy pojazd. Wszyscy, którzy nim jechali, patrzyli prosto przed siebie, nieświadomi naszej obecności w gęstych zaroślach po obu stronach drogi. Gub, odziany w czarną pelerynę, wjechał na most jako drugi. Potem zrównał się ze mną trzeci rydwan, z Serreną, i serce mi załomotało, gdy przejeżdżała tak blisko, nie wiedząc, że tu jestem. Wreszcie czwarty i ostatni rydwan zadudnił na kruchej konstrukcji mostu.

Teraz wszyscy byli tam, gdzie trzeba. Na wąskim moście brakowało miejsca, żeby zawrócić rydwan i podjąć próbę ucieczki z zastawionej przeze mnie pułapki.

Wsunąłem dwa palce do ust i zagwizdałem przeraźliwie, co było

uzgodnionym sygnałem do ataku. Ten dźwięk doprowadziłem do perfekcji. Z bliska brzmi ogłuszająco i nawet w zgiełku bitwy słyszeć go wyraźnie z dużej odległości. Moi ludzie spodziewali się go i w jednej chwili przystąpili do działania.

Po drugiej stronie mostu ulokowałem dwóch mężczyzn z młotami, przyczajonych po obu stronach zjazdu. Na mój gwizd wyskoczyli z kryjówek ze wzniesionymi do ciosu masywnymi krzemiennymi młotami. Potężnymi uderzeniami strzaskali szprychy w obu kołach pierwszego rydwanu. Woźnica i jego załoga, kompletnie zaskoczeni, wypadli z wraku, który zablokował zjazd z mostu. Trzy ciągnące za nim pojazdy wpadły jeden na drugi.

Poprowadziłem atak na most. Nasze okrzyki wojenne jeszcze bardziej dezorientowały woźniców i wystraszyły konie, które stawały dęba i plątały uprząż. Jeden z nich stracił równowagę, uderzył w balustradę i spadł z mostu. Zawisł na uprzęży, wierzgając i rżąc z przerażenia, unieruchamiając pozostałe zwierzęta w zaprzęgu. Woźnice ryczeli jeden do drugiego, żeby oczyścić most, a Gub ryczał najgłośniej ze wszystkich. Zapanował chaos pospołu z paniką.

W prawej ręce trzymałem dar od królowej Tehuti dla córki. Wyciągnąłem go z pochwy i błękitna głownia zalśniła w promieniach słońca, ostrzejsza niż każdy inny metal i śmiertelna niczym samo przeznaczenie.

– Serreno! – wykrzyknąłem w panującym zgiełku. Odwróciła się i mnie zobaczyła.

– Tata! Wiedziałam, że przyjdiesz. – Jej piękno dodało mi skrzydeł i pobudziło do działania.

– Łap! – Zakręciłem mieczem nad głową i wyrzuciłem go w powietrze. Serrena wyciągnęła prawą rękę i chwyciła go w locie, gdy przemykał ponad nią. Oparła wolną dłoń na burcie rydwanu, przerzuciła nad nim nogi i zeskoczyła na wąski most tak lekko, jak nektarnik siadający na kwiecie. Rzuciła się przed siebie.

– Gub! – krzyknęła, nadając obscenicznie brzydkiemu imieniu piękną melodyjną kadencję. Gub nie mógł się powstrzymać i obrócił głowę. Biegła ku niemu lekkim krokiem, jej białe stopy ledwie muskały ziemię. Gub zobaczył jasną stal w jej ręce i zrozumiał, że nie zdąży w porę dobyć broni. Widział zbliżającą się śmierć. Skulił się w koszu rydwanu – zdradziecki tchórz do samego końca. Serrena skoczyła wysoko i dźgnęła go w plecy. Zobaczyłem, że błękitne ostrze do połowy wśliznęło się w czarną szatę na jego grzbiecie. Gub krzyknął z bólu i mimowolnie zadarł głowę. Twarz miał wykrzywioną, szpetniejszą niż kiedykolwiek.

Serrena wdzięcznym ruchem wyciągnęła z rany głownię do połowy matową od krwi. Idealnie złożyła się do ciosu. Okręciła się dokoła i ostrze w jej ręce rozpuściło się w smugę światła.

Głowa Guba zeskoczyła z ramion i potoczyła się po platformie rydwanu. Przez długą chwilę bezgłowy trup klęczał, a potem nagle fontanna jasnej krwi wybuchła z kikuta szyi. Martwe ciało osunęło się na ziemię.

– Naprzód, chłopcy! – krzyknąłem do moich ludzi, wciąż sparaliżowanych z szoku po obejrzeniu tego mistrzowskiego pokazu władania mieczem. – Rozprawmy się z resztą tych łotrów! – Wskazałem sztychem załogi rydwanów.

– Nie, Taito! – powstrzymała mnie okrzykiem Serrena. – Daruj im życie! To dobrzy, honorowi ludzie. Uchronili mnie przed niewysłowionymi potwornościami, jakie Gub dla mnie zaplanował.

Zobaczyłem ulgę rozkwitającą na twarzach naszych jeńców. Wiedzieli, że byli o krok od śmierci.

– Łajdaki, powinniście pokornie dziękować Jej Królewskiej Wysokości za każdy dzień do końca życia! – ryknąłem, ale z lekkim uśmiechem na ustach, żeby złagodzić surowość moich słów.

Nagle na tyłach kolumny wybuchł potężny okrzyk.

– Serrena! Wiem, że to ty! Słyszałem twój głos. Rozpoznałbym go zawsze i wszędzie! – Książę Ramzes przybiegł ze swojego stanowiska bojowego na tyłach kolumny.

Serrena, dzielna wojowniczką, która przed chwilą zabiła straszliwego Guba, pisnęła, jakby miała rozżarzone węgle pod bosymi stopami.

– Ramzes! Ramzesie! Myślałam, że jesteś w Lacedemonie. Och, pokornie dziękuję Horusowi i Hathor, że przebyłeś mnie ratować i chronić!

Zakochani, nie bacząc na nic innego na tym świecie, padli sobie w objęcia z takim zapalem, że zderzyły się ostrza ich broni i prawdopodobnie coś podobnego spotkało ich zęby. Byłem trochę zawstydzony, ale nie zaskoczony, że Serrena otwarcie płacze, a Ramzes jest bliski łez. Odwróciłem się, dając im czas na zapanowanie nad emocjami, i zająłem się przygotowaniami do następnej fazy naszej ofensywy.

Pozbyłem się zwłok Guba, najzwyczajniej zrzucając je z mostu do rzeki. Zachowałem odciętą głowę, którą wepchnąłem do końskiego worka na obrok, żeby zająć się nią później. Oczywiście zatrzymałem również jego czarne szaty do natychmiastowego wykorzystania. Były zbyt obszerne na moje szczupłe, proporcjonalnie zbudowane ciało, ale wypchałem je jego bielizną, wciąż mokrą od krwi, którą puściła z niego Serrena. Byliśmy zmuszeni porzucić rydwan ze strzaskanymi szprychami, dlatego trzy pozostałe były ciężko obciążone, gdy ruszyliśmy do Wrót Udręki i Smutku. Poza oryginalnymi załogami wieźliśmy trzynastkę ludzi Wenega razem ze mną i Ramzesem. Na szczęście droga do celu nie była daleka i gdy robiła się stroma, nie brakowało rąk chętnych do popychania rydwanów.

Dotarliśmy do więzienia, gdy słońce właśnie dotykało zachodniego horyzontu. Siedziałem na ławce pierwszego rydwanu z rękami dumnie skrzyżowanymi na piersi i naciągniętym nisko czarnym kapturem, żeby zasłaniał mi twarz. Tuż za mną stała Serrena w więziennym przyodziewku. Jest wytrawną aktorką, więc wyglądała przekonująco żałośnie i rozpaczliwie. Miała ostentacyjnie skrupowane ręce, ale mogła rozwiązać sznur jednym szarpnięciem ostrych, białych zębów, a u jej stóp leżał błękitny miecz, ukryty pod warstwą słomy. Obok niej stał Ramzes z mieczem w pochwie i obliczem skrytym za zasłoną brązowego hełmu bojowego pożyczonego od jednego z zaprzyjaźnionych strażników. W Egipcie dobrze pamiętano jego przystojne rysy i kochano go jako ulubionego syna z liczego potomstwa faraona Tamosego, to nie była jednak odpowiednia pora na pokazywanie twarzy.

Tak wyliczyłem czas, żeby przybyć do Wrót Udręki i Smutku o zachodzie słońca, kiedy widoczność jest słaba. Strażnicy, będący głównie braćmi, synami i bratankami nieżyjącego Guba, nie od razu otworzyli bramę. Podejrzliwie wypytywali nas o różnicę w liczbie ludzi i pojazdów w porównaniu z tymi, które wyjechały rankiem. Kilku członków naszej grupy jednocześnie próbowało opowiedzieć o utracie rydwanu w wąwozie, podać ilość ofiar katastrofy i wyjaśnić obecność dodatkowych ludzi, których faraon Utteryk przysłał z Teb, żeby wzmocnić garnizon z powodu niedawno pojmanego więźnia, mianowicie księżniczki Serreny z Lacedemonu.

Rozmyślnie podsyciałem zamieszanie, żeby jak najwięcej strażników i dozorców ściągnęło na mury i pierwszy dziedziniec za bramą. Uznałem, że dzięki temu będziemy mogli rozprawić się z nimi w skoncentrowanej grupie, bez konieczności ścigania ich w labiryncie budynków, wewnętrznych dziedzińców i lochów.

Kiedy oceniłem, że mój podstęp się udał, i na murach stało co najmniej

trzydziestu strażników, podniosłem się z ławki i przekonująco udałem atak wściekłości Guba. Czarny kaptur skrywał moją twarz, gdy wykrzykiwałem przekleństwa i groźby do ludzi na murach, do niektórych zwracając się po imieniu. Moje bogate ordynarne słownictwo brzmiało wiarygodnie, a gesty i postawa były idealniejsze od oryginału. Często myślałem, że mógłbym być sławnym aktorem, gdybym wybrał takie rzemiosło. Krewniacy Guba dali się zwieść i wierzyli, że on sam do nich przemawia.

Jeden wytrajkotał tradycyjne powitanie:

– Wchodźcie tu na własne ryzyko. Wiedźcie, że wszyscy wrogowie faraona i Egiptu są skazani na zgubę, kiedy raz się znajdą w tych murach!

Pozostali zbiegli po schodach i stłoczyli się na dziedzińcu za bramą, żeby powitać znamienitego krewnego.

Tylko połowa z nich miała broń. Reszta nie zadała sobie trudu, żeby nie pominąć wjazdu Guba. Ten brak dyscypliny był typowym przykładem niefrasobliwego rozprężenia, jakie cechowało żołnierzy pod nowymi rządami Utteryka Tura.

Rozpoznałem starszego brata Guba, zwanego Gambio, gdy śpieszył mi na powitanie. Stanowił wyjątek od rodzinnej reguły nie tylko dlatego, że prześcigał brata pod względem szpetoty, ale też był przebiegłym, byстрыm wojownikiem i niebezpiecznym przeciwnikiem. Wiedziałem, że jeśli zaświta mu bodaj cień podejrzenia, chwilę później zewrzemy się w walce na śmierć i życie. Zgramoliłem się z rydwanu i ciężkim krokiem ruszyłem na spotkanie, naśladując jego młodszego brata. Miecz wciąż miałem w pochwie, ale w lewej ręce trzymałem sztylet, ukryty w fałdach szaty. Gdy się zbliżyliśmy, zamknąłem jego wyciągniętą prawicę w potężnym uścisku i szarpnąłem ku sobie, pozbawiając go równowagi. Zobaczyłem przerażenie w jego oczach, gdy w końcu mnie rozpoznał. W tej chwili zrozumiał, że jest zgubiony. Wbiłem mu sztylet pod żebra, prosto w serce, a potem objąłem go lewą ręką. Panująca wokół nas wrzawa zagłuszyła krzyk agonii. Czekaając, aż się wykrwawi, poleciłem jego duszę pamięci setek niewinnych, których cierpienie i śmierć sprawiały mu tyle przyjemności.

Inni strażnicy powoli zaczęli pojmować, co się dzieje. Stłoczyli się wokół pierwszego rydwanu, szydząc z Serreny, grożąc jej i próbując ją ściągnąć na ziemię. Wszyscy skupiali uwagę na pięknej więźniarce. Wiedziałem, że pragną znów ją rozebrać do naga. Nasi towarzysze wyskoczyli z dwóch pozostałych rydwanów i szybko otoczyli ten pierwszy, dobywając broni. W milczeniu zabrali się do pracy, nie uprzedzając wroga okrzykami wojennymi. Połowa dozorców została ścięta, zanim inni zdali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. W końcu ostatni rzucili broń i padli na kolana, żeby błagać o zmiłowanie. Była to kolejna niemądra decyzja. Zostali powleczeni za nogi na stosy pogrzebowe, które płonęły do samego rana.

Nasze pierwsze zadanie po obsadzeniu murów polegało na uwolnieniu więźniów. Było ich ponad stu dwudziestu, w tym około trzydziestu kobiet. Serrena i ja nie mogliśmy dokładnie ich zliczyć, ponieważ konali równie szybko, jak wynosiliśmy ich z podziemi. Umierali głównie z głodu i pragnienia, ale też wskutek chłosty, wyłupienia oczu, wyprucia wnętrzności, odarcia żywcem ze skóry, wsuwania rozgrzanych metalowych prętów w odbyty i innych pomysłowych tortur wymyślonych przez Guba i jego braci.

Wróciłem z Ramzesem do Egiptu zasadniczo po to, żeby określić miejsce przetrzymywania Serreny i jeśli to będzie możliwe, powiadomić ją o naszej obecności, by miała siłę i wolę przetrwania tej strasznej próby. Nawet sobie nie wyobrażałem, że we dwójkę wyrwiemy ją ze szponów Utteryka. Teraz, gdy jedno i drugie nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe przedsięwzięcie się powiodło, moją jedyną troską było wywiezienie księżniczki z Afryki i dostarczenie jej kochającej rodzinie w Lacedemonie, bezpiecznie i tak szybko, jak to tylko możliwe w ludzkiej czy boskiej mocy. Jestem pewien, że gdyby Ramzes miał coś do powiedzenia w tej sprawie, z całego serca przyznałby mi rację. Żaden z nas nie brał pod uwagę zdania i życzeń samej księżniczki Serreny.

Pozwoliła nam na kilka krótkich godzin odpoczynku po naszych wcale niemałych dokonaniach i zwołała radę wojenną. Z początku myślałem, że chce omówić najszybszy, najłatwiejszy i najbardziej wygodny sposób powrotu do domu i matki.

O świcie zebraliśmy się we czwórkę na murach Wrót Udręki i Smutku. We czwórkę, ponieważ Serrena zaprosiła Wenega do uczestniczenia w naradzie.

– Osiągnęliśmy pierwszy cel, czyli zdobycie bezpiecznej bazy do prowadzenia dalszych działań. Dziękuję wam za to serdecznie – zagaiła. Zerknąłem na Ramzesa i Wenega i zobaczyłem, że są równie jak ja zaintrygowani tym wstępem. – Naszym kolejnym celem jest nawiązanie łączności z moim ojcem w Sparcie.

– Z pewnością chodzi ci o jak najszybsze wywiezienie cię z Egiptu do Lacedemonu, pod opiekę twojego umiłowanego ojca – wtrąciłem.

Spojrzała na mnie w zdumieniu.

– Przykro mi, kochany Tato, ale nie rozumiem, o czym mówisz. To, czego tutaj dokonałeś, jest aktem geniuszu. Nie! Czymś znacznie więcej. Dokonałeś cudu. Stworzyłeś bazę w środku terytorium zajętego przez wroga. Jesteśmy tu całkowicie odizolowani i nikt o nas nie wie.

– To znaczy, dopóki wieści o nas nie dotrą do Utteryka w Tebach. – Wskazałem sylwetkę złotego pałacu, wyraźnie widoczną na południowym horyzoncie nie więcej niż piętnaście czy dwadzieścia mil dalej... najwyżej trzydzieści.

Spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy w pokazie udawanej niewinności.

– A kto miałby przekazać mu wiadomość?

– Jeden z więziennych strażników... – zacząłem i zamknąłem usta. Wszyscy strażnicy i dozorczy zostali zabici i pogrzebani. Poprawiłem się: – To znaczy, każdy z podwładnych Utteryka, którzy przywożą tu z Teb zapasy i więźniów.

– Nikomu nie wolno wejść do Wrót Udręki i Smutku – zaznaczyła. – Wszystkie zapasy i więźniowie trafiają na pierwszy dziedziniec, gdzie będziesz ich przyjmować, udając Guba w jego czarnym kapturze. – Zmieniła brzmienie głosu: – Wiedźcie, że wszyscy wrogowie faraona i Egiptu są skazani na zgubę, kiedy raz się znajdą w tych murach!

Choć jej naśladownictwo wypadło bardzo przekonująco, nie dałem się zbyć i z poważnym wyrazem twarzy zadałem jej kolejne pytanie:

– A co będzie, gdy Utteryk wezwie cię do Teb na następne spotkanie? Co miałbym mu powiedzieć, wcieliwszy się w postać Guba?

– Utteryk przysiągł, że nigdy więcej nie będzie chciał mnie widzieć. Naprawdę jest bardzo głupim chłopcem, i tak łatwo go ośmieszyć. Wszyscy jego śliczni chłoptasie chichotali z niego za każdym razem, gdy okazywałam się lepsza w pojedynku na słowa. Chciał stracić mnie na miejscu, ale dałam mu do zrozumienia, że martwa nie będę miała dla niego żadnej wartości. W końcu naprawdę rozpląkał się z frustracji. Przysiągł na wszystkich bogów, że nie chce mnie więcej oglądać, i w wielkim wzburzeniu czmychnął ze swojej sali tronowej.

Nie mogłem pohamować wesołości i wybuchnąłem śmiechem, ale zaraz potem podjąłem ostatnią próbę.

– A co z miejscowymi rolnikami? Z pasterzami wypasającymi stada? – Wiedziałem, że to daremny wysiłek, ale nie chciałem kapitulować.

Serrena tupnęła nogą.

– Te mury są wystarczająco grube – podkreśliła. – Nawet najbardziej bystry pastuch nie zdoła przebić ich wzrokiem. Poza tym jedynym pasterzem, który zapuszczał się do tego miejsca o przerażającej sławie, był pewien stary kochany nicpoń o imieniu Taita. Nawet faraon Utteryk Niezwyciężony tu się nie zbliży. Dlatego zawsze przysyłał po mnie swoich pacholków.

– A co z twoimi ukochanymi rodzicami? Rozpaczliwie pragną cię znowu zobaczyć. – Chwytałem się wszystkiego, żeby nakłonić ją do powrotu do bezpiecznego Lacedemonu.

– Ojciec i matka zobaczą mnie dopiero wtedy, kiedy przybędą do Egiptu – oświadczyła stanowczo.

– Dlaczego? – Po raz kolejny udało jej się mnie zaskoczyć.

– Ponieważ teraz Egipt jest moim domem. Mój przyszły mąż zostanie faraonem, a ja będę jego królową. Już nawet wybrałam sobie przydomek. Będę znana jako królowa Kleopatra. Z pewnością wiesz, że to imię oznacza „chwała jej ojcu”? Tatusia to udobrucha.

Ramzes parsknął śmiechem.

– I mnie!

Umiem rozpoznać beznadziejną sprawę, kiedy się na nią natykam. Dlatego skapitulowałem i opadłem przed Serreną na kolano.



– Bądź pozdrowiona, królowo Kleopatro!

– Czy teraz spróbujemy zachować powagę? Czekają nas ciężka praca – powiedziała słodko, po czym zwróciła się do Wenega: – Ile gołębi masz w swojej winiarni i jak szybko zdołasz je przesmuglować spod nosa Utteryka do Wrót... – Urwała, nie kończąc strasznej nazwy, jaką Utteryk nadał temu więzieniu. Po chwili namysłu podjęła: – Do Ogrodu Radości! Tak! – wykrzyknęła z błogim uśmiechem. – To nowa nazwa naszej kwatery głównej! Poza tym chcę się pozbyć wszystkich tych czaszek przy wejściu. Zapewnimy im godny, pełen szacunku pochówek.

– Chciałbym zatrzymać jedną z nich, jeśli łaska, Wasza Wysokość. Resztę możesz pogrzebać albo spalić – powiedziałem.

– Którą? – zapytała podejrzliwie.

– Straszego Guba – odparłem, a ona się roześmiała.

– Tylko ty mogłeś o tym pomyśleć, Taito. Zgadza się, to wielce stosowne.

Weneg wrócił do swojej roli handlarza winem i tego samego wieczoru przekroczył bramy Teb. Gub należał do jego stałych klientów, więc nie zwrócił niczyjej uwagi, kiedy nazajutrz rano wyszedł przez tę samą bramę z pięcioma osłami obładowanymi dzbanami wina. Pod każdym ładunkiem były ukryte kosze z kilkunastoma gołębiami. Ptaki miały zawiązane oczy, żeby przypadkiem nie zaczęły gruchać przy strażnikach.

Podczas nieobecności Wenega Serrena i ja ułożyliśmy wiadomość dla jej ojca, króla Hurotasa. Papirusy były zbyt ciężkie, żeby uniósł je jeden ptak, więc po powrocie Wenega wyprawialiśmy je kolejno seriami. Przesłanie całości wymagało pięciu gołębi.

Napisaliśmy, że z pomocą Ramzesa wyzwoliłem Serrenę ze szponów Utteryka i Guba. Oczywiście nie otrzymaliśmy odpowiedzi, ponieważ Hurotas nie miał gołębi, które wylęgły się w Tebach albo w Ogrodzie Radości. Mogliśmy tylko sobie wyobrażać ulgę i radość, jakie nasze nowiny wywołały w Lacedemonie.

Wysyłaliśmy ptaki co kilka dni. Nasze kolejne wiadomości były bardziej zwięzłe i zawierały głównie informacje dotyczące ruchów wojsk Utteryka, a także liczby i rozmieszczenia jego galer wojennych, rydwanów oraz oddziałów piechoty.

Zasugerowałem Wenegowi, jak możemy nawiązać obustronną łączność pomiędzy twierdzą Lacedemonu i Ogrodem Radości. Za każdym razem, gdy wracał z odwiedzin w swojej winiarni, przynosił ze sobą samce i samice dojrzałe do łączenia się w pary. Powiadomiliśmy księżniczkę Serrenę o naszym zamiarze hodowania gołębi w Ogrodzie Radości, żeby lądem i morzem wysłać je do Lacedemonu, skąd po uwolnieniu wrócą do miejsca swoich narodzin, przy okazji przynosząc wiadomości od jej ojca, króla Hurotasa.

– Gołębie są cudownymi stworzeniami – powiedział Weneg. – Do ich licznych zalet należy monogamia.

Nie zrozumiała, więc wyjaśniłem:

– Są wierne do końca życia, bez względu na to, ile skrzydlatych zalotniczyha na okazję.

– To takie słodkie... – Spojrzała na Ramzesa, obrzucając go wymownym spojrzeniem. – Takie słodkie!

W odpowiedzi na jego milczący protest jej zielone oczy zamigotały.

Kiedy wpuszcziliśmy gołębia do zbudowanego przez Wenega gołębnika, w którym było sześć samiczek, wybuchło wśród nich wielkie poruszenie i podfrwały w teatralnej panice. Samiec nie od razu dokonał wyboru, ale kiedy to się stało, Weneg wyjął pięć wzgardzonych gołębic i zostawił parę. Gołąb jął się zalecać do swojej wybranki.

– Patrz na samca... – Weneg podjął swoje wyjaśnienia.

– Zaczekaj chwileczkę, Wenegu – poprosiła Serrena. – Nie możesz go tak nazywać. Jest nie tylko samcem. Powinien mieć prawdziwe imię.

– Oczywiście, masz całkowitą rację, Wasza Wysokość, jak zawsze. Powiniennem o tym pomyśleć. Jak go nazwiemy? Może Pan Pięknopióry?

– Nie! – Serrena zastanawiała się przez moment. – Spójrz na niego! Czy nie uważa się za najwspanialszego kochanka i czy nie chcemy, żeby ojcował wielu pisklętom? Jest dla niego tylko jedno imię. Wujek Hui! Nazwiemy go Wujek Hui!

Wybuchliśmy śmiechem, zachwyceni, i uspokoiliśmy się po dobrej chwili. Weneg przywołał nas do porządku.

– Patrzcie, jak wydyma pierś i dumnie stąpa wokół niej. Oczywiście ona przed nim ucieka.

– Ale nie daleko i niezbyt szybko – zaznaczyłem.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Serrena. – Jest samicą, co znaczy, że nie jest głupia.

– Teraz on ją ściga, rozpościerając ogon i wlokąc go po ziemi. A ona drecze tuż przed nim.

– Oczywiście! Bystra dziewczyna! – Księżniczka klasnęła w dłonie. – Nie chce mu niczego ułatwić.

– Patrzcie, wraca do niego, a on otwiera dziób – zauważyłem.

– Dlaczego to robi? – zaciekała się Serrena.

– To tak zwane dzióbkowanie. Zaprasza ją, żeby została jego jedyną wyjątkową przyjaciółką. – Zastąpiłem Wenega w wyjaśnianiu, bo wiedziałem o gołębiach znacznie więcej niż on.

– Uważaj, żeby cię nie wystawił do wiatru – przestrzegła Serrena gołębicę. – Pamiętaj, co mówiła ci mama. Nigdy nie ufaj mężczyźnie. – Ale gołębica zignorowała jej radę i niemal cały łebek wsunęła w dziób samca. Po chwili go wyciągnęła i przysiadła. – Pożałujesz! – Serrena cicho westchnęła, gdy samiec wskoczył na grzbiet samicy i załopotał skrzydłami, potem rozłożył pióra ogona, żeby zakryć jej stek. – A może nie – poprawiła i nieśmiało sięgnęła po rękę Ramzesa.

Udając, że nie widzę ich zachowania, podjąłem wyjaśnienia:

– Za jakieś dziesięć dni złoży dwa, może trzy jajka, z których po osiemnastu dniach wyklują się pisklęta. Półtora miesiąca później młode będą gotowe do długiego lotu z miejsca, z którego je wysłamy, do Ogrodu Radości.

– Długi czas – mruknęła z żalem Serrena. – Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę usłyszeć wiadomości od ojca i matki. – Ze smutkiem pokręciła głową, ale zaraz potem wzięła się w garść. – Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby wysłać dojrzałe ptaki do Lacedemonu, by wróciły z wiadomościami od moich ukochanych...

Zanim mogłem odpowiedzieć, na wysokiej wieży ryknęła trąbka,

ostrzegawczy sygnał wartowników, i przerwałem rozmowę.

– To oznacza, że obcy są na drodze z Teb. Wszyscy znacie swoje role i stanowiska na taką ewentualność. Muszę się przebrać w kostium Guba – powiedziałem i odszedłem szybkim krokiem.

Byłem bardziej niż trochę zaniepokojony, bo mieliśmy zobaczyć tu obcych po raz pierwszy od dnia, kiedy Serrena wróciła z ostatniej wizyty u Utteryka. Bałem się, że zmienił zdanie i przysłała po nią ludzi, żeby zabrali ją do pałacu, gdzie znów będzie mógł ją dręczyć. Wszyscy pobiegliśmy na główny dziedziniec, a stamtąd bez zatrzymywania się dla złapania tchu wszedłem po długich schodach na wysoką wieżę. Natychmiast zobaczyłem chmurę kurzu wzbity przez pędzące rydwany. Nadciągały drogą wiodącą z Teb.

– Ile rydwanów? – zapytałem wartownika, a on wzruszył ramionami.

– Sporo, wedle mnie, dziesięć albo dwanaście. Pędzą co koń wyskoczy.

Odetchnąłem z ulgą. Utteryk nie wysłałby aż tylu, gdyby chciał zabrać Serrenę do Teb dla dalszej zabawy.

– Rozpoznajesz kogoś?

– Są jeszcze za daleko, ale prawie na pewno to więźniowie i eskorta. – Wartownik potwierdził moją ocenę sytuacji.

– Zatrzymaj ich przed bramą jak zwykle. Idę się przebrać.

Gdy zająłem stanowisko na głównej wieży bramnej, stało przed nią jedenaście rydwanów. Każdy z nich przywiózł pasażerów, większość w łańcuchach.

– Jesteśmy królewskimi woźnicami faraona Utteryka Niezwycięzonego! Faraon kazał nam dostarczyć trzydziestu dwóch więźniów, żebyś ich ukarał i stracił bez cienia litości.

Na moją komendę wysadzono więźniów z rydwanów. Skuci łańcuchami za kostki, weszli przez główną bramę na dziedziniec, gdzie z wysoko ulokowanej niszy patrzyły na nich puste oczodoły czerepu Guba. Użyłem jego hieroglify, żeby podpisać dokument poświadczający odbiór skazańców, a potem żołnierze wyszli z więzienia, wsiedli na prawie puste rydwany i ruszyli drogą do Teb. Długi rząd skutych ludzi został zaprowadzony przez wewnętrzną bramę do świeżo założonych przez Serrenę ogrodów. Gdy weszli, czekający na nich muzycy zagrali wesołą powitalną melodię. Więźniowie wyrwali się z letargicznej rozpacz i rozglądali ze zdumieniem. Niewiele krzewów i kwiatów zakwitło, ale szubienice i szafoty, które spodziewali się zobaczyć, zniknęły bez śladu. Zamiast nich przy kowadłach stało trzech kowali, którzy krzemiennymi młotami i dłutami rozkuwali łańcuchy kolejno podchodzących skazańców. Później, co wprawiło ich w jeszcze większe zdumienie, każdy z nich dostał gliniany kubek pianistego piwa, bochenek chleba i dużą suszoną kiełbasę dla podniesienia na ciele i duchu. W jednej z rozdających żywność osób natychmiast rozpoznali księcia Ramzesa, którego od dawna uważali

za zmarłego. Pozdrowili go ekstatycznym okrzykiem i gdy tylko zostali uwolnieni z łańcuchów i spałaszowali jedzenie, stłoczyli się wokół niego, składając mu głębokie ukłony, obsypując go zapewnieniami o swojej wierności i gratulacjami z okazji zmartwychwstania. Oczywiście mnie też dobrze znali, o ile nie lepiej niż każdego pretendenta do tytułu faraona. Byłem tam, czekając na mój udział w wyrazach wdzięczności i pochwałach.

Sierżanci zaprowadzili porządek wśród nowo przybyłych. Bijący od nich smród sprawiał, że łzawiły oczy. Nosili te same ubrania od czasu aresztowania przez ludzi Utteryka, czyli od kilku miesięcy. Na mój rozkaz zaprowadzono ich do studni ze świeżą wodą pod kuchniami, gdzie rozebrani do naga umyli się i wyprali w ługu ubrania. Zrobili to ze skwapliwością zrodzoną z niemal histerycznej ulgi, jaką im sprawiła nagła zmiana traktowania i otoczenia.

Kiedy się oczyścili i ubrali, Ramzes i ja rozpoznaliśmy dwunastu z nich. Wszyscy byli głowami najznamienitszych rodów Egiptu, serdecznymi przyjaciółmi faraona Tamosego do czasu jego śmierci. Wszyscy byli bajecznie bogaci. Dowiedzieliśmy się, że każdego z nich bez wyjątku oskarżono o zdradę, uznano za winnego i skazano na śmierć. Naturalnie cały ich majątek został skonfiskowany na rzecz królewskiego skarbcza faraona. Utteryk nigdy nie był zbyt nieśmiały, żeby się nie poczęstować.

Poza zamożną elitą egipskiego społeczeństwa wśród więźniów było kilku popularnych, zdolnych urzędników i oficerów. Po ustaleniu ich tożsamości zwróciłem się do nich z powitalną mową. Zapewniłem, że są właśnie takimi obywatelami, jakich Ramzes i ja z radością przyjmimy do naszej kompanii. Okazałem im współczucie z powodu bestialskiego traktowania przez faraona, ale dodałem, że my ucierpieliśmy tak samo, jeśli nie bardziej. Zaproponowałem im dołączenie do naszej frakcji uznającej Ramzesa za jedyne prawowitego faraona. Zapewniłem, że ich wyroki zostały odwołane i że znowu są pełnoprawnymi i wolnymi obywatelami naszego wielkiego państwa, a co więcej, Ramzes i ja będziemy zaszczytzeni, mogąc wysłuchać ich zdania.

Zdawało się, że każdy z nich ma wyrobioną opinię i chce ją natychmiast wyrazić. Powstały rwetes bardzo szybko wymknąłby się spod kontroli, gdyby księżniczka Serrena nie weszła do sali narad. Szczerze mówiąc, wcześniej jej przykazałem, że ma się zjawić akurat w tej krytycznej chwili.

Zgiełk i krzyki szybko ustąpiły pełnej oszołomienia ciszy, gdy ci potomkowie arystokratycznych rodów ujrzeli ją po raz pierwszy. Powinniśmy pamiętać, że byli to mężczyźni, którzy nie widzieli przedstawicielki drugiej płci od prawie roku, czyli od czasu aresztowania przez zbirów Utteryka.

Teraz doświadczali niemal religijnego objawienia piękna; przeżywali chwilę, kiedy zwyczajne ciało staje się boskie w oczach patrzącego. A boska krew Serreny sprawiła, że włosy szybko jej odrosły, i to jeszcze bardziej lśniące, co naprawdę

było prawdziwym cudem.

Ramzes ujął ją za rękę i doprowadził do zgromadzonych, żeby dokonać prezentacji.

– Oto kobieta, która obiecała zostać moją żoną, księżniczka Serrena ze Spartańskiego Lacedemonu – powiedział i szmer przebiegł szeregi. Było to po części westchnienie pragnienia, po części pochlebny pean.

Nigdy nie marnuję okazji. Uniosłem ręce w milczącym, lecz niebudzącym wątpliwości zaproszeniu, żeby wyrazili aprobatę, i o mało nie powalił mnie grzmot ich zjednoczonych głosów.

– Niech żyją Ramzes i Serrena! Chwała faraonowi i królowej naszego Egiptu!

Wydawało się, że tępy, nieoświecony Utteryk za sprawą jakiegoś dziwnego przypadku wybrał na stracenie trzydzieści dwie osoby, które utworzyły administrację odpowiednią do pomagania i doradzania faraonowi Ramzesowi w rządzeniu większym Egiptem.

W ich szeregach znajdowali się specjaliści i innowatorzy w dziedzinie rolnictwa, żywności, hodowli zwierząt, edukacji, rybołówstwa i leśnictwa, wydobywania metali, budownictwa, majątku narodowego i podatków – i, co najcenniejsze – wojska i floty, a także sztuki prowadzenia wojny. Z entuzjazmem i w większości ze zdrowym rozsądkiem przyjęli role wyznaczone im przez faraona. Moje życie nie stało się przez to wcale łatwiejsze i spokojniejsze, gdyż ci uznani eksperci do mnie zwracali się po radę na każdym zakręcie drogi, zwłaszcza gdy jakiś zakręt prowadził w ślepy zaułek.

Co jakiś czas w Ogrodzie Radości zjawiali się nowi więźniowie, przysyłani do nas przez Utteryka Niezwycięzonego na pewną śmierć. Nie minęło wiele czasu, a mieliśmy z tego źródła kilkuset rekrutów. Spośród nich razem z Wenegiem wybraliśmy cieśli i skutników. Zleciliśmy im budowę czterech szybkich żaglowych łodzi i dwóch barek na podstawie narysowanych przeze mnie projektów. Te statki miały być używane do łączności z królem Hurotasem i naszymi sprzymierzeńcami w Lacedemonie. Gdy pierwszy z nich był gotów do wyjścia w morze, podekscytowana Serrena przybiegła do mnie z nowiną, że z trzech jajek złożonych przez gołębicę, wybrankę samca zwanego Wujkiem Huim, wykluły się pisklęta. Za kilka tygodni młode dojrzeją i nauczą się latać, i wtedy będziemy mogli wysłać je do rodziców Serreny, zapoczątkowując ich życiowe zadanie przenoszenia wiadomości między naszymi dwoma obozami.

Serrena każdej nocy była zajęta długo po tym, jak większość z nas położyła się spać. Tworzyła coś, co nazwała *Codis Brevus*, formę pisma dwanaście razy krótszą niż tradycyjne hieroglify i całkowicie bezpieczną. Przeporządkowała po jednym symbolu dwustu podstawowym słowom naszego języka, wystarczającym dla sformułowania niemal wszystkich wiadomości. Niektórym rzadziej występującym słowom przypisała znaki naśladowujące brzmienie. Kiedy wyjaśniła podstawowe zasady, natychmiast zaintrygowało mnie proste piękno systemu i byłem zbulwersowany, że sam nie wpadłem na podobny pomysł. Razem napisaliśmy pierwszy list do jej rodziców w Lacedemonie, dokąd miał zostać wysłany wraz z pierwszą partią gołębi. Dwa wybitne umysły pracujące razem są często bardziej efektywne niż pięćdziesiąt pracujących osobno.

Pierwszy z naszych statków, który nazwaliśmy *Obietnica Artemidy*, zwodowaliśmy krótko po północy, kiedy księżyc w pełni zniknął za horyzontem i tylko gwiazdy dawały światło do nawigowania po rzece. Załoga składała się

z sześciu najsprawniejszych marynarzy, jakich tylko mogliśmy znaleźć, często żeglujących pomiędzy Egiptem i Lacedemonem. Kapitanem tego małego statku mianowaliśmy doświadczonego żeglarza o imieniu Pentu. Ufałem mu zarówno jako człowiekowi, jak i żeglarzowi. Załoga zabrała na pokład klatki z trzydziestoma sześcioma gołębiami. Tyle ptaków wylęgło się w Ogrodzie Radości i osiągnęło dojrzałość. Były dość silne, żeby odbyć długi lot nad otwartą wodą i dość bystre, żeby unikać rybołówów i innych skrzydlatych drapieżników patrolujących niebo.

Poza ptakami na pokład trafiło prawie sto zwojów papirusu wypełnionych artystycznymi hieroglifami, które wyszły spod pędzla księżniczki Serreny, a były przeznaczone dla króla Hurotasa i królowej Tehuti.

Drugiego dnia wieczorem usłyszałem lekkie pukanie do drzwi mojej kwatery i kiedy ostrożnie je uchylilem, przez szczelinę ujrzałem tulącą się królewską parę, opatuloną dla ochrony przed zimnem.

– Nie przeszkadzamy, Magu? Możemy wejść? – Ramzes zwracał się do mnie w taki sposób tylko wtedy, kiedy miał jakieś wygórowane życzenie.

Nieufnie uchylilem drzwi nieco szerzej.

– Słodka Hathor, oczywiście, że nie, i oczywiście możecie! Albo na odwrót. – Moja odpowiedź była dostatecznie mętna, żebym się nie zobowiązał, ale stanąłem z boku, by ich przepuścić.

Przez dłuższą chwilę siedzieli obok siebie w pełnym zakłopotania milczeniu. Wreszcie Ramzes wstał, zbierając się na odwagę.

– Pomyśleliśmy, że może chciałbyś się z nami pomodlić.

– Co za dziwaczny pomysł! – Nie kryłem zdumienia. – Bogowie sami podejmują decyzje bez naradzania się z nami. Co więcej, często wolą robić dokładnie na odwrót, niż ich prosimy, po prostu dla zademonstrowania swojej wyższości.

Ramzes westchnął i spojrzał na Serrenę z miną „A nie mówiłem?”. Jej piękne oczy zrobiły się ogromne i, ku mojej konsternacji, wypełniły łzami. Wiem, że jest wytrawną aktorką, ale westchnąłem z rezygnacją.

– Niech wam będzie – skapitulowałem. Ramzes uśmiechnął się i jego posępna twarz natychmiast pojaśniała, a łzy Serreny wyschły cudownym sposobem. – O co mamy się modlić? Jaka jest nasza prośba do bogów? Jakbym nie wiedział!

– Chcemy, żeby najbardziej życzliwe bóstwa czuwały nad bezpieczeństwem *Obietnicy Artemidy* i doprowadziły ją bezpiecznie do portu Gythion – powiedziała z żarem Serrena. – Następnie chcemy, żeby czuwały nad naszymi gołębiami i sprowadziły je do nas z nietkniętymi wiadomościami od mojej matki i ojca.

– To wszystko? – zapytałem. – Dobrze. Mamy utworzyć krąg i złapać się za ręce? – Serrena ma piękne miękkie dłonie i trzymanie ich sprawia mi przyjemność.



Każde z nas obliczyło, raczej optymistycznie, przybliżony czas, jaki zajmie podróż *Obietnicy Artemidy* w dół Nilu do ujścia i przez połowę wielkiego Morza Śródziemnego do portu Gythion, następnie dostarczenie przesyłki Hurotasowi i Tehuti w cytadeli, przeczytanie naszych listów w nowym *Codis Brevus*, napisanie odpowiedzi i na koniec wysłanie gołębi w ryzykowną drogę powrotną do Ogrodu Radości. Serrena miała nadzieję, że minie piętnaście dni, Ramzes był bardziej realistyczny, stawiając na dwadzieścia, a ja uznałem, że upłynie ich dwadzieścia trzy, ale tylko wtedy, jeśli bogowie będą w łaskawym nastroju.

Dnie mijały z prędkością chromego złotwia; najpierw minął termin oszacowany przez Serrenę, a potem dwadzieścia dni Ramzesa. Nawet ja robiłem się trochę przygnębiony i moje koszmary były pełne spadających z nieba zszarganych piór zabitych ptaków. Ale dokładnie dwudziestego trzeciego dnia rano po wypłynięciu żaglowych łodzi bogowie wreszcie ulegli i niebo nad zamkiem stało się błękitne i fioletowe od powracających gołębi. Liczyliśmy je głośno, gdy jeden po drugim wpadały do czekającego na nie gołębnika.

Spodziewaliśmy się, że Hurotas i Tehuti będą je wypuszczać oszczędnie; może po dwa lub trzy, ilekroć będzie coś ważnego do zakomunikowania. Nasze zdumienie rosło z każdym odliczonym ptakiem, aż osiągnęliśmy liczbę trzydziestu sześciu i spojrzeliśmy na siebie oniemiaли.

Zdumiały nas dwie rzeczy. Po pierwsze, Hurotas i Tehuti wyprawili do nas wszystkie gołębie w jednej wielkiej fali, a po drugie, każdy z nich przetrwał niebezpieczeństwa podróży.

– Tylko moja najdroższa matka mogła zlekceważyć moją prośbę i pisać tak obszernie – powiedziała Serrena pełnym podziwu tonem.

Naturalnie, poczułem się zobowiązany stanąć w obronie kobiety, którą kocham.

– Daj spokój, Serreno. Nie sądzisz, że jesteś trochę niesprawiedliwa dla wspaniałej kobiety, która dała ci życie?

– Porównaj ilość arkuszy matki z tymi wysłanymi przez ojca! – rzuciła wyzywająco. I tak zrobiłem.

Tehuti pokryła pięknymi kolorowymi hieroglifami trzydzieści dwie strony, beztrudnie ignorując sugestie córki nakłaniające ją do zwięzłości. Znaczną część odpowiedzi napisała rymowanym wierszem i muszę przyznać, że okazała się całkiem zdolna. Roztkliwiła się nad dołą córki, która przeżyła straszne porwanie przez Panmasiego, a później uwięzienie i upokorzenia doznane z rąk Utteryka. Wysławiała jej odwagę i hart ducha, i zapewniała, że z niecierpliwością wygląda ich spotkania. Pytała, czy stary nicpoń Taita pamiętał o przekazaniu błękitnego miecza, i nakazywała jej go ostrzyć; dołączyła instrukcje, jak należy to robić. Zapewniała, że strój Serreny na ślub z Ramzesem został ukończony i jest naprawdę oszałamiający, i że nie może się doczekać, żeby ją w nim zobaczyć. Następnie

podawała wiele przepisów na słowiki pieczone w miodzie i węgorki w glazurze, a także inne wykwintne dania, które za pozwoleniem córki chciałyby podać weselnym gościom. Zakończyła lamentem, że na skrawkach papiirusu brak miejsca na dalsze wiadomości, po czym powtórzyła płynące z serca życzenia bezpieczeństwa i dobrego zdrowia. Na koniec zażądała przysłania większej liczby gołębi, ponieważ jest znacznie więcej ważnych wiadomości, którymi po prostu musi się z córką podzielić, łącznie z tym, że żona Huissona urodziła chłopca.

W porównaniu z jej epistołą cztery arkusiki przysłane przez Hurotasa były majstersztykami klarowności i lapidarnego stylu, dziełem wielkiego, doświadczonego żołnierza. Zostały napisane opracowanym przez Serrenę i udoskonalonym przez mnie *Codis Brevus*.

Na tych czterech stronach, z których Tehuti łaskawie pozwoliła mi skorzystać, Hurotas wyłożył plan bitwy przeciwko Utterykowi. Przewidywał dwie fazy: morską i lądową. Jak było w zwyczaju, admirał Hui miał dowodzić flotą, a Hurotas rydwanami i piechotą.

Na początku kampanii rydwany będą stacjonować w porcie Sazzatu sto mil na wschód od ujścia Nilu do wielkiego Morza Śródziemnego. Było to idealne miejsce do rozpoczęcia inwazji lądowej na Matkę Egipt. Hurotas przetrzuci dwieście sześćdziesiąt rydwanów bojowych i ich załogi do Sazzatu i zostawi je, żeby zajęły miasto i okoliczne tereny. Flota wróci do Lacedemonu, żeby przyjąć na pokład kolejną partię ludzi i pojazdów. Ostatecznie liczba rydwanów w Sazzatu powinna sięgnąć dziewięciuset. Miała to być największa i najpotężniejsza jednostka tego typu w dziejach.

Kiedy wojsko zdobędzie przyczółek na afrykańskim lądzie, flota przypuści atak w górę rzeki Nil. Hui popłynie do Memfis i tam połączy siły z Hurotasem. Kiedy umocnią swoją władzę w mieście, będą mogli rozpocząć długi marsz na Teby.

Hurotas zakończył jednym słowem oznaczającym powitanie i pożegnanie towarzyszy broni. Był to tajemny symbol MIECZE. Jego znaczenie było dla nas zrozumiałe: Twój towarzysz do końca.

– Cztery strony w porównaniu z trzydziestoma dwiema. – Serrena spojrzała na mnie spod oka. – Wciąż uważasz, że się czepiam?

– Nigdy nie użyłem tego słowa. – Z godnością zbyłem jej protesty i zwróciłem się do Ramzesa: – Hurotas pisze bardzo zwięźle.

– Dzięki temu plan wydaje się bardzo łatwy – zaznaczył.

Zwróciłem się z powrotem do Serreny, zadowolony, że zagmatwałem i zaciemniłem temat rozmowy.

– Co sądzisz?

Uśmiechnęła się i rozłożyła ręce w geście kapitulacji.

– Kiedy Utteryk zrozumie, że ma przeciwko sobie ciebie i mojego ojca,

poślizgnie się na własnym rzadkim stolcu, uciekając na południe do dżungli ciemniejszej Afryki, żeby się ukryć wśród równych sobie, małp.

– Podziwiam obrazowość twojej wypowiedzi, moja droga księżniczko. – Objąłem jej ramiona i uścisnąłem na znak aprobaty, jak również dlatego, że uwielbiam ją obejmować.

– Zawsze jesteś taki miły, drogi Taito – zamruczała.

Ramzes patrzył na nas z uśmiechem.

– Jesteś szczęściarą, Serreno. Kocha cię dwóch wspaniałych mężczyzn.

– Wiem, że Taita, ale powiedz mi, proszę, kim jest ten drugi?

Weneg i inni moi szpiedzy w Tebach donosili, że nic nie wskazuje na jakieś nagłe ruchy wojska w mieście. Uprzedziłem ich, że ten stan rzeczy na pewno ulegnie zmianie i będzie znakiem, że Utteryk dowiedział się, iż Hurotas wraz z szesnastoma sprzymierzeńcami rozpoczął atak na jego władzę w Egipcie.

Spodziewałem się, że Utteryk zareaguje pośpiesznym gromadzeniem wszystkich swoich dostępnych sił i ruszy na północ do Memfis oraz na wybrzeże, żeby podnieść morale, wzmocnić tamtejsze regimenty, stawić opór i spróbować odeprzeć wojska króla Hurotasa.

Ramzes chciał natychmiast zacząć ofensywę, nawet nie czekając, aż Utteryk ruszy z Teb w dół rzeki do Memfis i delty. Dowodził, że w Ogrodzie Radości ukradkiem zebraliśmy elitarną jednostkę złożoną z prawie czterystu doskonale wyszkolonych ludzi – ludzi, którzy na rozkaz Utteryka srodze ucierpieli z rąk jego siepaczy i chcieli wyrzucić zemstę.

– Jakie szkody zamierzasz wyrządzić czterotysięcznej armii Utteryka? – zapytałem.

– Jeśli zaatakujemy po północy, spalimy większość jego statków cumujących w porcie, a także magazyny na nabrzeżu, gdzie zgromadził mnóstwo broni i innych zapasów.

– I jednocześnie ujawnimy nasze istnienie. Utteryk jest przekonany, że Serrena przebywa w odosobnieniu za Wrotami Udręki i Smutku, że wszyscy przysyłani tu więźniowie są traceni przez wiernego Guba i że my dwaj jesteśmy gdzieś daleko na północnym krańcu świata. Czy chcemy rozwiązać jego złudzenia? – zapytałem.

Ramzes był wyraźnie zakłopotany.

– Myślałem... – zaczął, ale mu przerwałem.

– Myślenie to za mało. Najpierw musimy skontaktować się z Hurotasem, albo przez gołębia, albo specjalnego kuriera, żeby skoordynować strategię. Tymczasem musimy powściągnąć nasze szlachetne instynkty, dopóki nie będziemy w stanie zadać największej klęski Utterykowi Histerykowi.

Serrena, która pilnie przysłuchiwała się naszej rozmowie, z radości klasnęła w ręce.

– Taito, jak ładnie go nazwałeś. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Twój ojciec to wymyślił, nie ja, a ja nigdy nie kradnę żartów innych – wyjaśniłem z powagą, po czym zwróciłem się do Ramzesa: – Widzę po twojej minie, że się ze mną zgadzasz.

Naostrzyliśmy więc miecze i czekaliśmy niecierpliwie, podczas gdy dni przechodziły w tygodnie. W końcu w noc ciemnego księżycy nieustraszony Pentu

wprowadził *Obietnicę Artemidy* do ukrytego cumowiska na rzece poniżej Ogrodu Radości. Czułem, że łódź w pełni zasłużyła na nadaną jej przez nas nazwę, bezpiecznie kończąc ryzykowną podróż w tak krótkim czasie. Ładownia była pełna darów od królowej Tehuti dla córki. Serrena dostała dwanaście flakonów ulubionych pachnideł, mnóstwo pięknych sukien w różnych kolorach, uszytych i ozdobionych haftem przez jej ulubione szwaczki, po parze sandałów do każdej sukni, garście srebrnej i złotej biżuterii wysadzanej diamentami, a także liczne zwoje papirusu pokryte wspaniałymi hieroglifami.

W jednej z tych doniosłych epistoł Tehuti szczegółowo wyjaśniła, jak bardzo przez cały czas martwił ją jeden szczególny aspekt uwięzienia córki. „Żadne cierpienie, nawet podczas porodu, nie dorównuje temu, jakiego doznaje kobieta pozbawiona odpowiednich strojów”, jak to ujęła.

*Obietnica Artemidy* przywiozła na pokładzie prawie pięćdziesiąt klatek z gołębiami, które wykłuły się w cytadeli Lacedemonu i były uwarunkowane przez naturę do tego, żeby przy pierwszej okazji powrócić do domu. Najwyraźniej Hurotas i Tehuti postanowili być z nami w kontakcie.

Przed wschodem słońca napisałem w *Codis Brevus* trzy wiadomości do Hurotasa. Zapieczętowałem je w jedwabnych woreczkach i zawiesiłem na piersi gołębi. Ptaki wydawały się równie chętne do powrotu tam, gdzie się wylęgły, jak ja do wyprawienia ich w drogę. Ale kazałem im czekać trochę dłużej, gdy pisałem list, w którym potwierdziłem, że *Obietnica Artemidy* bezpiecznie wróciła do miejsca cumowania i że przewiezione przez nią wszystkie listy od Hurotasa i Tehuti zostały odebrane. Gdy pierwsze promienie słońca rozproszyły cienie nocy, ucałowałem łebek każdego gołębia i kolejno rzuciłem je w powietrze. Wzbiły się w niebo na gorliwych skrzydłach i pofrunęły na północ.

Później czekaliśmy z taką cierpliwością, na jaką mogliśmy się zdobyć. Weneg i jego szpiedzy dzień i noc obserwowali pałac i port w Tebach, wypatrując pierwszych oznak niezwyklej aktywności. Wiedziałem, że czekanie będzie niedługie, ponieważ Pentu powiadomił mnie, że kiedy wypływał z portu Gythion, Hurotas był prawie gotów do drogi. Weneg przyjechał z miasta już po dwunastu dniach. Obserwowałem go ze szczytu głównej wieży w Ogrodzie Radości. Nawet z odległości półtorej mili widziałem podekscytowany wyraz jego twarzy. Kiedy mnie zobaczył, stanął w strzemiach i pomachał rękami nad głową.

Zbiegłem po schodach i spotkaliśmy się przy bramie.

– W całych Tebach panuje poruszenie! – krzyknął, gdy tylko znalazł się dość blisko, żebyśmy mogli się słyszeć. – Biją bębny i ryczą rogi! Utteryk przygotowuje się do wojny, a raczej przygotowuje swoich ludzi, bo sam się chowa pod łóżkiem.

– To musi oznaczać, że Hurotas i Hui wreszcie dotarli do Egiptu ze swoimi sojusznikami. Znajdź Ramzesa! Godzinę temu był w ogrodzie z księżniczką. Powiedz mu, że ruszamy do Teb ocenić skalę wojennych przygotowań Utteryka

i spróbować poznać jego zamiary. Przywdziejemy te same łąchmany, które mieliśmy na sobie podczas naszej pierwszej wizyty w twojej winiarni. Będę na niego czekać przy głównej bramie.

Rozmyślnie zostawiłem brudne przebranie zamknięte w drewnianej skrzyni, żeby nie przestało śmierdzieć. Smród wciąż był dostatecznie silny, żeby oczy zaszczyły mi łzami. Natarłem sadzą twarz i ręce, po czym nałożyłem perukę zrobioną z różnego rodzaju ludzkich i zwierzęcych włosów. Też była brudna i pełna robactwa. Robaki służyły do odstraszenia ciekawskich nieznajomych. Gdy mijalem stajnie, przystanąłem, żeby przejrzeć się w końskim korycie, i stwierdziłem, że wyglądam dostatecznie odrażająco. Pośpieszyłem do głównej bramy, gdzie Ramzes już na mnie czekał. Był równie odstręczający, jeśli chodzi o wygląd i zapach, ale jakby bardziej królewski niż ja czy, skoro o tym mowa, towarzysząca mu starucha. Miała znaczną nadwagę i twarz ukrytą za splątana grzywą tłustych siwych włosów. Przykuśtykała, żeby mnie powitać, i kiedy zrozumiałem, że chce mnie objąć, odsunąłem się z trwogą.

– Racz mnie nie dotykać, pani! – przykazałem. – Muszę cię ostrzec, że mam trąd i czarną ospę.

– Jedno i drugie? Aleś ty zachłanny, Tata! Ale nie jestem wybredna. Od ciebie wezmę jedno albo drugie, wedle twojej woli. – Parsknęła czarującym śmiechem. – Stań spokojnie, żebym mogła dać ci buziaka.

– Serrena! Jak to się stało, że tak nagle utyłaś?

– To tylko kilka sukien, które przysłała mi mama, okręconych wokół talii. Nauczyłam się tej sztuczki od ciebie. Muszę cię pochwalić: podoba mi się twoja fryzura.

We trójkę wymknęliśmy się przez tylną bramę fortecy, niewidoczną z drogi do miasta, a potem pod osłoną lasu podeszliśmy do Teb z zupełnie innego kierunku. Zanim zobaczyliśmy mury miasta, usłyszeliśmy wojskową muzykę: dźwięk bębnów, piszczałek i trąbek płynący z doliny. Jakiś czas później mogliśmy spojrzeć w dół ze wzgórz i pierwszym, co zwróciło naszą uwagę, była flota barek transportowych i okrętów zakotwiczonych na Nilu. Wydawało się, że jest ich kilkaset, zbyt wiele, żeby zliczyć. Kotwiczyły tak blisko siebie, że prawie w ogóle nie było widać wielkiej rzeki. Miały zwinięte żagle, ale na wszystkich masztach powiewały flagi wszelkich wyobraźalnych kształtów, rozmiarów i kolorów. W wąskich kanałach między nimi pływały setki mniejszych łodzi wiosłowych. Były załadowane stosami beczek i skrzyń, dostarczonymi na większe jednostki. Serce załomotało mi i krew stanęła w ogniu na tę demonstrację siły.

Większość ludzi ma mnie za mędrca i filozofa, człowieka szlachetnego ducha, obdarzonego z gruntu łagodną i wybaczącą naturą, jednakże pod tą zewnętrzną warstwą czai się zaciekle wojownik i bezlitosny człowiek czynu. W tej chwili moja nienawiść do faraona Utteryka była tak wrząca, że parzyła moją duszę.

Kiedy spojrzałem w dół na miasto, które leżało pomiędzy nami i brzegiem rzeki, zobaczyłem, że w jego murach panuje podniecenie i trwają wojenne przygotowania równie gorączkowe jak te na rzece. Każda wieżyczka i wieża, każdy dach i mury wokół miasta przybrane były flagami.

Na zewnątrz murów na wszystkich drogach i ścieżkach panował wzmożony ruch. Były tam rydwany, wozy i wózki ciągnięte przez ludzi, konie, woły, a nawet przez kozy. Cały ten tłum zmierzał do Teb. Ruszyliśmy we trójkę przez gęsty las na zboczu i znaleźliśmy szlak wiodący do tylnej bramy miasta. Jedno za drugim wyszliśmy zza parawanu osłaniających nas roślin, poprawiając groteskowe odzienie, jakbyśmy byli w krzakach za potrzebą, i dołączyliśmy do kolumny toczącej się do Teb. Nikt nie zwrócił na nas uwagi i nikt nas nie zatrzymał, gdy dotarliśmy do bramy. Wpłynęliśmy do miasta, niesieni przez ludzką falę.

Na ulicach panował jeszcze większy tłok niż na wiejskich drogach. Jedynymi, którzy mieli swobodę ruchów, byli ciężkozbrojni żołnierze maszerujący w niekończących się szeregach do portu, żeby wsiąść na okręty. Przed oddziałami szli sierżanci trzymający bicze, przeklinający tłumy i smagający tych, którzy tarasowali drogę.

Zaraz po przejściu każdego z tych oddziałów tłum ponownie korkował ulice i mogliśmy tylko dreptać, przyciśnięci ramię do ramienia i brzuch do pleców. Oczywiście, obaj z Ramzesem znaleźliśmy miasto, które swego czasu było domem nas obu. Zdołaliśmy się wyrwać z głównych ulic w boczne uliczki i zejść w tunele pomiędzy budynkami i pod nimi. Niektóre z tych przejść były tak wąskie i mroczne, że musieliśmy iść gęsiego, a w jeszcze ciaśniejszych wciągać brzuchy i przeciskać się bokiem. Oświetlaliśmy drogę wysoko trzymanymi świeczkami. Trudno było pogodzić się ze świadomością, że rozpadające się budynki nad nami mogą się zawalić i że wokół nas pod gruzami leżą zmiażdżone zwłoki setek nieszczęśników zabitych przez częste katastrofy.

Tunele, którymi szliśmy, doprowadzały nas do grot i komór różnej wielkości i wysokości. We wszystkich roiło się od handlarzy zajętych sprzedawaniem i kupowaniem różnorodnych przedmiotów.

Do bardziej niezwykłych towarów, które zauważyłem, należały butelki moczu bogini Hathor. Zaproponowałem księżniczce jedną z nich w podarunku, gdyż były w bardzo rozsądnej cenie. Odmówiła, twierdząc, że w każdej chwili sama może napełnić butelkę.

Jeden z przekupniów, stworzenie nieokreślonej płci o grubo pomalowanej twarzy, zaczepił mnie słowami:

– Witaj, uroczy chłopcze, co sądzisz o odrobinie wte i wewte albo, jeśli wolisz, w zad i nazad?

– Niestety, dla mnie za wcześnie. Jeszcze nie strawiłem śniadania, co przyprawia mnie o czkawkę – odmówiłem uprzejmie.

On – ona, a może ono – spojrział na mnie podejrzliwie, po czym rzucił wyzywająco:

– Przypominasz mi sławnego pana Taitę, jasnowidza i mędrca, tyle że jesteś starszy i znacznie szpetniejszy.

– Wątpię, czy kiedykolwiek spotkałeś Taitę – odpowiedziałem wyzwaniem.

– A jakże, widziałem. – Pokiwał mi palcem przed nosem. – Dobrze go znałem.

– W takim razie powiedz mi o nim coś, czego nie wie nikt inny.

– Miał pal rozkoszy dłuższy niż słoniowa trąba i grubszy niż kuśka wieloryba. Ale już nie żyje.

– Nie, mówisz o jego bracie bliźniaku. Prawdziwy pan Taita był leworęczny. Tylko w ten sposób można ich było rozróżnić – wyjaśniłem.

Zrobił zdumioną minę i skubnął nos. Pokręcił głową i wymamrotał:

– To dziwne! Nigdy nie przypuszczałem, że pan Taita miał bliźniaka. – Odszedł, wciąż skubiąc się po nosie. Ramzes i Serrena odgarnęli włosy peruk z oczu i spojrzeli na mnie.

– Chciałbym umieć kłamać z tak poważną twarzą – powiedział Ramzes z zazdrością.

– Jak ma na imię twój bliźniak? Jeśli jest młodszy i ładniejszy niż ty, chciałabym go poznać – powiedziała z powagą Serrena, a Ramzes uszczypał ją w pośladek tak, że aż pisnęła.

Przebijaliśmy się przez podziemny labirynt ku powierzchni. Wreszcie wgramoliliśmy się do nieczynnego kanału ściekowego i wyszliśmy stamtąd w kącie placu parad, za stertą pradawnego gruzu, który ukrywał popularną wśród obu płci latrynę pod gołym niebem. Było tam mnóstwo klientów zajętych swoimi sprawami. Poświęcili nam niewiele uwagi, zajęci kontynuowaniem tego, co robili.

Tego pamiętnego dnia plac parad był najruchliwszą, najbardziej zatłoczoną częścią całego miasta. Nie zdołalibyśmy dotrzeć do amfiteatru, gdybyśmy próbowali iść zwykłą trasą. Zgodnie ze wcześniejszą umową, Weneg ze swoimi czterema zbójami czekał na nas przy wyjściu z latryny. Zabrali naszą trójkę, tworząc ochronny kokon, żeby ocalić nas przed stratowaniem przez tłumy. Przebijaliśmy się coraz wyżej na kamienne trybuny, aż dotarliśmy prawie na samą górę, skąd roztaczał się widok na stadion. Panował tam taki ścisk, że ani szpilki wetknąć, jakby zbiegli się tam wszyscy mieszkańcy Teb.

Tylko środek stadionu świecił pustką, ogrodzony linami i otoczony przez stojących ramię w ramię strażników z nagimi mieczami, którzy chronili go przed zalaniem przez masy ludzkie. Wprost poniżej naszych miejsc znajdowała się drewniana trybuna honorowa, z przodu której pięćdziesięciu muzyków grało melodie marszowe i patriotyczne.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniejsze, aż po ostatnim trzasku czynili



instrumenty umilkły i człowiek przewodzący muzykantom zwrócił się ku widowni z uniesionymi rękami. Gwar tłumów powoli przycichł.

W panującej ciszy na podium weszła wysoka złota postać, od stóp do głów pokryta lśniącym metalem. Miała złoty hełm z zasłoną, złoty kirys, złote nagolenice i sandały. Promienie słońca odbite od płyt raziły w oczy. Był to zręczny pokaz umiejętności przyciągania uwagi otoczenia.

Muzykanci zagrali grmiący hymn i śpiewacy ryknęli na całe gardło. Rozpoznałem tekst ułożony przez Utteryka ku jego własnej chwale, zatytułowany skromnie *Niezwyciężony*. Był to sygnał dla regimentu gwardii królewskiej, żeby zająć środek stadionu. Maszerowali w sile tysiąca, bijąc mieczami w tarcze i chóralnie śpiewając:

*Dziesięć tysięcy martwych na pobojuwisku,*

*Ale Niezwyciężony żyw!*

*Dziesięć tysięcy lat przemija,*

*Ale Niezwyciężony trwa!*

Słuchając tych czczych, niedorzecznych słów, czułem, jak na nowo rozpała się mój gniew i nienawiść do potwora, który obecnie władał Egiptem. Jego obłęd został spotęgowany przez spryt i przebiegłość, jakimi go doprawił. Spojrzałem na siedzącą obok mnie Serrenę. Natychmiast poczuła na sobie mój wzrok i odpowiedziała na mój milczący komentarz bez odrywania wzroku od złotej postaci.

– Masz rację, Taito, Utteryk jest szalony, ale nie głupi. Wyrzyna arystokrację, wielkie grono ludzi perfekcyjnie wyszkolonych przez faraona Tamosego, a do tego także oficerów armii, która pokonała Hyksosów i wypędziła ich z egipskiej ziemi, ponieważ są ludźmi jego ojca. Niszczy ich, bo są lojalni wobec poprzedniego faraona, chociaż spoczywa w grobie. Z punktu widzenia Utteryka wszyscy oni są ludźmi dnia wczorajszego. Ludźmi takimi jak ty i Ramzes. Wie, że wszyscy nim gardzicie, dlatego chce was wytępić i zastąpić podobnymi do Panmasiego, który go wielbi.

Obróciła głowę i spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Oczywiście wiesz, że Panmasi, który mnie porwał, jest teraz generałem nowej armii Utteryka? Dowodzi gwardią królewską, którą tam widzisz. – Wskazała

podbródkiem; była zbyt mądra, żeby użyć palca i ściągnąć na siebie uwagę. – To Panmasi stoi za faraonem na trybunie honorowej.

Nie rozpoznałem go, dopóki mi go nie wskazała. Hełm ukrywał jego rysy i częściowo zasłaniali go ci, którzy stali przed nim.

– A ty? – zapytałem. – Czujesz złość, kiedy widzisz tych dwóch razem, Utteryka i Panmasiego: tych, którzy cię poniżali i torturowali?

Przez kilka uderzeń serca rozmyślała nad moim pytaniem, po czym odrzekła cicho:

– Nie, nie czuję złości, bo to zbyt łagodne słowo. Tym, co czuję, jest wrząca we mnie furia.

Nie widziałem jej twarzy za zwisającymi kołtunami peruki, ale jej ton brzmiał dostatecznie przekonująco. W tej chwili maszerująca kolumna gwardii zatrzymała się z ostatnim tupnięciem i uniosła nagie ostrza, pozdrawiając Utteryka w jego złotej zbroi. Cisza, która nagle zaległa w amfiteatrze, była tak głęboka, że wydawała się namacalna.

Odziany w złoto faraon przeszedł na przód podium. Powoli, nieśpiesznym ruchem ściągnął rękawicę i uniosł gołą prawą dłoń. Poczulem, że Serrena zeszywniała obok mnie, chociaż nie dostrzegłem powodu takiej reakcji. Obnażanie prawicy, żeby pozdrowić żołnierzy, nie było niczym niezwykłym nawet dla faraona.

Następne, co się stało, było zupełnie nieoczekiwane.

Naprzeciwko podium na drugim końcu stadionu wznosił się pagórek, ulubiony punkt obserwacyjny, z którego uprzywilejowani widzowie mogli oglądać parady wojskowe. Skraj podium od pagórka dzieliła odległość mniej niż dwustu kroków.

Nagle mały, ciemny obiekt oderwał się od tłumu na dalekiej górze. Mam wyjątkowo dobry wzrok i nawet na tle zbitego tłumu wyłowiłem go w chwili, gdy wzleciał w powietrze. Zrazu pomyślałem, że to ptak, ale prawie natychmiast zrozumiałem mój błąd.

– Patrzcie! – krzyknąłem. – Ktoś wypuścił strzałę!

– Gdzie? – zapytał Ramzes.

Serrena wypatrzyła ją chwilę po mnie.

– Tam, nad pagórkiem. – Wskazała ją, gdy strzała osiągnęła najwyższy punkt i zaczęta opadać. – Leci prosto na nas.

Dokonałem obliczeń.

– Nie dosięgnie. Wystrzelono ją zbyt wysoko. Leci w kierunku Utteryka. – Podniosłem się. Nagle przestraszyła mnie myśl, że Utteryk, mój śmiertelny wróg, znalazł się w niebezpieczeństwie. Jeśli strzała go zabije, nie będę mógł się na nim zemścić za wszystkie cierpienia, jakie zadał mnie i najdroższymi mi osobom. Chciałem krzyknąć ostrzegawczo, lecz strzała opadała zbyt szybko, żeby

ostrzeżenie odniosło skutek. Utteryk wciąż stał z uniesioną prawicą, jakby witał śmierć. Jego złoty hełm i napierśnik były płonąca latarnią, która wabiła nieubłagany pocisk.

Zobaczyłem ciężki grot wyciosany z krzemienia, zaprojektowany specjalnie do przebijania pancerza. Miał przeszyć cienki napierśnik jak arkusz papirusu. Zdawało się, że czas zwolnił. Wszyscy, łącznie ze sztabem Utteryka i zwłaszcza ze mną, wydawali się sparaliżowani, niezdolni do ruchu. Strzała rozmyła się w powietrzu, pokonując kilka ostatnich łokci, i uderzyła z metalicznym dźwiękiem jakby wielkiego dzwonu. Utteryk zatoczył się do tyłu. Przez krótką chwilę, gdy jeszcze stał, widziałem grot i połowę drzewca wystające spomiędzy łopatek. Pierzasty pocisk przeszył go na wylot.

Zaraz potem Utteryk runął na deski trybuny z taką siłą, że kilka z nich pękło. Znieruchomiał, zabity na miejscu przez strzałę, która przebiła jego złe serce.

Zapadła głęboka, absolutna cisza. Zdawało się, że cały świat wstrzymał oddech, by po chwili wypuścić go w krzyku strasznej trwogi, potężnego żałobnego zawodzenia, jakby z rozpacz po utracie ojca. Złożony z pochlebców sztab Utteryka pod przywództwem generała Panmasiego rzucił się do powalonego faraona. Jeden z nich miał koc, którym okryli ciało, nie podejmując próby wyciągnięcia strzały ani zdjęcia pancerza czy hełmu.

Dwunastu dźwięnęło trupa i zniosło go po schodach prowadzących z podium do kamiennego budynku na dole. Muzykanci zagrali lament. Tłumy wydawały się dezorientowane i niepewne, jak zareagować. Niektórzy ostentacyjnie płakali i zawodzili, wydzierając garście włosów z głowy. Wielu miało kłopoty z pohamowaniem radości. Próbowali ją ukryć, zasłaniając twarze rąbkami szat i energicznie pocierając oczy, żeby popłynęły z nich łzy.

Być może byłem jednym z niewielu, których naprawdę zasmuciła śmierć Utteryka. Przytulilem do siebie Ramzesa i Serrenę, szukając pociechy; byłem bliski szczerych, płynących z serca łez.

– Nie tak miało się skończyć – szepnąłem do nich. – Utteryk uniknął kary, na jaką zasłużył za swoje okrucieństwa i potworne zbrodnie.

Ramzesa natomiast rozpierała radość. Oczywiście, był następcą tronu.

– Przynajmniej odszedł, raz na zawsze. Ciekawe, kto wypuścił strzałę. Powinienem serdecznie mu podziękować i nagrodzić go za odwagę.

W tłumie nastąpiło poruszenie; ludzie z wahaniem, niepewnym krokiem kierowali się ku bramom. Dołączyliśmy do nich, ale nie zaszliśmy daleko, bo zatrzymały nas uzbrojone straże. Szorstkie komendy wyraźnie niosły się do naszych uszu.

– Wracać! Wszyscy musicie zostać na swoich miejscach. Nikt nie opuści amfiteatru do czasu znalezienia zabójcy. – Obrócili włącznie i grotami odpędzili tłumy od bram. – Wiemy, kto wypuścił strzałę, która uśmierciła faraona Utteryka

Niezwyciężonego.

Narzekając i protestując, wróciliśmy na swoje miejsca.

Serrena usiadła blisko mnie. Odwróciła się od Ramzesa, który uskarżał się sąsiadowi po drugiej stronie. Mówiła szeptem, prawie nie poruszając ustami. Ledwie słyszałem jej głos.

– To nie był on – powiedziała.

– Nie rozumiem. Kto nie był kim? – zapytałem równie cicho, biorąc z niej przykład.

– Ten człowiek w złotej zbroi nie był Utterykiem. Nie Utteryka zabiła strzała. To był zastępca, dubler.

– Skąd wiesz? Spod hełmu nie było widać twarzy. – Chwyciłem ją za ramię i przyciągnąłem bliżej. Poczuliem ulgę na myśl, że może jeszcze zdołam się zemścić na żywym Utteryku.

– Widziałam jego prawą rękę – rzekła krótko.

– Wciąż nie pojmuję. Co ręka ma wspólnego...? – Urwałem i wbiłem w nią wzrok. Zwykle nie jestem aż taki powolny. – Poznałaś, że ręka, którą widzieliśmy, nie była ręką Utteryka?

– Otóż to! – odparła. – Utteryk ma gładkie, nieskazitelne dłonie, niemalże kobiece. Jest z nich niezmiernie dumny. Jego przyjaciele mówią, że trzy razy dziennie omywa je mleczkiem kokosowym.

– Skąd o tym wiesz, Serreno? – dociekałem. – Kiedy miałaś okazję dokładnie przyjrzeć się jego ręką?

– Za każdym razem, kiedy je podnosił, żeby uderzyć mnie w twarz. Ilekroć próbował ukręcić mi nos. Gdy wbijał palce w waginę albo odbył, żeby rozśmieszyć swoich ślicznych chłopaczków – powiedziała z goryczą, tonem podkreślającym wciąż żywe oburzenie. – Powalony przez strzałę mężczyzna w złotej masce miał szorstkie, stwardniałe ręce rolnika. To nie był Utteryk.

– Tak, to ma sens. Przykro mi, że skłoniłem cię do wyjawienia intymnych, odrażających szczegółów upokorzenia.

– Najważniejsze, żeby Ramzes o niczym się nie dowiedział. Nie chcę tego... Obiecuj, że nigdy mu nie powiesz.

– Przysięgam ci, nie powiem. – Wiedziałem, że to oklepane słowa, ale ścisnąłem jej rękę, żeby przydać im wagi.

Czekaliśmy godzinę, potem drugą. Jedyłą ulgę, jeśli to coś warte, niosły poważne melodie żałobne bez końca grane przez muzykantów, opłakujące śmierć faraona. Pomruki tłumu wyrażały złość. Słyszałem głównie rzucane uwagi, których treść graniczyła ze zdradą. Po śmierci faraona zwykle ostrożni obywatele przestali się krępować i bez osłonek wyrażali swoje zdanie.

Nagle i niespodziewanie zagrali żwawą, wesołą melodię, ostro kontrastującą z dotychczasową muzyką. Pomruki tłumu ucichły i zapadła pełna konsternacji

cisza. Widziałem, jak mężczyźni i kobiety, którzy od dwóch godzin bez skrępowań krytykowali faraona, teraz niespokojnie się rozglądają, próbując osądzić, kto ich słyszał, i żałując swoich słów.

Generał Panmasi i czterech innych wysokich rangą oficerów weszło po schodach z budynku na dole, gdzie ledwie dwie godziny temu znieśli owinięte kocem zwłoki Utteryka. Muzykanci powitali ich dziarską fanfara, gdy ramię w ramię stanęli z przodu podium. Kiedy w końcu muzyka ucichła, generał Panmasi wystąpił i zaczął mówić przez tubę. Dzięki temu narzędziu jego głos niósł się po całym amfiteatrze. W tłumie stali młodszy oficerowie, którzy przekazywali jego słowa tym stojącym najdalej.

– Lojalni i wierni obywatele potężnego Egiptu, przynoszę wam radosną nowinę. Nasz umiłowany faraon Utteryk Niezwyciężony, którego wszyscyśmy widzieli powalonego strzałą zdrajcy, właśnie potwierdził prawdziwość swojego przydomka. Oszukał śmierć! Wciąż jest z nami! Jest i żyje wiecznie!

Pełne powątpiewania milczenie odpowiedziało na tę rewelację. Wszyscy widzieli strzałę, która przeszła pierś Utteryka. Wszyscy na własne oczy widzieli, że rana była śmiertelna. Wietrzyli podstęp w słowach Panmasiego. Spuścili oczy, szurali nogami, unikali wymiany spojrzeń z sąsiadami i pilnowali, żeby nie robić obciążających ich gestów.

Panmasi wrócił do szczytu schodów i padł na kolana. Czterej oficerowie natychmiast poszli w jego ślady, bijąc czołami w deski trybuny.

Na schodach ukazała się ta sama postać w złotej zbroi, którą wcześniej widzieliśmy wynoszoną w przesiąkniętym krwią kocu. Przybysz szedł dumny i śmiały, bez śladu zadanej przez strzałę śmiertelnej rany, z wyjątkiem krwi wokół dziury wybitej w złotym napierśniku. Stanął na skraju podium i zdjął hełm z głowy, żeby pokazać oblicze faraona Utteryka, aż nazbyt dobrze znane ludowi.

Ci sami, którzy wcześniej ukradkiem przyklaskiwali jego śmierci, teraz rzucili się na ziemię z lojalnym ferworem. Pełzali na brzuchach jak szczenięta, okazując przesadną radość z cudownego zmartwychwstania.

Utteryk patrzył na nich z góry; jego ładne, podkreślone przez pomady zniewieściałe rysy wyrażały dumę i drwinę. Oczywiście cieszyły go te dzikie wyrazy uwielbienia. W końcu uniósł rękę, nakazując ciszę.

Szepnąłem do Serreny:

– Miałaś rację. Ma dziewczęce dłonie.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Kogo zabiła strzała? – zastanawiałem się na głos.

– Nigdy się nie dowiemy – odparła z przekonaniem Serrena. – Już spłonął na popiół albo spoczywa na dnem Nilu z ciężarami przywiązanymi do nóg. – Potem mnie uciszyła i wszyscy inni umilkli, gdy faraon przemówił.

– Umilowany ludu, moi wierni poddani, powróciłem do was! Wróciłem

z mrocznego miejsca, do którego posłała mnie strzała zabójcy.

Tłum ryknął na znak radości z jego przetrwania. Faraon znów uniósł ręce i natychmiast się uciszyli.

– Teraz wszyscy wiemy, że wśród nas są zdrajcy! – podjął nagle oskarżycielskim, gniewnym głosem. – Są ci, którzy uknuli zamach na moją osobę i próbowali zrealizować swoje nieczne plany.

Tłumy zamruczały z bólem na samą myśl o takiej zdradzie.

– Wiem, kim oni są, ci morderczy zdrajcy. Moi lojalni strażnicy aresztowali całą trzydziestkę. Wszystkich spotka los, na jaki w pełni sobie zasłużyli. – Pod wodzą generała Panmasiego widzowie wzniesli gromkie wiwaty i wykrzykiwali zapewnienia o patriotycznej lojalności. Kiedy przycichli, faraon kontynuował: – Pierwszym i najważniejszym z tych łajdaków jest człowiek, który wypuścił śmiercionośną strzałę. To jeden z moich starszych urzędników, którego darzyłem bezgranicznym zaufaniem. Strażnicy widzieli, jak napiął łuk i wypuścił strzałę, która mnie trafiła, ale nie mogła mnie zabić. – Podniósł głos do krzyku: – Przeprowadźcie zdrajcę Irusa!

– Tylko nie on! – zaprotestował Ramzes przerażonym szeptem. – Jest stary, ale szlachetny i dobry. Nigdy nie popełniłby morderstwa. Poza tym wątpię, czy ma dość krzepy, żeby napiąć łuk.

Serrena chwyciła jego rękę, żeby go uciszyć i powstrzymać od wstania.

– Irusa już nic nie uratuje, kochanie – szepnęła. – Człowiek, który wypuścił strzałę, jest najpewniej tym, który prowadzi Irusa na szafot. Ma na imię Orkos i jest jednym z najbardziej bezlitosnych siepaczy Utteryka. Cieszy się również sławą niezrównanego łuczника.

Ramzes ze smutkiem pokiwał głową.

– Dobrze znam Orkosa. Wiem też, że Irus protestował przeciwko najdzikszemu i najokrutniejszemu pomysłu Utteryka. To cena, jaką musi zapłacić za ten brak rozwagi.

– Utteryk rozgrywa tu dzisiaj jedno ze swoich mistrzowskich posunięć. Najpierw potwierdził to, że jest nieśmiertelny. Poddani widzieli jego śmierć, a on powrócił z martwych, żeby zniszczyć tych, którzy próbowali mu się przeciwstawić. – Serrena mówiła cicho, ale z przekonaniem. – Takich jak Irus. Utteryk ucisza głosy wszystkich ucziwych i honorowych ludzi w Egipcie. Dowiedział się, że mój ojciec jest na morzu z flotą, rydwanami i wszystkimi sprzymierzonymi królami. Zabezpiecza tyły, zanim pomaszeruje stawić mu czoło. Nie jesteśmy w stanie nic zrobić, dopóki nie przybędą do Egiptu. Możemy tylko czekać. Miejmy nadzieję, że Utteryk wyśle Irusa i innych oskarżonych do Wrót Udręki i Smutku. Jeśli tak, wtedy się nimi zaopiekujemy.

Królewscy strażnicy wprowadzili na trybunę Irusa i pozostałych więźniów ze związanymi rękami. Od razu stało się jasne, że wszyscy byli bici i brutalnie

traktowani. Większość krwawiła, a sam Irus, ich rzekomy przywódca, był na wpół przytomny. Niegdyś przystojną twarz miał tak spuchniętą i posiniaczoną, że ledwie go rozpoznałem. Zasychająca krew zlepiła jego długie białe loki. Oprawcy odarli go z odzienia i miał tylko przepaskę biodrową. Jego nagie plecy pokrywały pręgi po biczu. Dwóch strażników powlokło go przed faraona.

Utteryk natychmiast przypuścił słowny atak, w konsekwencji doprowadzając się do maniakalnej wciekłości. Rzadko słyszałem takie brudy jak te, które bluzgały z jego ust przemieszane ze śliną. W ręce trzymał pejcz do jazdy konnej. Używał go dla podkreślenia swojej tyrady, niestrudzenie smagając twarz starca, aż jeszcze więcej krwi ściekało mu po brodzie i nogi się pod nim ugięły. Dwóch strażników dźwignęło go, żeby stał przed swoim katem i znosił każdy cios kary.

Wreszcie Utteryk odstąpił. Dyszał dziko i strumyki potu spływały mu po policzkach. Rzucił pejcz i wyciągnął miecz z pochwy u pasa.

– Puścić go – polecił strażnikom. – Niech padnie na kolana w błagalnej pozie. Przeciąć mu więzy, żeby mógł wyciągnąć ręce i błagać mnie o łaskę.

Można było poznać, że strażnicy wiele razy postępowali w ten sposób z innymi więźniami. Szczerzyli zęby, wykonując rozkazy.

– Wyciągnij ręce, nikczemny zdrajco. Błagaj mnie o królewską łaskę, stara cuchnąca kupo gnoju! – wrzasnął faraon do Irusa.

Starzec zbyt wiele przeszedł, żeby zareagować; w oszołomieniu pokręcił głową i krople krwi bryznęły na deski.

– Zmuście go, żeby to zrobił! – krzyknął Utteryk do strażników. Wciąż szeroko uśmiechnięci, podeszli i chwycili końce sznura, który rozmyślnie zostawili okręcony wokół nadgarstków. Pociągnęli i Irus padł twarzą na deski, z rękami wyciągniętymi na całą długość.

Utteryk podszedł z uniesionym mieczem. Lekko stuknął ostrzem w przedramię Irusa, żeby zmierzyć odległość, a potem wzniosł miecz nad głowę i spuścił go z wysoka. Brązowe ostrze gładko przecięło lewą rękę starca, ciało i kość. Strażnik trzymający sznur zatoczył się do tyłu i strumień krwi trysnął z kikuta. Z ust Irusa popłynął słaby, cichy okrzyk. Widzowie go powtórzyli, jedni z przerażenia, drudzy z aprobatą.

Utteryk ponownie uniósł ostrze i ocenił dystans okiem wojownika. Zamachnął się i czysto odrąbał drugą rękę. Irus leżał, jęcząc, w kałuży własnej krwi.

Generał Panmasi stanął przy faraonie i skinął na jeden z czekających rydwanów. Woźnica podjechał do podium – wszystkie cztery konie przebierały nogami, spłoszone zapachem krwi. Tymczasem dwóch strażników przywiązało sznury do kostek Irusa. Przekazali końce woźnicy, który przytoczył je do kółek z tyłu platformy. Utteryk zeskoczył z podium i zajął zwolnione przez woźnicę miejsce. Potrzasał lejcami i czwórka koni ruszyła klusem, wlokąc za rydwanem

okaleczonego Irusa. Starzec krzyczał z bólu i z początku próbował balansować nagim, zmaltretowanym ciałem, orząc ziemię krwawymi kikutami rąk, żeby omijać kamienie i inne przeszkody wokół stadionu. Przy drugim okrążeniu osłabł i przestał się bronić. Podskakiwał bezwładnie po ziemi, aż zgasła w nim ostatnia iskra życia. Faraon Utteryk przywlókł trupa do podium i wyskoczył z rydwanu.

– Niezwyciężony faraonie, co mamy zrobić z pozostałymi szumowinami? – zapytał generał Panmasi, gdy Utteryk wszedł na trybunę. Wyciągniętym mieczem wskazał pozostałych dwudziestu dziewięciu więźniów, którzy klęczeli, spętani jak świnie na rzeź.

Utteryk obrzucił ich lekceważącym spojrzeniem.

– Mam dość ciężkiej pracy jak na jeden dzień. Wysłać całą zdradziecką bandę do Wrót Udręki i Smutku. Niech zajmą się nimi kaci.

– Musimy się pośpieszyć, żeby wrócić do Ogrodu Radości i powitać więźniów Utteryka – szepnąłem do Serreny i Ramzesa, gdy faraon i jego świta wsiedli na rydwany i pojechali ze stadionu w kierunku złotego pałacu.

Musieliśmy się przebijać przez zatłoczone ulice, ale wreszcie wyrwaliśmy się z miasta. Przebiegliśmy większość drogi przez wzgórza, skrótami, brodząc przez strumienie i wspinając się na wzniesienia, zbyt strome dla koni ciągnących ciężkie rydwany, które, jak wiedzieliśmy, są niedaleko za nami. Znów byłem zdumiony, że Serrena dotrzymuje kroku Ramzesowi i mnie; często wręcz pierwsza kończyła wspinaczkę na najbardziej spadziste zbocza. Oczywiście była znacznie lżejsza od nas. Wyprzedziliśmy konwój rydwanów ze skazańcami z Teb o godzinę; wciąż byłem jeszcze zajęty przebieraniem się w kostium Guba, gdy wartownicy krzyknęli na wieżach, ostrzegając nas o zbliżaniu się wielu pojazdów z miasta.

Zdążyłem do głównej bramy w porę, żeby powitać przybyszy zwykłą ponurą procedurą pytań i odpowiedzi, po czym wpuściłem więźniów do rozkosznego Ogrodu Radości Serreny. Gdy tylko ochłonęli z szoku, że trafili do rajy w porównaniu z tym, czego się spodziewali, pozbyłem się stroju Guba i przedstawiłem ich Ramzesowi. Dobrze znali mnie i Ramzesa z widzenia, gdy mieszkaliśmy w Tebach i obaj byliśmy majątynymi ludźmi o wysokiej pozycji. Utteryk od dawna twierdził, że obaj nie żyjemy, więc ich zdumienie i radość były bezgraniczne. Otoczyli nas, próbowali nas obejmować i zapewniali o dozgonnej wdzięczności za uwolnienie od groźby i cienia śmierci.

Wystarczyła drobna sugestia z mojej strony, żeby wszyscy uznali Ramzesa za przyszłego władcę Egiptu i zastępcę znenawidzonego człowieka, który skazał ich na śmierć w męczarniach.

Najpierw pojedynczo i dwójkami klękali przed Ramzesem i pozdrawiali go jako faraona, a później wszyscy razem wyspiewali pochwały i przysięgli mu wierność. Pozwoliłem, żeby zapał osiągnął punkt wrzenia, a gdy zaczął stygnąć, użyłem mojego fortelu.



Serrena czekała na wezwanie w pobliskim namiocie i zjawiała się dokładnie wtedy, kiedy tego chciałem. Uwolnieni więźniowie odwrócili się ku niej z zaciekawionymi minami, które szybko przeszły w oszołomione. Przykazałem jej, że ma wyglądać zniewalająco jak nigdy, ale nawet ja nie spodziewałem się prześcignięcia ideału.

Miała na sobie najpiękniejszą suknię spośród tych przysłanych przez matkę. Niebiański odcień zieleni cudownie połyskiwał w świetle i mienił się wszystkimi kolorami tęczy przy każdym jej ruchu. Powłóczysta tkanina sugerowała pełne kształty jej ciała. Ręce miała nagie, a skóra lśniła jej jak wypolerowana. Dumnie unosiła piękną głowę na smukłej szyi. Jej zielone oczy skrzyły się jaśniej niż najcenniejszy szmaragd i hipnotyzowały patrzącego swoją przenikliwością.

Podszedłem do niej, ująłem ją za rękę i poprowadziłem do Ramzesa. Migotała i sunęła u mojego boku, a uśmiech, jakim obdarzyła widzów, zdawał się brać ich na nowo w niewolę. Ramzes wyciągnął do niej dłoń. Wtedy odwróciłem się w stronę naszych gości i przemówiłem:

– Mam ogromną przyjemność przedstawić wam córkę króla Hurotasa i jego żony królowej Tehuti. Oto księżniczka królewskiego rodu Lacedemonu, Serrena. Jest narzeczoną naszego faraona Ramzesa, który uratował ją z niewoli u Utteryka. Zostanie waszą królową. Panowie, proszę, okażcie jej należyty szacunek!

Występowali jeden po drugim i oddawali hołd Serrenie, a ona każdemu słała taki uśmiech, że nie wątpię, iż natychmiast stawali się jej wielbicielami i wiernymi zwolennikami do końca swoich dni. W ten sposób odegrałem zasadniczą rolę w zapewnieniu Ramzesowi tronu Egiptu, a sobie urzędu jego wezyra i doradcy.

Dałem nowym rekrutom bardzo mało czasu na znalezienie sobie miejsca w naszych szeregach. Znałem z imienia i zwykle z twarzy tych, którzy byli naprawdę wartościowi dla naszej sprawy, i bezzwłocznie wcieliłem ich do już istniejących grup. Następnie przydzieliłem każdemu rolę, w jakiej miał się okazać najbardziej pożyteczny dla realizacji naszych planów.

Najważniejsze dla mnie było wypytanie ich o wszystko, co wiedzieli o Utteryku i jego zawiłych machinacjach, żebyśmy mogli zająć mocniejszą pozycję w walce wiodącej do zniszczenia faraona. Większość z tego, co usłyszałem, już była mi wiadoma, ale z fascynacją słuchałem, jak Utterykowi udało się przemienić w nieuchwytną osobę tylko pozornie związaną z rzeczywistością. Otóż miał wielu dublerów, tak jak ten, który zamiast niego został zastrzelony na podium stadionu, żeby po kilku godzinach Utteryk mógł wrócić jako zmartwychwstały. Według moich nowych informatorów, osoba, która publicznie występowała jako faraon, bardzo często była tylko jego sobowtórem. Obejmowało to również dowodzenie armiami. Był to dobry fortel, żeby unikać niebezpieczeństwa pola bitwy przy jednoczesnym zbieraniu poklasku za zwycięstwo i odcinaniu się od hańby klęski. Oczywiście ten stan rzeczy znacznie utrudniał nam jego obalenie. Nie mogliśmy być absolutnie pewni, czy uderzymy w prawdziwego Utteryka, czy w jego zastępcę.

Dowiedziałem się również, że armie Hurotasa i jego sojuszników wreszcie wylądowały w Egipcie. Ogromna flotyła nadciągnęła z wielkiego Morza Śródziemnego, żeby wylądować prawie tysiąc rydwanów ledwie sto mil na wschód od delty Nilu. Podczas gdy rydwany pod wodzą generała Huiego jechały lądem do Abu Naskos, statki wpłynęły w liczne ujścia Nilu i wywalczały sobie drogę na południe, żeby rozpocząć oblężenie tego miasta.

Abu Naskos zastąpiło Teby jako północna stolica Utteryka. Memfis poniosło nieodwracalne szkody podczas wcześniejszego oblężenia przez Hurotasa i mnie, kiedy podkopaliśmy mury, żeby pokonać hyksoskiego wodza Chamudiego. Utteryk stworzył więc nową, potężną stolicę sto dwadzieścia mil dalej na północ. Abu Naskos powstało na ruinach starożytnego miasta, którego korzenie skrywała mgła zamierzchłej przeszłości.

Mając na względzie wszystkie te ważne sprawy, zdecydowałem, że muszę osobiście sprawdzić, czy prawdziwy Utteryk zabierze trzon swojej armii na północ, czy też to jeden z jego zastępców przyjmie na siebie tę rolę. Mieliśmy tylko czterystu wojowników przyczajonych w Ogrodzie Radości. Jeśli Utteryk osobiście stanie na czele armii, wtedy będziemy mogli podjąć próbę odebrania miasta zostawionemu w nim uszczuplonemu garnizonowi, licząc, że zdołamy przeciągnąć obrońców miasta pod nasz sztandar. Postanowiłem pójść sam i obejrzeć wyjazd

Utteryka z Teb, nie zabierając nawet Wenega ani Ramzesa do towarzystwa. Przykazałem strażnikom przy głównej bramie, żeby nie rozgłaszali wiadomości o moim odejściu. Godzinę po północy wymknąłem się z Ogrodu Radości i ruszyłem przez wzgórza w kierunku Teb.

Księżyc w pełni jeszcze wędrował po niebie, gdy na długo przed świtem dotarłem do celu i z wysoka spojrzałem na Nil. Liczne pochodnie oświetlały port i było tam widno niemalże jak w dzień. Do portu płynął bezustanny strumień tragarzy zgarbionych pod ciężarem rzeczy, które trafiały do ładowni statków. Następnie uszczelniano kłapy luków i statki odbijały od nabrzeża, obracały dzioby w dół rzeki i znikwały w ciemności, płynąc w kierunku Abu Naskos.

Gdy niebo pojaśniało i skraj tarczy słonecznej ukazał się nad wschodnim horyzontem, przez bramę portu wjechała galopem niewielka grupa konnych. Jeźdźcy zatrzymali się obok jednej z zacumowanych galer wojennych, zsiadli z wierzchowców i weszli po trapie na górny pokład. Wszyscy byli ubrani w styl, który stał się popularny wśród klas wyższych od czasu wstąpienia Utteryka na tron. Nowomodne stroje obejmowały szerokoskrzydłe, skrywające twarze kapelusze. Galera odbiła od brzegu. Gdy skręcała, jeden z pasażerów zdjął nakrycie głowy i pochylił się, żeby pocałować w otwarte usta swojego towarzysza. Kiedy się odwrócił i wkładał kapelusz, przez chwilę widziałem jego twarz. Westchnąłem z satysfakcją. Niewątpliwie była to twarz Utteryka Niezwyciężonego. Moje czuwanie w pełni się opłaciło.

Popędziłem do Ogrodu Radości i w trybie pilnym zwołałem naradę wojenną, żeby zaplanować następny ruch. Chciałem wykorzystać przewagę wynikającą z tego, że Utteryk opuścił Teby i śpieszy bronić swojego północnego miasta zagrożonego przez króla Hurotasa. Nasza wyważona, popierana rzeczowymi argumentami debata trwała prawie do końca dnia.

Stało na tym, że odczekamy pięć dni, żeby dać Utterykowi czas na odpłynięcie daleko na północ, zanim przypuścimy atak na siły, które zostawił w Tebach. Nie mieliśmy możliwości, żeby poznać ich dokładną liczbę. Utteryk był niedoświadczonym dowódcą, ale niewiedza mogła częściowo usprawiedliwić jego błędy. Przecież nie miał pojęcia, że jego byłe więzienie przemieniliśmy w warownię z załogą złożoną z dzielnych ludzi, których przysłał do nas na stracenie. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zredukował tebański garnizon do liczby, która może się okazać niewystarczająca do utrzymania miasta. Stało na tym, że należy ustalić, kto dowodzi i jaką dysponuje siłą.

Zadecydowaliśmy, że przed atakiem ci z nas, którzy byli znani i szanowani w Tebach – pomimo wrogości Utteryka i rozgłaszania, że zostaliśmy zamordowani przez Guba i jego katów – powinni wrócić do miasta i podjąć próbę nawiązania kontaktu z obywatelami przychylnie nastawionymi do naszej sprawy. Powinniśmy ich uprzedzić o naszych zamiarach, a także spróbować pozyskać poparcie dla

wyniesienia Ramzesa na tron faraona i obalenia Utteryka.

Jakby wszystkie te obawy i potencjalne nieszczęścia nie były wystarczającym powodem do zmartwienia, tego samego wieczoru, gdy tylko otworzyłem dzban czerwonego wina dla ukojenia starganych nerwów, Ramzes i Serrena złożyli mi niespodziewaną wizytę w kwaterze w południowej wieży. Zachowywali się niezwykle, co natychmiast postawiło mnie w stan pogotowia. Najpierw nieśmiało zapukali do moich drzwi, zamiast wejść bez zapowiedzi. Trzymali się za ręce i żadne z nich nie chciało spojrzeć mi prosto w oczy. Wyrazili szczerą nadzieję, że w żaden sposób mi nie przeszkadzają. Kiedy zapewniłem, że nic się nie stało, rozmowa nagle się urwała. Przerwałem ciszę, proponując im po kubku grzanego wina, mimo że był to mój ostatni dzban. Oboje z radością przyjęli poczęstunek i znowu zaległo milczenie, gdy w głębokim skupieniu kosztowaliśmy wino.

W końcu znów to ja się odezwałem, pytając, co jeszcze mogę dla nich zrobić. Tu bez słowa wymienili znaczące spojrzenia i Serrena zrobiła stanowczy krok.

– Musimy się pobrać – oznajmiła. Kompletnie mnie to zaskoczyło.

– Nie jestem pewien, co przez to rozumiesz – rzekłem ostrożnie. – Chcesz powiedzieć, że byliście niegrzeczni, bawiliście się w zwierzę o dwóch grzbietach, i teraz musicie się pobrać, żeby uniknąć przykrych konsekwencji?

– Nie! Wcale nie. Nie bądź głupi, kochany Tato. Niedawno skończyliśmy naszą pierwszą prawdziwą kłótnię, która wybuchła właśnie dlatego, że nie byliśmy niegrzeczni.

– Teraz jestem naprawdę zdezorientowany – wyznałem. – Musicie mi to wyjaśnić.

– Posprzeczaaliśmy się, ponieważ ja chcę, a Ramzes nie chce tego zrobić. Mówi, że dał sławo mojej matce, że robi to dopiero po ślubie.

– Czy ty też nie dałaś słowa, Serreno? – zapytałem.

– Tak, ale nie sądziłam, że będę czekać w nieskończoność – powiedziała tęsknie. – Czekałam już rok, to wystarczająco długo. Nie mogę czekać dłużej. Bardzo mi przykro, Tato, ale musisz dzisiaj udzielić nam ślubu!

– Nie lepiej jutro? – Spróbowałem grać na zwłokę. – Dasz mi szansę na przyzwyczajenie się do tego pomysłu?

Pokręciła głową.

– Dzisiaj – powtórzyła.

– Pozwolisz mi dopić wino?

Skinęła głową.

– Oczywiście! Jak tylko dasz nam ślub.

– Jakie miejsce wybrałaś na to szczęśliwe wydarzenie?

– Mój ogród, gdzie wszyscy bogowie będą mogli nas zobaczyć i wyrazić aprobatę.

– Niech ci będzie – skapitulowałem. – Udzielenie wam ślubu będzie dla mnie wielkim zaszczytem.

To była piękna ceremonia. Doprowadziłem całą naszą trójkę do łez pięknem moich słów. Kiedy wyrzekłem te decydujące: „Na oczach wszystkich bogów ogłaszam was mężem i żoną”, oboje zniknęli jak dym na silnym wietrze. Później nie widziałem ich przez długi czas. Kiedy wreszcie zobaczyłem, wciąż trzymali się za ręce, ale wcale nie sugeruję, że tylko to robili przez całe dwa dni.

– I jak? – zapytałem. – Mam nadzieję, że w końcu jesteście zadowoleni?

– Gdybym miała choćby tylko blade pojęcie, jak będzie cudownie, poślubiłabym Ramzesa w dniu, kiedy go poznałam – odparła z powagą. – Dziękuję ci po tysiącokroć, Tato. To przeszło wszystkie moje najśmielsze oczekiwania.

Trzeciego dnia po wyjeździe Utteryka z Teb uznałem, że możemy bezpiecznie udać się na rekonesans do miasta. Spośród mężczyzn, którzy znaleźli schronienie w Ogrodzie Radości, wybraliśmy z Ramzesem dziesięciu najlepiej nam znanych i zaufanych. Wszyscy złożyliśmy przysięgę dochowania tajemnicy w wypadku, gdybyśmy zostali pojmami. Zobowiązaliśmy się pójść na śmierć bez wyjawiania jakichkolwiek informacji. Rozdzieliliśmy się i osobno podeszliśmy do bram miasta. Prawie natychmiast zaalarmowała mnie postawa strażników. Byli znacznie bardziej czujni niż dotychczas – tak bardzo, że postanowiliśmy zrezygnować z podejmowania ryzykownej próby wejścia do miasta. Ruszyliśmy jednym ze szlaków, które omijały bramę, gdzie gromadził się tłum czekający na wejście. Strażnicy dokładnie sprawdzali i przeszukiwali każdego człowieka.

Z bezpiecznej odległości obserwowaliśmy, co się dzieje. Strażnicy pochycili i zabrali jednego z naszych towarzyszy. Najwyraźniej rozpoznali go jako jednego z tych, których aresztowano na stadionie w dniu, kiedy Utteryk dowiódł swojej niezniszczalności, wychodząc cały i zdrowy z zamachu ukrytego łucznika. Dwaj inni pomyślnie przeszli kontrolę i zostali wpuszczeni do miasta. Mimo wszystko postanowiliśmy nie ryzykować i odwołaliśmy pozostałych, którzy czekali w kolejce przed bramą. Wszyscy dyskretnie się wycofaliśmy i pojedynczo lub parami wróciliśmy do Ogrodu Radości. Tutaj niecierpliwie czekaliśmy na powrót tych dwóch, których przepuściły straże. Zjawili się tuż przed zachodem słońca, kiedy zamykane są bramy miasta. Niestety, straciliśmy jednego z naszych najlepszych ludzi. Nigdy więcej go nie zobaczyliśmy i mogliśmy tylko przypuszczać, że został poddany torturom i zabity przez zbirów Panmasiego. Jeśli rzeczywiście tak było, to nas nie wydał i jego wyznania na mękach nie zagroziły naszemu bezpieczeństwu.

Ci dwaj, którzy wrócili z miasta, bracia Szehab i Mohab, też okazali się dobrzy. Skontaktowali się ze swoimi przyjaciółmi, krewnymi i ziomkami w mieście i od nich uzyskali ważne informacje. Osobą wyznaczoną przez Utteryka do sprawowania władzy na czas jego nieobecności był nie kto inny, jak generał Panmasi, szubrawiec, który porwał Serrenę i wywiózł ją z Lacedemonu. Nie ulegało wątpliwości, że jest pomysłowym i przebiegłym przeciwnikiem, co skłaniało do zastanowienia.

Od braci dowiedzieliśmy się, że generał Panmasi ma pod swoimi rozkazami nie więcej niż trzystu, czterystu ludzi. Utteryk zabrał resztę armii na północ do Abu Naskos, żeby dać odpór najazdowi Hurotasa. Ten fakt świadczył, że Panmasi i Utteryk rzeczywiście nic nie wiedzą o ludziach, których wyrwaliśmy z ich sponów. Z pewnością byli przekonani, że straszliwy Gub co do joty wypełniał rozkazy egzekucji. Nikt nie miał pojęcia, że Gub już nigdy więcej nikogo nie zabije

i że jego wypolerowany czerep zdobi bramę Ogrodu Radości.

Nie mogłem się doczekać, żeby przy pierwszej okazji wyprowadzić Panmasiego z błędu.

Zaczęliśmy snuć plany w parę minut po otrzymaniu meldunku od dwóch lojalnych braci. Szehab i Mohab wybadali, gdzie są skoszarowani ludzie Panmasiego i ilu strażników pełni służbę przy zamkniętych w nocy bramach. Co więcej i co ważniejsze, dowiedzieli się, że legenda Ramzesa żyje, że jego i moje imię wciąż jest ciepło wspominate w Górnym Egipcie, szczególnie w Tebach, byliśmy bowiem synami tego miasta. Postanowiliśmy jak najlepiej wykorzystać naszą popularność, żeby pozbyć się Panmasiego bez czekania, aż armia Hurotasa zajmie Abu Naskos i następnie wywalczy sobie drogę w górę Nilu do Teb, bo mogło to zająć kilka miesięcy albo nawet lat.

W Ogrodzie Radości mieliśmy trzystu osiemdziesięciu dwóch zdolnych do walki ludzi, których uratowaliśmy ze szponów Utteryka, ale praktycznie nie posiadaliśmy broni. Na szczęście nasi dwaj szpiedzy przed opuszczeniem Teb zdołali się dowiedzieć, że Utteryk rozkazał swoim ludziom zebrać całą broń, jaką znajdą podczas przeszukiwania domów – poza tą będącą w rękach jego żołnierzy – w jednym miejscu. Zarekwirowany oręż został zamknięty w portowym magazynie na zewnątrz głównych murów miasta, strzeżonym przez ludzi podlegających Panmasiemu.

Arsenał zawierał kilkaset łuków i odpowiedni zapas długich strzał z krzemiennymi grotami. Było tam również dużo mieczy z brązu i sztyletów, a do tego ponad sto toporów bojowych.

W noc wybraną do ataku na Teby księżyc wielce usłużnie był wąskim sierpem, który miał zająć niedługo po północy. To idealnie odpowiadało naszym celom. Zapewni nam dość światła podczas podkradania się do magazynu, a potem ustąpi zupełnej ciemności, która ułatwi przypuszczenie ostatecznego ataku. Podzieliliśmy nasz oddział szturmowy na trzy grupy połączone liną odpowiedniej długości, żeby się nie rozproszyć w mroku. Dwaj ludzie na czele każdej grupy nieśli młoty do rozbicia drzwi zbrojowni, kiedy do niej dotrzemy. Port leżał w dostatecznie dużej odległości od murów miasta, w dodatku oddzielony przez wzgórze, żeby huk ciosów nie zaalarmował straży.

Wyruszyliśmy z Ogrodu Radości godzinę po zachodzie słońca. Oddziały podążały w niedużej odległości jeden za drugim, zachowując miarowe tempo, żeby przybyć do celu w ordynku. W porcie wyrzuciliśmy liny i bezgłośnie podkradliśmy się do drzwi magazynu. Kiedy usłyszałem meldunek, że wszystkie trzy grupy są na miejscu, przenikliwie zagwizdałem na palcach. Zaraz potem zadudniły okręcone szmatami młoty, trzasnęły rozbite drzwi i zabrzmiały okrzyki przerażenia przebywających w magazynie strażników, brutalnie wyrwanych ze snu i równie skutecznie uspionych za pomocą tychże samych młotów.



Po uciszeniu ostatniego strażnika czekaliśmy niespokojnie, nasłuchując, czy nie rozlegną się krzyki alarmu i paniki kogoś, kogo mogliśmy przeoczyć. Powoli się odprężyliśmy, bo nic nie zakłóciło ciszy. Trzasnęły krzemienie, gdy zapalaliśmy lampy oliwne. Rozejrzeliśmy się po wnętrzu; znajdowaliśmy się w dużym pomieszczeniu pełnym broni leżącej w niechlujnych stosach na całej podłodze.

– Częstujcie się, przyjaciele, byle szybko. Czekają nas długa nocna praca – powiedziałem i wszyscy podbiegli do stosów oręża. Podnosili łuki bojowe, sprawdzając ich giętkość przed założeniem cięciwy, i wypróbowywali ostrza mieczy na kciukach. Tymczasem Ramzes i ja ponaglaliśmy ich do pośpiechu i dokonania wyboru.

Niedługo później wyszli z magazynu z napiętymi łukami, pełnymi kołczanami zarzuconymi na oba ramiona i lśniąca bronią u pasa. Gdy wyszeptaliśmy rozkazy naszym sierżantom i kapitanom, zgasiłi lampy oliwne i znów utworzyli formacje. Oddział za oddziałem ruszyliśmy po brukowanej drodze w kierunku głównej bramy miasta. Była zamknięta i zaryglowana, ale wyraźnie niestrzeżona. Ludzie idący za Ramzesem i mną ukryli się w rowach po obu stronach drogi, a my podeszliśmy do bramy. Przycisnąłem do niej ucho. Panowała cisza. Wyjąłem sztylet z pochwy i lekko zapukałem ręką do bramy, używając uzgodnionego sygnału: trzy serie trzech stuknięć powtórzone po trzykroć.

Natychmiast padła odpowiedź. Podeszedłem do okienka i czekałem, aż z drugiej strony zostanie podniesiona klapa. Jasnożółte oko Szehaba zaślniło w świetle gwiazd, gdy na mnie spojrział.

– Jak nasi wspólni znajomi? – zapytałem cicho.

– Śpią – odparł równie cicho i zamknął klapkę przed moją twarzą. Usłyszałem, że mocuje się z rygłem furtki w bramie. W końcu drzwi się otworzyły. Były tak wąskie, że mogliśmy przechodzić tylko jeden za drugim, chyląc głowy i uważając, żeby nie zahaczyć łukiem. Za furtką zobaczyłem uśmiechniętą twarz Szehaba, a w nikłym świetle kilku lamp osadzonych w bramie – śpiące postacie wartowników. Dwóch chrapało spokojnie, trzeci trzymał dzban czerwonego wina, który wczoraj dałem Szehabowi. Dzban był pusty i mężczyzna tulił go do piersi do góry dnem. Jak reszta kamratów, nie okazywał zainteresowania otoczeniem. Sok z czerwonego maku, którym doprawiłem wino, jest mocnym środkiem usypiającym.

Pierwszym pięciu ludziom, którzy weszli za mną przez furtkę, zleciłem skrupowanie strażników naszymi sznurami i zakneblowanie pasami z ich tunik. Następnych skierowałem do kołowrotów bramy, gdzie ochoczo chwycili korby. Unoszone w prowadnicach masywne skrzydła jęczały i skrzypiały, a gdy tylko znalazły się dostatecznie wysoko, reszta naszych ludzi wlała się pod nimi gęstym strumieniem, trzymając w pogotowiu świeżo zdobytą broń, ale – zgodnie z moimi

surowymi rozkazami – w miarę możliwości zachowując ciszę. Nie było żadnych okrzyków wojennych, a sierżanci wydawali rozkazy chrapliwym szeptem. Mimo to tupot podkutych brązem sandałów i grzechot broni brzmiał jednoznacznie. Jak było do przewidzenia, zanim wszyscy nasi ludzie znaleźli się po tej stronie bramy, przybiegli strażnicy patrolujący ulice miasta, zwabieni dźwiękiem metalu i tupotem. Rzucili się na nas i w ciągu kilku uderzeń serca ciche ulice przemieniły się w krwawe pole bitwy. W powietrze wzbily się okrzyki wojenne. Ryk: „Niech żyje Utteryk Niezwyciężony!” natychmiast spotkał się z naszym odzewem: „Ramzes po wsze czasy!”.

Większość naszych ludzi była znacznie starsza od tych wiejskich chłopaków, których Utteryk wcielał do swojego wojska przypuszczalnie dlatego, że cechowała ich większa uległość i nie byli winni posłuszeństwa Tamosemu i poprzednim rządóm. Nasi ludzie, choć już nie tak sprawni i silni jak ongiś, mieli doświadczenie w sztuce wojennej, byli wprawnymi i zdyscyplinowanymi wojownikami, a nadto znali ulice i uliczki miasta, w którym większość mieszkała od urodzenia. Z początku napływające z koszar oddziały miały nad nami znaczną przewagę, ale moi ludzie umieli przetrzymać atak. Zwarli szeregi, złączyli tarcze i ponuro wycinali ludzi Utteryka. Nasze pieśni wojenne zbudziły mieszkańców Teb. Usłyszeli wykrzykiwane przez nas imię Ramzesa i krew szybciej popłynęła w ich żyłach. Siwobrodzi starzy wojownicy w wieku trzydziestu pięciu, a nawet czterdziestu lat rozpoznali imię i przypomnieli sobie, jak walczyli dla Tamosego, ojca Ramzesa, i że był on wielkim, dobrym faraonem.

Znali też dość dobrze imię Utteryka, który wciąż rządził nimi twardą ręką. Nałożył na nich wygórowane podatki, żeby fundować świątynie ku własnej chwale, i jedli czerstwy chleb, ponieważ nie było ich stać na dobre czerwone mięso i wino, które kiedyś im się należało. W milczeniu patrzyli, jak spędzano ich dawnych towarzyszy i wysyłano na wzgórze do Wrót Udręki i Smutku, skąd więcej nie wracali.

Teraz, kiedy usłyszeli imię Ramzesa, zrozumieli, że mają ostatnią szansę walczyć o swoje prawa. Odrzucili zwoje papirusów i gry służące im do zapewnienia pustych dni i krzyknęli do żon, żeby przyniosły ze schowków pod schodami ich oręż oraz pancerze, i nie zwracając uwagi na czerwoną rdzę, która na nich rozkwitła, wychodzili na ciemne ulice miasta w grupach po pięciu czy dziesięciu, nad słuchując okrzyku wojennego: „Ramzes po wsze czasy!”. Kiedy go usłyszeli, kuśtykali lub biegli, żeby dołączyć do dawnych towarzyszy broni i jeszcze raz zająć dumne miejsce w murze tarcz.

Walczyliśmy do końca tej pierwszej nocy i przez cały dzień, ale wieczorem już wiedzieliśmy, że zwyciężamy. Zdwoiliśmy wysiłki i mury tarcz oddziałów Panmasiego zaczęły się wyginać, a potem rozkruszać. Jego ludzie tłumnie przechodzili pod sztandar Ramzesa, jak tylko zrozumieli, że jest egipskim

faraonem i atrakcyjną alternatywą wobec Utteryka. Kiedy zapadła ciemność, niedobitki Panmasiego popadły w rozsypkę i uciekły z miasta.

Księżniczka Serrena była pierwszą osobą, która nas powitała, gdy wypadliśmy przez otwartą bramę, ścigając Panmasiego i jego rozproszone wojsko.

Gdy postanowiliśmy z Ramzesem zaatakować Panmasiego i jego pachołków w ich warowni w obrębie murów Teb, użyłem wszystkich swoich wpływów i sztuczek, żeby przekonać Serrenę do pozostania w bezpiecznym Ogrodzie Radości i trzymania się z daleka od pola bitwy. Dowodziłem, że jest to winna Ramzesowi i swojej całej rodzinie. Bezwstydnie podkreśliłem, że jest teraz mężatką, a biorąc pod uwagę entuzjazm, z jakim spełniała swoje małżeńskie obowiązki, istniała możliwość, że jest już przy nadziei. Pole bitwy przestało być jej domeną. Od tej pory powinna troszczyć się wyłącznie o zawartość swego łona. Oczywiście zaciekle się ze mną kłóciła, sięgając do okazałego arsenału własnych sztuczek, żeby wygrać miejsce po prawicy Ramzesa podczas ataku na Teby. Byłem zaskoczony, gdy włączył się do dyskusji po mojej stronie, żądając, żeby żona została z ich przyszłym potomkiem za bezpiecznymi murami Ogrodu Radości. W tym momencie spodziewałem się wybuchu długiej kłótni tych dwojga notorycznych uparciuchów. Ku mojemu zdumieniu Serrena prawie natychmiast złożyła broń przed mężem. Nigdy się nie spodziewałem, że z taką powagą potraktuje swoje macierzyńskie obowiązki. Rzeczywiście przez jakiś czas trzymała się z dala od pola bitwy, ale oto była, czekając na przejęcie inicjatywy, gdy tylko dostrzeże pierwszy znak męskiej niekompetencji. Nie spodziewałbym się po niej niczego innego.

W czasie tego spotkania tylko cienki sierp księżyca jaśniał na północnym niebie i było prawie zupełnie ciemno. W tych warunkach tropienie Panmasiego i jego jeźdźców nie było możliwe, ale wiedziałem, że jeśli dam im całe dwanaście godzin przewagi, nigdy ich nie złapiemy. Chciałem go dopaść. Pragnąłem zemsty na nim bardziej niż czegokolwiek w życiu. Pamiętałem każdy akt zdrady i okrucieństwa, jakiego się dopuścił na mnie i drogich mi osobach. Pamiętałem okaleczone zwłoki Palmysa, a także rozpacz Huiego i Bekathy, gdy składali syna do grobu. Ale przede wszystkim pamiętałem, jak pobił i upokorzył Serrenę, i pragnąłem poczuć, jak wiję się na sztychu mojego miecza, gdy przesyję nim jego trzewia.

Jednakże Panmasi zniknął, a my niemal padaliśmy z nóg. Walczyliśmy bez przerwy przez długą noc i jeszcze dłuższy dzień, przy czym większość z nas zostawiła młodość daleko za sobą. Prawie każdy odniósł jakąś ranę. Były powierzchowne, ale bolały i odbierały siły. I ja byłem zmęczony, zmęczony do szpiku kości. Nie zdając sobie sprawy, co robię, spojrzałem na Serrenę. Musiała w moich oczach dostrzec coś, co odczytała jako prośbę – oczywiście błędnie.

– Panmasi jest tylko wychłostanym kundlem, który z podkulonym ogonem

pędzi do swojego pana – powiedziała i natychmiast zrozumiałem, że rozwiązała za nas problem. Wcale nie musimy tropić Panmasiego. Dokładnie wiedzieliśmy, dokąd zmierza. I nagle całe zmęczenie ustąpiło jakby ręką odjął.

Musieliśmy jednak mieć konie, żeby dopaść Panmasiego, zanim dotrze do Abu Naskos i swojego pana. Wydawało się, że zabrał ich tyle, ile potrzebował dla siebie i swoich ludzi. Pozostałe okulawił, żebyśmy nie mogli z nich skorzystać. Niewiele widoków jest bardziej wstrząsających niż piękny koń z pęciami podciętymi w obu zadnich nogach. W typowy dla siebie sposób wołał zadać cierpienie tym pięknym stworzeniom, żeby z nas zadrwić, zamiast je przepędzić lub po prostu zabić. Stanowiło to dla mnie kolejny powód, żeby wyrównać z nim rachunki, kiedy się spotkamy.

Byłem taki zły, iż o mało nie wypomniałem Serrenie, że to ona nalegała na uwolnienie tego zdradliwego łajdaka, kiedy jej ojciec i ja mieliśmy go w naszej mocy i mogliśmy się z nim rozprawić raz na zawsze. Nie mogłem jednak zmusić się do takiego okrucieństwa wobec osoby, którą ogromnie kocham. Nawet wysłałem ją po konie do stajni w Ogrodzie Radości. Pod jej nieobecność skróciłem cierpienia stworzeniom okaleczonym przez Panmasiego, zadając im ciosy mieczem pomiędzy uszy.

Poza końmi z Ogrodu Radości mieliśmy kilka zdrowych zwierząt przeoczonych przez siepaczy Panmasiego w trakcie pośpiesznej ucieczki z miasta. Zebraliśmy wierzchowce dla nas i dwudziestu dwóch ludzi, żeby podjąć pościg i wymierzyć Panmasiemu sprawiedliwość.

Naturalnie Ramzes i ja na nowo wszczęliśmy protesty, kiedy Serrena oznajmiła, że chce do nas dołączyć w ostatnim polowaniu na Panmasiego i jego uykających zbirów. Użyliśmy tych samych argumentów dotyczących kulącego się w jej łonie biednego maleństwa, które mogło doznać obrażeń albo nawet umrzeć, jeśli jego matka będzie tak okrutna, żeby narażać je na trudy długiej, forsownej jazdy.

Serrena słuchała nas obu ze słodkim uśmiechem na twarzy, przytakując skinieniem głowy, jakby się zgadzała z naszymi prośbami i protestami. Kiedy w końcu zabrakło nam słów i popatrzyliśmy na nią wyczekująco, pokręciła głowę.

– Chciałabym, żeby to, co mówicie, było prawdą, ale bogini Artemida miała inny pomysł – powiedziała. – Niemal w tej samej chwili, kiedy zostawiliście mnie w Ogrodzie Radości, zesłała mi czerwony księżyc.

– Do licha, a co to takiego? – Ramzes miał zdziwioną minę. Wciąż był bardzo naiwny, kiedy chodziło o tajemnice kobiecego ciała.

– Powiedz mu, Tato, proszę – zwróciła się od mnie.

– W ten sposób bogi Artemida mówi: „Nie wystarczy. Próбуйте znowu” – wyjaśniłem.

Ramzes rozmyślał nad tym przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się radośnie.

– Powiedz bogini, że z największą przyjemnością podejmuję jej wyzwanie!

W ciągu godziny zakończyliśmy przygotowania do długiej jazdy i byliśmy gotowi ścigać Panmasiego, żeby uniemożliwić mu dotarcie do Utteryka w Abu Naskos.

Naturalnie obyło się bez dalszych dyskusji. Czerwony księżyc czy nie, Serrena już nie była wykluczona. Jechała z nami.

Dawno temu opanowałem do perfekcji sztukę spania w siodle ze stopami związanymi sznurem pod brzuchem kasztanki i z godnym zaufania stajennym prowadzącym nas oboje. Ocknąłem się godzinę przed świtem i po chwili rozeznałem w sytuacji. Byłem zupełnie wypoczęty i spragniony widoku naszej zwierzyny.

– Czy już przekroczyliśmy rzekę Sattakin?! – zawołałem do stajennego. Sattakin to jedyny znaczący dopływ wpadający do Matki Nil na północ od Teb.

– Jeszcze nie. – Zadarł głowę, żeby spojrzeć w gwiazdy. – Sądzę, że została może mila drogi.

– Widać przed nami ślady koni Panmasiego?

– Jest za ciemno, żeby czytać tropy bez zsiadania, panie. Chcesz, żebym sprawdził? – zapytał.

– Nie, nie traćmy ani chwili. Naprzód! – rozkazałem.

Obejrzałem się i dostrzegłem ciemne sylwetki Ramzesa i Serreny jadących blisko za mną. Ramzes spał w siodle jak ja, a ona go podtrzymywała, żeby nie zsunął się z grzbietu wierzchowca. Jeszcze go nie budziłem. Słyszałem klekot kopyt ciągnących za nami innych koni. Choć było ich wiele, nie widziałem ich w ciemności. Przyśpieszanie tempa nie miało sensu, dopóki się nie rozwidni, gdyż zwiększyłoby ryzyko wpadnięcia w zasadzkę urządzoną przez Panmasiego.

Założyłem cięciwę na łuk bojowy, zapierając jego dół o łęk, żeby go wykrzywić. Zarzuciłem łuk na ramię, wyjąłem z kołczana pięć strzał i wsunąłem je za pas, gotowe do szybkiego wystrzelenia jedna po drugiej. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Ramzes już nie śpi. Serrena go zbudziła. Podobnie jak ja, był zajęty przygotowywaniem broni do natychmiastowego użycia.

Spojrzał na mnie i wyraźnie dostrzegłem jego rysy: świt nadchodził wielkimi krokami. Teraz widziałem konie i jeźdźców za nami. Szybko ich policzyłem; wszyscy byli obecni. Popatrzyłem na ziemię pod moim wierzchowcem i serce mi stanęło, a potem zabiło szybciej. Było dość światła, żeby dostrzec, że sucha powierzchnia szlaku została ubita na proszek przez liczne kopyta. Ślady pochodziły sprzed niespełna godziny. Na moich oczach jeden z nich obsunął się w maleńkiej lawinie pyłu.

Uniosłem rękę. Ludzie zebrali się w grupę i cicho siedzieli na koniach. Ramzes i Serrena zrównali się ze mną, podjeżdżając z obu stron tak blisko, że niemal stykaliśmy się kolanami, więc mogłem mówić do nich szeptem.

– Chyba wiem, gdzie jesteśmy. Przed nami teren stromo opada, przechodząc w wąwóz rzeki Sattakin. Sądząc po śladach, Panmasi jest nie więcej niż pół godziny drogi przed nami. W ciemności groziło nam niebezpieczeństwo wpadnięcia na jego straż tylną. Teraz jestem prawie pewien, że zatrzymał swój oddział w wąwozie, żeby odpocząć i napić konie. Oczywiście wystawią posterunki, żeby osłaniać tyły, ale pozostaniemy ukryci za tamtymi pagórkami. – Wskazałem je, po czym spojrzałem na przebytą drogę. – Najlepiej będzie zawrócić i okrążyć ich z daleka, póki odpoczywają. Kiedy ruszą w dalszą drogę, będą obserwować szlak za sobą, a my przygotujemy na nich zasadzkę przed nimi.

Nikt się nie sprzeciwił, nawet Serrena. Zawróciliśmy po własnych śladach na południe, zatoczyliśmy półkole na wschód i przebyliśmy rzekę Sattakin przed wąwozem, którego dnem pędzi na spotkanie z Nilem.

Jechaliśmy, aż naszym oczom ukazał się ledwie widoczny trakt biegnący z Teb wzdłuż wschodniego brzegu Nilu. Zbliżaliśmy się ostrożnie, a kiedy dzieliło nas od niego kilkaset kroków, ruszyłem dalej sam na piechotę, zostawiając resztę oddziału ukrytą w pobliskiej suchej dolinie. Kiedy dotarłem do drogi, z ulgą, ale bez zaskoczenia zobaczyłem, że nie ma na niej świeżych śladów kopyt.

Rzeka Nil płynęła tylko jakąś milę dalej na zachód i była znacznie popularniejszą trasą pomiędzy Tebami i Abu Naskos. Jak miałem nadzieję, Panmasi wciąż zwlekał przy przeprawie przez Sattakin, przekonany, że nikt go nie ściga. Udało nam się go wyprzedzić. Pobiegłem skrajem drogi, przeskakując z kęp trawy na kępy zielska, żeby nie zostawić odcisków stóp, i szukając nierzucającego się w oczy miejsca na zasadzkę. Było to niełatwe zadanie, ponieważ wzgórza wzdłuż rzeki Sattakin są prawie bezdrzewne, a rzadka trawa nie sięga wyżej niż do kolan.

Jednakże bogowie okazali mi przychyłność, jak to się często zdarza. Znalazłem płytki wąwóz ciągnący się wzdłuż drogi, prawie niewidoczny z pięćdziesięciu kroków, a mniej więcej tyle wynosiła dzieląca je odległość. Był to również idealny skuteczny zasięg dla naszych łuków. Za wąwozem wznosiły się niepozorne skały, stanowiące niemal doskonałą kryjówkę dla koni. Do pilnowania ich wystarczyło tylko dwóch ludzi. Pozostali położyli się w wąwozie, każdy ze strzałą na cięciwie i następnymi gotowymi pod ręką.

Wschodzące słońce oderwało się na szerokość czterech palców od horyzontu, kiedy usłyszeliśmy tętent licznych kopyt na skalistej drodze wspinającej się po skarpie znad Sattakinu. Miałem przygotowaną kępę trawy na krawędzi wąwozu, żeby maskowała oczy i czubek głowy, gdy wyjrzę. Wszyscy moi towarzysze trzymali głowy poniżej krawędzi i przyciskali twarz do ziemi. Towarzysze, ale nie towarzyszka.

Serrena była wprost za mną, więc jej nie widziałem. Koncentrowałem uwagę na szlaku i jadącej nim kolumnie ludzi. Nie miałem pojęcia, że wystawia głowę,

używając mnie i mojej kępy jako osłony. Już przykucnęła w klasycznej pozycji łucznika, ze strzałą na cięciwie i z jasnymi oczami orła skupiającego wzrok na ofierze chwilę przez pikowaniem.

Pozwoliłem Panmasiemu, żeby wprowadził swoich ludzi głębiej w pułapkę, zanim otworzyłem usta, żeby wykrzyknąć komendę. Szok odebrał mi mowę, gdy tuż przy lewym uchu usłyszałem charakterystyczny dźwięk, z jakim ciężki łuk o sile naciągu czterdziestu debenów wypuszcza strzałę. Dźwięk przypominał trzask ciężkiego bykowca wiele razy wzmocniony przez bliskość. Strzała przemknęła przy moim uchu w płynnym błysku światła słonecznego. Tylko oko równie bystre jak moje mogło śledzić jej lot.

Panmasi jechał na czele kolumny, nagi do pasa, z hełmem i napierśnikiem przytroczonym za siodłem, jak większość jego ludzi pocąc się obficie w porannym słońcu. Strzała Serreny trafiła tuż poniżej mostka i trzy palce nad pępkiem, grzęznąc po same lotki. Siła uderzenia zrzuciła go z wierzchowca. Przekręcił się w powietrzu i zobaczyłem grot wystający ze środka pleców. Nie miałem wątpliwości, że Panmasi ma przecięty kręgosłup. Leżał na ziemi, wrzeszcząc z szoku i bólu. Cios był śmiertelny, ale na podstawie umiejscowienia rany i kąta drzewca strzały osądziłem, że nie umrze od razu. Serrena wycelowwała tak, żeby zabić, lecz z bezlitosną powolnością.

Zrozumiałem, że bierze pełen odwet za tortury i cierpienia, jakie zadał jej Panmasi, i za innych ze swojej rodziny, jak Palmys. W takim wypadku nie mogłem chować do niej urazy, nawet jeśli zlekceważyła moje rozkazy. Poza tym byłem przyzwyczajony do jej zdarzającej się od czasu do czasu niesubordynacji.

Ludzie Panmasiego nie zdawali sobie sprawy, co się dzieje – jakby nikt nie widział, że trafiła go strzała Serreny. Jechali ze spuszczonego wzrokiem, zasłaniając sobie wzajemnie widok. Kiedy Panmasi runął na ziemię, jadący bezpośrednio za nim po prostu na niego wpadli. Po kilku uderzeniach serca całą kolumnę ogarnął chaos. Tylko nieliczni jeźdźcy mieli założone cięciwy, a żaden nie miał założonej strzały. Większość była zbyt zajęta próbą utrzymania się na koniach, żeby spostrzec, że są atakowani.

W tym czasie Serrena wypuściła trzy kolejne strzały. Widziałem, że każda znalazła cel i trzech wrogich jeźdźców spadło pod kopyta niespokojnych koni. W przeciwieństwie do tej przeznaczonej dla Panmasiego, każda kolejna strzała trafiała w klatkę piersiową, przeszywające serce lub płuca, albo jedno i drugie, i zabijając prawie natychmiast.

– Załóż! Napnij! Puść! – wrzasnąłem, podnosząc łuk, próbując dorównać inicjatywie Serreny. Nasi ludzie poderwali się z ziemi i wypuścili grad strzał w kolumnę nieprzyjacielskich jeźdźców. Po kilku seriach zobaczyłem, że co najmniej piętnastu wrogów leży na ziemi, naszpikowanych strzałami. Inni spadali z koni, trafieni kolejnymi.



Oceniałem, że jest ich nie więcej niż sześćdziesięciu. Tym samym, wystrzelivszy po mniej więcej dziesięć strzał, zredukowaliśmy ich liczbę do prawie równej naszej. Gdy w końcu zrozumieli, w jakie wpadli opały, zeskoczyli z koni i zakładali cięciwy, żeby odpowiedzieć na nasze strzały.

Jednakże byłem świadom, że zabijamy Egipcjan, naturalnie zbłąkanych, ale wciąż Egipcjan. Nie mogłem dłużej znieść tego stanu rzeczy i krzyknąłem do nich:

– Natychmiast rzućcie łuki, inaczej wszyscy zginiecie! – Potem zwróciłem się do naszych ludzi: – Przestańcie strzelać. Dajcie im szansę na złożenie broni. – Nad polem bitwy powoli zapadła cisza. Z początku nikt się nie ruszał. Nagle jeden z łuczników złamał szereg i wystąpił.

– Wiem, kim jesteś, panie Taito. Walczyłem u twojego boku w szeregach faraona Tamosego przeciwko Hyksosom, pod Signium. Stałaś nade mną, kiedy zostałem ranny, i zabrałaś mnie z pobojuwiska, kiedy te hyksoskie łotry poszły w rozsypkę i uciekły.

Twarcz miał mgliście znajomą, chociaż znacznie starszą, niż pamiętałem. Patrzyliśmy na siebie i wydawało się, że cały świat wstrzymał oddech. Uśmiechnąłem się, gdy w końcu sobie przypomniałem.

– Nie proś mnie ponownie o znoszenie z pola bitwy, Merimose. Przysięgam, że ważysz dwa albo i trzy razy więcej niż w czasie naszego ostatniego spotkania.

Merimose rubasznie zarechotał i opadł w hołdzie na kolana.

– Chwała ci, panie Taito. Ty powinieneś zostać faraonem w miejsce tego, który obecnie bezczęści tron Górnego i Dolnego Egiptu.

Zawsze mnie bawi, gdy się przekonuję, jakim oportunistą może być prosty człowiek. Merimose zmienił strony w czasie, jaki zajmuje założenie i wypuszczenie strzały.

– Nie, Merimose, nie ja! To faraon Ramzes i jego małżonka księżniczka Serrena Lacedemońska mają obowiązek i zaszczyt zasiadać na egipskim tronie.

Pomruk nabożnej czci przebiegł przez ich szereg, gdy rozpoznali imiona. Najpierw jeden, potem drugi, a wreszcie wszyscy rzucili broń i padli na kolana, przyciskając czoła do ziemi.

Przywołałem Ramzesa i Serrenę i powiodłem ich przez ciche teraz pole bitwy do naszych niedawnych wrogów. Gdy podeszliśmy, kazałem im podać imię i rangę, a następnie złożyć przysięgę wierności parze królewskiej. Tylko trzydziestu jeden przetrwało starcie. Każdy z osobna oznajmił, że jest żarliwym zwolennikiem nowego faraona.

Na koniec podeszliśmy do generała Panmasiego, który leżał tam, gdzie powaliła go strzała Serreny. Nikt nie opatrzył mu ran. Ongiś lojalni wojownicy nie zwracali uwagi na jego jęki, przekleństwa i gorączkowe błagania o wodę do picia. Wszyscy trzymali się od niego z daleka, ale z fascynacją przyglądali się naszej trójce, kiedy nad nim stanęliśmy. Wspominałem już, jak zażarcie go nienawidzę.

Jednakże są granice nawet dla mojej nienawiści. Zastanawiałem się, czy nie zniżam się do tego samego poziomu, skazując go na męczarnie, skoro miałem możliwość czysto i szybko je skrócić. Czułem, że się waham. Niemal z własnej woli moja prawa dłoń sięgnęła do rękojeści sztyletu, który miałem u pasa. Naostrzyłem go dziś rano, gdy czekaliśmy w zasadzce. Jako doświadczony chirurg dokładnie wiedziałem, gdzie biegną tętnice szyjne. Co więcej, wiedziałem, jakie to będzie szybkie i prawie bezbolesne dla człowieka w jego stanie. Ale nie chciałem tego robić dla dobra Panmasiego, który był skończonym łajdakiem. Chciałem to zrobić dla mnie i mojego szacunku do samego siebie.

Zanim moje palce dotknęły rękojeści sztyletu, poczułem inne palce zamykające się na moim nadgarstku. Były ciepłe i gładkie, ale twarde jak wypolerowany marmur lub głownia błękitnego miecza, którym tak wprawnie władały.

Powoli odwróciłem głowę i spojrzałem na kobietę, która zatrzymała moją rękę. Nie odwzajemniła mojego spojrzenia, tylko tak cicho, żeby nie usłyszał nikt inny z wyjątkiem mnie i stojącego przy niej męża, powiedziała:

– Nie!

– Dlaczego? – zapytałem.

– Chcę, żeby cierpiał – odparła.

– Nie mam wyboru.

– Dlaczego?

– Żeby nie zniżyć się do jego poziomu – rzekłem krótko. Milczała przez dwadzieścia uderzeń mojego serca. Potem otworzyła palce i uwolniła moją rękę. Nawet teraz na mnie nie patrzyła. Zamknęła oczy i prawie niedostrzegalnie skinęła głową na znak zgody.

Wyjąłem sztylet z pochwy i pochyliwszy się, drugą ręką złapałem Panmasiego za brodę. Zadarłem podbródek, żeby odsłonić szyję. Przyłożyłem ostry jak brzytwa skraj za uchem i ciąłem tak głęboko, że metal zazgrzytał o kręgi i strugi krwi trysnęły z przeciętej tętnicy. Ostatnie tchnienie z sykiem popłynęło z rozplątanej tchawicy. Ciałem wstrząsnęły drgawki i Panmasi skonał.

– Dziękuję – szepnęła Serrena. – Miałeś rację, Tato, jak zawsze. Stałeś się moim doradcą i sumieniem.

Zostawiliśmy Panmasiego tam, gdzie umarł, na żer dla szakali i ptaków. Wróciliśmy do brodu na Sattakinie, zabierając ze sobą Merimosego i jego towarzyszy, którzy tak niedawno przeszli na naszą stronę. Postanowiłem zatrzymać się tam do jutra, żeby dać ludziom i koniom wytchnienie. Wieczorem siedzieliśmy wokół ognia, jedząc skromną kolację i popijając czerwone wino, rozmyślnie w oddaleniu od wszystkich pozostałych, żeby swobodnie rozmawiać.

Oczywiście wspomnieliśmy o śmierci Panmasiego i później przez chwilę dumaliśmy w milczeniu, ale Serrena w swój niepowtarzalny sposób nagle zmieniła temat.

– Dlaczego wracamy do Teb? – zapytała.

– Ponieważ to najpiękniejsze miasto w Egipcie. – Jej pytanie tak bardzo mnie zaskoczyło, że moja odpowiedź była równie bezmyślna.

– Moi rodzice prawdopodobnie są już w Abu Naskos – powiedziała tęsknie. – Nie wspominając o wujku Huim, cioci Bekacie i wszystkich moich kuzynach. Przybędą ocalić mnie przed Utterykiem.

– Zgadza się, prawdopodobnie cała twoja rodzina obozuje na brzegu Nilu, z poświęceniem karmiąc komary własną krwią, podczas gdy Utteryk i wszyscy jego pochlebcy ulokowali się wygodnie w murach miasta. – Wiedziałem, dokąd zmierza rozmowa, i próbowałem zmienić jej kierunek. – Jakkolwiek na to spojrzeć, stąd do Abu Naskos daleka droga...

– Nie sugeruję, żebyśmy tam jechali. Mamy w tebańskim porcie ponad pięćdziesiąt doskonałych statków, które przejęliśmy od Panmasiego – przypomniała mi. – Jeśli popędzimy konie, jutro przed wschodem słońca możemy być w Tebach. Dwa czy trzy dni później, mając szybką dwumasztową łódź z krzepkimi niewolnikami u wiosł i dobrym rzeczonym sternikiem, będziemy w Abu Naskos. Teraz mi wyjaśnij, proszę, drogi Tato, gdzie się pomyliłam w moich obliczeniach.

Zawsze próbowałem unikać sporów z pięknymi kobietami, zwłaszcza gdy były mądre.

– Właśnie to próbowałem zaproponować – powiedziałem. – Ale myślałem, że to był twój pomysł, żeby tu odpocząć i rano rozpocząć podróż do Teb.

– Wszystkie dobre plany można zmienić w krótkim czasie – oświadczyła poważnie, a ja westchnąłem z rezygnacją. Nawet nie dała mi szansy na dopicie kubka wina.

Jechaliśmy przez całą noc i dotarliśmy do Teb tuż po wschodzie słońca. Strażnicy przy bramie natychmiast nas rozpoznali i wprowadzili do miasta z najwyższym szacunkiem i ceremoniałem. Utworzyli eskortę wokół Ramzesa i powiedli nas do złotego pałacu, gdzie Weneg już się naradzał z rządem tymczasowym, składającym się prawie wyłącznie z ludzi, których uratowaliśmy w Ogrodzie Radości. Wielu z nich nosiło zakrwawione bandaże jak odznaki honoru i wydawało się odmłodzonych przez swoje niedawne wojenne wyczyny.

Niezmiernie uradowani, powitali nas w swoim gronie. Ich pierwszym oficjalnym aktem było jednomyślne zatwierdzenie intronizacji Ramzesa I jako władcy Górnego i Dolnego Egiptu. Ramzes formalnie przyjął tytuł i złożył z tronu królewską przysięgę. Następnie oświadczył, że obecny rząd tymczasowy jest ostateczny i prawowity i że mianuje pana Taitę wezyrem swojej nowej administracji.

Podczas gdy Ramzes był zajęty tymi zwyczajnymi sprawami, jego żona angażowała się w bardziej znaczące aspekty naszej egzystencji, takie jak rekwizycja szybkiego statku do podróży w dół Nilu na spotkanie z rodziną. Jej małżeństwo z Ramzesem pozostało tajemnicą znaną tylko nam trojgu. Oficjalne zaślubiny miały nastąpić dopiero wtedy, kiedy zostaną załatwione pewne inne drobnostki, takie jak obecność królewskich sojuszników jej ojca jako świadków ceremonii. Z tego względu uznaliśmy, że będzie mądrzej i bardziej dyplomatycznie, jeśli Serrena nie będzie występować publicznie, dopóki formalnie nie wyjdzie za Ramzesa.

Tego samego popołudnia postawiłem moje osobiste hieroglify na dokumencie mianującym Wenega pełniącym obowiązki wezyra. Następnie obaj z Ramzesem wtopiliśmy się w tłum, żeby niedługo później pojawić się w okolicach portu, gdzie dyskretnie wsiedliśmy na pokład dwumasztowej łodzi o nazwie *Cztery Wiatry*, która natychmiast wypłynęła na rzekę, kierując się na północ ku Abu Naskos i Morzu Śródziemnemu.

Serrena przebywała w kapitańskiej kajucie, dopóki światła Teb nie stopiły się z ciemnością za naszą rufą. Wtedy pojawiła się na pokładzie, tajemnicza i piękna jak wieczorna gwiazda nad jej głową. Ucieszyła się na nasz widok, pocałowała mnie w policzki i znowu zniknęła pod pokładem. Ramzes zszedł za nią i nie zobaczyłem ich obojga do rana. Były to trzy najszcześniejsze i najspokojniejsze dni, jakie pamiętam, gdy płynęliśmy na północ do Abu Naskos, niesieni szybkim nurtem.

Trzeciej nocy zbudziłem się niedługo przed północą. Wiedziałem, że powinniśmy przybyć do celu wczesnym rankiem. Nie mogłbym dłużej spać. Usiadłem na dziobie i czekałem na świt. Dołączył do mnie sternik, Ganord, i jak

zawsze byłem mu wdzięczny za towarzystwo. Był starszym człowiekiem, którego cera przypominała skórę nilowego krokodyla. Miał wszystkowidzące głęboko osadzone oczy w nieokreślonym kolorze rzecznych kamyków i spływającą do pasa bujną kremową brodę. Całe życie od wczesnego dzieciństwa spędził na żeglowaniu po rzece i wzdłuż brzegów wielkiego północnego morza.

Znał te wody jak nikt inny, nawet lepiej niż ja. Znał nazwy duchów rzecznych i gnomów wodnych, także tych, które zniknęły w zamierzchłych czasach wraz z odejściem starożytnych plemion. Podróżował od źródeł Nilu, gdzie rzeka spada z nieba, do miejsca, gdzie przelewa się przez skaliste Wrota Hathor, niknie w otchłani i znów spada, tyle że przez całą wieczność.

Tej nocy Ganord mówił o rzece na wysokości miasta Abu Naskos, bo tam było nasze ostateczne miejsce przeznaczenia. Według niego, miasto zostało zaludnione po raz pierwszy jakiś tysiąc lat temu przez wyjątkowe plemię ludzi; nazywał ich rasą półbogów. Nie mieli sobie równych pod względem wielu umiejętności, takich jak budownictwo, czytanie i pisanie i ogrodnictwo. Nawadniali oba brzegi Nilu i zbudowali fortyfikacje, żeby się chronić przed otaczającymi ich dzikimi ludami. Wydawało się, że obmyślili sposób szybkiego przemieszczania się z brzegu na brzeg, prawdopodobnie po mostach, chociaż Ganord sugerował, że używali czarów. Według niego w wielu warstwach ruin pod obecnym miastem Abu Naskos nadal istniały dowody ich dawnej obecności.

Ich panowanie dobiegło gwałtownego końca mniej więcej pięćset lat temu, prawdopodobnie wskutek katastrofalnych trzęsień ziemi. Ci, którzy przeżyli, zostawili Nil i odeszli na północny wschód w kierunku Eufratu i Babilonu. Od tamtego czasu Abu Naskos przez pół tysiąca lat było niezamieszkaną.

Ganord spostrzegł, że jestem głęboko zainteresowany jego opowieścią. W pewnym momencie zszedł pod pokład, skąd wrócił z pamiątką po tamtych półbogach, i dał mi ją w prezencie. Była to mała jasnozielona tabliczka, nie szersza niż pięćdziesiąt centymetrów, z wyobrażeniem dziwnej ryby z długimi płetwami i złotą głową. Twierdził, że znalazł ją w gruzach starożytnego miasta. Powiedział, że to pamiątka po tym pierwotnym plemienu.

Czułem się trochę zawiedziony, kiedy naszą rozmowę przerwał wschód słońca i wyjście na pokład moich dwojga najulubieńszych osób na świecie. Przecież mogliby zostać w kabinie jeszcze trochę dłużej, zajmując się sobą bez szkody dla nich i dla mnie.

Ganord przeprosił i odszedł tyłem, gnąc się w ukłonach, żeby dołączyć do kapitana *Czterech Wiatrów* na rufie, gdzie natychmiast kazał zrefować żagiel i płynęliśmy halsem, zbliżając się do ostatniego zakrętu, za którym mieliśmy ujrzeć Abu Naskos.

Akurat weszło słońce, więc mieliśmy piękny widok na miasto rozciągnięte przed nami na zachodnim brzegu Nilu. W tym miejscu szerokość rzeki wynosiła

ponad trzy mile, czyli tyle, ile człowiek może przejść w godzinę. Oczywiście szczyty murów były niedosiężne dla strzał z drugiego brzegu.

Spiętrzone masywne bloki złotożółtego piaskowca sięgały wysoko, zwieńczone wieżyczkami w stylu Hyksosów, którzy przebudowali miasto po odebraniu go nam, Egipcjanom. Przepędzenie najeźdźców i odzyskanie naszego prawowitego dziedzictwa zajęło prawie sto lat, tylko po to, by znowu je utracić na rzecz obłąkanego faraona tyrana, który teraz ukrywał się za tymi imponującymi murami.

Widziałem w swoim życiu sto albo więcej pól bitewnych, ale to na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Zdawało się uosabiać tak wspaniałość, jak i głupotę ludzi porwanych przez bezrozumną furję wojny.

Mury miasta od wód Nilu oddzielał wąski pas piasku, na który Utteryk wyciągnął statki swojej floty. Policzyłem je, gdy podpłynęliśmy. Było tam prawie sto płaskodennych barek, każda zdolna do przewiezienia trzydziestu czy czterdziestu ludzi. Niemal wprost nad nimi wznosiły się kamienne fortyfikacje miasta. Od razu dostrzegłem na murach stosy skał gotowych do zrzucenia na wroga, który ośmielił się podejść, żeby przechwycić, spalić albo splądrować leżące tam statki.

W murze od strony rzeki nie było bram ani żadnych otworów, więc nawet najbardziej zdeterminowany najeźdźca nie miałby przez co wdrzeć się do środka. Strzelnice znajdowały się w połowie wysokości muru, ponad sto łokci nad ziemią.

Żołnierze Utteryka maszerowali po murach, w hełmach i napierśnikach połyskujących w słońcu; wyraźnie mieli nadzieję, że ich obecność zniechęci nas do ataku. Nad nimi wznosił się las masztów, na których łopotały flagi i proporce oddziałów Utteryka. Stanowiły jawne wyzwanie i ostrzeżenie dla armii Hurotasa, która stała po drugiej stronie rzeki.

Trzon armii Utteryka skrywał się za murami masywnego zamku, a jego liczbę można było ocenić tylko po statkach, flagach i stadach koni, które się pasły na zboczu wzgórza za murami miasta. Natomiast rozłożona na przeciwnym brzegu rzeki armia Hurotasa była doskonale widoczna wraz z całym ekwipunkiem i oporządzeniem.

Lakońska flota stała wzdłuż wschodniego brzegu rzeki, przycumowana grubymi linami, żeby wróg ich nie przeciął w ukradkowym nocnym ataku. Pokładów strzegły uzbrojone i czujne wachty kotwiczne. Maszty i olinowanie były przystrojone szeregiem kolorowych proporców, rzucających wyzwanie tym na fortyfikacjach zamku Abu Naskos po drugiej stronie rzeki.

Na wschodnim brzegu zajęтым przez Hurotasa i jego sojuszników nie było murów fortecznych ani trwałych budowli. Serce mi rosło na widok obozu mojego starego przyjaciela i sprzymierzeńca. Na niskich falistych wzgórzach jak okiem sięgnąć ciągnął się rzadki las, teraz pełen namiotów. Stały w schludnych

kwadratach, służąc jako koszary i stanowiska dowodzenia dla każdej z szesnastu armii. Za nimi urządzono zagrody dla koni, a dalej ustawiono prawie tysiąc rydwanów i jeszcze liczniejszych ciężkich wozów taboru.

Na obrzeżach tego ogromnego obozu wznosiły się szałas i chałupy, które w zasadzie nie zasługiwały na miano ludzkich siedzib. Mieszkały tam ladacznice i włóczędzy, odmieńcy i hultaje, i cała inna hołota, która ciągnie za wojskiem – choćby tylko dla plądrowania i łupienia trupów.

– To sztandar bitewny mojego ojca! – Serrena tańczyła obok mnie, waląc mnie pięścią po ramieniu przypuszczalnie w celu skupienia mojej uwagi. Były to mocne, bolesne ciosy.

– Który? Pokaż mi go – poprosiłem głównie po to, żeby zaprzestała bicia.

– Tam! Ten z czerwonym lakońskim dzikiem.

Mój mały podstęp się udał. Wyciągnęła rękę, zamiast mnie okładać.

Oczywiście sztandar Hurotasa łopotał na najwyższym drzewcu i najbliżej brzegu rzeki, a jego namiot był największy w całym wojskowym obozie. Oburącz osłoniłem oczy, żeby lepiej widzieć wysoką i gibką postać, która w tej chwili wyszła przygarbiona z namiotu Hurotasa. Nagle ją rozpoznałem i nie mogłem pohamować podniecenia. Mój głos dorównał głosowi Serreny pod względem głośności, gdy krzyknąłem:

– A tam jest twoja matka, wychodzi z namiotu twojego ojca!

Na te słowa Serrena jęła piszczeć i wrzeszczeć; skakała po pokładzie i wymachiwała rękami nad głową. Tehuti się wyprostowała i spojrzała na nas w zdumieniu. Rozpoznała córkę i rzuciła kosz, który trzymała.

– Moje dziecko! – krzyknęła tonem, który brzmiał bardziej jak krzyk bezbrzeżnej rozpacz niż szalonej radości. Pobiegła ku brzegowi, odpychając każdego, kto stanął jej na drodze, z taką siłą, że ludzie padali na ziemię.

Staliśmy na rufie statku. Wyrwałem wiosło sterowe z ręki Ganorda i pociągnąłem, zwracając dziób w stronę lądu. Serrena przestała się wydierać i teraz biegła po pokładzie niczym łania ścigana przez watahę wilków. Kiedy dotarła na dziób, nie próbowała zwolnić, tylko skoczyła głową w dół i z wielkim pluskiem zniknęła pod powierzchnią Nilu.

Serce mi zamarło, ale zaraz potem zobaczyłem, że się wynurzyła i jak szalona płynie do brzegu. Na przemian wymachiwała rękami, zagarniając wodę pod siebie. Włosy wiły się za jej głową niczym mokre wstążki i zostawiała za sobą spieniony ślad na powierzchni rzeki.

Tehuti dobiegła do brzegu i też skoczyła do wody. Niemal zapomniałem, jakimi są doskonałymi pływaczkami. Zaiste był to nieczęsty widok; mało tego, widok dwóch kobiet wysokiego rodu biorących udział w takim nadzwyczajnym przedsięwzięciu był prawie niespotykany. Niewiele arystokratek umie pływać, a te, które potrafią, pływają w tajemnicy i zwykle nago, w rytualnej ofierze dla Izydy,

bogini miłości, której srom ma mniej więcej kształt morskiej muszli.

Matka i córka spotkały się na głębinie i zwały w takim kurczowym uścisku, że obie poszły pod wodę. Wypłynęły, wciąż w objęciach, śmiejąc się, płacząc i chwytając oddech. Kiedy zanurzyły się po raz trzeci, tłumy na brzegu rzeki ruszyły naprzód, jakby gnane chorobliwą ciekawością w obliczu rychłego nieszczęścia.

Nawet ja byłem zatrwożony i powiedziałem Ramzesowi:

– Nie chcemy, żeby przeszkadzały krokodylom. Musimy wyciągnąć z wody te dwie głupie kobiety. – Rozebraliśmy się do przepasek i skoczyliśmy za burtę. Dotarłszy do nich, stwierdziliśmy, że nie sposób ich rozdzielić. Zaholowaliśmy je do łodzi jako nierozzerwalną całość. Ganord i załoga wciągnęli je na pokład ku uciesze wiwatujących gapiów na brzegu.

– Na odrażającego Seta i wszystkich innych bogów śmierci, co się tu dzieje?! – ryknął z brzegu znajomy głos. Tłum się rozstąpił. Król Hurotas maszerował ku rzece z miną żądnego krwi potwora, dopóki nie zrozumiał, że dwie przemoczone i rozczochrane kobiety wciągnięte na pokład niewielkiego statku są największymi miłościami jego życia. Ton jego głosu natychmiast się zmienił na ckliwy i rzewny. – To moja kochana Serrena! – Szeroko rozłożył ramiona, potężnie umięśnione od władania orężem i pokryte upiornymi tatuażami, żeby przerażać wrogów. – Chodź do tatusia, maleńka!

W tym czasie Serrenie brakowało tchu do krzyku, ale wciąż miała siły do biegania i pływania. Wyrwała się z moich opiekuńczych ramion i powtórzyła wcześniejsze dzikie przedstawienie. Popędziła po pokładzie *Czterech Wiatrów*, obryzgując go obficie nilową wodą, zawzięcie ścigana przez matkę. Jedna za drugą skoczyły za burtę i popłynęły do brzegu.

– Jak sądzisz, warto je znowu ratować? – zapytał poważnie Ramzes. – Czy mamy zostawić je samym sobie?

Serrena miała przewagę nad Tehuti, gdy skoczyła z pokładu, i pierwsza dotarła do ojca. Wyciągnął ją i podrzucił wysoko w powietrze, zapewne jak wtedy, kiedy była dzieckiem. Chwył ją, gdy opadała, wcisnął jej twarz w brodę i obsypał pocałunkami. Tehuti podbiegła do nich, a on podniósł ją wolną ręką i przytulał je obie do piersi, idąc do swojego namiotu.

Ramzes i ja szybko się osuszyliśmy i włożyliśmy ściągnięte wcześniej ubrania, podczas gdy Ganord kierował *Cztery Wiatry* do brzegu. Gdy tylko dziób dotknął lądu, wyskoczyliśmy i przebiliśmy się przez podekscytowany tłum do namiotu, w którym Hurotas zniknął ze swoimi kobietami. Nie było to łatwe, bo wszyscy obecni najwyraźniej chcieli nam pogratulować uratowania Serreny ze szponów Utteryka. Byliśmy ściskani i całowani przez mężczyzn i kobiety, ale w końcu znaleźliśmy się w namiocie.

Jak większość rzeczy, które należały do Hurotasa, namiot był wyjątkowo



duży i imponujący; w istocie pod względem wielkości mógł konkurować z salą zgromadzeń w cytadeli Sparty. Tego dnia mieścił prawie połowę całych sił ekspedycyjnych, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Byli tam dworzanie i konkubiny wszystkich szesnastu lojalnych królów, towarzyszący Hurotasowi z Lacedemonu, wraz ze starszymi oficerami i urzędnikami.

Gdy tylko wszedłem z Ramzesem do namiotu, król Hurotas pokiwał do mnie ręką z drugiego końca, żeby przyciągnąć moją uwagę.

– Tehuti i Serrena poszły się przebrać w suche ubrania, więc trochę to potrwa, być może kilka dni.

Uśmiechnąłem się, rozbawiony jego żartem, po czym objąłem Ramzesa ramieniem i przysunąwszy usta do jego ucha, powtórzyłem mu słowa Hurotasa. Otaczający nas tłum liczył kilkaset osób i zdawało się, że każdy trzyma w garści dzban wina i krzyczy do swojego sąsiada, żeby ten go słyszał. W dodatku trzy czy cztery grupy muzyków grały ile sił w płucach i rękach.

Ramzes spojrział na mnie z poważną, zrezygnowaną miną.

– Na Dolusa, ducha sztuczek i oszustwa, jak ty to robisz, Taito?

Kiedy się poznaliśmy, sprawdzał moją dokładność interpretacji, lecz z czasem przestał zwracać sobie tym głowę. Przypuszczałem, że pewnego dnia dowie się o sztuce czytania z ruchu warg, ale na razie bawiło mnie zbijanie go z tropu.

Przejsie na drugą stronę zatłoczonego namiotu zajęło nam trochę czasu. Kiedy w końcu dotarliśmy do Hurotasa, zamknął nas obu w długim, serdecznym ścisku, po czym zaprowadził przez drzwi do małego pomieszczenia. Tutaj natychmiast zwrócił się do Ramzesa:

– Miałem niewiele czasu na porozmawianie z Serreną o naglącej potrzebie zawarcia małżeństwa. Chociaż raz się ze mną zgodziła. To ważne, żeby przedstawić Utteryka całemu światu jako łajdaka, który porwał niewinną dziewczinę i poddał ją niewyobrażalnie brutalnym torturom.

– Wasza Wysokość – wtrącił prędko Ramzes – z całą stanowczością powiem, że Utteryk torturował i poniżał twoją córkę, bił ją i więził, lecz powstrzymał się od pozbawienia jej dziewictwa i nie pozwolił nikomu innemu tego uczynić.

– Jestem za to do zgonnie wdzięczny bogom i boginiom w panteonie nieba – oznajmił Hurotas. – Jednakże we wszystkich narodach świata znajdą się tacy, którzy będą zniesławiać moją córkę i rzucać na nią kalumnie. Można temu zapobiec tylko w jeden sposób.

– Będę zaszczycony, poślubiając Serrenę tak szybko, jak tylko to możliwe. Nie musisz mówić nic więcej, potężny królu Hurotasie. – Ramzes nie patrzył w moją stronę, jednakże rozumiałem, że udzielony im przeze mnie ślub ma na zawsze pozostać tajemnicą naszej trójki.

– Rad jestem, że się zgadzamy. Ojcowanie ci jako mojemu jednemu synowi będzie dla mnie wielkim powodem do dumy. – Hurotas wstał i spojrzał na mnie. – Dobry Taito, może powinniśmy sprawdzić, czy przypadkiem nie skrzywdziłem moich dwóch skarbów, sugerując, że mogą kilka dni spędzić na przebieraniu się w suche ubrania.

Ramzes zamrugał i obrzucił przyszłego teścia pytającym spojrzeniem.

– Kiedy uczyniłeś tę sugestię, Wasza Wysokość?

– Niedawno, kiedy weszliście do mojego namiotu.

– Nie słyszałem, żebyś to mówił. – Nie krył zdziwienia. – Przecież był taki hałas.

– W takim razie może zapytaj Taitę, jak słuchać oczami. O ile mi wiadomo, tylko on zna tę sztuczkę.

Ramzes wlepił we mnie spojrzenie i jego mina powoli zmieniała się z zaintrygowanej w oskarżycielską, gdy rozwiązywał zagadkę. Wiedziałem, że niedługo też będzie umiał czytać z ruchu warg; już on o to zadba. Przepraszając wzruszyłem ramionami. Może i dobrze, że się nauczy tej sztuki, nie mogę bowiem chować jej dla siebie na zawsze. W przyszłych latach z pewnością okaże się dla nas nadzwyczaj przydatna. Już wtedy wiedziałem, że nasze losy są ściśle ze sobą związane.

Zdeterminacją dążyliśmy do tego, żeby pokazać całemu światu, że Ramzes i Serrena są mężem i żoną, a także przyszłymi władcami Egiptu, musieliśmy jednak postępować z godnością i przestrzegać ustalonego protokołu.

Zadania nie ułatwiał fakt, że jednocześnie prowadziliśmy wojnę, która zapowiadała się na najokrutniejszą i najbardziej bezpardonową w dziejach Egiptu czy innego narodu na tej ziemi.

Kierując się moim zwykłym zdrowym rozsądkiem i wycuciem zadecydowałem, że nie dam się wciągnąć w ściśle kobiecą sferę przygotowań do zaślubin i uroczystości weselnych, ograniczając się wyłącznie do męskiego aspektu wojny i dominacji. W tym względzie miałem doborowe towarzystwo w osobach moich starych wiernych druhów, Zarasa i Huiego, a także nowszych znajomych, Ramzesa i innych królów, większych i mniejszych.

Jak zawsze postępowałem zgodnie ze starym porzekadłem dobrego wojownika: Poznaj swojego wroga.

Moim wrogiem był Utteryk Bubastis, ale go nie znałem. Jawił się niczym wytwór wyobraźni, z każdym oddechem zmieniający kształt i usposobienie. Nie byłem nawet pewien, czy wciąż jest jedną istotą.

Przez dwa dni po przybyciu do obozu Hurotasa obserwowałem z Ramzesem mury fortecy na drugim brzegu Nilu i widziałem wielu, którzy mogli być Utterykiem, czasami dwóch czy trzech jednocześnie. Niektórzy przypominali mi tego Utteryka, który wybuchał płaczem w chwili zagrożenia albo doprowadzał się do wrzaskliwych, histerycznych ataków złości.

Nie śpieszyło nam się do rozpoczęcia działań wojennych. Panował okres konsolidacji i przygotowań. Hurotas skończył zakładanie obozu dopiero pięć dni przed naszym przybyciem z Teb. Niektórzy królowie jeszcze nie dotarli z północy. Rozpoczynanie ataku przed zebraniem wszystkich naszych sił byłoby pochopne. Codziennie przybywała nowa flotyła, a rozłokowywanie ludzi było skomplikowanym procesem. Panującą sytuację pogorszyła Bekatha, która nagle postanowiła objąć dowodzenie.

Na szczęście stało się to podczas prywatnej rodzinnej kolacji wydanej przez króla Hurotasa dla uczczenia ucieczki jego jedynaczki z rąk oprawców we Wrotach Udręki i Smutku. Celem tej uczyty było między innymi skupienie wszystkich wojowniczych instynktów rodziny na upokorzeniach i cierpieniach, jakich doznali wskutek uprowadzenia i torturowania Serreny.

Wieczór rozpoczął się od buńczucznych przemówień wygłoszonych przez Hurotasa i Huiego. Później jęli perorować trzej synowie Bekathy. W tym czasie Tehuti i jej siostra raczyły się przednim lakońskim winem, ani myśląc zachować umiaru. Słuchając chełpliwych, drapieżnych wypowiedzi synów, Bekatha nagle

i niespodziewanie zaląła się łzami. Nastrój biesiadników uległ natychmiastowej zmianie.

Wszystkie obecne kobiety zerwały się od stołu i skupiły wokół Bekathy, nie szczędząc serdecznych słów i wyrazów współczucia, podczas gdy mężczyźni popatrywali na siebie w zmieszaniu. Nagle wszyscy naraz skierowali spojrzenia na Huiego. Nic nie powiedzieliśmy, ale przekaz był jasny: „To nie nasza sprawa. Jest twoją żoną. Ty się tym zajmij!”.

Hui podniósł się z wielką niechęcią, ale miał szczęście, bo nie musiał się wykazywać. Zanim zdążył podejść do żony, ta krzyknęła w bezgranicznym bólu:

– Dlaczego muszę wysyłać moje dzieci na śmierć?!

W tej chwili oddana, zjednoczona rodzina podzieliła się na skrzydła i odłamy.

Tehuti natychmiast stanęła u boku młodszej siostry.

– Bekatha ma absolutną rację. Odzyskaliśmy Serrenę. Już nie musimy prowadzić tej bezsensownej wojenki.

– Bezsensownej? – huknął Hurotas. – Czy słyszałem, jak mówisz „bezsensownej”, ukochana żono? Czy słyszałem, że użyłaś słowa „wojenki”? Masz pojęcie, ile mnie kosztowało zebranie armii i przetrzymanie ich do Egiptu? Ktoś musi za to zapłacić, i tym kimś nie zamierzam być ja.

– Bądź wobec nas sprawiedliwa, mamó! – krzyknął Sostratus, drugi syn Bekathy. – Stoimy u progu kariery. Nie odsyłaj nas do domu w pohańbieniu. Cały świat powie, że byliśmy zbyt tchórzliwi, żeby zostać i walczyć z uzurpatorem Utterykiem.

Obserwowałem Serrenę. Wiedziałem, że wynik sporu zależy wyłącznie od niej. Hurotas zrobi dokładnie to, co będzie chciała córka, podobnie jak Tehuti. Oboje mogą udawać, że się sprzeciwiają, ale to ona podejmie ostateczną decyzję. Widziałem, że patrzy na ojca i cień wątpliwości zachmurzył jej oczy. Potem spojrzała na matkę i ciotkę Bekathę i zrozumiałem, że zadecydowała. Wiedziałem, że muszę ją ubiec, bo inaczej wszyscy wyruszymy w drogę do Lacedemonu, być może nawet już jutro.

– Myślę, że zmuszanie Serreny do spędzenia reszty życia w tym kraju, którym tak wyraźnie gardzi, byłoby czystym okrucieństwem. Myślę, że Bekatha i Tehuti mają całkowitą rację. Powinniśmy wrócić do Lacedemonu i zostawić ten przeklęty kraj Utterykowi. Jestem pewien, że sprzymierzeni z nami królowie zrozumieją nasze stanowisko i nie będą oczekiwać rekompensaty za to, że dla nas ściągnęli tu wojska, a potem pozęglowali do domu z pustymi rękami. Serrena będzie najzupełniej szczęśliwa w kraju swoich narodzin, mieszkając w ślicznej chatce na brzegu Rzeki Hurotasa z Ramzesem i dwunastką ukochanych brzdąców. Z pewnością zrozumie, że rodzinna fortuna została wydana w dobrej wierze. Nie dla niej głupiotki i pretensjonalny tytuł, królowa Kleopatra... – W tym czasie moja

przemowa nabrała wiatru w żagle. Wszyscy słuchali z wielkim przejęciem, szczególnie Serrena.

Zobaczyłem, że zmienia powziętą przed chwilą ostateczną decyzję równie gładko, jak ją podjęła.

– Prawdę rzeczesz, drogi Taito, ale każdy kij ma dwa końce. Zawsze mnie uczono, że żona musi bez skargi przyjmować wyroki bogów i wspierać męża w zadaniu, jakie mu oni wyznaczają. Wiem, że z czasem przywyknę do imienia Kleopatry, jakkolwiek jest banalne. Jeśli Ramzes i ja zostaniemy tutaj, w Egipcie, jako faraon i jego królowa, będziemy mieli wystarczające fundusze dla mojej ukochanej matki, żeby mogła mnie odwiedzać, kiedy tylko zechce. Oboje nauczymy się miłować piękno i dostatek tego kraju. Co więcej, mój ojciec nie będzie zmuszony żyć w nędzy z mojego powodu.

Po tej deklaracji zapadła głucha cisza. Nagle synowie Bekathy padli sobie w ramiona. Ich matka znowu się rozpłakała, ale szybko nappełniłem jej kubek i musiała przerwać lamenty, żeby skosztować wina.

Hurotas z poważną mną powiedział:

– Podjęłaś ogromnie trudną decyzję, ukochana córko, ale właściwą. – Zerknął na mnie, wciąż z powagą, lecz opuścił prawą powiekę w pełnym uznania mrugnięciu. Znowu triumfowaliśmy, chociaż przyznam, że mało brakowało.

Następnej nocy wyprawiliśmy się z Ramzesem na rekonesans na zachodni brzeg, gdzie stała forteca Abu Naskos. Utteryk nie zbudował bram od strony rzeki. Oczywiście znałem z opisu wszystkie bramy, ale dotąd ich nie widziałem. Wiedziałem, że muszę je obejrzeć. Zabraliśmy tylko piętnastu ludzi. Księżyc miał wzejść po północy, więc wykorzystaliśmy ciemności, żeby przepłynąć Nil i ukryć łodzie w trzcinach. Gdy tylko zrobiło się dość jasno, żeby widzieć grunt pod nogami, cicho ruszyliśmy w kierunku fortecy. Przebyliśmy nie więcej niż kilkaset kroków, gdy natknęliśmy się na konie skubiące trawę w świetle księżyca. Okrążyliśmy je i kazaliśmy dwóm ludziom popędzić je tam, gdzie zostawiliśmy łodzie. Powtarzaliśmy ten manewr trzy razy, gromadząc stado ponad stu pięćdziesięciu pięknych koni do rydwanów.

Księżyc szczodrym blaskiem zalewał zachodnie mury fortecy, pozwalając mi z bezpiecznej odległości dobrze się przyjrzeć dwóm bramom. Mogłem ocenić ich wielkość i mocną konstrukcję, a także obejrzeć wały obronne i rowy z zastrzonymi palami.

Po jakimś czasie dyskretnie się wycofaliśmy. Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie zostawiliśmy łodzie, zobaczyliśmy, że – zgodnie z moimi rozkazami – dwie zostały użyte do przepłynięcia stada przez rzekę. Popłynęliśmy za nimi w pozostałej łodzi. Była to długa droga dla biednych stworzeń, bo w tym miejscu Nil ma ponad cztery i pół mili szerokości. Kiedy w końcu dotarliśmy do wschodniego brzegu pod obozem Hurotasa, z radością zobaczyliśmy, że wszystkie konie bezpiecznie przepłynęły, bez żadnych ofiar.

Zachęcony powodzeniem, cztery noce później na przekór zdrowemu rozsądkowi dałem się Ramzesowi namówić na powtórzenie wyprawy. Z bólem wyznam, że tym razem byliśmy dalecy od sukcesu. Ludzie Utteryka zabrali pozostałe konie i czekali na nas w zasadzce. Desperacko walczyliśmy, żeby wrócić nad rzekę. Kiedy w końcu nam się udało, zobaczyliśmy zmasakrowanych strażników i przedziurawione łodzie. Połowa naszych ludzi nie umiała pływać. Gorączkowo wrywaliśmy ze zniszczonych łodzi deski, jednocześnie odpierając zdeterminowanego wroga. Weszliśmy do wody. Każdy nieumiejący pływać dostał po desce, a potem wciągaliśmy ich i wpychaliśmy na głęboką wodę. Daliśmy się porwać nurtowi, zostawiając na brzegu wykrzykujących obelgi i strzelających do nas z łuków nieprzyjacielskich żołnierzy. Ponieśliśmy dalsze straty, gdyż pięciu naszych ludzi albo utonęło, albo padło ofiarami krokodyli. To oznaczało, że tylko sześciu z nas przeżyło i zostało wyrzuconych na wschodni brzeg Nilu. W moim słynnym dziele *Historia działań wojennych* odnotowałem, że na przestrzeni wieków każdy dowódca o wielkich i wybitnych dokonaniach doznał w swojej karierze co najmniej jednej klęski. Ważne, że ją przetrwał, a nie jak opisał.

Na nasze szczęście akurat w tym samym czasie co my do wschodniego brzegu zmierzał ostatni król, Ber Silnoręki Argolid, władca beockich Teb. Jego flotylla składała się z siedmiu okrętów z sześciuset trzydziestoma ludźmi, w tym dziesięcioma żonami łącznie z królową Hagne, która była wielbłąd matką Zakonu Sióstr Złotego Łuku, zanim dała się oczarować Silnorękiemu.

Płynęli z delty w górę Nilu, jeden okręt za drugim. Nie kryli zdumienia, kiedy znaleźli faraona Ramzesa i jego wezyra, pana Taitę, na wpół nagich i oblepionych błotem, brnących po szyję w wodzie i trzymających się połamanych desek. Ich zaskoczenie szybko ustąpiło wesołości, gdy wciągnęli nas na pokład okrętu flagowego Bera Argolida.

Widząc mnie w takim opłakanym stanie, królowa Hagne wzięła mnie na stronę i zdjęła swoją królewską szatę. Podała mi ją z zapewnieniem:

– Potrzebujesz jej bardziej niż ja, wezyrze Taito.

Przyjąłem dar z wdzięcznością, bardziej dlatego, że chciałem ocenić jej nagi biust niż z jakiegoś innego powodu. Stwierdziłem, że Silnoręki Argolid ma wyborny gust, gdy chodzi o sutki, i z perspektywy czasu przyznam, że szata, choć trochę na mnie za krótka, była wygodna i jej kolor pasował do moich oczu. Silnoręki, jego oficerowie i żony otoczyli nas z minami wyrażającymi głębokie zniecierpliwienie i czekali na opowieść o naszej niedoli i niepowodzeniu. Na szczęście przewidziałem to przesłuchanie i zobowiązałem moich ludzi, łącznie z Ramzesem, do zachowania dyskrecji.

– Naprawdę nie ma o czym mówić – oznajmiłem ze skromną miną, kiedy Silnoręki zadał mi pytanie.

– Jestem pewien, panie, że odniosłeś kolejny triumf.

Królowa Hagne mrugnęła do mnie znacząco, nie zostawiając mi innego wyboru, jak trochę podkoloryzować wydarzenia.

– Postanowiliśmy z faraonem Ramzesem przepłynąć się przez rzekę, żeby ukraść Utterykowi tyle koni, ile tylko można, by zmniejszyć liczbę jego zdolnych do boju rydwanów i oczywiście tym samym powiększyć liczbę naszych. – Zobaczyłem, że Ramzes zamrugnął i otworzył usta, żeby mnie poprawić. Na szczęście zmienił zdanie i ostrożnie pokiwał głową.

– Udało wam się zdobyć jakieś konie? – zapytał Silnoręki. – Na to mi nie wygląda. – Zarechotał grubiańsko.

– Kilka – odparłem z godnością.

– To znaczy ile? – dociekał. – Pięć? Dziesięć?

– Trochę więcej. Ponad sto pięćdziesiąt. Ale tylko bogowie wiedzą, ile dotarło do naszego obozu. Oczywiście się rozbiegły, gdy tylko wyskoczyły na ten brzeg przed nami. Z pewnością poniesiemy pewne straty, ale większość powinniśmy odzyskać. – Pytając spojrzałem na Ramzesa. – Masz coś do dodania, faraonie Ramzesie?

Pokręcił głową, przytłoczony moją wersją wydarzeń. Królowa Hagne interweniowała w odpowiedniej chwili.

– Zatem dlatego jesteście tacy przemoczeni. Płynęliście z tamtego brzegu za końmi? – Była czarującą i roztropną panią. Im częściej ją widywałem, tym bardziej ją lubiłem. Umiała na pierwszy rzut oka rozpoznać dzielnego i bystrego człowieka.

– Rozumiesz nasze położenie, Wasza Wysokość – zgodziłem się z nią. – Oczywiście musieliśmy zniszczyć nasze łodzie. Wprawdzie miały pewną wartość, lecz nie mogliśmy pozwolić, żeby wpadły w ręce wroga.

Król Teb w Beocji z zadumą pokiwał głową i szyderczy uśmiezek zniknął z jego ust. Zawołał do sług, żeby podali nam wino na otwartym pokładzie.

– To naprawdę doskonały rocznik – powiedział, porzucając temat naszej pomysłowości i heroizmu. Triumfy innych szybko bledną w cudzych oczach. Własne niefortunne wypadki i błędy najlepiej zachować dla siebie.



Przybycie Bera Silnorękiego Argolida do obozu Hurotasa oznaczało, że wszystkich szesnastu zaprzysiężonych królewskich sojuszników zgromadziło się w jedynym miejscu i że wreszcie może dojść do długo odkładanego ślubu Ramzesa i Serreny. Byłem jedynym gościem, uczestnikiem i mistrzem poprzedniej ceremonii, więc postanowiłem odgrywać jak najbardziej dyskretną rolę na drugiej. Serrena miała wsparcie całej swojej rodziny, a Ramzes miał Bekathę, która go adoptowała, i jej synów uważających go za brata. Naprawdę mnie nie potrzebowali.

Mogłem zająć się sprawą, która mnie nurtowała, odkąd wypłynęliśmy z Teb na pokładzie *Czterech Wiatrów* z Ganordem za sterem. Był nią jego opis plemienia nadrzędnych istot, które w zamierzchłych czasach zbudowały i zamieszkiwały starożytne miasto istniejące niegdyś w miejscu, gdzie dziś leżało Abu Naskos.

Przeszukałem kieszenie i znalazłem podarunek od Ganorda – glinianą tabliczkę z wizerunkiem złotogłowej ryby. Jeszcze raz dokładnie ją obejrzałem. Wciąż była piękna i wciąż tajemnicza. Zszedłem na brzeg rzeki, żeby odszukać *Cztery Wiatry* wśród kotwiczących tam barek i statków. Przewoźnicy powiedzieli mi, że łódź pożegłowała do Teb w czasie, gdy na zachodnim brzegu szukałem koni w polu. Nikt nie wiedział, co się stało z Ganordem. Pokazałem im złotogłową rybę. Zgodzili się, że jest interesująca, ale żaden z nich nigdy dotąd czegoś takiego nie widział.

Uszyłem sakiewkę z wyprawionej wydrowej skóry, dokładnie dopasowaną do tabliczki, i zawiesiłem ją na sznurku na szyi pod tuniką. Lubiłem pocierać ją w palcach, gdy oddawałem się rozmyślaniom.

Przez kilka następnych dni samotnie spacerowałem po brzegu rzeki, ale nigdy nie byłem sam. Jestem dzieckiem Nilu, choć nie znam daty moich narodzin. Jednakże wiem, że Nil jest mój od tamtego dnia, bez względu na to, kiedy to było. Kochałem go i czułem, że odwzajemnia moją miłość.

Znalazłem przyjemne miejsce w cieniu drzewa, skąd miałem widok na szeroki nurt rzeki i fortecę Abu Naskos na drugim brzegu. Było to miejsce, gdzie kilka wysepek niczym łańcuch rozciągało się w poprzek Nilu. Wszystkie były porośnięte sędziwymi drzewami i lianami. Tutaj rzeka miała jakieś cztery i pół mili szerokości i wysepki leżały może trzy czwarte mili jedna od drugiej. Pomyślałem, że zdołam przepłynąć taką odległość w mniej niż pół obrotu klepsydry. Uśmiechnęłam się do siebie i pokręciłem głową; niby dlaczego miałbym to robić?

Przepędziłem tę myśl i wstałem. Jak zwykle w prawej ręce trzymałem tabliczkę ze złotogłową rybą. Tym razem ukuła mnie w kciuk i krzyknąłem z zaskoczenia. Poczuję coś jak użądlenie szerszenia, chociaż nie tak bolesne. Przełożyłem płytkę do drugiej ręki i obejrzałem palec. Nie znalazłem śladu po

ukłuciu ani zaczerwienienia, a przykre wrażenie szybko mijało. Niewiele o tym myśląc, wróciłem do obozu.

Tego wieczoru Tehuti nalegała, żebym dołączył do niej i Hurotasa przy kolacji. Uległem, bo Ramzes i Serrena też mieli się stawić, a nie widziałem ich od kilku dni. Spędziliśmy bardzo przyjemny wieczór, rozmawiając o zbliżających się zaślubinach.

Nazajutrz zbudziłem się wcześniej, przed wschodem słońca. Ubrałem się i ruszyłem ścieżką holowniczą wzdłuż Nilu. Kiedy dotarłem do miejsca naprzeciwko łańcucha wysepek, usiadłem na tej samej gładkiej skale co wczoraj. Czując się bardzo rozluźniony, bez jednej myśli wyjąłem płytkę spod tuniki i od niechcienia jąłem ją pocierać. W gałęziach nade mną stado czarnogłowych wikłaczy budowało wiszące gniazda. Nie wiem, jak długo je obserwowałem, ale zaczął doskwierać mi głód i zdałem sobie sprawę, że przecież nic nie jadłem od wczoraj.

Podniosłem się i płytka ukłuła mnie tak mocno, że wypuściłem ją z dłoni i zacząłem ssać palec. Wtedy zrozumiałem, że jest przesycona tajemnymi mocami. Ostrożnie dotknąłem jej palcem. Tym razem nie było żadnej reakcji. Potarłem ją, spodziewając się kolejnego nieprzyjemnego ukłucia. Nic się nie stało poza tym, że straciłem apetyt. Zajęło mnie coś zupełnie innego niż napełnianie brzucha.

Przesiadłem się, żeby światło słońca padało prosto na płytkę. Oglądałem ją tak, jakbym jej dotąd nie widział. Policzyłem łuski na ciele ryby. Drobiazgowo obejrzałem płetwy i ogon. Nie wykryłem żadnego tajemnego sensu ani znaczenia. Obejrzałem drugą stronę. Nie było tam żadnych zadrapań ani bodaj śladu hieroglifów czy pisma klinowego. Gdy ponownie ją odwróciłem, spostrzegłem coś, co umykało mojej uwadze, dopóki nie ustawiłem jej ukośnie względem promieni słońca. W tle sylwetki ryby widniało kilka maleńkich dołeczków. Mogły zostać zrobione ostrą igłą przed wypaleniem gliny w piecu. Gdy zmieniłem ustawienie do światła, zniknęły. Znowu się pojawiły, kiedy przekręciłem płytkę w drugą stronę.

Policzyłem te nieregularności. Były cztery: dwie za ogonem ryby i dwie przed pyskiem. Próbowałem odgadnąć ich znaczenie, ale nic nie przychodziło mi na myśl. To mi zepsuło humor. Wiedziałem, że coś mi umyka. Znowu zgłodniałem. Pobiegnę do obozu i poszedłem do kuchni. Kucharze mieli kilka zimnych kiełbas pozostałych z południowego posiłku. Były tłuste i przesolone, ale zjadłem je na przekór bogom, którzy, jak czułem, robili ze mnie wariata, zresztą nie po raz pierwszy.

Niepoczyszony powędrowałem do skały nad rzeką, gdzie siedziałem, bekając, wydalając przez usta nieprzyjemne wspomnienia po zjedzonej kiełbasie. Znowu wyjąłem rybę spod tuniki. Uniosłem ją ku słońcu i obracałem, wskutek czego cztery kropki pojawiały się i znikwały. Opuściłem płytkę i spojrzałem na Nil.

Patrzyłem na sznur niemal identycznych wysepek, ciągnący się przez zieloną wodę ku drugiemu brzegowi. Ale przecież nie miały związku z moją zagadką...

A może miały?

Przebiegł mnie dreszcz podniecenia dość silny, żeby podnieść włoski na moich przedramionach, gdy zrozumiałem, że na rzece są cztery prawie identyczne wyspy, tyle samo, ile kropek na ceramicznej płytce. Ogniwo było wątle i nieprzekonujące, ale czwórka jest magiczną liczbą Inany, a Inana jest moją opiekuńczą boginią. Wiedziałem, że muszę odwiedzić przynajmniej jedną z tych czterech wysepek.

Mógłbym wziąć łódź i dotrzeć do celu w niecałą godzinę, ale wiedziałem, że wrogie oczy patrzą z murów fortecy na tę stronę rzeki. Mogłem płynąć wpław szybciej, niż wiosłować, i moja głowa widziana z drugiego brzegu będzie nie większa niż łeb wydry. Zacząłem się rozbierać, zanim zdążyłem przemyśleć plan do końca.

Ruszyłem w górę rzeki, dość daleko od brzegu, żeby nie zauważono mnie z murów Abu Naskos. Kiedy najbliższa wyspa znalazła się w jednej linii z fortecą, zsunąłem się do wody i szedłem, aż sięgnęła mi po szyję. Przystanąłem, żeby sprawdzić ekwipunek. Na przepasce biodrowej miałem pas z nożem. Wyjąłem go z pochwy i wypróbowałem ostrze i szpic na kciuku. Był ostry jak igła. Sięgnąłem do sakiewki z ceramiczną tabliczką i przełożyłem ją na plecy, żeby nie zwisała mi z piersi, bo przy pływaniu mógłbym zaplątać ręce w sznurek.

Odepchnąłem się od dna i popłynąłem ku najbliższej wyspie, pilnując, żeby nie wzburzyć wody uderzeniami rąk czy nóg. Musiałem ostro walczyć z prądem, żeby moja głowa wciąż była w jednej linii z wyspą i znajdującą się dalej fortecą.

Kiedy dotarłem do wyspy, złapałem lianę zwisającą nad głową i sięgnąłem stopami w dół, żeby znaleźć dno. Tu spotkała mnie pierwsza niespodzianka. Nie było gruntu. Brzeg wyspy pionowo opadał w głąb rzeki. Przytrzymując się liany, zrobiłem kilka głębokich oddechów. Puściłem się i popłynąłem w dół jak nurkująca dzika kaczka. Spojrzałem przez przejrzystą wodę, spodziewając się, że lada chwila ujrzę dno. W końcu rozboleły mnie płuca i musiałem zrezygnować z próby.

Kiedy wyskoczyłem na powierzchnię, znowu chwyciłem zwisającą lianę i napełniłem płuca słodkim powietrzem. Po chwili odpoczynku podpłynąłem do stromej skalnej ściany, która tworzyła brzeg wyspy. Czepiając się korzeni i gałęzi, gramoliłem się coraz wyżej, aż dotarłem na płaski wierzchołek. Usiadłem, rozejrzałem się, żeby zorientować się w terenie. Zacząłem się przedzierać przez gęste krzaki; okrążyłem wyspę, aż wróciłem do punktu wyjścia.

Zdałem sobie sprawę, że ma ona kształt sterczącego z wody pniaka, z okrągłą i płaską jak stół powierzchnią. W niczym nie przypominała innych znanych mi wysp, nieregularnych, ledwie wystających nad powierzchnię rzeki. To mnie zaintrygowało, ale gęsta roślinność utrudniała dokładną ocenę kształtu i rozmiaru. Ruszyłem ku środkowi wyspy; gramoliłem się przez powalone drzewa i gdzieś tam próbowałem kopać gołymi rękami, żeby odsłonić podłoże skalne.

Korzenie drzew i roślin były gęsto splecione. Ciąłem je nożem, ale bez większego powodzenia. Stwardniały z wiekiem.

Czułem, że musi tu być ukryte coś nadzwyczajnego. Mój związek z boginią Inaną jest dziwny, ale nauczyłem się, że zwykle mogę na niej polegać. Nigdy mnie nie zwiodła, a przynajmniej ja o niczym takim nie wiedziałem. Po kolejnej godzinie znowu musiałem odpocząć. Przysiadłem pod dzikim figowcem.

– I co spodziewałeś się tutaj znaleźć? – zapytałem. Często mówię sam do siebie, kiedy nikogo obok mnie nie ma. Po dłuższym rozmyśleniu nad pytaniem z rozwągą odparłem: – Niczego się nie spodziewałem. Ale miałem nadzieję na znak, może wiadomość od Dawnych Ludzi. – Tak nazwałem tych, którzy mieszkali tu w starożytności.

– Może kolejne ukłucie w palec? – Pytanie zostało zadane moim głosem, lecz wcale nie przeze mnie. Rozejrzałem się, zaskoczony, i wtedy ją zobaczyłem. Stała wśród drzew na skraju pola mojego widzenia. Była tylko kolejnym cieniem wśród cieni, jednakże wiedziałem, kim jest.

– Inana! – wyrzekłem jej imię, a ona się roześmiała. Śmiech miała czysty jak dźwięk dzwonu i słodki jak śpiew słowika.

Znów przemówiła, tym razem swoim niewysłowienie pięknym głosem.

– Jeśli nie wiesz, gdzie patrzeć, spójrz tam, gdzie nie możesz sięgnąć wzrokiem. – Roześmiała się i zniknęła.

Poderwałem się z ziemi i wyciągnąłem ku niej rękę, ale już jej nie było.

Wiedziałem, że bieganie za nią i nawoływanie jej jest daremne. Robiłem to wiele razy wcześniej. Opadłem na to samo miejsce pod drzewem. Czułem się porzucony.

Nagle poczułem coś zupełnie innego, ostre ukłucie. Sięgnąłem za siebie, pomiędzy gołe pośladki. Coś twardego i ostrego jak ząb rekina wbijało się w sekretną część mojego ciała. Chwyciłem to w palce i wyciągnąłem, krzywiąc się z dojmującego bólu.

Ostrożnie uniosłem znalezione i spojrzałem. Serce mi załomotało i krew przyspieszyła w żyłach. Sięgnąłem nad ramieniem i przełożyłem na pierś skórzaną sakiewkę, w której przechowywałem piękną ceramiczną rybę, podarunek od Ganorda. Położyłem tabliczkę na dłoni, a na niej fragment, który wyciągnąłem pomiędzy pośladków. Idealnie pasował do rogu całej płytki, co znaczyło, że pochodziły z tej samej formy, odlane może tysiąc lat temu. Co więcej, ostry jak igła szpic, wilgotny od krwi z mojego tyłka, rozszerzał się w głowę dobrze mi znanej złotej ryby.

Uznałem to za wskazówkę, że Dawni Ludzie byli tutaj przede mną, i byli tu znowu. Wiedziałem, że próbują powiedzieć mi coś ważnego. Wziąłem całą tabliczkę w jedną rękę, a fragment w drugą i skupiłem na nich uwagę. Przez jakiś czas nic się nie działo, a potem stopniowo cztery kropki na płytce stały się

wyraźniejsze i zapłonęły jak małe gwiazdy.

– Cztery! – Głośno szepnąłem liczbę. Wiedziałem, że jestem bliski rozwiązania. – Cztery, nie jedna ani dwie... – Urwałem, gdy mnie olśniło. – Przypominają mi, że są cztery wyspy, nie tylko ta jedna. Jeśli rozwiązania nie ma na pierwszej wyspie, muszę go poszukać na trzech pozostałych!

Wrzuciłem całą płytkę wraz z kawałkiem do skórzanej sakiewki i ruszyłem na zachodnią stronę wysepki. Stamtąd spojrzałem na pozostałe trzy małe wyspy i fortecę Abu Naskos. Natychmiast cofnąłem się w gęste poszycie. Dwie czterowiosłowe łodzie wroga okrążały najbliższą wysepkę. Każde wiosło obsadzało dwóch ludzi. Maszty były puste, ale w linowych pętlach na każdym z nich stało dwóch łuczników. Obaj mieli strzały na cięciwie i lustrowali wzrokiem krzaki na drugiej wyspie. Bliższa łódź patrolowa skręciła prosto ku mnie. Odczołgałem się i gdy tylko zasłoniła mnie roślinność, pobiegłem na drugą stronę wyspy i skoczyłem z urwistego brzegu. Wynurzyłem się i szybko popłynąłem w kierunku obozu Hurotasa. Wydawało się, że wróg wiedział o mojej obecności i mnie szukał, ale nie mogłem być tego pewny. Może był to tylko zbieg okoliczności.

Płynąłem bez wysiłku, wykorzystując czas na przemyślenie tego, co widziałem i czego się dowiedziałem na pierwszej wyspie. Dwie rzeczy były znaczące i wciąż do nich wracałem. Po pierwsze, niezwykle kształt wyspy. Po drugie, kawałek zielonej ceramiki, który mnie ukłuł w pośladki i idealnie pasował do tabliczki, którą dał mi Ganord, zanim pożeglował na południe.

Obracałem w głowie te dwie sprawy. Byłem w połowie drogi do wschodniego brzegu i obozu Hurotasa, kiedy uświadomiłem sobie pierwszą możliwość, a raczej, jak powinienem rzec, pierwszą niemożliwość. Była tak dziwaczna, że głośno wykrzyknąłem słowa:

– Czy to możliwe, że wyspa została zbudowana przez starożytnego człowieka według jakiegoś projektu, a nie ukształtowana przypadkowo przez naturę?!

Podekscytowany, połknąłem haust nilowej wody i musiałem pływać w miejscu, żeby ją wykastać. Byłem gotów na wyrażenie drugiego nieprawdopodobieństwa:

– A jeśli tak, czy zatem starożytny człowiek zbudował pozostałe trzy wyspy wedle tego samego planu? A jeśli tak, dlaczego zrobił taką absurdalną rzecz?

Płynąłem, wciąż dumając nad trzecim nieprawdopodobieństwem. Znowu Ganord podał mi odpowiedź:

– Może dlatego, że chciał przebywać rzekę szybko i potajemnie, jakby za sprawą czarów? – Zatrzymałem się i przebierałem nogami w wodzie, uświadomiwszy sobie powagę tej teorii. Rozważałem możliwość, czy starożytny człowiek chodził pod wodami Nilu zamiast przepływać je w łodzi albo przechodzić

nad nimi po moście. Mam skłonności do takich dziwnych pomysłów. Nawet się zastanawiałem, czy człowiek mógłby latać. Przyznam, że odrzuciłem tę fantazję, uznając, że wyhodowanie skrzydeł nie byłoby możliwe. Jednakże wiedziałem, że mogę zanurkować na dno rzeki. Zademonstrowałem tę umiejętność przed godziną. Ale mój umysł wzdragał się na samą myśl o przechodzeniu z brzegu na brzeg Nilu bez jednego oddechu. Odległość wynosiła prawie cztery i pół mili. Oczywiście, niepodobna dokładnie zmierzyć odległości nad wodą ani prędkości statku czy też, skoro o tym mowa, płynącego człowieka. Wciąż roztrząsałem możliwości, kiedy dotarłem na wschodni brzeg rzeki tuż poniżej obozu Hurotasa.

Woda sięgała mi do piersi i brnąłem do brzegu, kiedy oczarował mnie melodyjny głos Serreny wykrzykującej moje imię.

– Tato, czy wiesz, że na tym odcinku rzeki roi się od krokodyli?! I ludzi, którzy są jeszcze niebezpieczniejsi? – Jak zawsze wiedziała, kiedy najbardziej jej potrzebuję. Zbiegła nad wodę, żeby mnie ratować. Oczywiście, Ramzes był niedaleko za nią, równie zatroskany.

Choć widziałem ich wczoraj, ogromnie się za nimi stęskniłem. Znów ocalili mi życie, a gdy tylko wyszliśmy na suchy ląd, mogliśmy przejść do poważniejszych spraw.

- Wyznaczyliśmy datę naszego ślubu... – zaczął bez tchu Ramzes.
- Za dwa dni w południe! – dokończyła Serrena.
- Mam nadzieję, że będzie równie dobry jak ten, którego ja wam udzieliłem.
- Nic nie będzie równie dobre, nigdy. – Stała na palcach, żeby dać mi buziaka.

Wszystkie wojenne przedsięwzięcia odłożono do czasu zakończenia uroczystości weselnych, chociaż gdyby Utteryk Bubastis chciał się spierać z naszą decyzją, byliśmy gotowi wyjść mu naprzeciw. Z tego powodu miałem miecz u biodra, gdy tańczyłem ze ślicznymi dziewczętami. Przekonałem się na własnej skórze, że nie należy ufać przyrodniemu bratu Ramzesa. Na blankach Abu Naskos po drugiej stronie Nilu widać było rzędy ciekawskich głów, gdy Utteryk obserwował nas ze swoimi zbirami, próbując rozpracować, co oznaczają maszerujący muzycy i tańczące tłumy.

Wszystkie nasze kobiety miały na głowach wieńce polnych kwiatów, a co ładniejsze były rozebrane do pasa, co uznałem za wielce miłe z ich strony. Gdy dzbany wina przechodziły z rąk do rąk, tańce stawały się frywolniejsze, muzyka głośniejsza, a słowa chóru sprośniejsze. Niektóre z bardziej uświadomionych panien wymykały się do lasu ze swoimi kawalerami, czasami z więcej niż jednym naraz, i wracały zarumienione nie tylko z gorąca.

Każdy z szesnastu królów wygłaszał mowę, życząc oblubieńcom wiecznego szczęścia, a potem obsypywał ich oryginalnymi i kosztownymi darami. Były wśród nich słonie z kornakami, statki z niewolnikami, poematy i wyśpiewujący je poeci, trąbki i bębny z muzykami, żeby miał kto na nich grać, diamenty i szafiry z koronami, żeby je wyeksponować, doskonałe wina ze srebrnymi i złotymi dzbanami, żeby picie było przyjemniejsze.

Wybrałem dwustu najbitniejszych wojowników i przykazałem, że tego dnia mają zachować umiar w picciu wina. Z Hurotasem i Huim wyszukaliśmy na brzegu Nilu miejsca, które wręcz zachęcały do przypuszczenia ukradkowego nocnego ataku. Kiedy słońce zaszło i zapadła noc, dźwięki muzyki i hulanki nie osłabły, a wręcz stawały się coraz głośniejsze.

Hurotas, Hui i ja po cichu poprowadziliśmy ludzi do wybranych za dnia miejsc na zasadzki. Nie powiadomiłem Ramzesa o naszych zamiarach. W tym czasie znałem go już tak dobrze jak samego siebie. Uparłby się do nas dołączyć, a ja nie chciałem dodawać zwłok męża do prezentów ślubnych Serreny.

Nie musieliśmy długo czekać. Po jakiejś godzinie odgłosy hulanki w obozie za nami zaczęły przycichać, a godzinę później prawie zupełnie umilkły. Kapitanowie Utteryka dobrze wybrali porę; mówię „kapitanowie”, bo już wtedy wiedziałem, że jest wysoce nieprawdopodobne, iżby sam Utteryk wziął udział w nocnym ataku.

Wąski sierp księżycy pojawił się nad ciemnym zarysem dalekiego brzegu i jego odbicie tańczyło na powierzchni rzeki, tworząc piękne tło dla niezliczonych małych łodzi, które wyruszyły z Abu Naskos w kierunku naszego brzegu.

– Prosto w paszczę tygrysa. – Hurotas zachichotał cicho obok mnie. – Sam

nie urządziłbym tego lepiej.

– Nie zgadzam się – odszepnąłem. – Płyną co najmniej trzy łokcie za daleko pod prąd.

– Czyli mniej więcej o długość lewej nogi urodziwej panny – zaznaczył. – Uważam, że taka odległość jest najzupełniej do przyjęcia.

Pozwoliłem im podejść jeszcze trochę bliżej. Łucznicy z pierwszych łodzi wyskoczyli do sięgającej do pasa wody i zaczęli ciągnąć je do brzegu.

– Tak? – zapytałem Hurotasa.

– Tak!

Włożyłem dwa palce do ust i zagwizdałem przesywająco. Nasi łucznicy już mieli napięte łuki. Na mój znak jak jeden mąż wystrzelili i nocne powietrze zapełnił świst wiatru w setkach lotek. Zaraz potem rozległ się łoskot grotów uderzających w ludzkie ciała i wrzaski rannych, którzy wypadali z łodzi i miotali się w wodzie sięgającej im nad głowy.

We flotylli Utteryka wybuchł chaos. Niektóre łodzie próbowały zawrócić i zderzały się z tymi płynącymi do brzegu. Barki przewracały się do góry dnem i szły na dno. Krzyki szybko cichły, gdy ciężar panczerzy wciągał ludzi pod wodę. Niektórzy wrzeszczeli dłużej, trafieni przez łuczników.

Kilku naszych pobiegło z płonącymi pochodniami i rzuciło je na stosy krzaków, które spiętrzyliśmy wzdłuż brzegu. Suche gałęzie natychmiast się zajęły i płomienie skoczyły wysoko w nocne niebo, oświetlając sylwetki łodzi i ludzi. Wcześniej nasi łucznicy strzelali w cienie na chybił trafił. Teraz wyraźnie widzieli cele i ostrzał był skuteczniejszy. Mniej niż połowie wrogich barek udało się zawrócić ku zachodniemu brzegowi, ale połowę ich załóg stanowili ranni i martwi.

Później nasi ludzie odłożyli łuki. Brodzili po płyćźnie, nożami dobijali rannych, i pilnowali, żeby zabrał ich nurt albo ciężar panczerzy pociągnął na dno.

Musieliśmy wziąć pod rozwagę fakt, że jutro ten teren będzie sceną radosnych zaślubin. Nie chcieliśmy, żeby zepsuły ją jęki i zawodzenie rannych niedobitków i smród tych, którzy mieli większe szczęście.



Nazajutrz w południe po nocnej rzezi nie zostało śladu. Popioły i kałuże skrzepniętej krwi na brzegu zostały zasypane białym piaskiem. Nurt zabrał pływające ciała na północ do morza, a te w ciężkich zbrojach opadły w ciemne głębokie doły, gdzie krokodyle i inni mieszkańcy Nilu odprawili dla nich ostatnie obrzędy.

Postawiliśmy kordon zbrojnych wokół naszego obozu na wschodnim brzegu Nilu, naprzeciwko fortecy Abu Naskos. Do rydwanów zaprzężono konie, a każdy z naszych dziesięciu tysięcy wojowników był czujny i uzbrojony od podbitych ćwiekami sandałów po czubek brązowego hełmu.

Księżniczka Serrena w końcu wybrała honorowe matrony, żeby towarzyszyły jej przy ołtarzu poświęconym Izydzie, egipskiej bogini miłości i małżeństwa, oraz lacedemońskiej bogini miłości, Afrodycie. Wyznaczyła szesnaście pań, po jednej żonie każdego z królów. Jej decyzja doprowadziła do goryczy i wrogości, do łez i wzajemnego oskarżania się tych, które nie zostały wybrane. Serrena i królowa Tehuti były zmuszone zwiększyć liczbę matron najpierw do trzydziestu dwóch, a w końcu do czterdziestu ośmiu, co oczywiście miało spowodować proporcjonalny wzrost darów ślubnych. Takie rozwiązanie zadowoliło wszystkich – także Serrenę. Prezenty piętrzyły się wysoko przed ołtarzem bogiń. Za nim zgromadzili się muzycy, którzy kolejno wygrywali bitewne hymny swoich armii, co było wyzwaniem dla naszych wrogów na drugim brzegu Matki Nil i dla sprzymierzeńców stojących w karnych szeregach.

Tuż przed południem muzyka stała się głośniejsza i bardziej frenetyczna, nagie miecze hałaśliwie wybijały rytm na lśniących brązowych tarczach, a dziesięć tysięcy głosów stopiło się w grzmot nadciągającej burzy. W samo południe zapadła cisza tak zupełna, że zdawała się huczeć w uszach.

Dziesięcioletnie szeregi bezgłośnie się rozstały i powstałym szpalerem przeszedł wysoki, imponujący nowy władca naszego Egiptu. Zajął miejsce przed ołtarzem bogini Izydy i bogini Afrodyty, obrócił się twarzą ku bramie obozu kobiet, gdzie Serrena skrywała się z matronami honorowymi, uniósł rękę i wtedy zabrzmiał śpiew.

Z początku był słodki, ciepły i lekki niczym letnia bryza ciągnąca znad fal rozleniwionego morza. Stopniowo wznosił się w radosny pean i odę do miłości. Brama kobiecego obozu otworzyła się i tanecznym krokiem wyszły przez nią dwa rzędy kobiet ubranych w tęczowe stroje. Szły bosy, ze wstążkami i kwiatami we włosach. Śmiały się i śpiewały, klaszcząc w ręce albo grając na lirach, kitarach i innych instrumentach strunowych. Rząd po prawej stronie prowadziła królowa Tehuti, a drugi jej siostra, księżniczka Bekatha.

Pomiędzy nimi kroczył mężczyzna, prowadząc młodą kobietę. Mężczyzną

był król Hurotas w złocie i klejnotach. Miał rubinową koronę i sandały z diamentami, szatę z purpurowego jedwabiu, a spodnie z kremowego. Jego rubaszna wesołość była tak zaraźliwa, że ludzie nie mogli się powstrzymać i śmiali się razem z nim.

Po jego prawej stronie szła sięgająca mu do ramienia gibka kobieta, od stóp do głów okryta złotogłowieм skrzącym się w promieniach słońca. Welon zasłaniał jej twarz, ale nosiła się z takim wdziękiem i energią, że nikt, kto na nią patrzył, ani przez chwilę nie miał wątpliwości, kim ona jest.

Ramzes, faraon Egiptu, wyciągnął ku niej obie ręce, a król Hurotas okręcił córkę w piruecie i posłał ją do oblubieńca, przed którym opadła w niskim dygu. Ramzes ujął jej dłonie, żeby ją podnieść. Sięgnął do złotogłowi, który ją okrywał, i ściągnął go teatralnym gestem. Księżniczka Serrena stanęła przed nami w całej swojej krasie, od złotych pukli przybranych jedwabną siateczką i perłami po rąbek sukni z wielobarwnego jedwabiu, który przywierał do każdej krągłości i wklęsłości jej ciała.

Człowiek czy bóstwo, tego dnia nie było nikogo, kto nie uznałby jej za najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek widzieliśmy.

Oblubieńcy zaczęli tańczyć i my tańczyliśmy wraz z nimi. Dopiero kiedy słońce zaszło i zapadła ciemność, para młoda odeszła do przygotowanych kwater, ale wesele trwało do białego rana.

Zatańczyłem z Tehuti i Bekathą, a później wymknąłem się do mojego namiotu, nie skosztowawszy ani kropli wyśmienitego wina z winnic Hurotasa, co, wyznam, wystawiło moją determinację na najwyższą próbę. Przespałem jakieś dwie godziny, wstałem o najciemniejszej porze nocy, niedługo przed wschodem słońca, i udałem się nad rzekę, ostrożnie klucząc wśród zalanych w trupa biesiadników, leżących na ziemi niczym ofiary zażartej bitwy.

Mając za przewodnika tylko gwiazdy, ubrany w przepaskę, z nożem w pochwie, wszedłem do wody i brodziłem, aż sięgnęła mi po szyję. Płynąłem, mijając pierwszą wysepkę i kierując się do drugiej. Już obawiałem się, że przeoczyłem ją w ciemności, kiedy nagle ukazała się przede mną, oświetlona przez pierwszy ślad brzasku. Skręciłem, żeby podejść od strony ujścia Nilu, wykorzystując wyspę jako osłonę przed silnym prądem.

Zanurkowałem do podstawy wyspy na dnie rzeki. W tym czasie światła przybyło na tyle, że mogłem porównać jej kształt z tamtą pierwszą. Ze zdumieniem stwierdziłem, że są identyczne prawie pod każdym względem. Były tej samej wielkości albo tak podobnej, że nie robiło to większej różnicy. Brzegi tej także były strome; wznosiły się pionowo z dna rzeki. Teraz mogłem być pewien, że zostały zbudowane przez ludzi, prawdopodobnie tych samych.

Przedsięwzięcie musiało wymagać wielkiego nakładu pracy, i to dla małych albo wręcz żadnych korzyści. Żadna z dwóch wysepek, które odwiedziłem, nie wystawała nad wodę na tyle wysoko, żeby być przydatna jako wieża sygnalizacyjna; w rzeczywistości odnosiłem wrażenie, że rozmyślnie zaprojektowano je w taki sposób, żeby przyciągały jak najmniej uwagi. Zbudowano je w głębokiej, szybko płynącej wodzie, co wskazywało na ogrom wysiłku podjętego przez starożytny lud. Rozważyłem możliwość, czy nie są pozostałościami zapory lub śluzy, ale dzieliła je zbyt duża odległość, a na brzegu rzeki nie dostrzegłem śladów kanału wykopanego do nawadniania pól czy w jakimś innym celu.

Rozwidniło się na tyle, że widziałem nierówności pozwalające mi na chwycenie się dłońmi i oparcie stóp. Wspiąłem się na wierzchołek tej wymyślnej konstrukcji. Była taka sama, jak pierwsza wysepka – okrągła przysadzista wieża o płaskim wierzchołku, mniej zniszczona przez żywioły niż jej siostra. Pośrodku dostrzegłem obrobione dłutem kamienie, które zwietrzały przez wieki. Zacząłem kopać, kolejno je usuwając. Każdy był idealnie ociosany i połączony z sąsiednim tak, że szczelina miała grubość włosa, więc było to żmudne zadanie. Po kilku godzinach zdjąłem kamienie ledwie na głębokość pasa i byłem gotów zrezygnować albo przynajmniej zlecić zadanie brygadzie robotników. Miałem spękane, pozdzierane paznokcie. Jestem dumny z moich rąk i panie często je chwala.

Obiecałem sobie, że wyciągnę z dołu ostatnią płytę. Zaskoczyło mnie to, co pod nią znalazłem. Widziałem tylko wierzchnią stronę znaleziska, ale było jedyne w swoim rodzaju. Chwyciłem wiszącą na ramieniu sakiewkę i lekko drżącymi palcami wyjąłem wypaloną glinianą tabliczkę, którą dał mi Ganord. Przyłożyłem ją do tej odkopanej i stwierdziłem, że są dokładnie tej samej wielkości.

Od razu zarzuciłem pomysł przekazania pracy innym, a już zwłaszcza robotnikom.

Wyjąłem nóż z pochwy i jałem delikatnie wydłubywać dziwną płytkę z miejsca, które zajmowała przez niezliczone stulecia. W końcu miałem ją w rękach. Wygramoliłem się z płytkiego dołu i przykucnąłem z nowym znaleziskiem na kolanach. Przyznam, że zanim usiadłem, spojrzałem na ziemię pod gołymi pośladkami, żeby sprawdzić, czy Inana nie podłożyła mi ostrych ceramicznych odłamków. Dopiero potem skupiłem całą uwagę na moim nowym znalezisku, a raczej moim nowym prastarym znalezisku.

Pod względem rozmiaru płytka była taka sama jak ta z rybą, ale pod każdym innym zupełnie się różniła. Tabliczka z rybą była zielona, a ta jaskrawoniebieska. Widniał na niej stylizowany ptak morski – może burzyk – choć równie dobrze mógł to być struś. Artysta nie wyraził jasno swojego zamiaru. W dodatku na tej płytce znajdowały się trzy znaczki, nie cztery, jak na mojej z rybą.

Już zacząłem nazywać wyspy Rybią i Ptasią. Spojrzałem przez rzekę w kierunku fortecy Abu Naskos, zastanawiając się, czy pozostałe dwie, których jeszcze nie zbadałem, w starożytności także nosiły nazwy. Może Krokodylowa i Hipopotamowa? Ta myśl skłoniła mnie do uśmiechu.

Wróciłem do wykopalisk i stwierdziłem, że wokół starożytnego szybu biegnie ciąg identycznych ptasich tabliczek. Naturalnie byłem zaintrygowany i kopałem dalej w nadziei na dalsze odkrycia. Po jakimś czasie natknąłem się na linię uskoku. Przesunięcie ziemi zniszczyło niższą warstwę. Nic już nie miało sensu.

Dowiedziałem się tylko tyle, że starożytni ludzie zbudowali te dwie studnie, jedną na Rybiej, a drugą na Ptasiej Wyspie. Nie miałem pojęcia, jak są głębokie i w jakim celu zadali sobie tyle trudu. Szyb pod moimi stopami był zasypany gruzem.

– A jeśli Rybia i Ptasia Wyspa są w jakiś magiczny sposób połączone? – Nie powiedziałem tego, nawet nie pomyślałem. Wiedziałem, że to Inana naśladuje mój głos. Miałem wrażenie, że droczenie się ze mną sprawia jej niezmierną przyjemność.

Próbowałem oprzeć się jej sugestii. W jakim celu dwie wyspy miałyby być połączone? Sam sobie dowiodłem, że czas przetrwania człowieka pod powierzchnią wody jest bardzo ograniczony. Nurkowałem na dno Nilu i w innych płytszych wodach, ale tylko na krótko.

Spojrzałem na Rybią Wyspę i wzrokiem zmierzyłem odległość. Mój duch struchlał, kiedy rozważałem przepłynięcie choćby jednej dziesiątej tego dystansu na jednym oddechu. Podniosłem się i poruszony chodziłem tam i z powrotem. Tupnąłem w ziemię, ale była solidna, nic nie wskazywało na to, że pod nią jest pustka.

– A jeśli te dwie wyspy łączył tunel? – mruknąłem w zadumie i natychmiast pokręciłem głową. – Woda znajduje swój poziom. – Sam odkryłem tę prawdę, kiedy byłem jeszcze bardzo młody. – Królicza nora napełnia się wodą jak każda inna dziura w ziemi.

Ale wiedziałem, że coś przeoczyłem. Zastanawiałem się nad tym problemem.

– Dlaczego woda nie napełnia moich płuc, kiedy nurkuję na dno Nilu?

– Bo je pieczętuję, wstrzymując oddech.

– Więc gdyby ściany były szczelne, a wejścia znajdowały się nad powierzchnią rzeki, woda nie wpłynęłaby do tunelu.

– Aha, jest haczyk! Ściany tunelu nie są wodoszczelne. Są zrobione z ziemi, a ziemia jest przepuszczalna.

– Gdyby starożytni odkryli jakąś nieprzepuszczalną substancję do wyłożenia tunelu, mogliby chodzić pod falami. – Te ostatnie słowa zostały wymówione słodkim, urokliwym tonem Inany. Uniosłem głowę i zobaczyłem ją wdzięcznie opartą o drzewo nad moimi wykopaliskami. Jak zwykle tok jej rozumowania był zawiły, ale prowadziła mnie okrężną drogą ku czemuś bliskiemu prawdzie.

Uśmiechnęła się i podjęła:

– Ganord zasugerował, że chodziło o czary, lecz jak zwykle się mylił. Starożytni używali zwyczajnego zdrowego rozsądku. O ile wiem, ty robisz to samo. – Wyprostowała się i poszła na samą krawędź urwiska. Zrobiła krok przed siebie i lekko niczym liść opadła ku dalekiej wodzie. Odeszła po falach, podnosząc srebrną rzeczną mgłę, żeby ją spowiła.

Skoro w końcu wszyscy się tu zebraliśmy, moim pierwszym i jedynym obowiązkiem jest podziękowanie całej szesnastce za dotrzymanie przysięgi. Obraza jednego jest obrazą dla wszystkich. Jesteśmy tutaj, żeby obalić potwornego tyrana, który zagarnął tron faraonów... – Hurotas przemawiał do królów na pasie murawy na wschodnim brzegu Nilu, naprzeciwko strzelistej fortecy Abu Naskos.

Wszyscy byli w pełnym rynsztunku. Za nimi ramię w ramię stali żołnierze, całe dziesięć tysięcy w pozornie niezliczonych szeregach: tarcza z obu stron stykała się z tarczą, nad nimi ponure twarze wyzierały spod brązowych hełmów, łuki jeszcze nie miały naciągniętych cięciw, ale kołczany na każdym ramieniu pęczniały od strzał.

Przy brzegu kotwiczyła flota; wiosła były wsunięte, lecz powiewające proporce stanowiły śmiałą i niedwuznaczną deklarację wojennych zamiarów.

Hurotas zakończył przemowę i obrócił się ku dobozom. Uniósł miecz, żądając ich uwagi. Jednocześnie unieśli pałeczki do ust. Hurotas przystanął na jedno uderzenie serca, po czym ciał ostrzem w lewo i prawo. Bębny dudniły niczym letnia burza, gdy kolejne rzędy opancerzonych wojowników maszerowały do okrętów, które czekały, żeby przyjąć ich na pokład i powieźć przez matkę Nil ku śmierci albo chwale.

Był to skomplikowany i potencjalnie niebezpieczny manewr. Chcieliśmy przerzucić rydwany, konie i ludzi na drugi brzeg rzeki zajęty przez armię Utteryka. Abu Naskos prawdopodobnie była najpotężniejszą cytadelą w Egipcie albo na całym afrykańskim kontynencie. Wiedzieliśmy, że Utteryk miał dużo czasu na przygotowanie się do obrony w czasie, gdy Hurotas i jego sojusznicy gromadzili siły i płynęli przez połowę świata, żeby się z nim zmierzyć. Mieliśmy powody przypuszczać, że zwerbował potężnych sprzymierzeńców zza wschodnich granic i rozproszonych za nimi krajów.

Zakładaliśmy, że najpewniej są to Persowie i Medowie, a także członkowie każdego z pięćdziesięciu innych plemion i szczepów. Wszyscy oni uchodzili za nadzwyczajnych jeźdźców i wojowników. Jednakże wiem z doświadczenia, że reputacja często nie dorównuje prawdzie, a co więcej, Persja i Media leżą znacznie dalej od Abu Naskos niż Lacedemon.

Mimo wszystko wymogłem na Hurotasie i Huim, żeby przeprowadzili szereg sondujących ataków na zachodni brzeg Nilu przed rozpoczęciem zmasowanej napaści. Byliśmy pewni, że mamy lepsze rydwany niż Utteryk i że możemy ich użyć do zdobycia przyczółku na południe od Abu Naskos, żeby stamtąd ruszyć na twierdzę i rozpocząć oblężenie.

Przez pięć kolejnych dni nasze flotylle pływały w górę i w dół rzeki w wojennym pokazie siły. Niektóre z okrętów były pełne zbrojnych, ale na

większości wzdłuż nadburci stały manekiny i strachy na wróble. Obserwowaliśmy chmury pyłu wzbijane przez rydwany i jezdnych Utteryka, gdy podążali brzegiem równoległe do statków, spodziewając się lądowania. Staraliśmy się oszacować liczbę żołnierzy i pojazdów. Siły Utteryka były znacznie większe, niż się spodziewaliśmy.

O świcie szóstego dnia Hurotas i ja wysłaliśmy dużą eskadrę w dół rzeki na przynętę, a sami powiedliśmy mniejszy konwój z naszymi najlepszymi rydwanami i załogami pięć mil w przeciwnym kierunku. Od kilku dni szukaliśmy najlepszego miejsca na lądowanie w odległości mniejszej niż dziesięć mil od fortecy Abu Naskos. Wybraliśmy pas otwartej łąki łagodnie schodzącej do rzeki, gdzie mały dopływ wypływał z lasu i łączył się z Nilem. Strumień miał twarde, kamieniste dno, na którym koła rydwanów nie ugrzęzną, gdy będziemy przejeżdżać w tę stronę i wracać po zakończeniu naszego wypadu.

Gdy wschodzące słońce opromieniło niebo za nami, dwie łodzie dobiły do brzegu. Na każdym przybyły cztery rydwany z zaprzężonymi końmi i woźnicami gotowymi do jazdy. Wyrzuciliśmy trapy, zjechaliśmy z pokładu i przez płyciznę dotarliśmy na brzeg. Hurotas powoził pierwszym rydwanem, a ja dowodziłem ostatnim. Wszyscy nasi ludzie byli uzbrojeni w gotowe do strzału ciężkie łuki, a także topory bojowe i szerokie miecze. Cel naszej ekspedycji polegał na przeprowadzeniu zwiadu; chcieliśmy nawiązać kontakt z siłami Utteryka, żeby ocenić ich liczebność i uzbrojenie. W tym czasie łodzie miały kotwiczyć na rzece i czekać na nasz powrót, gotowe zabrać nas, gdybyśmy spotkali się z poważnym oporem.

Jeszcze nie widzieliśmy oddziałów Utteryka. Nasze rydwany zwarły szyk i z Hurotasem na czele ruszyliśmy szlakiem, który przez otwartą trawiastą równinę prowadził do lasu.

Byliśmy blisko gęstych zarośli, kiedy wstrząsnął nami potężny huk, który poniósł się echem po równinie. Brzmiał zupełnie obco; nigdy dotąd nie słyszałem niczego takiego. Przypuszczałem, że to ryk licznych trąb bojowych. Hurotas natychmiast uniósł zaciśniętą pięść na znak, że mamy się zatrzymać. Nasze konie tańczyły i potrząsały łbami, szarpiąc wędzidła, wyginając szyje i rżąc z podniecenia. Rozglądaliśmy się w zdumieniu, niepewni przyczyny zamętu.

Hałas ucichł, ale po chwili zastąpił go grzmot kopyt i dudnienie kół tak głośne, że przywodziło na myśl sto rydwanów pędzących przez las w pełnym szyku bojowym. Odruchowo ustawiliśmy się parami, żeby przyjąć tę szarżę.

Ku naszemu zdumieniu spomiędzy drzew wypadł jeden pojazd, acz niepodobny do żadnego, jaki kiedykolwiek widzieliśmy. Pędził prosto na nas i nie ulegało wątpliwości, że ma wrogie zamiary. Był dwa razy szerszy od naszych rydwanów i o połowę wyższy. Podczas gdy nasze pojazdy były wyposażone w dwa koła, ten miał po cztery z każdej strony, czyli łącznie osiem.

Obręcze naszych kół były wyciosane z drewna i zaopatrzone w sześć grubych szprych. Każde koło nieprzyjacielskiego pojazdu było tarczą z wypolerowanego srebrnego metalu, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Z piasty wystawało zakrzywione ostrze długości męskiej ręki, a na obwodzie kół wirowały rozmieszczone w regularnych odstępach cztery dodatkowe noże. Choć nigdy nie widziałem niczego podobnego, domyśliłem się, że mogą posiekać na drobne kawałki wszystko, co napotkają, łącznie ze szprychami kół naszych rydwanów.

Rydwany były zaprzężone w trzy konie. Wrogi pojazd ciągnęło osiem lśniących czarnych zwierząt, o kilka dłoni wyższych w kłębie niż najrośniejsze z naszych. Pośrodku czoła każdego z nich sterczał długi czarny róg. Konie galopowały noga w nogę, a z ich nozdrzy buchały pióropusze pary.

W każdym naszym rydwanie było trzech ludzi – woźnica i dwóch łuczników. Nieprzyjacielski woźnica stał samotnie, odchylony do tyłu, żeby lepiej panować nad zaprzęgiem. Jechał prosto na nas.

Był to ogromny mężczyzna. Zbroję miał prostą, bez jakichkolwiek ozdób: wypolerowane srebro od szyi w dół, wyraźnie pomyślane w taki sposób, żeby odbijać nieprzyjacielskie strzały. Łuk bez założonej cięciwy stał w koszu przypiętym do burty, podobnie jak miecz. Woźnica w chronionych rękawicami dłoniach trzymał tylko lejce. Miał niezwykle hełm, osłaniający jedynie prawą stronę twarzy i czubek głowy. Prawe oko skrywało się za wąską szczeliną w lśniącym metalu.

Lewa strona twarzy stanowiła koszmary widok. Pokrywały ją zgrubiałe, połyskliwe blizny, które ściągały i wykrzywiały wargi. Powieka opadała kpiąco, ale samo oko połyskiwało ze złowrogą siłą.

Gdy pędziliśmy na spotkanie, wyrwałem strzałę z kołczana pod prawą ręką i założyłem ją na cięciwę. Tym samym ruchem podniosłem lotki do zaciśniętych ust, wycelowałem i ułamek uderzenia serca później wypuściłem strzałę. Widziałem, jak mknie przez dzielącą nas wąską przestrzeń, zmierzając ku lewemu oku w zmasakrowanej twarzy.

Już był martwy. Wiedziałem to z całkowitą pewnością. Spodziewałem się, że strzała po lotki wniknie w jego czaszkę. Woźnica jednak w ostatniej chwili przycisnął podbródek do piersi. Grot uderzył w grzebień hełmu na wysokości czoła, ześliznął się i strzała ze świstem poszybowała w gęste krzaki.

Woźnica przyjął cios bez mrugnięcia okiem. Skupiał całą uwagę na Hurotasie pędzącym na czele naszych rydwanów, oczywiście przyciągnięty przez wspaniałość jego hełmu i napierśnika. Ściągnął cugle i skierował zaprzęg czarnych jednoroźców prosto na Hurotasa, który rozpaczliwie próbował uniknąć czołowego zderzenia, mocno szarpiąc lejcami. Wynik był taki, że obcy pojazd wpadł na niego pod skosem. Noże na kołach wirowały, szatkując końskie nogi w różowej chmurze



krwi i kawałków kości. Okaleczone zwierzęta upadły z przeraźliwym kwikiem, a noże pocięły szprychy na drzazgi. Rydwan runął na bok i przekoziołkował, Hurotas i jego załoga wypadli z kosza. Stracili broń, turlając się po ziemi.

Czarne jednorożce szarżowały po naszej lewej stronie i ostrza niszczyły koła rydwanów, które jeden za drugim przewracały się na ziemię. Na szczęście jechałem w prawej kolumnie czterech pojazdów, więc miałem minąć się z obcym, nie dając mu okazji do rozcięcia koła. Założyłem następną strzałę, napiąłem łuk i puściłem cięciwę, celując w twarz pod hełmem. Woźnica był tylko dziesięć łokci ode mnie, oddalony o szerokość dwóch rydwanów. Strzała mknęła dość szybko, żeby omamić oko, on jednak uniósł rękę i trzepnął ją rękawicą jak natrętą niebieską muchę. Przez ułamek uderzenia serca patrzył na mnie spod opadającej powieki i było to jedno z najgroźniejszych spojrzeń, jakimi kiedykolwiek ktoś mnie obrzucił. Później się minęliśmy.

Wsunąłem łuk do kosza i wyrwałem lejce mojemu woźnicy, gdy zobaczyłem Hurotasa wyrzuconego z przewróconego rydwanu. Próbował się podnieść, ale dostrzegłem, że w następstwie upadku jest oszołomiony. Stracił hełm, broń i poczucie kierunku. Policzek miał opuchnięty i powalany ziemią.

– Zaras! – wykrzyknąłem jego dawne imię i to wywarło pożądany skutek. Patrzył na mnie spod przymrużonych powiek, gdy skręcałem, żeby do niego podjechać. – Szykuj rękę! – zawołałem nagłaco. Coś takiego ćwiczyliśmy bez końca, kiedy byliśmy znacznie młodszy. Wyprostował się i oparł prawą rękę na biodrze, stojąc twarzą do mnie, ale chwiejnie, ledwie trzymając się na nogach.

Powozilem, trzymając lejce w lewej ręce i wychylając się głęboko nad lewą burtą. W ostatniej chwili skręciłem, żeby nie potrącił go koń z prawej strony zaprzęgu. Gdy się z nim zrównałem, wciąż w pełnym galopie, wsunąłem prawą rękę pod jego ramię. Siła szarpnięcia o mało nie zrzuciła mnie z rydwanu, ale utrzymałem się jakoś, poderwałem Hurotasa z ziemi i wciągnąłem na platformę.

Jedną ręką podtrzymywałem wciąż zamroczonego Hurotasa, a drugą powozilem. Szybki rzut oka wystarczył, bym wiedział, że załogi, które niedawno wysadziły nas na brzeg, są świadome naszych oparów i wracają, żeby nas przyjąć na pokład. Jednakże łodzie płynęły pod prąd, więc posuwały się powoli. Hurotas był roslym mężczyzną i obciążał nasz pojazd, a w miarę zbliżania się do rzeki grunt pod kołami stawał się coraz bardziej miękki i błotnisty.

Zerknąłem przez ramię, żeby zobaczyć, gdzie jest nasz wróg ze swoim zaprzęgiem rogatych czarnych potworów. Nie musiałem go długo szukać. Powaliwszy połowę naszych rydwanów wirującymi nożami, teraz koncentrował uwagę na moim pojeździe. Zrozumiałem, że rozpoznał Hurotasa i prawdopodobnie wiedział też, kim jestem ja. Wszak wszyscy znali moją posturę i pozycję, więc dlaczego nie on... kimkolwiek był?

Jechał blisko za nami i szybko nas dopędzał. Wielkie potwory rodem

z Hadesu z każdym krokiem stawały się bardziej przerażające. Wiedziałem, jakie straszne rany mogą zadać swymi rogowymi łbami. Na szczęście od brzegu dzieliło nas mniej niż dwieście kroków, a łodzie wyrwały się z głównego nurtu i szybko płynęły nam na spotkanie.

Już się przekonałem, że strzelanie do naszego przeciwnika o pokrytej bliznami twarzy mija się z celem. Pomyślałem, że może dziwne bestie ciągnące jego rydwan okażą się bardziej bezbronne. Wcisnąłem lejce w ręce Hurotasa, mimo że wciąż był dezorientowany i na wpół przytomny. Wyrwałem łuk z kosza, założyłem strzałę, odwróciłem się i wypuściłem ją w środkowe zwierzę w zaprzęgu, który pędził już bardzo blisko za nami.

Rydwan pode mną dziko podskakiwał na nierównościach podłoża, ale trafiłem w cel. Strzała uderzyła w środek szerokiej piersi jednoroźca i wbiła się po lotki. Wiedziałem, że przeszła serce, a jednak potwór ani się nie zachwiał, ani nawet nie zgubił kroku, tylko pędził na nas nieubłaganie. Wtedy z przerażeniem i grozą zrozumiałem, że woźnica o zeszeconej bliznami twarzy i jego zaprzęg pochodzą z innego świata. Byli wysłannikami mrocznych bogów.

Gdy tylko te myśli uformowały się w mojej głowie, Woźnica z Blizną ze swoim zaprzęgiem jednoroźców staranował nasz rydwan i lewe koło pękło w wybuchu kawałków drewna. Trzy nasze konie zderzyły się i przewróciły jeden na drugiego, bryzgając strugami krwi z kikutów nóg. Kiedy to się stało, akurat dotarliśmy do stromego brzegu rzeki. Obaj z Hurotasem wystrzeliliśmy z rydwanu niczym kamienie z procy i wpadliśmy we wzburzone wody Nilu.

Łodzie śpieszyły nam na ratunek. Były dwadzieścia kroków od brzegu, wiosłarze szaleńczo pociągali wiosła i ryczeli, żebyśmy płynęli wplaw. Wyciągnąłem Hurotasa na powierzchnię i powlokłem go na spotkanie łodzi. Zbroje nas spowalniały, a Hurotas wciąż był zamroczony. W końcu dotarliśmy do pierwszej łodzi i sięgnęły ku nam chętne ręce, żeby nas wciągnąć na pokład. Rzuciłem okiem przez ramię i zobaczyłem, że nasz przeciwnik zatrzymał zaprzęg na skraju wysokiej skarpy. Jednoroźce darły ziemię kopytami, parszając i wyrzucając kłęby pary z rozdętych nozdrzy, protestując przeciwko hamującej je uprzęży. Woźnica z Blizną wyjął z kosza na broń długi łuk i założył cięciwę, gnąc drzewce z wprawą wynikającą z długiej praktyki.

Sięgnąłem nad ramieniem i odpiąłem brązową tarczę z szelek. Przełożyłem ją, zapewniając sobie i Hurotasowi pewną osłonę przed burzą, która, jak wiedziałem, zaraz się rozpęta. Woźnica z Blizną spojrział na naszych ludzi gorączkowo miotających się na łodzi, po czym uniósł i napiął łuk. Uśmiechnął się i był to pierwszy wyraz emocji, jaki u niego widziałem. Pokryta bliznami połowa twarzy wykrzywiła się w cynicznym grymasie, gdy wypuszczał strzałę.

Widziałem, że celował we mnie, ale byłem gotowy na przyjęcie pocisku. Osłaniałem Hurotasa i siebie, trzymając tarczę pod takim kątem, żeby grot się

ześlizgnął, nie przebijając lekkiego stopu, z jakiego ją wykonałem. Poczułem wstrząs i usłyszałem metaliczny zgrzyt krzemienia po metalu. Strzała musnęła tarczę i uderzyła w burtę łodzi za moimi plecami. Wciągnąłem Hurotasa pod wodę i choć próbował się wyrwać, przewlokłem go pod łodzią. Wynurzyliśmy się po drugiej stronie, dobrze ukryci przed łucznikiem na brzegu. Słyszałem, jak jego strzały powalają kolejne ofiary, słyszałem krzyki konających, którzy dławili się i dygotali w kałużach własnej krwi.

– Ocknij się, Zarasie. – Spoliczkowałem go, żeby w końcu oprzytomniał. – Pomóż mi zaholować łódź na drugi brzeg, ale, na wielkiego Zeusa, trzymaj głowę pod osłoną kadłuba, chyba że chcesz dostać strzałą w oczodół.

Byliśmy w połowie szerokości rzeki, gdy krzyki na pokładzie ucichły. Postanowiłem zaryzykować zerknięcie na drugi brzeg, zakładając, że odległość jest zbyt duża nawet dla łucznika o nadludzkich zdolnościach. Szybka lustracja ujawniła, że brzeg jest pusty z wyjątkiem trupów naszych ludzi. Woźnica z Blizną i jego jednorożce zniknęli w lesie. W łodzi, którą holowałem z Zarasem, leżało pięć ciał naszpikowanych strzałami.

Hurotas okrutnie cierpiał z powodu rany na głowie. Mówił niewyraźnie i nie miał siły wciągnąć się na łódź, kiedy podpłynęliśmy do brzegu. Musiałem ustawić się za nim i przerzucić go nad burtą, a wtedy padł na pokład jak długi. Stwierdziłem, że w pojedynkę nie dam rady wiosłować pod prąd, więc byłem zmuszony iść brzegiem i holować ciężką łódź na linie. Szło dręcząco powoli i zbliżała się Godzina Wilka, kiedy w końcu dotarłem do obozu szesnastu królów. Godzina Wilka wypada dokładnie w połowie pomiędzy zmierzchem i świtem. O tej porze, kiedy sen jest najgłębszy i koszmary są najbardziej żywe, umiera większość ludzi. O tej porze bezsennych nawiedzają największe lęki, a upiory i demony są najbardziej aktywne. Godzina Wilka jest porą, kiedy najbardziej gorzko oplakujemy naszych zmarłych.

W obozie nikt nie spał i panowało tam istne pandemonium. Trzech ludzi uszło z życiem z morderczej szarży, którą przypuścił Woźnica z Blizną, i na długo przed nami dotarło do obozu. Przynieśli ze sobą wieści, że nasza grupa, łącznie z Hurotasem i ze mną, została co do jednego zmasakrowana przez budzącego grozę łucznika. To sprawiło, że wszyscy w obozie – kobiety z rodziny królewskiej, Tehuti i Serrena, szesnastu królów i ich dworzanie, wszystkie nasze armie i czereda markietanów – pogrążyli się w bezbrzeżnej rozpacz. Od zachodu słońca tańczyli na cześć bogów śmierci i śpiewali pieśni żałobne dla duchów świata zmarłych.

Zdołali zachować siły i energię tylko dzięki czerwonemu winu w okazałych glinianych amforach, które teraz walały się puste po całym obozie. Kobiety darły ubrania i paznokciami drapały twarze, aż policzki spływały krwią. Mężczyźni tupali w ziemię i bili się w gołe piersi, przysięgając zemstę i sto żywotów za każdego z nas zabitego przez wroga.

Punktualnie o Godzinie Wilka, kiedy trzy gwiazdy Inany osiągnęły zenit w swojej wędrówce po niebie, chwiejnym krokiem wyszedłem z ciemności w jasny blask ogni pogrzebowych, dźwigając na ramionach coś, co wyglądało jak zwłoki króla Hurotasa. Ubrania mieliśmy w strzępach, oblepione rzeczonym błotem, które wyglądało jak ziemia z rozkopanego grobu. Nasze twarze były śmiertelnie białe, a oczy szeroko otwarte i wytrzeszczone jak u tych, którzy przeszli przez bramy Hadesu.

Zaległa przejmująca cisza, gdy tłumy przesywały nas wzrokiem. Nagle ludzie zaczęli się odsuwać, zdjęci przerażeniem, przekonani, że wróciliśmy ze świata umarłych. Rozpaczliwie wypatrywałem Tehuti i Serreny, chcąc je pocieszyć, i znalazłem je niedaleko, tulące się pomiędzy ogniami pogrzebowymi. Obie patrzyły na nas z nabożną grozą. Otworzyłem usta, żeby je uspokoić, ale byłem taki zmęczony, że popłynął z nich tylko straszny grobowy jęk. Padłem na ziemię, pociągając za sobą Hurotasa, który mnie przycisnął. Następne, co pamiętam, było to, że dwie najpiękniejsze kobiety na świecie tuliły mnie w ramionach, obsypując pocałunkami i czułymi słowy.

Doznałem żywego, acz przelotnego wrażenia, że zmarłem i zostałem wpuszczony do raju.

Hurotas wrócił do zdrowia ledwie kilka dni później. Wciąż mam uniwersalne lekarstwo na obrażenia głowy, panaceum, które dostałem od czarnego szamana nad wielkimi wodospadami Nilu, kiedy przed laty uciekliśmy tam z królową Lostris przed Hyksosami.

Pojawienie się tajemniczego łuczника z bliznami i jednorożcami zaburzyło plany naszej kampanii przeciwko Utterykowi. Nie mieliśmy pojęcia, kto to taki i gdzie Utteryk go znalazł, ale niepodzielnie panował na zachodnim brzegu. Bez wysiłku odparował nasze ataki. Niezależnie od tego, kiedy i gdzie podejmowaliśmy próbę sforsowania rzeki, żeby rozpocząć oblężenie fortecy Abu Naskos, natychmiast stawiał nam czoło. Byliśmy przytłoczeni strzałami, którymi zasypywał nas z nadzwyczajną celnością. Udało mi się zebrać kilka z tych, które utkwiły w rydwanach i ciałach naszych ludzi, zabitych z dużej odległości. Pod względem budowy czy sposobu wykonania wcale nie różniły się od naszych, ale wystrzelone z jego łuku dolatywały dwa razy dalej. Niejeden raz obserwowałem, jak strzelał, i policzyłem, że cztery albo nawet pięć strzał leciało w powietrzu w tym samym czasie. Niewiele chybiało celu.

Nasi ludzie, nawet najdzielniejsi i najlepsi, popadali w przygnębienie. Niektórzy królowie poszeptowali o porzuceniu kampanii i pożeglowaniu z powrotem na północ na swoje żalosne wysepki, do grubych i brzydkich żon.

Nawet ja, wieczny optymista, powoli poddawałem się rozpacz. Dręczyły mnie nieprzyjemne sny, w których Inana, moja ulubiona bogini, bezlitośnie ze mnie szydziła, zupełnie ignorując moje modlitwy i błagania. Przeciwnik z bliznami na twarzy wyraźnie pochodził z innego czasu i miejsca, więc desperacko potrzebowałem jej pomocy i rady. Wydawało się, że obecnie zamieszkała na czterech stworzonych przez człowieka wysepkach w górze rzeki od Abu Naskos, dlatego tam właśnie postanowiłem jej szukać.

Trzy noce później, gdy w pełni doszedłem do siebie po ostatniej ciężkiej próbie, czekałem na wschód księżyca i ruszyłem w drogę. Przeszedłem przez śpiący obóz, poszeptałem z wartownikami, którzy zdążyli już przywyknąć do moich nocnych eskapad, po czym wsunąłem się do ciemnych wód Nilu. Płynąłem, mijając mroczne sylwetki Ptasiej i Rybiej Wyspy, a później na tle rozgwieżdżonego nieboskłonu ujrzałem trzecią wysepkę w łańcuchu. Wkraczałem na nieznaną terytorium. Z daleka wyspa wyglądała tak samo jak dwie pierwsze, ale nie byłem pewien, czego się spodziewać.

Kiedy podpłynąłem na tyle blisko, że mogłem dotknąć kamiennej ściany, stwierdziłem, iż jest ona równie stroma i wysoka jak te, które już poznałem, wyjątkowo trudna do zdobycia przez kogoś, kto nie jest umiejętnym i nieustraszonym wspinaczem. Podczas wspinaczki zauważyłem, że z tą ścianą czas

i żywioły obeszły się łaskawiej niż z poprzednimi, co skłoniło mnie do zastanowienia. Na niektórych kamiennych blokach dostrzegłem ślady dłuta starożytnych budowniczych. Kiedy dotarłem na szczyt, stwierdziłem, że jest wyłożony płytami. Oczywiście były spękane, wybrzuszone i przemieszczone przez korzenie. Podobnie jak poprzednie wysepki, także tę porastała gęsta roślinność.

W tym czasie ubywający księżyc wzniósł się wysoko i płynął po bezchmurnym niebie. W jego blasku, gdy przedarłem się przez gęste krzaki na środek przysadzistej wieży, ze zdumieniem ujrzałem resztki starożytnych schodów opadających w głąb pionowego szybu. Myśl, że starożytni zbudowali szyb, żeby dotrzeć na dno rzeki, przeczyła wszelkiej logice. Po chwili zrozumiałem, że prawdopodobnie istniał nie jeden szyb, ale cztery, po jednym na każdej wyspie. Ruszyłem w dół po zniszczonych stopniach, ryzykując skręcenie karku, jeśli omsknie mi się noga. Gruz i różnego rodzaju szczątki nagromadzone przez lata szybko zablokowały mi dalszą drogę.

Szukałem zejścia w głąb, ale znalazłem tylko ceramiczne tabliczki wbudowane w ścianę. Widniały na nich stworzenia, które zgodnie z zamysłem artysty musiały być wyobrażeniem wydry. Miałem więc rybie, ptasie i wydrowe szyby – ale każdy prowadził donikąd.

Zabłuźniłem w gorzkim proteście pod adresem bogini Inany, rozeźlony takim podłym traktowaniem, i kopnąłem zбитy gruz, który bronił dostępu w głąb studni. Było to lekkomyślne posunięcie. Pomyślałem, że złamałem palec u nogi. Usiadłem na stopniu i położyłem zranioną stopę na udzie. Na szczęście paluch okazał się cały, chociaż mocno obolały. Podniosłem się i pokuśtykałem ku powierzchni.

– Czy ktoś wykrzyknął moje imię?

Drgnąłem pełen poczucia winy, gdy blisko za plecami usłyszałem znajomy głos. Odwróciłem się i ujrzałem boginię siedzącą na cembrowinie studni. Jak zawsze była nieprawdopodobnie piękna. Jej rysy rozjaśniało wewnętrzne światło, które gasiło blask ciała niebieskiego nad nami. Uśmiechała się bardziej czarująco niż kiedykolwiek.

– Wybacz mi zuchwalstwo, Wzniosła. Psioczyłem na siebie, nie na ciebie. – Chciałem uklęknąć i paść przed nią na twarz, ale ogromnie bolała mnie stopa.

– Czyżbyś zatem zmienił imię na takie samo jak moje, najdroższy Taito? Czuję się zaszczyczona, jakkolwiek niezupełnie przekonana.

W duchu przyznałem jej rację i postanowiłem zmienić wątek rozmowy.

– Dokąd prowadzi to zejście, Umiłowana Zeusa?

– Tam gdzie pragnie się znaleźć twoje serce, o ile na to zasługuje. – Wciąż mnie karciała, a ja z pokorą przyjmowałem karę. Nie robiąc przerwy na oddech, teraz ona odeszła od tematu. – Wydaje się, że jest to najmniejszy z twoich obecnych problemów, mam rację?

- Do kogo albo czego nawiązujesz? – zapytałem ostrożnie.
- Nawet nie znasz jego imienia – zadrwiła ze mnie słodko. – Jak możesz liczyć, że go zwyciężysz, skoro nie wiesz, z kim masz do czynienia?
- Zakładam, że mówimy o Woźnicy z Blizną?
- Nie znam nikogo o takim imieniu, ani dobrego, ani złego. – Znów była pedantyczna.
- Ale znasz osobę o zeszeconym przez blizny obliczu, prawda?
- Zwie się Terramesz – odparła. – Jest synem Hekate i Fontusa.
- Wszyscy wiemy, że Hekate jest boginią magii, duchów i nekromancji, ale nic mi nie wiadomo o kimś, kto nosił imię Fontus.
- Tylko nieliczni o nim słyszeli, Taito – wyjaśniła Inana. – Był śmiertelnikiem, jednym z pierwszych ludzi na ziemi. Porwał Hekate i ją zniewolił. Z tego związku urodziła Terramesza, półboga i półczłowieka. Jest boski, ale nie jest bogiem. Kiedy osiągnął wiek męski, stoczył pojedynek z Fontusem, żeby go ukarać za niecne potraktowanie matki. Walczyli dzień i noc i w końcu Terramesz zabił ojca. Jednakże w zamian Fontus zadał mu w lewą stronę głowy ranę, która wyglądała na śmiertelną.
- Skoro został tak poważnie zraniony przez ojca, jak to się stało, że wciąż tu jest, doprowadzając mnie do rozpacz i wystawiając na najcięższe próby?
- Inana skłoniła głowę na znak, że uznaje słuszność mojego protestu.
- Hekate przysłała do konającego Terramesza i rzuciła na niego czar, który zawrócił go z progu śmierci. Później oznajmiła, że jej syn umrze dopiero wtedy, gdy odniesie taką samą ranę po prawej stronie twarzy. Ten śmiertelny cios można zadać tylko bronią, która zraniła go podczas starcia z ojcem.
- Gdzie jest ta broń? – zapytałem z niecierpliwością. – Gdzie mogę ją znaleźć?
- Hekate nadzwyczaj starannie chroni swojego syna. Broń jest ukryta w grocie na pustyni Amaroda na północ od rzeki Tantiki.
- Znam tę rzekę! – zawołałem. – To dopływ Matki Nil, trzy czy cztery dni jazdy stąd.
- Ach! Ale jaskinię skrywają czary rzucone przez samą Hekate.
- Wiesz, jak je złamać?
- Wiem wszystko – odparła z powagą.
- Zamrugalem. Nawet ja wahałbym się przed wygłoszeniem takiego daleko idącego twierdzenia, chociaż uznaję, że jej kwalifikacje co najmniej dorównują moim.
- Może powinnaś mi powiedzieć – zasugerowałem.
- Może najpierw powinieneś zebrać pomocników.
- Dlaczego miałbym ich potrzebować? – zaprotestowałem.
- Ponieważ Hekate zastrzegła, że co najmniej dwie boskie osoby muszą

jednocześnie wyrecytować zaklęcie u wejścia do jaskini, żeby ją otworzyć, a następnie rozpoznać zabójczy oręż wśród kilku setek innych, które tam zgromadziła, żeby tym bardziej zagmatwać sprawę.

– To wszystko? – Usłyszałem nutę gorzkiej ironii w mym głosie.

– Niezupełnie. Tylko król może walczyć tą bronią przeciwko jej synowi Terrameszowi. Nie musi być półbogiem, ale w chwili ataku jest zobowiązany wykrzyknąć konkretny okrzyk wojenny, w przeciwnym razie cios zostanie odparty.

– Jestem przekonany, że znajdę wśród moich towarzyszy takich, którzy spełniają te wszystkie warunki.

Skinęła głową.

– Całe wieki czekałam na kogoś takiego jak ty. Liczba niewinnych, których zabił Terramesz, jest owiana legendą. Ale tym razem to on umrze.

– Zgadza się z tobą z całego serca. Zanim się rozstaniemy, chciałbym pomówić o tych wyspach na rzece. – Poklepałem płyty, na których siedziała Inana.

– Dokąd prowadzą szyby?

– Czy przez stulecia, jakie minęły od twoich narodzin, nie nauczyłeś się odrobiny cierpliwości? – zbeształa mnie.

– Niezupełnie – odparłem, lecz ona już zniknęła.



Powrotna droga była długa, ale wcale się nie dłużyła, Inana bowiem dała mi wiele do myślenia. Kiedy dotarłem do wschodniego brzegu, było jeszcze ciemno. Nie traciłem czasu, żeby się osuszyć, tylko pobiegłem prosto do obozu Ramzesa. Strażnicy przy bramie próbowali mnie zatrzymać, żebym nie przerwał królewskiego snu, ale uniosłem ręce, żeby ich uciszyć.

– Słuchajcie, półgłówki! – Zamilkli i wtedy usłyszeliśmy stłumione, acz ekstatyczne krzyki płynące z królewskiego namiotu. – Jeśli na tym polega spanie, chciałbym, żeby ktoś mnie nauczył tej sztuki. – Podniesionym głosem zapytałem: – Potężny faraonie, nie śpisz?

Natychmiast odpowiedział mi kobiecy pisk.

– Tata! Czy to ty? Akurat skończyliśmy. Gdzie byłeś? Brakowało nam ciebie na wieczornej uczcie. Wejdz, śmiało! Chcę ci pokazać, co kupił mi Ramzes.

Kiedy wszedłem do królewskiego namiotu sypialnego, zrobili dla mnie miejsce na materacach. Serrena mnie zbeształa.

– Jesteś taki zziębnięty, jakbyś spał na szczycie gór Tajgetos w samym środku zimy.

Wciąż się trząsałem po długim pływaniu, więc z wdzięcznością przyjąłem wielbłądzie skóry, którymi mnie okryli.

Po krótkiej wesołej pogawędce przeszedłem do delikatnego zadania, które polegało na wytłumaczeniu, w jaki sposób możemy odnieść triumf nad potworem o pokrytej bliznami twarzy. Oczywiście nie mogłem powiedzieć ani im, ani zresztą nikomu innemu, o moim szczególnym związku z boginią Inaną.

W spreparowanej przeze mnie opowieści Inana była mądrą staruszką, która odwiedzała mnie od czasu do czasu. Z zaciekawieniem słuchali mojej wersji dziejów Terramesza i o tym, jak można go pokonać. Nie wspomniałem Serrenie słowem o jej boskości, czego wciąż była błogo nieświadoma. Gdy skończyłem mówić, oboje byli równie chętni jak ja wyruszyć na pustynię Amaroda, żeby tam znaleźć jaskinię, a w niej zabójczy oręż, którym będzie można uśmiercić Terramesza. Przez resztę dnia przygotowywaliśmy się do podróży.

Na szczęście pustynia Amaroda leży na wschodnim brzegu Nilu, więc nie musieliśmy przeprować się przez rzekę i ryzykować spotkania z Terrameszem, zanim będziemy gotowi do konfrontacji. Mieliśmy jechać we trójkę, z zapasami na nie więcej niż dziesięć dni. Woda nie powinna stanowić problemu, ponieważ najpierw sam Nil, a potem Tantiki miały nam towarzyszyć aż do samej jaskini. Musiałem powiadomić Hurotasa i Huiego o naszej wyprawie i oczywiście obaj chcieli do nas dołączyć. Użyłem całego swojego daru przekonywania i podkreśliłem, że zostając z główną armią, będą pełnić najważniejsze obowiązki. Nie najmniejszym z nich będzie utrzymanie porządku wśród szesnastu

sprzymierzonych królów, którzy sprawiali kłopoty nawet wtedy, kiedy uważali, że idealnie współpracują. Niektórzy już pomrukiwali o porzuceniu naszego przedsięwzięcia, przestraszeni strzałami Terramesza.

Nie mając wielu bagaży, mogliśmy podróżować wyjątkowo szybko. Czwartego dnia po południu od opuszczenia obozu dotarliśmy do górnego biegu rzeki Tantiki, gdzie, jak uzgodniliśmy, miałem się spotkać z Inaną. Zostawiłem oboje towarzyszy, żeby rozbili obozowisko, nakarmili i napoili konie, a sam powędrowałem w dół rzeki na poszukiwanie bogini w takim fantazyjnym przebraniu, jakie postanowiła wybrać na tę okazję.

Nie kąpałem się od wyjazdu spod Abu Naskos, więc postanowiłem nadrobić zaległości. Później przysiadłem na kamieniu obok zatoczki na rzece, schnąc na ciepłym wietrze i czekając na pojawienie się Inany. Najpierw zagadnąłem wielką zieloną żabę, następnie małego brązowego węża, a potem nagabywałem rozmaite owady i inne zwierzęta, lecz bez powodzenia. Zaczynałem ulegać pustynnemu spokojowi, rozleniwiony, świadom, że niewiele spałem od chwili wyjazdu z obozu nad Nilem.

– Podczas ostatniego spotkania rozmawialiśmy o cierpliwości, a raczej o jej braku – odezwała się nagle i niespodziewanie. – Cieszę się, widząc, że robisz postępy.

Oprzytomniałem i powiodłem wzrokiem dokoła. Niedaleko mnie w zatoczce pływał mały żółw.

– Spodziewałem się czegoś mniej zimnokrwistego i skorupiastego – powiedziałem zrzędlwym tonem.

– I niewątpliwie spodziewałaś się, że będę miała piękne pióra? – zapytała, tym razem za moimi plecami. Rozejrzałem się szybko i zobaczyłem, że w pobliżu na kamieniu siedzi śliczna mała pustynna pokrzewka. Miała kremową, smukłą pierś i skrzydła w pięknym orzechowym odcieniu. Rozpostarła je i zaczęła dziobkiem muskać piórka.

– Do twarzy ci w tych kolorach, moja droga – powiedziałem.

– Miło mi, że ci się podobają – zaszczębiotała.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Jesteś piękna jak zawsze – zapewniłem. – Ale, mówiąc poważnie, wolę cię w ludzkiej postaci.

– W takim razie na chwilę odwróć wzrok – poleciała. Posłuchałem, patrząc na żółwia w sadzawce. – Teraz możesz znów spojrzeć.

Odwróciłem się ku niej i była Inaną, jaką tak dobrze znałem, w całej swej krasie. Okręciła się na palcach, włosy zawirowały w powietrzu, spódnice się wybrzuszyły. Usiadła obok mnie i podciągnęła kolana do piersi, obejmując je rękami.

– Zadaj mi pytanie – zachęciła. – Wiem, że konasz z niecierpliwości.

- Tak łatwo mnie przejrzeć?
- Obawiam się, że taka jest prawda, biedny Taito.
- Gdzie znajdziemy jaskinię Hekate?
- Spójrz na horyzont prosto przed sobą. Co widzisz?
- Trzy stożkowate wzgórza rysujące się na tle nieba.
- U stóp środkowego jest wejście do jaskini, której szukasz.
- Jakie słowa otworzą drogę?
- „Otwieraj, potężny Janusie o dwóch obliczach!”, powtórzone trzy razy.
- Logiczne i łatwe do zapamiętania. – Pokiwałem głową. – Janus jest bogiem drzwi i bram.
- Kiedy wyruszyacie?
- Konie są zmęczone, podobnie jak my. Planuję odpocząć przez noc i wyjechać rankiem, o pierwszym świetle – odparłem.
- Będę czekać na ciebie u celu podróży – obiecała i rozplynęła się jak piękny miraż.

Nazajutrz rano zostawiliśmy brzegi Tantiki i ruszyliśmy na równinę. Z początku jechaliśmy w towarzystwie wielu tysięcy migrujących gazeli. Te wdzięczne małe zwierzęta, mające rogi w kształcie lutni i delikatne brązowe wzorki na pyskach, zdawały się tańczyć po pustyni. Serrena ułożyła piosenkę sławiącą ich urodę. Kiedy ją śpiewała, słuchaliśmy z postawionymi uszami, patrząc na nią ze zdumieniem w dużych lśniących oczach. Musiały być świadome jej boskości, bo pozwalały jej podjeżdżać tak blisko, że gdyby wychyliła się z siodła, mogłaby je pogłaskać. Wędrowały stadnie i zniknęły za horyzontem tak szybko i bezgłośnie jak kłęby kurzu wzbijane przez ich kopytka.

Jak to często bywa z pustynnymi krajobrazami, trzy stożkowate wzniesienia leżały znacznie dalej, niż się wydawało. Dochodziło południe, kiedy wstrzymaliśmy konie u stóp środkowego i spojrzeliśmy na szczyt. Wzgórze było wyższe, niż się spodziewałem.

Rozbiliśmy tymczasowy obóz na dolnych zboczach porośniętych świeżą zieloną trawą, więc spętaliśmy konie i puściliśmy je wolno, żeby mogły ją skubać.

We trójkę wyruszyliśmy na poszukiwanie jakichś wskazówek sugerujących wejście do jaskini Hekate. Przeczuwałem, gdzie znajdę Inanę, i wiedziałem, że nie będzie chciała ukazać się nam wszystkim, dlatego posłałem Ramzesa i Serrenę w przeciwnym kierunku. Wędrując samotnie po północnym zboczu, usłyszałem boginię, zanim jeszcze ją zobaczyłem. Siedziała na skale i znów muskała piórka, co jakiś czas wyśpiewując swoją słodką szczebiotliwą piosenkę. Zająłem miejsce obok niej, a ona najpierw dokończyła śpiewu i dopiero potem do mnie przemówiła.

– Hekate tu była – powiedziała. – Spodziewała się waszego przybycia. Zamierzała was odstraszyć. Chciała się tutaj zasadzić i ukryć wejście do jaskini, ale ją przepędziłam.

Byłem poruszony tymi nowinami. Czułem ciarki na skórze, jakby pełzały po niej jadowite owady. Rozejrzałem się, pewien, że lada chwila zjawi się Hekate, sycząc i tryskając śliną jak kobra.

– Jestem Artemidą, córką Zeusa – rzekła Inana krótko. – Piszcząc i skrzecząc, uciekła tam, gdzie jej miejsce. – Podskoczyła, przysiadła na moim ramieniu i szepnęła mi na ucho: – Zawsze pamiętaj, Taito, że jesteś jednym z moich wyjątkowych faworytów. Dlatego uwielbiam się z tobą droczyć. Chodź, pokażę ci wejście do kryjówki tej okropnej wiedźmy.

Ruszyliśmy pod górę. Inana ćwierkała mi do ucha, od czasu do czasu podając wskazówki. Dotarliśmy do stromej skalnej ściany u stóp stożkowatego wzgórza i tu kazała mi chwilę zaczekać.

– Na co? – zapytałem.

– Idą tu tamci dwoje – odparła. Nie miałem pojęcia, skąd o tym wie, ale

pomyślałem, że lepiej się z nią nie spierać. Dobrze, że tego nie zrobiłem, bo niedługo później usłyszałem melodyjny głos Serreny wesoło gawędzącej z Ramzesem i jego bardziej szorstkie tony. Ich głosy brzmiały coraz głośniejsze, gdy się zbliżali. Inana odfrunęła z mojego ramienia i usadowiła się na urwisku nade mną. W tej chwili Serrena z Ramzesem wyszli zza załomu skały i pomachali do mnie dłońmi. Inana wykazała się doskonałym wyczuciem czasu, więc nie mieli pojęcia, że jestem w jakiś sposób powiązany ze ślicznym ptaszkiem siedzącym nad moją głową.

– Znaleźliście coś?! – zawołałem do nich.

– Nie, nic! – odkrzyknął Ramzes. – A ty?!

Już miałem podać tę samą odpowiedź, gdy spojrzałem w górę i zobaczyłem coś, czego nie zauważyłem do tej chwili.

– W urwisku jest szczelina. Wygląda interesująco. – Przyśpieszyli kroku i kiedy do mnie podeszli, wskazałem im rozpadlinę. Niemal zupełnie maskowała ją gęsta roślinność i było jasne, że nikt tam nie wchodził od wielu lat, ani człowiek, ani żadne zwierzę.

Szczelina w skale okazała się na tyle szeroka, że troje dorosłych ludzi mogło w nią wejść ramię w ramię. Wyjąłem miecz z pochwy na biodrze i zacząłem wycinać chaszczki i pnącza, które zasłaniały wejście. Ramzes do mnie dołączył, a Serrena krążyła za nami, nie szczędząc dobrych rad i słów zachęty. Nad nami śliczna mała pokrzewka przemykała z krzaka na krzak, świergocząc z podnieceniem. Weszliśmy w głąb rozpadliny na jakieś dwadzieścia kroków i stanęliśmy przed ogromnym głazem wciśniętym między ściany, tarasującym dalszą drogę. Wyglądało na to, że tkwi tam od bardzo dawna, może nawet od stulecia. Usunęliśmy zarośla sprzed tej przeszkody.

– Mam nadzieję, że pamiętasz hasło? – zapytałem Serrenę.

– Tak, oczywiście – odparła. „Otwórz...”

– Nie! – Odrobinę podniosłem głos. – Nie mów, dopóki oboje nie będziemy gotowi.

– Nie musisz na mnie krzyczeć – powiedziała wyniośle.

– To lepsze, niż cię udusić na miejscu – zaznaczyłem.

– Chyba tak, skoro w ten sposób to ujmujesz – zgodziła się z wyrażającym skruchę uśmiechem. Podała mi rękę. Stanęliśmy ramię w ramię przed skalnym „korkiem”, z Ramzesem niedaleko za nami.

Do szczeliny wfrunęła pokrzewka i przysiadła na czubku masywnego kamienia. Odetchnąłem głęboko, bo z jakiegoś powodu nagle ogarnęło mnie zdenerwowanie. Ścisnąłem rękę Serreny.

– Otwórz, potężny Janusie o dwóch obliczach! – zaintonowaliśmy jednocześnie i zamilkliśmy. – Otwórz, potężny Janusie o dwóch obliczach! – powtórzyliśmy wezwanie. Razem nabraliśmy tchu i po raz trzeci i ostatni

krzyknęliśmy: – Otwórz, potężny Janusie o dwóch obliczach!

Z grzmiącym rykiem skała rozpadła się na setki kawałków. Siła wybuchu wyrzuciła z tunelu rdzawoskrzydłą pokrzewkę siedzącą na samym czubku głazu. Jej wrzask zaskoczenia i grozy niemalże dorównywał hukowi. Nawet w chwili osobistego zagrożenia byłem wdzięczny za nieśmiertelność Inany i jej fizyczną odporność, bo bez tej ochrony doznałaby poważnych obrażeń. Chociaż stałem z Serreną dość daleko od skały, oboje zostaliśmy zbici z nóg i zasypani skalnymi odłamkami. Ramzes stał dwa razy dalej od źródła eksplozji, ale będąc tylko człowiekiem, ucierpiał znacznie bardziej niż my. Wzruszyła mnie troska Serreny o męża, choć uważam, że Ramzes trochę przerysował wizerunek konającego herosa. Zostawiłem ich i przegramoliłem się po rumoszu do odsłoniętego wejścia.

W istocie wyglądało to na grootę, gdzie Hekate zgromadziła broń, wśród której chciała ukryć jedyny oręż mogący zakończyć pełne zła istnienie Terramesza, tyle że gęste cienie i drobny pył wzbity przez wybuch niemal zupełnie zasnuwały wnętrze. Musieliśmy powściągnąć niecierpliwość i czekać, aż kurz osiadzie. Zanim to się stało, słońce zaszło za stożkowatymi wzgórzami.

Na szczęście zabrałem porządny zapas pochodni z suchej trzciny i żywicznych kawałków drewna. Zapaliliśmy trzy i unosząc je, wróciliśmy do wejścia do jaskini.

Grota nie była szczególnie duża. Przypominała arsenał zarządzany przez wyjątkowo niechlujnego zbrojmistrza, gdzie nikt nie sprzątał ani nie robił porządku od stu albo i więcej lat. Od ściany do ściany i na wysokość głowy piętrzyły się stosy czegoś, co nie od razu dawało się rozpoznać jako pęki strzał, topory, miecze i broń innego rodzaju.

W skład zawartości groty wchodziły też setki innych rzeczy, leżących jedne na drugich, pokryte grubą warstwą kurzu, który skutecznie utrudniał ich identyfikację. Podupałem na duchu, gdy zdałem sobie sprawę, że będziemy musieli wynosić każdy przedmiot na światło dzienne, czyścić go z brudu, a potem takim czy innym sposobem próbować odgadnąć, co całe wieki temu zadało poważną ranę Terrameszowi. Choć jestem długowieczny i przypuszczalnie mam w żyłach boską krew, nie mogłem wykoncypować, jaka to może być broń.

Rozejrzałem się, wypatrując rdzawoskrzydłego ptaszka, ale w sposób typowy dla kobiet bogini zniknęła akurat wtedy, kiedy była najbardziej potrzebna.

– Cóż, chyba będzie lepiej, jeśli zaczniemy. – Starłem się wykrzesać trochę entuzjazmu.

– Głowa do góry, Tato – zachęciła mnie Serrena. – Nie powinno to potrwać dłużej niż miesiąc, w najgorszym wypadku.

W jaskini było bardzo mało miejsca, dlatego pracowałem na zmianę z Ramzesem. Ten z nas, który akurat nie wydobywał broni, przekazywał kolejne znaleziska drugiemu, a on zanosił je Serrenie do złożenia przed wejściem. Była to

powolna, zmułna praca. Okręcaliśmy nosy i usta pasami materiału, mimo to wzbijany kurz dławił i żaden z nas nie mógł tam długo wytrzymać.

Mozoliliśmy się, gdy wstał księżyc i nieskończenie powoli wędrował po niebie. Krótko przed północą zwolniłem dla Ramzesa miejsce w pieczarze i wyszedłem do tunelu. Na ścianie nad moją głową płonęła pochodnia z suchej trzciny. Dawała dobre światło.

Straciłem rachubę, ile zakurzonych sztuk broni podał mi Ramzes, żebym przekazał je stojącej przy wejściu Serrenie, gdy nagle stało się coś, co zakłóciło rytm i monotonię pracy. Wyciągnął ku mnie starożytną skórzaną torbę, wysuszoną i kruchą ze starości. Gdy wziąłem ją z jego rąk, skóra się rozdarła i zawartość wypadła na skalne podłoże u moich stóp. Wymamrotałem przekleństwo i przykucnąłem, żeby pozbierać wysypane rzeczy. Były to cztery wykute z brązu groty strzał. Zanim ich dotknąłem, dokładnie się im przyjrzałem. Trzy były spatynowane ze starości, czarne i zniszczone, ledwie rozpoznawalne. Czwarty wglądał nieskazitelnie, ostry i lśniący, jakby przed chwilą wyszedł spod młota kowala. Blask pochodni pełgał po jego powierzchni.

Sięgnąłem po grot, ale gdy tylko go dotknąłem, z cichym okrzykiem zaskoczenia gwałtownie cofnąłem rękę. Był gorący, niemal parzył, choć niezupełnie boleśnie. Kucnąłem tyłem do Ramzesa, więc nie widział mojej reakcji. Stojąca na zewnątrz jaskini Serrena też była odwrócona, zajęta układaniem tego, co wcześniej jej podałem. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z mojego odkrycia.

Zebrałem wszystkie cztery groty. Teraz, gdy wiedziałem, czego się spodziewać, gorąco tego czwartego wydało się prawie przyjemne. Zniosłem je wszystkie do wejścia, gdzie Serrena spojrzała na mnie ze zmęczonym uśmiechem.

– Prawie skończyliśmy? – zapytała z nadzieją.

– Jesteśmy może prawie w połowie drogi – odparłem, a ona przewróciła oczami. Położyłem trzy starożytne, zniszczone przez czas groty na jej wyciągniętej ręce.

Zaczęła je obracać, ale ją powstrzymałem.

– Jest jeszcze jeden – powiedziałem, a ona wyciągnęła drugą rękę. Złożyłem na niej czwarty grot. Poderwała dłoń tak, jakby ją użądliła pszczoła. Rzuciła na ziemię trzy pozostałe i zamknęła czwarty w obu dłoniach, jakby to było coś wyjątkowo cennego.

– Znaleźliśmy, Tato! – Podniosła do oczu lśniący grot i obejrzała go z bliska.  
– Tego szukaliśmy.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Wiem. Po prostu wiem. I ty też wiesz, Tato. – Obrzuciła mnie oskarżycielskim wzrokiem. – Wiedziałeś, zanim mi go dałeś, przyznaj.

Zaśmiałem się.

– Zawołaj Ramzesa. Natychmiast ruszamy do obozu twojego ojca pod Abu

Naskos. I nie zgub tego grotu. Od niego może zależeć los Egiptu i życie twojego męża.



Niespełna godzinę później ruszyliśmy w drogę i przed świtem dotarliśmy nad rzekę Tantiki. Napoiliśmy konie i jechaliśmy do późnego popołudnia. Po trzech godzinach odpoczynku podjęliśmy podróż, która trwała przez całą noc. Dwa konie ochwaciły się podczas tego etapu, więc je zostawiliśmy i jechaliśmy dalej. Dwa kolejne wierzchowce straciliśmy pod koniec następnego dnia, ale przed świtem dotarliśmy do obozu króla Hurotasa naprzeciwko Abu Naskos. W trzy dni pokonaliśmy odległość z jaskini Hekate do obozu, co było wyczynem, z którego mogliśmy być dumni. Ja jednak wcale nie odczuwałem dumy, gdyż musiałem dobijać zajeżdżone konie.

Stwierdziliśmy, że pod naszą nieobecność w obozie zaszły niewielkie zmiany. Panował impas, każda strona trzymała się swojego terytorium na przeciwnych brzegach Nilu. Żaden z naszych ludzi nie kwapił się przepłynąć za rzekę, pewien, że spotka tam Terramesza.

Jedyną znaczącą zmianą była decyzja dwóch królów, którzy postanowili złamać przysięgę „Obraza jednego jest obrazą dla wszystkich”. Wsiedli na okręty ze swoimi wojskami i pożeglowali w dół Nilu do Morza Śródziemnego i dalej do swoich królestw – jeśli można nazwać królestwem omiataną wiatrem morową skałę zamieszkaną przez kilku zdradzieckich piratów. Jak podkreślił Hurotas, odeszło łącznie mniej niż stu pięćdziesięciu ludzi, przy czym każdy z nich był mazgajem i tchórzem, podobnie jak ich kacykowie.

Po przywitaniu się z Hurotasem i Huim moim następnym posunięciem było wezwanie Tarmakata, najlepszego wytwórcy łuków i strzał w całym cywilizowanym świecie. Byliśmy starymi przyjaciółmi i bez zwłoki przybył na moje wezwanie. Objęliśmy się i wymieniliśmy słowa powitania, po czym powiedziałem:

– Chcę, żebyś zrobił najdoskonalszą strzałę, jaka kiedykolwiek istniała. Może od niej zależeć los cywilizowanego świata.

– Przez całe życie czekałem na takie wezwanie – odparł. – Pokaż mi łuk, a ja sporządzę dla niego strzałę.

Zaprowadziłem go do stołu z kości słoniowej w głębi mojego namiotu i ściągnąłem okrywającą go jedwabną tkaninę. Pod nią leżał łuk bez cięciwy. Tarmakat podszedł i jeszcze zanim go dotknął, na jego twarzy odmalował się nabożny podziw.

– Widziałem tylko trzy łuki podobne do tego. – Ze czcią pogłodził majdan misternie okrecony złotym drutem. – Wszystkie należały do króla albo monarchy.

– Ten nie stanowi wyjątku, dobry Tarmakacie. Należy do Ramzesa Pierwszego, faraona Górnego i Dolnego Egiptu.

– Tyle się spodziewałem, panie Taito. Natychmiast wezmę się do pracy. Nie

zmarnuję kolejnej godziny mojego życia.

– Pomogę ci – zaproponowałem.

Tarmakat miał do dyspozycji tyle materiałów, jakby gromadził je od urodzenia. Dwa dni zajęło nam wybranie najlepszych drzewc i wystruganie z nich czterech idealnych promieni. Tarmakat je wyważył, żeby leciały prosto do celu odległego o dwieście kroków. Na koniec kolejno na każdym z nich obsadzaliśmy grot, który znalazłem z Serreną w jaskini Hekate. Ramzes po kolei wypuszczał strzały i wybraliśmy tę, która wykazała najmniejsze odchylenie, mniej niż szerokość palca.

Tego wieczoru popłynąłem na trzecią z czterech wysepek na Nilu przed fortecą Abu Naskos i gdy czekałem na pojawienie się Inany, jeszcze raz obejrzałem szyb zbudowany przez dawnych ludzi. Odetchnąłem z ulgą, kiedy bogini w końcu się zjawiała. Gdy widziałem ją ostatnim razem, wyśpiewywała piękną melodię, siedząc w swoim pierzastym stroju na czubku wielkiego kamienia, blokującym wejście do jaskini Hekate. Miałem dość zdrowego rozsądku, żeby jej o tym nie przypominać.

Może w nagrodę za mój takt podeszła prosto do mnie i po raz pierwszy pocałowała mnie w oba policzki, a później, chociaż wciąż byłem mokry po wyjściu z rzeki, przysiadła mi na kolanach.

– Cieszę się, że razem ze swoim pomocnikiem Tarmakatem zdołałeś sporządzić idealną strzałę – powiedziała bez wstępów.

– Nigdy nic nie uchodzi twojej uwagi, prawda? – Wciąż rozkoszowałem się jej pocałunkami i byłem zdumiony, jak wielką sprawiły mi przyjemność. – Ale czy będziemy mieli okazję ją wykorzystać?

Zignorowała moje drobne zastrzeżenie.

– W lesie za fortecą Abu Naskos na zachodnim brzegu Nilu jest ukryta polana. Hekate obmyśliła ją jako schronienie przede wszystkim dla swojego syna.

– Co rozumiesz przez ukrytą polanę? – Byłem zaintrygowany.

– Dokładnie to, co mówię. Istnieje wyłącznie dla tych, którzy mają oczy, żeby widzieć, i uszy, żeby słyszeć.

– A gdzie znajdę takie oczy i uszy?

– Tylko u jednego spośród nas, którzy mieszkamy na Górze Olimp.

– Masz na myśli boga? Nie półboga?

– Drogą Taito, zdumiewa mnie twoja przenikliwość! Dokładnie to mam na myśli.

– Moja przenikliwość prawie dorównuje twojemu sarkazmowi – skomentowałem cicho.

– Cieszę się, że tego nie słyszałam. – Wzruszyła ramionami. – Ale wracając do spraw ważniejszych niż przenikliwość i sarkazm: Terramesz, syn bogini Hekate, w tej chwili przebywa w tym tajemnym ogrodzie. Robi się niespokojny i nawet ja

nie wiem, czy pozostanie tam do jutra rana.

– Jak szybko możesz nas tam zabrać?

– Pomówię z moją przyjaciółką, rdzawoskrzydłą pokrzewką – odparła z uśmiechem. – Mam nadzieję, że doszła do siebie po wybuchu w jaskini Hekate. Biedactwo doznało straszliwego szoku.

Jeszcze przed północą rozstałem się z Inaną, zostawiając ją na trzeciej wyspie. Uprzedziłem Ramzesa i Serrenę, żeby byli przygotowani do szybkiego działania, gdy tylko wrócę do obozu. Oboje zaszyli się w moim namiocie i spali lekkim snem w ubraniach na moim łóżku. Od razu zareagowali na zawołanie. W stajni za namiotem czekały gotowe do jazdy konie.

Kazałem ukryć lekkie łodzie wiosłowe w równych odstępach wzdłuż brzegu rzeki, w górze i w dole od głównego obozu, bo wciąż nie miałem pojęcia, gdzie będziemy musieli się przeprowić. Jak się okazało, ukryta polana Terramesza znajdowała się mniej niż sześć mil w dole rzeki od nas. Wstawał świt, gdy wschodnim brzegiem dotarliśmy do leżącego naprzeciwko niej miejsca. Zjechaliśmy na brzeg Nilu i znaleźliśmy łódź schowaną pod stertą gałęzi i śmieci wyrzucanych przez wodę. Usunęliśmy kamuflaż, a potem z Ramzesem zawlekliśmy ją na skraj wody. Serrena szła za nami z długim skórzanym pokrowcem na łuk i innym lekkim ekwipunkiem. Wgramoliliśmy się do łodzi, odbiliśmy od brzegu i powiosłowaliśmy na drugą stronę rzeki. Gdy tylko ukryliśmy łódkę pod osłoną roślin, usłyszałem znajome świergotanie. Spojrzałem w górę i zobaczyłem pokrzewkę niecierpliwie trzepoczącą skrzydłami w gałęziach drzewa. Ramzes założył cięciwę i sprawdził zawartość kołczana, zanim lekkim truchtem ruszyliśmy ku północy. Ani on, ani Serrena nie zdawali sobie sprawy, że podążam za ptakiem. Przypuszczam, że nie byli nawet świadomi jego istnienia.

Biegliśmy przez połowę ranka. Nie było tam ścieżki ani drogi, lecz pokrzewka wybierała najłatwiejszy teren. Wzgórza, na które się wspinaliśmy, porastał las, a im głębiej się wdzieraliśmy, tym stawał się gęstszy.

Naraz bez ostrzeżenia ptaszek zniknął. Zatrzymaliśmy się, Serrena i Ramzes spojrzeli na mnie wyczekująco. Zrobiłem dobrą minę do złej gry i z udawaną pewnością siebie powiedziałem:

– Zaczekajcie tutaj, niedługo wrócę. Chcę tylko sprawdzić, co jest przed nami.

Zostawiłem ich i zacząłem przedzierać się przez coś, co wyglądało na niemożliwą do przebycia barierę kolczastych krzaków. Pomimo groźnego wyglądu haczykowate ciernie o czerwonych czubkach okazały się zdumiewająco łaskawe. Zsuwały się po moim ciele, nie zahaczając ani o skórę, ani o ubranie. Nagle owładnęła mną senność. Zwolniłem kroku i w końcu się zatrzymałem. Chciałem usiąść i odpocząć, a może nawet uciąć sobie krótką drzemkę. W oczach mi pociemniało.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że manipuluje mną jakaś obca siła. Wpadłem na psychiczną barierę. Czułem, że słaniam się na nogach, które zaczęły drętwieć i robiły się coraz cięższe. Doznałem zaćmienia umysłu, nie mogłem jasno myśleć.

Nie mogłem także iść dalej.

Nagle poczułem lekki nacisk na ramieniu i usłyszałem w uchu słodki głos Inany.

– Walcz z tym, Taito! Wiesz, co to jest. Możesz to pokonać.

Wziąłem głęboki oddech, który zaświszczał mi w gardle i piersi, i usłuchałem jej głosu. Poczuję, że ciemna chmura, która otumaniała mój umysł, zaczyna się podnosić i rozpraszać. Moje nogi nabrały sił. Zmusiłem je do zrobienia następnego kroku.

– Tak, Taito. Masz moc, żeby to pokonać. Bądź silny dla siebie i dla tych, których kochasz. Jesteś im potrzebny.

Zrobiłem kolejny krok, potem następny. Ciernie muskały moją twarz, ale intuicyjnie wiedziałem, że Inana odwraca czubki, żeby mnie nie raniły.

Wtem kolce przestały mnie dotykać i przez zamknięte powieki ujrzałem światło. Otworzyłem oczy i zobaczyłem cudowne miejsce. Gęsty ciernisty żywopłot zniknął. Przed moimi oczami rozpościerał się ogród rozkoszy. Były tam przejrzyste jeziora i połyskujące w słońcu wodospady. Był las pięknych drzew, zielonych i bujnych, a na ich wysokich gałęziach rosły kolorowe kwiaty, lśniące jak rubiny i szafiry. Pod nimi rozciągały się zielone kobierce aksamitnej murawy.

Z lasu po drugiej stronie jeziora wyszło stado pięknych czarnych jednorogów, które ciągnęły rydwan Terramesza z niszczycielskimi ostrzami na kołach. Tu biegały swobodnie, bez uprzęży. Hasały jak żrebaki, galopując nad brzeg jeziora, żeby napić się wody. Kiedy ugasiły pragnienie, pokłusowały do lasu i zniknęły wśród drzew.

– Oto tajemny ogród Terramesza – powiedziałem z przekonaniem, gdy wreszcie zebrałem myśli. Ptak na moim ramieniu zaćwierkał, przyznając mi rację. Nagle opadło mnie zaniepokojenie.

– Ale gdzie jest Terramesz?

– Śpi.

– Jesteś tego pewna, Inano?

– Nie bój się, ze mną jesteś bezpieczny.

– Nie boję się – oznajmiłem z godnością. – Byłem umiarkowanie zatroskany, to wszystko. – Następnie przeszedłem do bardziej naglących spraw: – Jak wywabimy Terramesza tam, gdzie Ramzes będzie mógł strzelić mu w niezniszczoną połowę twarzy?

Szczegółowo omówiliśmy ten problem. Inana porzuciła ptasią postać i ukazała się w ludzkiej, żeby jej wyjaśnienia brzmiały jasno i wyraźnie. Wskazała tę część ogrodu, którą wybrała na miejsce śmierci Terramesza. Powiedziała, jak zamierza tam zwabić naszą ofiarę i gdzie Ramzes, Serrena i ja musimy zająć pozycje, żeby czekać na jego przybycie.

– Nigdy nie widział Serreny. Uwierzy, że jest zjawą, duchem zesłanym dla

jego przyjemności przez matkę albo któregoś z innych mrocznych bogów, którzy go faworyzują. Wiele razy to dla niego robili. Będzie się tego spodziewać i da się zaskoczyć. – Inana odwróciła się i wskazała wspaniałe drzewo rosnące pośrodku łąki. – Pień tej sykomory jest pusty. Ty i Ramzes wykorzystacie go jako kryjówkę. Kiedy Serrena zwabi ofiarę w odpowiednie miejsce w zasięgu celnego strzału, Ramzes rzuci mu wyzwanie. Wtedy Terramesz się odwróci, a Ramzes zrobi, co trzeba. – Spojrzała na mnie swymi zdumiewająco pięknymi oczami. – Czy coś jest niejasne?

– Tak. Jak mam przeprowadzić Serrenę i Ramzesa przez to cierniste ogrodzenie w taki sposób, żeby nie zasnęli?

– Jestem pewna, że coś wymyślisz – odparła i usłyszałem echo śmiechu w jej głosie, gdy przemieniła się w ślicznego ptaszka. – Nie licz, że ci pomogę. Nie w obecnej postaci.

Wróciłem przez cierniste krzewy i znalazłem Ramzesa i Serrenę niespokojnie czekających na mnie tam, gdzie ich zostawiłem.

– Gdzie byłeś, Tato? – zapytali jednocześnie. – Martwiliśmy się o ciebie.

– Jediną rzeczą, o jaką trzeba się martwić, jest to, że muszę kolejno przenieść was przez te krzaki. Proszę, bez dyskusji. Czas ucieka.

– Ale... – zaprotestował Ramzes z oburzeniem.

– Żadnych ale, kochany mężu. Słyszałeś, co powiedział Tata. Ty pierwszy – zarządziła tonem nieznoszącym sprzeciwu i Ramzes uciszył się. Bezsprzecznie kontrolowała sytuację jako jego pierwsza żona.

Ramzes chciał nieść swój pokrowiec z łukiem, ale przekonywałem go, że powinien zostawić to Serrenie, i w końcu niechętnie się zgodził. Zdołał dotrzeć do połowy kolczastej przeszkody, zanim nogi się pod nim ugięły i padł na ziemię, gdzie zachrapał cicho z błogim uśmiechem na twarzy. Był roslym mężczyzną, same mięśnie i kości, ale zdołałem zarzucić go na ramię i zanieść do ukrytego ogrodu. Położyłem go w cieniu ogromnej sykomory i zostawiłem z pokrzewką przycupniętą w listowiu, żeby nad nim czuwała.

Wróciłem przez żywopłot, żeby zabrać Serrenę. Bez krygowania się wskoczyła mi na plecy i objęła mnie rękami za szyję.

– Nie mogłam się tego doczekać – powiedziała radośnie. Po dźwiganiu jej męża wydawała się lekka jak puch i oprócz niej mogłem nieść łuk i inne rzeczy. Kiedy położyłem ją pod sykomorą obok Ramzesa, przytuliła się do niego, nie budząc ani jego, ani siebie. Usiadłem i patrzyłem na nich przez dłuższy czas. Stanowili taką idealną parę, że się roztkliwiłem.

– To takie bezpretensjonalne i ujmujące – zaćwierkała pokrzewka w gałęziach nad moją głową. – Może powinnam zaśpiewać im kołysankę.

Ramzes i ja dawno temu zgodziliśmy się, że sześćdziesiąt pięć kroków to optymalny zasięg zapewniający najcelniejszy strzał z łuku. Zademonstrował, że z tej odległości może trafić w cel wielkości żołędzia, wypuszczając jedną strzałę za drugą.

Klepałem go po policzkach, dopóki się nie zbudził. Uniósł powieki i rozejrzał się, zdumiony pięknem tajemniczego ogrodu. Jego okrzyki zbudziły Serrenę. Kiedy oboje przywykli do nowego otoczenia, wyjaśniłem im role, jakie mają odegrać.

Dałem Serrenie tobolek z pomadami i kobiecymi fatalaszkami, które przyniosłem wraz z łukiem, żeby nadała swojej urodzie jeszcze większą wspaniałość. Zostawiliśmy ją, żeby odprawiła te kobiece czary, i odmierzyliśmy odległość do miejsca, gdzie planowaliśmy zabić Terramesza – od pustego pnia sykomy do dzikiego niebieskiego kwiatu orlika, który rósł w samotnym splendorze pośrodku łąki nad jeziorem.

Inana zapewniła, że Terramesz śpi teraz w lesie za jeziorem. W postaci czerwonoskrzydłej pokrzewki siedziała na czubku drzewa, pod którym leżał. Miała pilnować, żeby się nie ocknął, dopóki Ramzes i ja nie będziemy gotowi na jego przyjęcie. Przez środek jeziora biegła grobla. Inana miała wpłynąć na Terramesza, żeby z niej skorzystał, gdy tylko zbudzi go z drzemki.

Wreszcie pułapka została zastawiona, a przynęta czekała. Ramzes i ja zajęliśmy pozycje w pustym pniu sykomy. Ramzes założył na cięciwę śmiertcioną strzałę ze śmiertcionym grotem lśniącym niczym czyste złoto. Na chwilę zamknął oczy, jakby się modlił. Gdy uniósł powieki, skinął na mnie głową. Wyszedłem przez otwór w pniu i spojrzałem na szeroką przestrzeń murawy, gdzie Serrena dyskretnie siedziała pod kolczastym ogrodzeniem, niecierpliwie czekając na mój znak. Pomachałem wolną ręką nad głową, a wtedy wstała i pełnym wdzięku krokiem przeszła po murawie, żeby zająć miejsce za niebieskim kwiatem. Z pozoru był to jej sygnał dla mnie, a w rzeczywistości mój sygnał dla Inany, która, jak wiedziałem, obserwowała nas z czubka drzewa po drugiej stronie jeziora.

Serrena miała na sobie jedwabną suknię, w której wzięła ślub. Tkanina połyskiwała, wybornie podkreślając jej zmysłową figurę. Długie loki księżniczki lśniły w promieniach słońca, a twarz jaśniała tak, że w porównaniu z nią otoczenie wydawało się bure.

Oderwałem od niej wzrok i spojrzałem na jezioro akurat wtedy, gdy z lasu po drugiej stronie wyłoniła się zwałista postać Terramesza. Przystanął, żeby się przeciągnąć, i rozdziawił usta w potężnym ziewnięciu, zanim wszedł na groblę. Był nieuzbrojony, nie miał miecza ani łuku. Nosił tylko krótką przepaskę na biodrach, więc doskonale widać było jego potężnie zbudowane ciało. Zdawał się składać

wyłącznie z masywnych kości i pękatych mięśni, niekoniecznie ze sobą harmonizujących. Bardziej przypominał dzikie zwierzę niż istotę ludzką.

Metalowy hełm osłaniał połowę jego głowy. Druga połowa była zupełnie bezwłosa, pokryta makabrycznymi bliznami, wyglądającymi jak parodia naturalnego ciała i skóry. Pośrodku tej poharatanej powierzchni przymrużone oko patrzyło prosto przed siebie.

Był w połowie grobli, gdy spostrzegł stojącą na trawie Serrenę. Przystanął w pół kroku i wbił w nią wzrok.

Serrena odwzajemniła spojrzenie, patrząc na niego bez wyrazu. Uniosła rękę do guzika pod brodą i niespiesznie zaczęła rozpinąć stanik sukni. Delikatnie go rozsunęła, odsłaniając piersi, duże, krągłe i kremowe, zwieńczone rumianymi brodawkami. Ujęła sutek w palce i wskazała nim w stronę Terramesza, naciskając łagodnie, aż kropelka przejrzystej cieczy zalśniła na czubeczkę. Jednocześnie spuściła powieki w jawnym zaproszeniu, ucieleśniając idealną mieszankę nadobności i pożądania.

Terramesz sięgnął rękami do zapięć hełmu, zdjął go z głowy i rzucił. Kontrast pomiędzy jedną stroną twarzy i drugą był porażający. Surowa szlachetność prawej strony równoważyła ruinę i okaleczenie lewej, ale oko miał okrutne i wargi zaciśnięte w bezlitosną linię. Uśmiechnął się niezniszczoną połową warg bez humoru czy życzliwości; był to szyderczy uśmieszek, wyrażający żądzę i zaborczość.

Rozwiązał przepaskę i rzucił ją na ziemię, odsłaniając genitalia. Zwisły do kolan, zwiotczałe i miękkie. Ujął członek w rękę i gładził go miarowo. Jego palce ledwie go obejmowały, gdy zeszywniał i stanął. Napletek obsunął się z żołądzi, różowej i lśniącej, dużej jak jabłko. Fallus sterczał sztywno przed nim na długość przedramienia.

Serrena wydawała się pobudzona tym pokazem. Zrzuciła suknię i stała naga z wysuniętymi biodrami, dłońmi zasłaniając wzgórek łonowy. Jej lubieżny uśmiech pasował do jego zachłannej żądz. Byłem zaskoczony tym jej pokazem rozwiązłości, choć wiedziałem, że jest udawana.

Terramesz ruszył ku niej. Zszedł z grobli i maszerował w górę zbocza. Przeszedł tak blisko naszej kryjówki w pustym pniu sykomory, że słyszałem, jak pochrząkuje z podniecenia niczym wielki dzik, i czułem jego żądzę jak smród ropiejącego wrzodu.

Pozwoliłem, żeby przeszedł dwadzieścia kroków po murawie, i dotknąłem ramienia Ramzesa. Jednocześnie wyszliśmy z kryjówki. Ramzes wysunął się trzy kroki przede mną, żeby zapewnić sobie czysty strzał, po czym z naturalnym wdziękiem przyjął postawę łucznika ze strzałą na cięciwie. Terramesz zatrzymał się kilka kroków przed Serreną. Wznosił się nad nią, niemal zupełnie zasłaniając ją swoim ciałem.



W tym momencie Ramzes zawołał głosem tak grzmiącym, że nawet ja się przestraszyłem, chociaż byłem przygotowany:

– Synu Fontusa, przynoszę ci wiadomość od twojego ojca!

Terramesz obrócił się w naszą stronę. Zamarł i wlepił w nas wzrok. Potem wszystko stało się jednocześnie. Serrena padła twarzą na ziemię za jego plecami, umożliwiając mężowi czysty strzał. Ramzes jednym płynnym ruchem napiął łuk i wypuścił strzałę z ostrym, niemal melodyjnym trzaskiem cięciwy.

Terramesz zareagował błyskawicznie, ale okazał się o wiele za wolny, żeby oszukać śmiertelnością strzałę, która była już w połowie drogi do celu. Osiągnęła najwyższy punkt i zaczęła opadać, zanim on choćby drgnął. Jego okropna twarz i masywny penis celowały w niebo, z którego strzała spadła niczym promień słońca. Trafiła prosto w środek wytrzeszczonego oka, które eksplodowało w jasnym bryzgu wodnistej cieczy. Drzewce sterczało na długość ramienia z oczodołu. Kąt nachylenia i głębokość świadczyły o tym, że grot przeszył mózg. Spodziewałem się, że Terramesz z miejsca runie na ziemię i znieruchomieje, lecz zamiast tego pobiegł. Z jego ust płynął wysoki, przeraźliwie monotony wrzask. Pędził prosto na nas; z początku myślałem, że przypuszcza świadomy atak, jednak w żaden sposób nie okazał, że nas widzi. Kiedy uskoczyliśmy mu z drogi, biegł dalej w dół zbocza w kierunku jeziora, wyjąc w udręce i furii.

Wyciągnęliśmy miecze i rzuciliśmy się za nim, ale żaden z nas nie mógł go doścignąć. Wciąż wrzeszcząc, zderzył się z potężną sykomorą, której oczywiście nie widział. Siła zderzenia głębiej wbiła strzałę, tak że ta przeszła czaszkę i wyszła z tyłu głowy. Mimo to wciąż trzymał się na nogach i chwiejnym krokiem zataczał małe kręgi, nie przestając wyć. Nagle zobaczyłem, że ciało płatami odpada mu z głowy, jakby gniło. Biała kość czaszki zaśniła w promieniach słońca, a potem zaczęła się kruszyć.

Jednocześnie ciało ramion i torsu czerniało, odrywało się od kości w kawałkach i strzępach. Smród rozkładu był tak potężny, że zakryliśmy usta i nosy, cofając się od niego, gdy upadł. Wił się i podrygiwał, przemieniając się w breję bezkształtną jak sterta odchodów. W końcu szczątki rozsypały się w proch, rozniesiony przez lekki wiatr ciągnący od jeziora. Grot strzały został tam, gdzie Terramesz upadł. Ramzes podszedł z wahaniem i schylił się po niego, ale zanim dotknął go palcami, metal poczerniał i rozsypał się w nicość. W końcu nie pozostało nic, co świadczyłoby o istnieniu Terramesza.

Przez chwilę patrzyliśmy w zdumieniu i grozie, po czym poszliśmy do czekającej na nas Serreny. Siedliśmy po obu jej stronach. Ramzes objął ją ramieniem, a ona się o niego oparła. Jej twarz pod pomadą była pusta i blada jak śnieg; oczy miała szkliste od łez.

– Zmusiłam się, żeby patrzeć. To było takie straszne – szepnęła. Wskazała miejsce, gdzie zniknął Terramesz. – Patrzcie, co się dzieje z jego ukrytym

ogrodem.

Na naszych oczach jezioro i wodospady wyschły, zostawiając brzydkie błotniste zagłębienia pełne zielonego szlamu. Drzewa w lesie straciły bujne listowie, gałęzie poczerniały i uschły. Trawa rosnąca pod nimi zwiędła. Konary wielkiej sykomory odpadły od pnia i leżały poskręcane na ziemi jak amputowane członki. Złowrogi ciernisty żywopłot, który otaczał tajemny ogród, nagle zaczął się kurczyć i znikać. Stado wspaniałych czarnych jednorożców przepadło bez śladu. Odeszły w niebyt wraz z resztą ogrodu. Nie zostało nic poza rozkładem i spustoszeniem. Jedyne wyjątkiem stanowił hełm, który leżał tam, gdzie Terramesz go rzucił. Poszedłem po niego, rozpamiętując niedawne wydarzenia.

– Nie ma powodu, żebyśmy tu siedzieli choćby chwilę dłużej – powiedziałem po powrocie.

Ramzes natychmiast pomógł wstać Serrenie i ruszyliśmy w kierunku łodzi ukrytej na brzegu rzeki Nil. Żadne z nas się nie obejrzało.

O zachodzie słońca dotarliśmy do obozu Hurotasa, gdzie powitały nas radosne okrzyki, gdy tylko wartownicy rozpoznali naszą trójkę. Niektórzy wskoczyli do rzeki, żeby przyholować naszą łódź do brzegu. Nim wysiedliśmy, czekała na nas połowa armii. Hurotas i Hui przybiegli z królewskiego obozu i rzucili się ku Serrenie. Ten pierwszy wziął córkę na ręce i niósł ją, podczas gdy Tehuti tańczyła wokół nich, wyśpiewując podziękowania do wszystkich bogów za jej szczęśliwy powrót. Ramzes i ja szliśmy za nimi w dyskretnej odległości, czekając na naszą kolej, żeby porozmawiać z Hurotasem. Na szczęście mieliśmy worek zawierający nasz ekwipunek i hełm Terramesza, który zabrałem z grobli na jeziorze.

W końcu Tehuti wzięła córkę w ramiona i otoczona dwórkami pociągnęła ją do kobiecej części obozu. Hurotas przyszedł do nas bezzwłocznie.

– Za mną! – rozkazał. – Chcę dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło, a zwłaszcza, gdzie się podziewa ten drapieżny potwór.

Zaprowadził nas do prywatnego namiotu narad, a gdy zajmowaliśmy miejsca, przyniósł dzban czerwonego wina i napełnił ogromne kubki, co było pewnym znakiem jego aprobaty, gdyż rezerwował te naczynia na wyjątkowe okazje.

– Mówcie. Powiedźcie mi wszystko – polecił, padając na tron naprzeciwko nas.

Ramzes spojrzał na mnie. W drodze powrotnej z tajemnego ogrodu rozmawialiśmy, co mu powiedzieć o naszym spotkaniu z Terrameszem. Martwiliśmy się, że nasze przygody były tak niezwykle, że nie uwierzy nam nikt, kto nie widział ich na własne oczy. W końcu uzgodniliśmy nie tać szczegółów przed Hurotasem, bez względu na to, jak bardzo wydadzą się naciągane. Jeśli zwątpi w szczerść naszych słów, mieliśmy na dowód zeznanie jego rodzonej ukochanej córki. Tego nigdy nie zlekceważy.

Wziąłem głęboki oddech i wypilem wielki haust wina, co umocniło moje zdecydowanie, i zacząłem opowiadać. Mówiłem przez długi czas, nawet wedle moich standardów. Oczywiście trochę stonowałem pewne aspekty roli Serreny w przedsięwzięciu, bo przecież była jego córką. Uznałem, że nie trzeba opisywać, z jaką wprawą rozproszyła Terramesza na chwilę przed tym, zanim Ramzes wypuścił śmiertcioną strzałę. Hurotas słuchał uważnie, od czasu do czasu kiwając głową na znak zrozumienia i akceptacji.

Kiedy skończyłem moje wystąpienie, po dłuższym milczeniu powiedział:

– Więc przyniosłeś ze sobą czaszkę Terramesza jako niezbity dowód jego śmierci.

– Nie – zaprzeczyłem uprzejmie. – Nie tak powiedziałem.

– Wiem, co powiedziałaś, i oczywiście ci wierzę. Ale dlaczego komplikować sprawę? Mamy mnóstwo leżących wokół różnorodnych czaszek. Każda jedna z nich mogłaby należeć do istoty, którą zowiesz Terrameszem. Zamierzam posłać naszych żołnierzy na drugi brzeg Nilu, żeby oblegli i zdobyli Abu Naskos. Jeśli dopuszczą możliwość, że Terramesz żyje i na nich czeka, będą bardziej niż niechętni wyprawić się za rzekę. Ładna czysta czaszka albo nawet brudna przekona ich, że Terramesz nie powita ich na zachodnim brzegu.

Zerknąłem na Ramzesa, a on wyszczerzył do mnie zęby.

– W krótkim czasie małżeństwa nauczyłem się nie marnować tchu na kłótnie ani z żoną, ani z teściem.

Nazajutrz rano wojska Ramzesa I, faraona Egiptu, Hurotasa, króla Sparty i Lacedemonu, i czternastu sojuszników, którzy złożyli mu hołd, zebrały się daleko od rzeki poza zasięgiem wzroku obserwatorów na murach fortecy Abu Naskos. Żołnierze byli wyraźnie przygaszeni. Później się dowiedziałem, że od wieczornego powrotu naszej trójki zza Nilu po obozie krążyła złośliwa plotka. Zasadniczo chodziło o to, że Hurotas zrezygnował z kampanii przeciwko Utterykowi Turowi i jego nowemu, straszliwemu wojownikowi Terrameszowi i że wraz ze swoimi sprzymierzeńcami ma zamiar zwinąć obóz i czmychnąć do Sparty, zabierając ze sobą Ramzesa i jego żonę.

Król Hurotas i faraon Ramzes zajęli miejsca na podwyższeniu i stali ramie w ramie, patrząc na zwarte szeregi. Nie było wiwatów ani bicia w tarcze wyciągniętymi mieczami.

Po pełnej powagi chwili Hurotas władczy gestem przywołał dwóch niewolników. Weszli na podium, niosąc duży wiklinowy kosz, który postawili z przodu platformy. Wycofali się, zgięci w tak niskich ukłonach, że niemal dotykali czołem desek pomiędzy nogami. Po krótkiej chwili Hurotas przemówił:

– Dwa dni temu faraon Ramzes i jego żona królowa Serrena Kleopatra w towarzystwie pana Taity ukradkiem przeprawili się przez rzekę Nil na terytorium zajmowane przez buntowników. Udali się na poszukiwanie plugawca znanego nam wszystkim jako łucznik o pokrytej bliznami twarzy.

Niski, mimowolny jęk przetoczył się nad zbitymi szeregami. Hurotas machnął ręką, nakazując ciszę, i kontynuował:

– Łucznik ów jest również znany jako Terramesz Niezniszczalny. Rozkazałem naszym trojgu nieustraszonym herosom wytropienie go i zabicie jak wściekłego psa, którym jest, i powrót z jego odciętą głową. Zobowiązałem ich do pilnowania, żeby trofeum pozostało w ukryciu, dopóki nie trafi w moje ręce. – W tym czasie słowa Hurotasa przykuwały uwagę ogromnej większości zgromadzonych przed nim ludzi. Ich nastrój się poprawił. Nawet ja, uczestnik wydarzeń, byłem zafascynowany zręcznością, z jaką manipulował faktami. Teatralnym gestem wskazał stojący przed nim wiklinowy kosz i każde oko w zbitej

masie woźniców i łuczników śledziło ten gest. Podszedł i otworzył kosz, sięgnął do środka, wyjął ludzką głowę, i uniósł ją, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Strzępy gnijącego ciała i skóry wciąż przylegały do kości, a z rozdziawionych ust zwisał spuchnięty, siny język. Oczodoły były pustymi dziurami.

– Daję wam głowę Terramesza! – ryknął. Nikt w szeregach nie mógłby zwątpić w jego słowa, bo do czaszki był przypięty złoty hełm, który wszyscy dobrze znali i który budził w nich taki wielki lęk. Krzyk radości i triumfu popłynął z ośmiu tysięcy gardeł.

– Terramesz! Terramesz! Terramesz! – Jak jeden mąż dobyli miecze i rytmicznie uderzali w tarcze, wtórując grzmotowi głosów.

Hurotas pozwolił im krzyczeć, aż ochrypli, potem odpiął hełm od czaszki i uniósł go.

– To trofeum trafi do regimentu, który wyróżni się najbardziej w czekającej nas bitwie! – Znowu ryknęli jak lwy. W drugiej ręce podniósł odciętą ludzką głowę z pustymi oczodołami i wywieszonym językiem. – A to trofeum trafi do Hadesa, króla świata umarłych. Zostanie mu przekazane przez Hefajstosa, boga ognia.

Pomaszerował z głową do ogniska i rzucił ją w płomienie, i wszyscy patrzyliśmy z fascynacją, jak obraca się w popiół. Decyzja godna króla, pomyślałem. Nikt nigdy nie podważy autentyczności czaszki, skoro nie będzie istnieć.

Resztę dnia żołnierze spędzili na zakładaniu cięciw na łuki, ostrzeniu mieczy, reperowaniu tarcz i pancerzy, a także odpoczywaniu. Później, kiedy zapadła noc, zaczekaliśmy na zachód przybywającego księżyca i dopiero wtedy wyprawiliśmy oddziały na brzeg rzeki, gdzie wsiadły na statki. Nie zapalono świateł i wszystkie komendy wydawano szeptem. Statki odbiły od brzegu i popłynęły w górę i w dół rzeki na wyznaczone pozycje na wrogim brzegu, starannie wybrane w ciągu poprzednich dni i tygodni.

Mieliśmy nadzieję zaskoczyć strażę wroga i, jak się okazało, nie spotkał nas zawód. Utteryk i jego ludzie wierzyli, że są bezpieczni pod ochroną Terramesza. Później się dowiedziałem, że Utteryk zapłacił mu fortunę, dziesięć lakhów srebra za swoją ochronę. Nie miał najmniejszego pojęcia o niedawnej śmierci oszpeconego potwora. W konsekwencji połowa jego żołnierzy kwaterowała za murami twierdzy Abu Naskos, gdzie zajmowali się uprawianiem zboża i warzyw, a także hodowlą kóz i bydła, żeby wykarmić siebie i swoich towarzyszy do końca kampanii.

Po północy wyszliśmy na brzeg i przypuściliśmy atak. Większość z nich spała, podobnie jak wartownicy, bezpieczni w przekonaniu, że Terramesz ich ochrania. Kiedy zbudziliśmy ich okrzykami wojennymi, po nikłej próbie stawienia oporu i walki uciekli w panice pod osłonę murów fortecy. Pozostali zostali ścięci albo trafili do niewoli.

Co zrozumiałe, nasi ludzie nie kwapili się do pościgu. Pomimo że wczoraj Hurotas pokazał im ściętą głowę, a oni odpowiedzieli demonstracją odwagi, większość jakby się spodziewała przybycia Terramesza.

Mimo wszystko zdołaliśmy pojmać ponad dwustu ludzi Utteryka. Dwóch z nich rozpoznałem. Byli dobrzy i nie ze złej woli walczyli po niewłaściwej stronie. Kiedy zabrałem ich na przesłuchanie, przypomnieli mi, że zważ się Batur i Nasla. Byli braćmi i walczyli pod moimi rozkazami przeciwko Hyksosom. Kiedy otworzyłem dzban wina i nalałem im po kubku, przypomnieli sobie, że naprawdę byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Z każdym wypitym kubkiem stawali się coraz bardziej chętni do współpracy.

Drobiazgowo wypytywałem ich o warunki panujące w Abu Naskos, a oni gorliwie udzielali odpowiedzi. Powiedzieli mi, że forteca jest doskonale zabezpieczona przed atakiem. Prowadziło do niej tylko jedno wejście, masywna dwuskrzydłowa brama osadzona w murach od strony lądu. Zapytałem, czy można się wspiąć na mury, a oni na to, że są trzy pierścienie murów jeden wewnątrz drugiego, wszystkie potężne, o silnych konstrukcjach. Zasugerowali, że prawdopodobnie najpewniejszym sposobem ataku będzie wykopanie tunelu pod fundamentami. Zapytałem, czy wiedzą o jakichś istniejących podziemnych

przejściach pod fortecą, ale stanowczo oznajmili, że nie ma niczego takiego. Nie brzmiało to zbyt obiecująco i uśmiechnąłem się ze smutkiem, gdy zrozumiałem, że Utteryk wybrał najłatwiejszą do obrony fortecę w całym Egipcie.

Następnie Batur i Nasla powiadomili mnie, że Utteryk odesłał większość koni i rydwanów, prawdopodobnie do swoich fortów w delcie – podążenie za nimi i znalezienie ich kosztowałyby nas sporo zachodu. Jednakże zatrzymał około czterdziestu rydwanów i koni w stajniach twierdzy, prawdopodobnie do urządzania wycieczek przeciwko nam albo, co pewniejsze, do ucieczki z Abu Naskos, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Później omówiłem z nimi zagadkę tożsamości Utteryka i zgodzili się ze mną, że używa sobowtórów, żeby wprowadzać w błąd swoich wrogów. Batur i Nasla blisko współpracowali z Utterykiem i twierdzili, że są w stanie odróżnić go od dublerów. Było to dla nas nadzwyczaj cenne. Powiedzieli też, że z każdym mijającym dniem Utteryk staje się coraz dziwniejszy i oderwany od rzeczywistości. Nie było to dla mnie wielką niespodzianką. Zawsze miał pomieszaną w głowie.

Bracia powiedzieli mi jeszcze, że przez dwa lata mieszkali w fortecy Abu Naskos i poznali większość tajemnych wejść i wyjść, a także innych sekretów ogromnej budowli. Zapytałem, jak to się stało, że wpadli w sieć Utteryka. Wyjaśnili, że jako młodzi ludzie zaciągnęli się do służby u faraona Tamosego, a kiedy został zabity przez Hyksosów i jego najstarszy syn Utteryk odziedziczył hedżet, koronę faraonów, przeszli pod jego rozkazy. Szybko rozczarowali się nowym faraonem. Zapewnili mnie, że ich największym pragnieniem była dezercja pod sztandar faraona Ramzesa, którego obaj znali i podziwiali.

Przedstawiłem ich Ramzesowi, a on ich rozpoznał. Powiedział mi, że wysoko ich ceni. Zgodził się ze mną, żeby wykorzystać ich jako szpiegów i że być może pomogą nam w jakiś sposób dostać się do fortecy. Batur, starszy brat, zgodził się wrócić do Abu Naskos z wyjaśnieniem, że pojмали go ludzie Hurotasa, ale zdołał uciec i przekraść się przez nasze linie do bram miasta. Młodszy brat, Nasla, miał zostać na zewnątrz murów, żeby doradzać nam w sprawach związanych z fortecą i przyczajonym w niej szaleńcem. Bracia opracowali skomplikowany kod sygnałów, żeby móc porozumiewać się ukradkiem i z daleka.

Byłem pewien, że okażą się wyjątkowo pożyteczni.

Kilka następnych tygodni spędziliśmy na mozolnym przerzucaniu naszych sił przez rzekę i okrążaniu warowni Utteryka, żeby rozpocząć przygotowania do ostatecznego ataku. Przygotowania przebiegały według znajomego wzoru; przypominały taniec: trzy kroki do przodu, dwa kroki do tyłu. Nasi inżynierowie wykopali rowy i tunele ciągnące się w kierunku murów fortecy, zaczynając z bezpiecznej odległości, żeby uniknąć strzał nieprzyjacielskich łuczników. Kiedy się zbliżyliśmy, ludzie Utteryka urządzili nocny wypad, żeby zniszczyć nasze roboty ziemne. To doprowadziło do zacieklej walki w zupełnych ciemnościach, w których prawie nie było można odróżnić przyjaciela od wroga.

Następnego dnia rano oceniliśmy zniszczenia, po czym wszczęliśmy żmudny proces odbudowy szanców i podciągania ich do na pozór niezdojanych murów. Ta rozrywka nieszczególnie do mnie przemawiała, więc zostawiłem ją ludziom obdarzonym większą cierpliwością i doświadczeniem w robieniu wyłomów w murach cytadeli: ludziom takim jak Hurotas i Ramzes.

Moje myśli wróciły do czterech tajemniczych wysepek na Nilu, a także do przyjemnych i bardziej owocnych spotkań z boginią Inaną, która często tam na mnie czekała. Poznałem trzy wyspy po wschodniej stronie kanału i tylko czwarta, leżąca najbliżej fortecy Abu Naskos, ciągle czekała na moją uwagę. Długi strzał z łuku dzielił ją od szczytu fortecznych murów, co wymuszało podejście do niej od wschodniego brzegu, gdzie Hurotas założył swój pierwotny obóz. Jednakże wtedy musiałbym przepłynąć wpław prawie całą rzekę, co byłoby nie lada wyczynem nawet dla mnie, a dni i noce stawały się chłodniejsze. Dlatego też postanowiłem płynąć łódką w ciemnych godzinach nocy, kiedy nie będę stanowić takiego oczywistego i kuszącego celu.

W noc próby księżyc był prawie okrągły i dawał dobre światło, ale nie na tyle mocne, żeby z murów fortecy było widać mnie i moją łódkę. Gdy podpływałem od strony trzech znanych mi wysepek, znów mnie zdumiało, jakie są podobne. Tym samym rozproszyły się wszystkie moje uporczywe wątpliwości co do istnienia związku między wszystkimi czterema wyspami. Kiedy dobiłem do zbudowanej przez człowieka ściany, sięgnąłem po zwisającą prawie do samej wody lianę i zacumowałem łódkę. Rozpocząłem wspinaczkę i od razu stało się dla mnie jasne, że ta wyspa jest w najlepszym stanie spośród wszystkich czterech. Mogłem rozróżnić poszczególne kamienne bloki. Były tam nawet wgłębienia dla stóp, co znacznie ułatwiało wspinaczkę. Wchodziłem szybko, niesiony podnieceniem. Kiedy dotarłem na szczyt, znalazłem wejście do pionowego szybu dokładnie tam, gdzie się go spodziewałem, pośrodku tej niskiej kamiennej wieży. Jednakże pod drzewami zalegał taki mrok, że w zasadzie widziałem tylko samo wejście do szybu.

Wiedziałem, że muszę zapalić jedną ze świeczek, które ze sobą zabrałem.



Niedawno wpadłem na pomysł, żeby zastąpić powszechnie używane pochodnie z trzciny lub trawy, i utoczyłem świece z wosku pszczelego, co było nadzwyczajną innowacją. Jasne światło było widoczne z dużej odległości, więc postanowiłem nie ryzykować, żeby nie dostrzegł go ktoś ze szczytu fortecznych murów. Zszedłem kawałek w głąb szybu, a gdy uznałem, że to będzie bezpieczne, skrzesłem iskrę i zapaliłem świeczkę.

Moje oczy prawie natychmiast przywykły do jasnego czystego światła. Rozejrzałem się i natychmiast sapnąłem ze zdumienia. Wejście do szybu, w którym siedziałem, było wyłożone ceramicznymi bladozielonymi cegłami zdobionymi wokół brzegów małymi wyobrażeniami ostrouchego lisa pustynnego.

W przeciwieństwie do trzech pierwszych szybów, ściany tego zachowały się w bardzo dobrym stanie. Więcej niż czwarta część ceramicznych fryzów przetrwała wieki, a stopnie były całe, tylko lekko wytarte przez stopy starożytnych, którzy z nich korzystali.

Schody do dwóch trzecich szerokości były zasypane gruzem, liśćmi i kawałkami gałęzi, ale mogłem je oczyścić gołymi rękami. Opadały w głąb wyspy pod ostrym kątem. Liczyłem stopnie w trakcie schodzenia. Doszedłem do stu pięćdziesięciu, gdy w nagłym szoku zrozumiałem, że jestem głęboko pod powierzchnią rzeki.

Groziła mi śmierć przez utonięcie. Lada chwila prąd wody wderze się do szybu i poniesie mnie do wieczności. Odwróciłem się i pobiegłem po schodach, recytując modły do wszystkich bogów, ale przede wszystkim do Inany, żeby oszczędziła mi strasznej samotnej śmierci w głębi ziemi.

Dotarłem do wylotu szybu, dysząc z wysiłku, i stwierdziłem, że mam mokre stopy w sandałach, ale reszta mojego ciała od kostek w górę jest sucha jak wydmy na pustyni. Usiadłem na najwyższym stopniu i zastanawiałem się nad tym zdumiewającym obrotem sprawy. Rozważyłem możliwość, że dokonałem błędnych obliczeń, co w moim wypadku byłoby wielce niezwykle. W końcu doszedłem do wniosku, że nie każdy tunel czy przestrzeń pod powierzchnią rzeki musi być zalany przez wodę.

Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o tunelu przebiegającym pod rzeką, zwłaszcza tak potężną jak Nil. Nigdy nawet nie brałem pod uwagę takiej możliwości. Teraz jednak nie miałem innego wyboru, jak zrewidować moje poglądy. Zmieniłem podejście i po chwili dostrzegłem wady w moim poprzednim toku rozumowania.

Dlaczego kadłub łodzi nie napęcznieje wodą? Odpowiedź brzmi, bo jest szczelny. Jednak po wybitiu w nim dziury natychmiast się napęcznieje. Jak płaskość ziemi pod naszymi nogami, wszystko zaczęło nabierać sensu.

Przyznam, że wzdragałem się przed wnikaniem w ogromną różnicę wielkości między kadłubem łodzi i tunelem przekopany pod rzeką Nil.

Niecierpliwie czekałem na pojawienie się bogini Inany, żeby omówić z nią tę sprawę i wysłuchać jej rady, ale wyraźnie była w przekornym kobiecym nastroju. Rozwidniało się, więc musiałem opuścić wyspę, zanim mnie zauważą strażnicy na murach fortecy.

Przez cały dzień niecierpliwie czekałem na zapadnięcie nocy. Na szczęście miałem dość zdrowego rozsądku, żeby część tego czasu poświęcić na znalezienie kogoś, kto mi pomoże w dalszych usiłowaniach. Mój wybór padł na Nasłę. Był nie tylko młody i silny, ale znał fortecę Abu Naskos lepiej niż ktokolwiek w obu armiach. Zaintrygowany moimi odkryciami na wyspie i możliwością istnienia podwodnego tunelu, rwał się do pomocy.

Wyruszyliśmy łódką o zmierzchu. Kiedy zacumowaliśmy u stóp wieży i wspięliśmy się na górę, wykrzyknął w zdumieniu na widok wejścia do szybu i z podnieceniem zapytał:

- Dokąd prowadzi, panie?
- Jeszcze nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.
- Pójdę pierwszy, jeśli sobie życzysz – zaproponował.

Nonszalancko wyruszyłem ramionami i ustąpiłem mu z drogi, co wcale nie znaczy, że się bałem. Czekałem, aż echo jego radosnego głosu napłynęło z głębi szybu i daleko w dole spostrzegłem odbicie światła świeczki.

- Jestem na dnie, panie Taito. Zejdiesz do mnie?! – krzyknął.

Nie odniosłem wrażenia, że się topi, i byłem zadowolony, że moja hipoteza na razie trzyma się kupy. Ruszyłem na dół, gdzie czekał na mnie Nasla. Na dnie pionowy szyb przechodził w poziomy tunel.

- Zbadałeś, co jest dalej? – zapytałem.
- Nie, panie. Czekałem na ciebie, żeby tobie przypadł ten zaszczyt.

Spojrzałem na niego ostro, niepewny, czy ze mnie nie kpi, ale nawet w blasku świeczek nie dostrzegłem drwiny na jego twarzy.

– W takim razie za mną, dobry Naslo. – Im częściej go widywałem, tym bardziej go lubiłem i tym większe miałem do niego zaufanie. Poprowadziłem go w głąb tunelu, rozważając możliwość, że jesteśmy pierwszymi od wielu stuleci osobami, które tędy idą. Konstrukcja tunelu musiała być znacznie mocniejsza niż szybu, żeby wytrzymać ciśnienie wody nad nami. Tutaj starożytni użyli wypalanych czerwonych glinianych cegieł, nie ładnych ceramicznych płytek znajdujących się bliżej powierzchni. Spoiny pomiędzy cegłami były tak cienkie, że prawie niewidoczne. Przyjrzałem im się z bliska i nie dostrzegłem przecieków.

Spojrzałem w głąb tunelu i oceniłem jego kierunek względem szybu, którym tu zeszedliśmy. Uznałem, że zgodnie z moimi przewidywaniami biegnie w stronę zachodniego brzegu i fortecy Abu Naskos. Nie miałem magicznej ryby, żeby potwierdzić to założenie.

- Chodź, Naslo – poleciłem i ruszyliśmy. Tunel ciągnął się prawie prosto

przez trzysta dziesięć kroków, które głośno odliczałem. Płyty pod moimi stopami były suche. Powietrze było zimne, starożytne w smaku i duszne, ale wystarczające do podtrzymania życia.

Nagle dno tunelu podniosło się pod naszymi stopami. Nasła spojrzął na mnie pytająco nad płomieniem świeczki, a ja wyjaśniłem, co się stało:

– Przeszliśmy pod rzeką i dotarliśmy do zachodniego brzegu, dlatego tunel biegnie pod górę. Spodziewam się, że tunel prowadzi do fundamentów fortecy. Oczywiście to tylko domysł, ale spójrz teraz na ściany.

Mury tej części tunelu były zdobione kolorowanymi ceramicznymi płytkami, co wskazywało, że wody Nilu są tu płytsze albo już jesteśmy nad nimi. Na kafelkach nie było żadnych wizerunków, za to pokrywało je płynne archaiczne pismo. Uznałem, że z pewnością są to inskrypcje starożytnych budowniczych, prawdopodobnie upamiętniające ich geniusz i umiejętności. Nie traciłem czasu na próbę ich odczytania, tylko pośpieszyłem dalej, pragnąc się dowiedzieć, gdzie tunel wychodzi na powierzchnię. Po przejściu stu pięćdziesięciu kroków w głąb podnoszącego się tunelu musieliśmy stanąć. Wyglądało na to, że strop się zarwał w wielkim zawale. Nie mogliśmy iść dalej. Byłem tak głęboko zawiedziony, że musiałem dać upust uczuciom w jakiś jednoznaczny sposób. Klnąc w żywy kamień, zamachnąłem się pięścią, żeby trzasnąć solidną ścianę, która zagroziła nam drogę.

Nasła od tyłu chwycił mnie za łokieć i uchronił przed połamaniem kości w prawej ręce. Szamotałem się z nim przez chwilę, po czym dyplomatycznie skapitulowałem.

– Dziękuję. Jestem ci wdzięczny. Zapobiegłeś dalszemu zniszczeniu ściany.

– W porządku, panie. Przywykłem do tego. Mój brat Batur też ma wyjątkowo paskudny temperament. – Powiedział to tak przyjaznym i uprzejmym tonem, że byłem zmuszony przycisnąć czoło do ściany i zamknąć na moment oczy, żeby zapanować nad rodzącym się gniewem.

Potem powiedziałem napiętym szeptem:

– Lepiej nic więcej nie mów, dobry Naslo. Zabierz mnie tam, skąd przyszliśmy. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem, bo inaczej jeden z nas może tu umrzeć.

Niech nikt wam nie mówi, że nie umiem nad sobą zapanować. Nazajutrz rano prawie zupełnie doszedłem do siebie i zrozumiałem, że zawal jest tylko tymczasową komplikacją. Zdecydowałem, że potrzebuję dobrodziejstw zdrowego rozsądku i osądu Ramzesa. Znalazłem go na zachodnim brzegu, gdzie pomagał Hurotasowi w robieniu podkopów przed murami fortecy Utteryka. Z radością zobaczyłem, że towarzyszy mu królowa Serrena Kleopatra, na co miałem nadzieję i czego się spodziewałem.

Zgodziła się pełnić rolę mojej przewodniczki i oprowadziła mnie po

robotach obłączonych. Byłem zdumiony jej wiedzą techniczną. Nadszedł czas na południowy posiłek i zjedliśmy go razem, usadowieni pod gałęziami rozłożystego jesionu, skąd roztaczał się dobry widok na fortecę i pole bitwy. W tle płynęła rzeka, a na niej leżały cztery wysepki, które tak bardzo zajmowały moje myśli. Z tej odległości wydawały się nieznaczące, ale posłużyły do skierowania naszej rozmowy we właściwym kierunku. Ramzes i Serrena nie wiedzieli o moim zainteresowaniu wysepkami. Nie mieli też pojęcia o moim wyjątkowym związku z boginią, więc musiałem nieco zmienić tę część opowieści i przypisałem całą swoją wiedzę starym sternikom Ganordowi, który dał mi pochodzącą z szybu tabliczkę z rybą.

Z początku para królewska nie okazywała większego zainteresowania, ale gdy rozwinąłem pełnię mojego talentu gawędziarza, tajemnica wysepek szybko ich zauroczyła. Kiedy zbliżyłem się do punktu kulminacyjnego opowieści, Serrena wierciła się z przejęcia, nie mogąc się doczekać zakończenia, i nawet oczy Ramzesa płonęły z ciekawości. Kiedy dotarłem do miejsca, gdzie osuwisko przerwało moją eksplorację, żadne z nich z początku nie pogodziło się z takim zakończeniem.

– Co było potem, Taito? Co zrobiłeś? – dopytywała Serrena.

– Tak, Tato, powiedz nam, co znalazłeś za tą skalną przeszkodą – poprosił Ramzes. – A może to wszystko wymyśliłeś? Czy po prostu bawisz się naszym kosztem?

Kiedy wreszcie uznali, że to prawdziwa relacja z mojej wyprawy, oboje chcieli, żebym natychmiast zabrał ich na wyspę i do szybu. Miałem nie lada kłopot, żeby ich przekonać, że lepiej poczekać do nocy. Zabijaliśmy czas, rozmawiając o podwodnym tunelu, który ciągnął się od czwartej wysepki do fundamentów fortecy Abu Naskos.

– Kiedy się nad tym zastanowić, praca starożytnych była raczej bezowocna i bezproduktywna – zauważył Ramzes.

Serrena natychmiast odwróciła się w jego stronę.

– O co ci chodzi, najdroższy mężu? To było nadzwyczajne przedsięwzięcie!

– Nadzwyczajne? – Ramzes zachichotał. – Budowanie tunelu ze sztucznej wyspy na środku potężnej rzeki do jakiegoś podziemnego miejsca? Nazwałbym to skrajną głupotą.

– Zupełnie nie rozumiesz – parsknęła. – Tunel zaczynał się na wschodnim brzegu rzeki, gdzie był nasz pierwotny obóz. Przechodził pod powierzchnią Nilu kolejno do wszystkich czterech zbudowanych przez człowieka wysp, Rybiej, Ptasiej, Wydrowej i Lisiej, i docierał do fundamentów fortecy, która istniała przed Abu Naskos.

– Dlaczego? Dlaczego zbudowali cztery wyspy?

– Ponieważ Nil jest za szeroki, żeby mogło być ich mniej. Powietrze

w tunelu stałoby się stęchłe i trujące. Musieli pozwolić tunelowi oddychać.

Ramzes był zmieszany.

– Co się stało z tunelem pomiędzy trzema pierwszymi wyspami?

– Kiedy Dawni Ludzie odeszli, zarwał się ze starości i wskutek zaniedbania – wyjaśniła słodko Serrena.

– Ach! Rozumiem! – powiedział. Ja też zrozumiałem. Byłem zadowolony, że nie dałem się wciągnąć w dyskusję, bo odjęło mi mowę jak Ramzesowi.

Przeprawiliśmy się na Lisią Wyspę w sześcioro. Poza naszą trójką w wyprawie uczestniczył Nasil – postanowiłem mu wybaczyć niedawny brak taktu i wykorzystać jego znajomość fortecy i wyspy. Poza nim potrzebowaliśmy dwóch doświadczonych żeglarzy do pilnowania łodzi.

Przybyliśmy na Lisią Wyspę dwie godziny po zmroku i natychmiast wyszliśmy na brzeg. Nasła zakrył wejście do szybu martwymi gałęziami, których nikt nie naruszył podczas naszej nieobecności. Teraz je usunął i poprowadziłem wszystkich na dół szybu, przystając tylko po to, żeby Ramzes i Serrena mogli obejrzeć ceramiczne płytki z wizerunkiem pustynnego lisa, co sprawiło przyjemność przede wszystkim Serrenie.

Kiedy zeszliśmy na dno i stłoczyliśmy się w tunelu, wyjaśniłem, że jesteśmy pod rzeką. Serrena z poważną miną spojrzała na strop wiszący nisko nad jej głową, po czym przysunęła się do Ramzesa i złapała go za rękę, szukając pokrzepienia. Prowadząc ich tunelem, powiedziałem, że ma trzysta dziesięć kroków długości, prawie tyle samo, ile wynosi szerokość rzeki od wyspy do brzegu. Później, kiedy podłoże jęło się podnosić, wyjaśniłem przyczynę:

– Dotarliśmy do zachodniego brzegu i zmierzamy ku powierzchni.

Ramzes się uśmiechnął, a Serrena wreszcie odzyskała mowę. Wskazała archaiczne pismo, które pokrywało ściany od tego miejsca w górę, i ku mojemu zdumieniu zaczęła płynnie tłumaczyć na język egipski.

– „Niechaj będzie wiadomo wszystkim ludziom tego świata, że ja, Zararand, król Senquatu i Mentanii, niniejszym dedykuję te dzieła ku wiecznej chwale Ahury Mazdy, boga bogów i światła...”

Nie mogąc się powstrzymać, palnąłem:

– Jaki to język, Serreno, i gdzie nauczyłaś się nim władać?

Urwała, speszona, i zerknęła na Ramzesa.

– Właściwie nie pamiętam. – Zrobiła niepewną minę. – Przez lata miałam tylu różnych nauczycieli.

Natychmiast rozzłościłem się na siebie. Pochopnie zadałem pytanie. Powinienem rozumieć, że znajomość starożytnego języka to odziedziczone wspomnienia boskich, szczątkowe echo z poprzednich istnień, których nawet ona nie mogłaby dokładnie umiejscowić.

– Pewnie mąż cię nauczył – zażartowałem i Ramzes spojrzał na mnie

w osłupieniu. Mrugnąłem do niego, a on z ulgą wyszczerzył zęby i parsknął śmiechem.

– Przyznaję się do winy, Tato. Oczywiście, to ja ją nauczyłem. Nauczyłem ją wszystkiego, co umie.

Serrena trąciła go w ramię i wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Niezręczna chwila przeminęła i prowadziłem ich dalej, aż nagle stanęliśmy przed osuwiskiem tarasującym drogę.

Odwróciłem się ku całej trójce i rozłożyłem ręce w geście rezygnacji.

– Koniec drogi!

– Co się tu stało? – zapytała Serrena.

– Strop tunelu się zarwał i zablokował drogę – wyjaśniłem. – Nie ma przejścia. Wydaje się, że wszystko, co leży dalej, pozostanie tajemnicą na zawsze.

– Przecież możemy usunąć kamienie, tak jak robili pierwotni budownicy? – powiedziała Serrena. Gorzkie rozczarowanie wyraźnie brzmiało w jej głosie.

– To zawał – powtórzyłem. – Powyżej nie ma solidnego dachu. To śmiertelna pułapka. Jeśli w nią wejdziemy i spróbujemy ją oczyścić, znowu się zarwie...

Ramzes precyzyjnie przesunął się obok mnie i ukląkł przed przeszkodą. Przeciągnął rękami po ścianie, zaczynając od podłoża i stając na palcach, żeby dosięgnąć do samej góry. Wydłubał kawałek skały, wsunął rękę w powstały otwór i macał. Odwrócił się ku mnie i podał mi wydobyty kamień.

– Nie, Tato, choć raz w życiu się mylisz. To nie zawał. Spójrz na ślady dłuta na tym kawałku! Wymacałem strop nad miejscem, z którego go wyciągnąłem. Jest solidny, ani trochę nie spękany. To dzieło człowieka, mur z ułożonych kamieni, a nie osuwisko.

Bez słowa przepchnąłem się obok niego i podszedłem do przeszkody, z rozmysłem nazywając ją w duchu zawałem. Jestem wyższy od Ramzesa, więc nie musiałem stawać na palcach, żeby sięgnąć do otworu. Tym razem się nie śpieszyłem. Z wysiłkiem wyjąłem z samej góry jeszcze dwa kawałki i dokładnie się im przyjrzałem. Nie ulegało wątpliwości, że są na nich ślady narzędzi. Wsunąłem rękę w pustą przestrzeń i macałem, szukając wyrwy w stropie nad tym miejscem. Znalazłem tylko litą skałę. Tunel się nie zarwał, tylko został rozmyślnie zablokowany przez ludzi.

Odwróciłem się w stronę Ramzesa i przygotowałem się wewnętrznie.

– Masz rację. Myliłem się. – Takie proste słowa, a tak trudne do wypowiedzenia.

Zrozumiał. Zarzucił rękę na moje ramiona i ścisnął.

– Wygląda na to, że czeka nas trochę pracy – rzucił. Znał moje słabe punkty i taktownie brał na nie poprawkę. W tej chwili kochałem go tak, jak tylko jeden mężczyzna może kochać drugiego.



Oceniliśmy, że w tunelu może pracować nie więcej niż dwudziestu ludzi jednocześnie. Nie mieliśmy absolutnie żadnego pojęcia, ile czasu zajmie nam usunięcie przeszkody. Zdecydowaliśmy, że z początku możemy układać wydobyte kamienie wzdłuż jednej ściany tunelu. Jeśli miejsce okaże się niewystarczające, będziemy je wynosić do szybu na Lisiej Wyspie i wrzucać do rzeki.

Były też inne drobne problemy, które należało uwzględnić. Nie wiedzieliśmy, jak głęboko pod powierzchnią gruntu pracujemy i czy hałas nie niesie się do fortecy. Nie potrafiliśmy przewidzieć, jak długo potrwać prace i jak dwudziestu ludzi będzie mogło pracować i spać w takiej ograniczonej przestrzeni przez niedający się określić czas.

– Wymyślisz jakiś sposób – powiedziała Serrena beztrąsko. – Jak zawsze, Tato.

Po szesnastu dniach nawet ja dotarłem do granic pomysłowości i wytrzymałości. Dość szybko odkryliśmy, że starożytni dołożyli wszelkich starań, żeby uczynić nasze wielkie przedsięwzięcie prawie niemożliwym. Użyli plastycznej substancji podobnej do gliny, żeby związać wielkie kamienie; spoiwo wyschło i stwardniało, przewyższając same skały pod względem wytrzymałości. Robotnicy musieli mozolnie rozkruszać je na kawałki, żeby wydobywać kolejne kamienie. Hałas krzemiennych młotków był tak ogłuszający, że zatykali uszy gałgankami. Co gorsza, kamienne bariery przeplatały się z pomysłowymi pułapkami, takimi jak wilcze doły i spadające lawiny kamieni. Ośmiu naszych robotników straciło życie w tych zasadzkach, a kilku innych zostało poważnie rannych. Potem nagle bez najmniejszego ostrzeżenia wydostaliśmy się z tunelu do labiryntu małych magazynów i korytarzy.

Gorliwie przeszukaliśmy lochy, lecz nie znaleźliśmy wyjścia. Były szczelnie zapieczętowane. Zawołałem Nasłę jako uznanego specjalistę od struktury i planów fortecy Abu Naskos, która, o czym byliśmy przekonani z Ramzesem, stała nad tym miejscem. Nasla nie kwapił się udzielić nam rady bez konsultacji ze starszym bratem. Zgodziliśmy się z nim, że to rozsądne podejście, i wysłaliśmy go z powrotem do oddziałów Hurotasa wciąż oblegających fortecę. Odprawiliśmy też większość robotników, którzy pełnili bezprzykładną służbę i pokonali liczne przeszkody, żebyśmy mogli dotrzeć do tego miejsca. Zatrzymaliśmy tylko pięciu, którzy dowiedli, że są najbardziej rozsądni i pracowici.

Ramzes, Serrena i ja wróciliśmy tunelem na Lisią Wyspę i rozbiliśmy tymczasowy obóz, czekając na powrót Nasli po rozmowie z Baturem. Minęły trzy dni, zanim to nastąpiło. Nasla miał kłopoty, żeby nawiązać kontakt z bratem, ale w końcu mu się udało i wymienili długie zaszyfrowane wiadomości nad murami



fortecy.

Najważniejsze było to, że Batur nas słyszał, gdy przedzieraliśmy się przez ostatnią barierę przed starożytnymi magazynami pod fortecą. Odgłosy głęboko go zatrwożyły. Przezornie najbardziej hałaśliwe prace prowadziliśmy po północy, kiedy żołnierze Utteryka spali albo pełnili straż na murach wysoko nad ziemią. Na szczęście nikt nie podniósł alarmu z powodu dźwięków pracy naszych podziemnych robotników, stłumionych przez pomieszczenia magazynów i kamienne ściany.

Drugą najważniejszą wiadomością było to, że bracia obmyślili, jak doprowadzić nas tam, gdzie będziemy mogli nawiązać bezpośredni kontakt z Baturem. Stało się jasne, że labirynt niewielkich komór i korytarzy stanowił część pierwotnego dzieła starożytnego władcy, Zararanda, króla Senquatu, który zostawił inskrypcje wyryte na ścianach tunelu.

Stulecia później, kiedy lud pradawnego senquatańskiego królestwa albo uciekł z Egiptu, albo został pokonany i unicestwiony w bitwie, przybyli tu Hyksosi. To oni wzniesli obecną fortecę na starożytnych ruinach. To oni zasypali pierwotne fundamenty i zapieczętowali podziemne składy, w których utknęliśmy z Ramzesem. Było dla nas oczywiste, że Utteryk nie ma pojęcia, co leży pod jego warownią Abu Naskos.

Dowiedziawszy się o tym, obaj byliśmy chętni wrócić do podziemnego kompleksu, gdzie Nasła miał nas poprowadzić do miejsca nawiązania kontaktu z Baturem. Od nas będzie zależało maksymalne wykorzystanie elementu zaskoczenia, gdy wyskoczymy z piwnic i runiemy na Utteryka, żeby posłać jego i jego pachołków na zatracenie, na co wszyscy w pełni zasłużyli. Nasza akcja musi być ściśle skoordynowana z działaniami sił króla Hurotasa, otaczającymi fortecę na powierzchni ziemi.

Dla mnie i Ramzesa najważniejsze było przedostanie się ze starożytnych magazynów do budynku zajmowanego przez Utteryka i jego żołnierzy. Uzgodniliśmy z Baturem, że o północy z Nasłą i naszymi pięcioma robotnikami wrócimy tunelem pod Nilem do zapieczętowanego podziemia. Rozproszyliśmy się po porzuconych magazynach i przejściach. Kazałem ludziom pogasić świece i usadowiliśmy się, żeby czekać. Ciemność była nieprzenikniona, a cisza dosłownie dzwoniła w uszach. Nawet ja szybko poczułem się zdezorientowany i zachodziłem w głowę, jak sobie radzą nasi ludzie. Rozważałem, czy nie krzyknąć, żeby im dodać otuchy, ale zmieniłem zdanie. Mogliby zakwestionować mój własny hart ducha.

Zupełnie straciłem poczucie czasu, ale w końcu ciszę zmaćił przerywany, ledwie słyszalny dźwięk stukania metalu o metal gdzieś nad naszymi głowami. Zaraz potem zabrzmiały chóralne okrzyki ulgi i rozbłysły świece. Przez następną godzinę tropiliśmy dźwięki do ich źródła.

Na podłodze nad nami Batur wsunął metalowy pręt w uprzednio wywiercony otwór i uderzał w niego mniejszym. Zaczęliśmy w tym miejscu wiercić świdrem małą dziurę w stropie. Była to żmudna, wyczerpująca praca, bo płyta stropu miała cztery łokcie grubości. Wreszcie Nasla przyłożył ucho do otworu i rozpoznał głos brata szepczącego z góry.

Pozostało tylko powiększyć wywiercony otwór do wielkości pozwalającej precyzyjnie się w pełni uzbrojonemu mężczyźnie. Zajęło to prawie trzy dni, ale w końcu dopięliśmy swego. Ramzes i ja, kierowani przez Nasłę, przedostaliśmy się do właściwej fortecy Abu Naskos. Czekał tam na nas jego starszy brat, Batur. Obaj bracia oprowadzili nas po najniższych piwnicach fortecy, wykorzystywanych głównie jako magazyny i tym samym prawie bezludnych. Batur i Nasla znali się z kwaterującymi tam żołnierzami i podawali uzgodnione hasła, więc nie wzbudziliśmy podejrzeń.

Bracia wskazali nam korytarze prowadzące do głównych fortyfikacji warowni, po czym wróciliśmy tam, skąd przyszlismy. Batur został, żeby zamaskować świeżo wybity otwór, używając do tego celu leżących w sąsiednich pomieszczeniach stosu worków z jęczmieniem.

Nasze następne zadanie polegało na przewiezieniu prawie trzystu ludzi ze starego obozu Hurotasa na wschodnim brzegu na cztery starożytnie sztuczne wysepki, skąd mogli zostać szybko przerzuceni do podwodnego tunelu, który prowadził pod warownię Utteryka.

W tym czasie Ramzes i ja zebraliśmy wszystkich wyższych oficerów i zaznajomiliśmy ich z rozkładem wnętrza fortecy i jej umocnień, żeby po wprowadzeniu ludzi przez wybity do lochów otwór wiedzieli, gdzie są, i umieli znaleźć drogę na wyznaczone stanowiska bojowe. Staraliśmy się zapewnić, żeby w każdym oddziale był co najmniej jeden człowiek, który już kiedyś widział Utteryka i mógł go rozpoznać, jeśli znów go zobaczy. Wszyscy wiedzieliśmy, że Utteryk wykorzystuje wielu sobowtórów, żeby popsuć nam szyki.

Następnie przećwiczyliśmy przerzucenie żołnierzy z trzech wysp na Lisią, a tam przejście podwodnym tunelem na zachodni brzeg i przedostanie się przez lochy do wejścia do głównej fortecy, przez większą część drogi w zupełnej ciemności. Ludzie szli w połączonych linami dwunastoosobowych grupach, a każdą prowadził godny zaufania sierżant, który jako jedyny niósł zapaloną pochodnię.

Wszystkie te przygotowania przebiegły gładko, ale Ramzesowi pozostał jeden problem na pozór niemający rozwiązania: jak przekonać królową Serrenę Kleopatę, żeby nie brała udziału w nocnej eskapadzie pod Nilem, tylko została z ojcem na powierzchni, gdzie miała być względnie bezpieczna.

– Nie rozumiesz, Tato – powiedział Ramzes. – Jeśli Serrena uzna, że chcemy ją zostawić, ponieważ jest kobietą i musi być pod opieką mężczyzny, po prostu

odmówi współpracy.

– Ależ rozumiem, Ramzesie – zapewniłem go i skorygowałem tok jego rozumowania. – Przed twoją żoną znałem jej matkę i babkę. Wszystkie miały jedną wspólną cechę. Bez zająknięcia wydawały rozkazy, ale nigdy potulnie ich nie przyjmowały. Będziesz musiał przedstawić jej to nieco inaczej. Powiedz, że musi pomóc zniedołężniałemu starcowi, który przypadkiem jest jej ojcem, w rozpoznaniu Utteryka, kiedy razem runą na mury Abu Naskos. Hurotas nigdy go nie widział, a Serrena prawdopodobnie zna Utteryka lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet jeśli będzie miał zamaskowaną twarz, rozpozna go po dłoniach.

Następnego wieczoru Ramzes wrócił na Lisią Wyspę z odwiedzin w obozie Hurotasa, gdzie uczestniczył w odprawie prowadzonej przez samego króla. Przyniósł pod peleryną dzban przedniego spartańskiego wina i z szerokim uśmiechem napełnił mój kubek do pełna.

– Wypij, Tato. Musimy utopić nasze smutki.

– Tragiczne wieści? – zapytałem.

– Nie mogłoby być lepiej. – Tu plasnął się w czoło. – Wybacz mi przejęzyczenie; oczywiście chodziło mi o to, że nie mogłoby być gorzej. Moja ukochana żona nie będzie mi towarzyszyć w pierwszym szeregu podczas zbliżającej się bitwy. Będę mógł skupić całą energię na dotarciu do bramy fortecy i otworzeniu jej, żeby nasze wojsko mogło wmaszerować w pełnej sile. Serrena znajdzie się pod opieką ojca. Poprowadzi go do Utteryka w panującym zamęciu. Możemy być pewni, że Hurotas nie pozwoli, żeby jego jedynaczka wpakowała się w kłopoty.

Było to niesamowite przedsięwzięcie, dodatkowo skomplikowane przez podwójną naturę naszej ofensywy na Abu Naskos. Królewscy kochankowie spędzili ostatnią noc w starym obozie na wschodnim brzegu rzeki i rozstali się o świcie. Serrena wróciła do ojca, króla Hurotasa, w okopach przed fortecą, a Ramzes dołączył do mnie w zatłoczonym tunelu pod rzeką.

Gdy zapadła noc, zajęliśmy pozycje u stóp drabiny prowadzącej do piwnic fortecy Abu Naskos. Sygnałem do ataku miał być wschód księżyca. To oczywiście odpowiadało Hurotasowi i innym, którzy stamtąd, gdzie przebywali, mieli piękny widok na nocne niebo. Ramzes i ja mieliśmy co najmniej pięćdziesiąt łokci skały nad głowami. Musieliśmy liczyć na to, że czujki na Lisiej Wyspie przekażą wiadomość, która przez łańcuch ludzi w tunelu pod Nilem dotrze do miejsca, gdzie czekaliśmy.

Wreszcie wiadomość nadeszła. Podnieśliśmy się i weszliśmy po drabinie do czekających na nas Batura i Nasli, którzy poprowadzili nas dalej. Ludzie podążający za nami w małych grupach byli połączeni linami, żeby się nie pogubić z zupełnej ciemności. Tylko przywódca każdej grupy niósł zapaloną świeczkę.

Ramzes miał pięć grup pod swoimi rozkazami. Jego celem była główna brama twierdzy. Musiał ją zdobyć, otworzyć i utrzymać, dopóki Hurotas i Hui nie przybiegną z okopów na czele głównych sił i jej nie obsadzą.

Sam miałem pod komendą dwa dwunastoosobowe oddziały. Osobiście wybrałem ludzi, co znaczyło, że byli to najlepsi z najlepszych. Nasla miał nas poprowadzić na górne piętro fortecy, gdzie mieściły się prywatne kwatery Utteryka. Naszym głównym celem było pojmanie go żywcem, żeby nie podlegało wątpliwości, że dopadliśmy właściwego człowieka. Wszyscy jednak zgodzili się, że jeśli napotkamy opór, należy Utteryka zabić od ręki. Według Batura, dwa dni temu we własnej osobie wszedł do swoich kwater i od tamtej pory nikt nie widział, żeby opuszczał główny poziom fortecy.

Warownia miała osiem pięter i każde było wysokie na dziesięć łokci, więc musieliśmy się wspiąć na wysokość około osiemdziesięciu łokci. Na ścianach w korytarzu wisały latarnie, ale dawały mało światła, więc rozkazałem ludziom zapalić pochodnie. Zrobiło się na tyle jasno, że mogliśmy biec, choć schody pod naszymi stopami były wąskie i strome.

Starannie rozważyłem, w co mamy się uzbroić, i w końcu ograniczyłem wybór do broni siecznej, mieczy i długich noży. Łuki i strzały były zbyt nieporęczne, trudno byłoby je napinać i celować w zamkniętych przestrzeniach. Wchodziliśmy po schodach z nagimi ostrzami w dłoniach, żeby nie dać się zaskoczyć. Gdy dotarliśmy na szósty poziom, ciszę przerwała płynąca z dołu kakofonia krzyków bólu i oburzenia połączonych z wrzaskami i trzaskiem metalu

o metal.

– Ludzie Ramzesa walczą! – wychrypiął Nasła za moimi plecami.

– Idziemy! – warknąłem. – Ramzes ma ich ponad dwustu, żeby dotrzeć do bramy.

Skręciliśmy na schodach i wpadliśmy na grupkę wrogów zbiegających równie szybko, jak my się wspinaliśmy. Oczywiście zaalarmowały ich odgłosy bitwy na dolnych piętrach, ale nie spodziewali się tak szybkiego spotkania z przeciwnikiem. Broń wciąż mieli w pochwach. Zabiłem pierwszego, po prostu unosząc miecz na wysokość jego grdyki. Kiedy na niego wbiegł, poczułem wstrząs, gdy sztych przeciął kręgosłup i ciepła krew zalała mój nadgarstek. Pozwoliłem, żeby trup zsunął się z ostrza, a wówczas sztych znalazł się naprzeciwko przepony człowieka, który gnał blisko za tym pierwszym. Ten wyraźnie ubierał się w pośpiechu, bo nie zapiął napierśnika. Moje ostrze wniknęło po rękojeść w częściowo odsłonięty tors. Przekręciłem miecz, żeby powiększyć ranę, i wysunąłem go płynnym ruchem. W tym czasie Nasła i inni rozprawili się z pozostałymi wrogami. Przeskoczyłem nad ciałami i popędziłem po schodach. Wreszcie znaleźliśmy się na najwyższym piętrze.

– W którą stronę? – zapytałem Nasłę.

– Prosto! Pierwsze drzwi! – Wskazał je podbródkiem. Rzuciliśmy się razem i wyłamaliśmy je. Przy oknie naprzeciwko wejścia zobaczyłem sylwetkę mężczyzny. Oczywiście słyszał, że nadchodzimy. Odwrócił się w naszą stronę. Miał napierśnik z wypolerowanego metalu, który mógł być złotem. Zasłona hełmu była opuszczona i w szczelinach połyskiwały oczy. U jego biodra wisiała pochwa z mieczem. Ręce miał gołe. Były gładkie i blade, bez śladu zmarszczek i odcisków, jak u pięknej młodej kobiety. Kiedy je zobaczyłem, od razu zrozumiałem, z kim mam do czynienia.

– Utteryku, nadszedł czas twojej chwały. Jesteśmy tutaj, żeby poddać próbie twoją nieśmiertelność – powiedziałem.

Sięgnął do rękojeści miecza i zrobił krok w naszą stronę, ale w tej chwili nasi ludzie wpadli przez drzwi za moimi plecami. Utteryk przestał się wahać. Okręcił się i położył rękę na parapecie. Podskoczył, przerzucił stopy nad parapetem i zniknął.

Ogarnął mnie wrzący gniew zmieszany z gorzkim rozczarowaniem, że po raz kolejny zostałem pozbawiony możliwości wywarcia zemsty. Usłyszałem, że warczę jak drapieżnik, któremu umknęła zwierzyna. Znajdowaliśmy się na najwyższy piętrze zamku. Ani człowiek, ani zwierzę nie mogłoby przeżyć upadku z takiej wysokości. Pobiegłem przez komnatę do okna i wychyliłem się, z trwogą patrząc w dół, bojąc się, że zobaczę zwłoki Utteryka rozpostarte na ziemi daleko w dole.

A jednak scena, którą ujrzałem, różniła się znacznie od moich wyobrażeń.

Była oświetlona prawie jak w dzień. Setki, nie, tysiące pochodni otoczyły mury, gdy potężna armia Hurotasa runęła ku szeroko otwartej bramie zamku; Ramzes i jego ludzie wykonali swoje zadanie. Jeśli gdzieś tam leżały roztrzaskane zwłoki Utteryka, nie mógłbym ich zobaczyć w panującym chaosie.

Zdesperowany, ryzykownie wysunąłem górną połowę ciała daleko za okno. Teraz, gdy poszerzyło się moje pole widzenia, zobaczyłem nie więcej niż dwa piętra niżej wąski taras, a na nim rozpostarte opancerzone ciało mężczyzny o kobiecych dłoniach. Gdy patrzyłem, usiadł i spojrzał na mnie przez szczeliny hełmu.

– Widzę cię, Utteryku! – zawołałem do niego. – I idę po ciebie!

Słyszając te słowa, podniósł się i dziko powiódł wzrokiem dokoła, oczywiście szukając drogi ucieczki. Po sposobie poruszania się poznałem, że zranił nogę przy upadku. Wspiąłem się na parapet, przystanąłem na chwilę i skoczyłem. Miałem nadzieję, że wyląduję na jego głowie i skończę z nim raz na zawsze. Okazał się jednak szybszy, niż przewidywałem. Zdołał uskoczyć i opadłem na miejsce, które zajmował przed chwilą. Wylądowałem niezdarnie i miecz wypadł mi z ręki, grzechocząc na kamiennych płytach poza moim zasięgiem.

Ruszyłem po niego na rękach i kolanach. Kątem oka dostrzegłem, że Utteryk dobył miecza i ponuro kuśtyka za mną. Rzuciłem się przed siebie i chwyciłem broń. Przekręciłem się szybko, gdy tylko moja dłoń zamknęła się na rękojeści. Utteryk stał nade mną w szerokim rozkroku, oburącz trzymając miecz i szykując się do dźgnięcia w moją pierś.

Tradycyjnie fartuch egipskiej zbroi osłania brzuch i biodra, ale ma rozcięcie na wysokości pachwiny, dzięki czemu wygodniej jest sikać. Leżąc na plecach, widziałem, że pancerz Utteryka nie stanowi wyjątku. Kopnąłem podkutym obcasem w to niechronione miejsce i poczułem, że cios wylądował celnie.

Utteryk właśnie opuszczał miecz i nie mógł uniknąć mojego kopniaka. Nagły potworny ból zupełnie pozbawił go równowagi i nie pozwolił dobrze wymierzyć ciosu. Sztych minął moje serce, wnikając w lewe ramię. Utteryk odsunął się chwiejnym krokiem, jedną ręką ściskając obolałe genitalia i wrzeszcząc jak dziecko. W odruchowej reakcji wyszarpnął miecz i wymachiwał nim drugą ręką.

Usiadłem i macając dokoła, znalazłem swój miecz, po czym stanąłem naprzeciwko Utteryka na wąskim tarasie, plecami do drzwi do wnętrza fortecy. Szybko rzucił okiem za balustradę, ale droga w dół była bardzo daleka. Zobaczyłem, że zbiera się w sobie. Obrócił się ku mnie, wciąż z ręką między nogami, chroniąc krocze, i uniósł miecz. Wiedział, że musi ze mną walczyć, i że będzie to walka na śmierć i życie.

Szybko otrząsnąłem się z szoku po upadku i miecz wydawał się gibki i lekki w mojej prawicy. Ruszyłem na Utteryka, wyprowadzając szereg pchnięć i zmuszając go do obracania się na rannej nodze, którą starał się oszczędzać.

Wszluchałem się w jego oddech, wyteżony i chrapliwy nie tylko z bólu, ale również z powodu braku kondycji.

Wspominałem, jak w tebańskim amfiteatrze z lubością zadawał Irusowi powolną, bolesną śmierć, najpierw odcinając mu ręce, a potem wlokąc za rydwanem, aż pękła mu czaszka i mózg wypłynął na twardą ziemię. Zastanawiałem się, czy mam zabić go w podobnie brutalny sposób, ale znowu górę wzięło moje człowieczeństwo.

Nagle zmieniłem kąt ataku, zmuszając Utteryka do obrócenia się w stronę mojej uzbrojonej ręki. Lekko się potknął i zgodnie z moimi przewidywaniami nieco opuścił miecz. Moja riposta przypominała uderzenie pioruna, tak szybka, że nie nadszła za nią oko. Wbiłem sztych w jego pierś, przez serce, i miecz na długość przedramienia wyszedł przez kręgosłup. Broń wypadła mu z ręki i ugięły się pod nim nogi, ale trzymałem go na ostrzu i jego stopy tańczyły, ledwie muskając płyty tarasu, gdy konał. W końcu nachyliłem miecz i pozwoliłem, żeby się z niego zsunął i upadł u moich stóp.

Pochyliłem się nad nim i uniosłem zasłonę hełmu. Powinienem był wiedzieć, że nie pójdzie tak łatwo. Twarz Utteryka od dawna nawiedzała moje sny i teraz zrozumiałem, że wciąż będzie to robić, bo u moich stóp leżała zupełnie obca osoba. Tylko ręce przypominały dłonie Utteryka. Wyprostowałem się i wsłuchałem w otaczającą mnie noc. Przepełniały ją odgłosy walki: wojownicze okrzyki i wrzaski; trzask ostrej broni na hełmach i napierśnikach; wycie rannych i jęki umierających.

Nagle drzwi za moimi plecami się otworzyły. Usłyszałem tupot obutych stóp i radosne krzyki moich ludzi, którzy zbiegli z najwyższego piętra fortecy.

– Dobra robota, Taito. Zabiłeś zdradzieckiego łotra. – Nasła bezceremonialnie walił mnie pięścią po plecach.

– Tak, kolejnego – przyznałem. – Ale tylko Hathor i Tanus wiedzą, który to z nich. Mimo wszystko zabierzemy jego zbroję. Wygląda na autentyczną i będzie warta sporo złota. Potem pójdziemy na dół i spróbujemy znaleźć prawdziwego Utteryka.

Zostawiliśmy na wpół nagiego trupa leżącego na tarasie i poprowadziłem ludzi na dół po schodach ku pandemonium bitwy.

Sytuację pogarszało czyste niepodobieństwo odróżnienia przyjaciela od wroga. Wszyscy mieliśmy jednakowe stroje i mówiliśmy tym samym językiem, nawet z tym samym akcentem. Jeszcze większe zamieszanie, spowodowane przez ciemności, panowało w korytarzach i salach, a nawet na dziedzińcach fortecy. Z żadnej odległości nie można było rozpoznać twarzy. Wpadający na siebie uczestnicy konfliktu musieli wykrzykiwać imię swojego dowódcy, zanim podjęli ostateczną decyzję, czy walczyć, czy się uściskać.

Brama fortecy pozostawała pod kontrolą żołnierzy Hurotasa. Przebiłem się

z moimi ludźmi przez panujący chaos do bramy. Znaleźliśmy tam króla Hurotasa z córką i jej mężem oraz dzielnymi żołnierzami, którzy zdobyli wejście do fortecy. Ramzes ze swoimi ludźmi otworzył oba skrzydła i zablokował mechanizmy, żeby wróg nie mógł ich z powrotem zamknąć. Wojsko Hurotasa wchodziło do warowni w zwartym szyku i choć nie znaleźliśmy dokładnej liczby ludzi Utteryka, przypuszczałem, że jesteśmy bliscy uzyskania przewagi liczebnej. Krzyki „Hurotas” zaczęły przeważać nad tymi „Utteryk”. Wiedziałem, że to oznacza, iż wielu ludzi Utteryka przechodzi na naszą stronę. Czując, że mamy zwycięstwo w Abu Naskos w zasięgu ręki, wróciłem myślą do Teb i niepewnej władzy Wenega i jego ludzi w tym mieście.

Nagle dźwięki bitwy uległy wyraźnej zmianie. Okrzyki triumfu ustąpiły wrzawie wyrażającej zaniepokojenie i konsternację. Karne szeregi maszerujące przez bramę nagle rozpierzchły się w panice, zostawiając wolny przejazd. Żołnierze uciekali, rzucając spojrzenia przez ramię. Usłyszałem charakterystyczny dźwięk pędzących rydwanów: tętent kopyt i chrzęst metalowych obręczy kół na brukowanej drodze, trzask batów i krzyki woźniców. Zaskoczyło mnie, że hałas płynął z wnętrza warowni, a nie od strony rzeki. Dopiero wtedy sobie przypomniałem, jak Batur i Nasla mówili, że Utteryk odesłał większość rydwanów do fortów w delcie, żeby nie wpadły w ręce Hurotasa i jego sojuszników, ale kilkadziesiąt zostawił w fortecy.

Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, ujrzałem rydwany pędzące aleją w kierunku otwartej bramy. Woźnice bezlitośnie smagali konie. Łucznicy szyli strzałami w tłumy naszych ludzi, którzy się przepychali, żeby zejść im z drogi. Załogi rydwanów miały pełne zbroje. Każdy żołnierz miał hełm z opuszczoną zasłoną, więc niepodobna było nikogo rozpoznać. Kilku ludzi Hurotasa okazało się za wolnych, żeby uciec z drogi, i zostali powaleni, stratowani przez konie i rozjechani na krwawe strzepy przez okute brązem koła. Panikujący tłum porwał mnie i przycisnął do muru, ale przynajmniej mogłem spoglądać nad głowami i liczyć uciekające rydwany, gdy mijały miejsce, gdzie stałem.

Jechały w czterech kolumnach po dziesięć, co dawało czterdzieści pojazdów, i właśnie taką liczbę podali mi Nasla z Baturem. Gdy zrównał się ze mną ostatni rząd, zobaczyłem, że woźnica w najbliższym rydwanie patrzy prosto na mnie. Zapytanie, skąd o tym wiedziałem, skoro wszyscy mieli hełmy zakrywające całą głowę, a szczeliny na oczy były bardzo wąskie i ciemne. Poczulem na sobie jego spojrzenie. Prześlizgnęło się po mnie niemal pobieżnie, gdy zakładał kolejną strzałę na cięciwę. Nagle odwrócił głowę i skupił na mnie wzrok, wyraźnie mnie rozpoznając. Nie miałem cienia wątpliwości, kto na mnie patrzy. Jego nienawiść była tak zajadła, że czułem ją niczym dzban wrzącej wody chluśniętej w moją twarz. Wiedziałem z całkowitą pewnością, że patrzę w oczy mojego zaprzysięgłego i śmiertelnego wroga: Utteryka Tura.



Uniósł łuk i przyciągnął lotki do drwiąco wykrzywionej szczeliny, która tworzyła usta maski. Stałem bezradnie, przyciśnięty przez tłum do kamiennej ściany, niezdolny nawet ruszyć głową. Jednakże trzymał łuk w prawej ręce, co mi przypomniało, że jest leworęczny i tym samym strzała będzie miała tendencje do lekkiego zboczenia w lewo. Dostrzegłem i rozpoznałem pierwszy ruch palców poprzedzający wypuszczenie strzały, i przekręciłem głowę. Strzała mknęła zbyt szybko, żebym mógł śledzić ją wzrokiem, ale poczułem pęd powietrza na policzku, gdy grot musnął moje ucho. Usłyszałem, jak uderzył w kamienny filar za moją głową, i drzewce rozpadło się na kawałki. Prawie w tej samej chwili napór tłumy zmalął, gdy ludzie się rozproszyli, i osunąłem się na kamienne płyty.

Nie od razu wstałem, nie dlatego, że bałem się następnej strzały Utteryka, ale ponieważ musiałem poświęcić chwilę na zatamowanie krwawienia z ucha. Kiedy się podniosłem, formacja wrogich rydwanów już wypadła przez główną bramę i pędziła przez nadrzeczną równinę, kierując się na zachód. Ścigało ich kilkuset wojowników Hurotasa, jednakże byli piesi i ich strzały spadały daleko za umykającymi rydwanami. Wielu porzucało polowanie i wracało ku fortecy. Do jutra rana Utteryk i wierni mu ludzie będą mieli przewagę pięćdziesięciu albo i więcej mil, ale dokąd zmierzają? Sądziłem, że wiem.

Dokąd jedzie Utteryk? – zapytał Hurotas radę zgromadzoną w pokoju wojennym w fortecy Abu Naskos. Większość uczestników spojrzała w moją stronę, więc zwrócił się do mnie: – Panie Taito, czy masz jakieś zdanie na ten temat?

Jak wszyscy pozostali, Hurotas był w doskonałym nastroju. Mówił jowialnym tonem i miał dobrotliwą minę. Ledwie godzinę temu w jego obecności otworzono skarbiec fortecy. Królewscy rachmistrze przez tydzień będą zajęci rachowaniem i obliczaniem udziałów przypadających dzielnym ludziom, którzy uwolnili nasz Egipt spod tyranii i nigdy nie myśleli o osobistym zysku.

– Utteryk urodził się w Tebach – odparłem na pytanie Hurotasa. – Tam spędził całe życie. Nigdy nie opuścił Egiptu i nie wyobrażam sobie, żeby chciał to uczynić. Z pewnością wierzy, że miasto Teby wciąż jest w rękach jego pacholków. Jak mały chłopiec, który sparzył palce, ucieknie do domu.

– Krótko i do rzeczy... – Hurotas pokiwał głową. – Jak zawsze, Tato. A teraz mi powiedz, czy możesz go dla nas złapać?

– Jest to moim stanowczym zamiarem – zapewniłem go. – Niezależnie od każdej innej motywacji, takiej jak lojalność, honor i sprawiedliwość, Utteryk wciąż ma gdzieś ukrytą większą część egipskiego skarbu. To, co dzisiaj znaleźliśmy, stanowi małą część zawłaszczonych przez niego bogactw. Ja pierwszy bardzo chciałbym odzyskać resztę. Zamierzam natychmiast wyruszyć do Teb. Naturalnie, z twoim pozwoleniem.

Hurotas pokiwał głową.

– Udzielam ci go.

– Musi mi towarzyszyć członek rodziny królewskiej, żeby podniósł rangę mojej misji. Chciałbym, żeby był to faraon Ramzes, ale wiem, że jest potrzebny tutaj.

– W takim razie albo Hurotas, albo Tehuti pojedzie z Taitą. Musi to być osoba z królewskiego rodu – poparł mnie Ramzes. Inne głosy wzniosły się z oburzeniem.

– Padło na ciebie, nasz zięciu, który jesteś koronowany. Nie będziemy błąkać się z Taitą, póki do końca nie wiemy, na czym stoimy – zaprotestował Hurotas, a Tehuti ścisnęła jego rękę na znak rodzinnej solidarności.

Serrena, która jako jedyna dotąd słuchała w milczeniu, teraz wstała i podeszła do mnie. Jej twarz, zwykle promienna i czarująca, nagle tak bardzo zmieniła wyraz, że w sali zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na nią z niepokojem, czekając, aż zabierze głos.

– Ja pojedę z Taitą – oświadczyła stanowczo.

– Nie! Zakazuję! – krzyknął Hurotas, skacząc na równe nogi.

– Dlaczego miałbyś mi zabraniać wypełnienia świętego obowiązku, mój

ojcze? – zapytała cicho.

– Zakazuję, ponieważ jesteś tylko kobietą. – Wyraźnie były to pierwsze słowa, jakie wpadły mu do głowy. Nie należały do najbardziej przekonujących i taktownych, jakie kiedykolwiek u niego słyszałem.

– Jestem tylko tą kobietą, która zabiła lakońskiego dzika. Jestem tylko kobietą, która odrąbała głowę Gubowi Straszemu. – Serrena zrobiła się nieco wyższa, gdy mówiła. – Jestem tą samą kobietą, która przeszła strzałą trzewia generała Panmasiego. Jestem królową Egiptu i moim obowiązkiem jest ochrona królestwa przed tyranią. Wybacz mi, ojcze, ale muszę jechać z Taitą. – Zwróciła głowę ku królowej Tehuti i zapytała: – Matko?

– Nigdy nie byłam z ciebie bardziej dumna niż w tej chwili, moja córko. – Głos Tehuti drżał z emocji. Podeszła uściskać ją ze łzami dumy w oczach i mokrymi policzkami. Cofnęła się i odpięła pas z mieczem, po czym oburącz przekazała go Serrenie. – Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz miała powodu używać go w gniewie, ale gdybyś musiała, dźgaj z całej siły, moja kochana córko. – Wielki rubin w rękojeści błękitnego miecza zapłonął cudownym ogniem, gdy zapinała pas w talii Serreny.

Serrena spojrzała nad ramieniem matki na Ramzesa.

– Mężu? – zapytała i jego twarz złagodniała.

– Teraz jesteś królową nie tylko z imienia – oznajmił. – Skoro nie możemy jechać razem, powiem, że nikogo innego nie wybrałbym na twojego towarzysza, jak tylko Taitę. Idźcie z moim błogosławieństwem!

Serrena zwróciła się do Hurotasa:

– Proszę cię o wyrozumiałość, umiłowany ojcze.

Hurotas rozłożył ręce ze zrezygnowanym uśmiechem, który jednocześnie wyrażał smutek i dumę.

– Jestem wyrozumiały, umiłowana córko.

Z radością pozwolił nam wybrać setkę swoich najlepszych ludzi z czterdziestoma rydwanami i końmi; dodaliśmy do tej liczby Batura i Nasłę, a także z dziesięciu innych wiernych zwolenników, którzy znali Utteryka Tura i mieli go rozpoznać, jeśli go znów zobaczą. Później przedyskutowałem z Serreną, jak najsprawniej udać się do Teb. Jeśli postanowimy wziąć statek, będziemy płynąć pod prąd i naturalnie czynnikiem decydującym będzie prędkość rzeki. O tej porze roku na tym odcinku Nil płynął w tempie maszerującego człowieka. To oznaczało, że o połowę zredukuje prędkość łodzi. Z drugiej strony, łódź może żeglować w dzień i w nocy. Koń z jeźdźcem na grzbiecie może kłusować przez ograniczony czas i musi odpoczywać. Mając to na względzie, załadowaliśmy naszych ludzi i konie na pokład pięciu dużych łodzi. Mieliśmy więcej niż dość chętnych do wiosłowania. Łodzie ustawiły się pod prąd i ruszyliśmy w stronę Teb.

Wiatr we dnie i w nocy wiał z północy, napełniając żagle i pomagając nam

płynąć w górę rzeki, mimo to minęło wiele frustrujących godzin i dni żeglowania i wiosłowania, zanim wczesnym rankiem, kiedy wspiąłem się na szczyt masztu, w kłębach mgły dostrzegłem mury Ogrodu Radości na nadrzecznym wzgórzu. Godzinę później nasza mała flota zacumowała przy głównym nabrzeżu Teb. Zszedłem na brzeg z Serreną i sześcioma ludźmi; wszyscy mieliśmy przebrania, przede wszystkim Serrena. Nie byliśmy pewni, czy Utteryk dotarł do miasta przed nami. Jeśli tak, to otwierało wszelkiego rodzaju paskudne możliwości, łącznie z tą, że już objął władzę w Tebach.

Jednakże główna brama była otwarta i wyglądało na to, że życie w mieście toczy się jak zawsze. Rozpoznałem trzech czy czterech strażników, którzy byli ludźmi Wenega. Natychmiast stało się dla nas jasne, że Utteryk i jego banda zdrajców jeszcze nie przybyli z północy, chociaż, jak wiedziałem, nie mogli być daleko za nami.

Miejscy strażnicy ucieszyli się na mój widok. Kiedy poprosiłem Serrenę, żeby zdjęła przebranie i pokazała im twarz, natychmiast ją rozpoznali. Nie posiadając się z radości, padli na brzuchy u jej stóp. Musiałem im wymierzyć kilka porządnych kopniaków, żeby w końcu wstali i odeskortowali nas do apartamentów Wenega w złotym pałacu. Weneg też dał się porwać entuzjazmowi, jaki wzbudziło nagłe pojawienie się królowej. Musiałem mu ostro przypomnieć, że Utteryk i jego banda opryszków są niedaleko za nami.

Cztery godziny później, kiedy rydwany Utteryka zjawiły się przed Tebami, bramy były zamknięte, a szczyty murów puste. W mieście panowała cisza. Utteryk i jego świta przezornie zatrzymali się o długi strzał z łuku od głównej bramy. Najwyraźniej mieli za sobą forsowną jazdę. Ci, którzy przeżyli podróż, byli zakurzeni, poobijani i wyczerpani. Naliczyłem czterdzieści nowiutkich pojazdów opuszczających garnizon Abu Naskos, każdy zaprzężony w pięć dobranych, porządnie odkarmionych koni. Liczba rydwanów zmalała do dwudziestu dziewięciu; brakujące z pewnością straciły koła albo połamały osie i zostały porzucone na drodze. Pozbawieni pojazdów woźnice przypędzili wolne konie, które schudły i osłabły w ciągu minionych dni. Sierść miały zmierzwioną i sztywną od kurzu. Niektóre kulały.

Ludzie Wenega zajmowali wyznaczone posterunki w mieście, głównie na murach, ale na mój rozkaz chowali głowy za blankami. Reszta czekała przy bramach, niewidoczna, lecz gotowa urządzić wypad na moją komendę.

Utteryk Turo oczywiście nie spodziewał się napotkać oporu. Zostawił miasto bezpieczne w rękach generała Panmasiego i z pewnością liczył, że ten wyjedzie mu na spotkanie. Tak się jednak nie stało, więc Utteryk, z natury będąc podejrzliwy, natychmiast zrobił się czujny. Ponieważ dobrze go znałem, udzieliła mi się jego podejrzliwość. Zrozumiałem, że popełniłem błąd, każąc ukryć się moim ludziom.

– Widzisz Utteryka? – zapytałem Serrenę, która leżała obok mnie na murze,

patrzając przez ten sam prześwit pomiędzy zębami blanków.

– Jeszcze nie. Za dużo pyłu i ruchu – odparła. – I są za daleko.

Ludzie Utteryka kręcili się nerwowo, czekając na rozkaz, żeby podjechać bliżej do bramy. Nastąpił impas.

Zobaczyłem, że większość woźniców i łuczników Utteryka z powodu gorąca zdjęła brązowe hełmy i napierśniki. Dłońmi ocieniłem oczy i pilnie przyglądałem się grupie, próbując kogoś rozpoznać. Nagle jeden z jeźdźców oburącz podniósł hełm, żeby z powrotem włożyć go na głowę. W tym samym czasie jego wierzchowiec się obrócił i słońce padło na uniesioną twarz.

Ścisnąłem ramię Serreny.

– To on!

– Nie musisz mnie za to karać – zaprotestowała. Czasami w chwili podekscytowania zapominam, jaki jestem silny.

Nie miałem cienia wątpliwości, że widziałem prawdziwego Utteryka. Zrozumiałem, że pustka na murach podsyciła jego podejrzliwość. Szykował się do ucieczki. Podniosłem się ze strzałą na cięciwie. Wiedziałem, że odległość jest zbyt wielka, a on był ruchomym celem. Obracał łeb wierzchowca i jednocześnie spinał zwierzę ostrogami. Mimo wszystko wypuściłem strzałę. Patrzyłem, jak pnie się w niebo, a potem zaczyna opadać. Wyglądało tak dobrze, że pomyślałem, iż trafię go co najmniej w ramię, i już triumfowałem w duchu. Nagle poczułem podmuch wiatru całujący mi policzek. Strzała wzniosła się na prądzie powietrza i przemknęła nad jego głową. Schylił się, słysząc jej świst, i rozpląszczył na karku wierzchowca. Inni jeźdźcy zbili się wokół niego i razem pogalopowali na wschód, w kierunku Wielkiego Rowu i Morza Czerwonego.

Wstałem i patrzyłem na wzbity przez nich chmurę kurzu, dopóki nie zniknęli.

– Jak szybko możesz mi dać stu konnych do pościgu za Utterykiem?! – zawołałem do Wenega.

Nie odpowiedział od razu, tylko się podniósł i przybiegł do mnie po kładce strzeleckiej. Miał zmartwioną minę.

– Zamierzasz go ścigać?

– Oczywiście. – Usłyszałem warczenie w moim głosie. Nie znoszę głupich pytań.

– Ale on kieruje się prosto na terytorium Szuszukanów. Nie poważysz się jechać za nim tylko z setką ludzi. Będziesz potrzebować armii za plecami, żeby spróbować.

– Szuszukanów? – Zmieniłem ton na umiarkowanie łagodny. – Nigdy o nich nie słyszałem. O kim albo o czym mówisz?

– Muszę cię przeprosić, panie Taito. Powinienem udzielić pełniejszych wyjaśnień. Sam kilka tygodni temu o nich nie wiedziałem. To plemię zdrajców

i przestępców. Żyją poza nawiasem cywilizacji i prawa. – Rozpostarł ręce w uspokajającym geście. – Proponuję to omówić, panie, zanim podejmiemy jakąś pochopną decyzję.

– Jeśli Utteryk jedzie prosto na ich terytorium, a oni są tak niegodziwi, jak opisałeś, to w takim razie zapewne nas wyręcą i sami się z nim rozprawią, co zaoszczędziłoby nam fatygi. – Uśmiechnąłem się, lecz on pokręcił głową.

– Słyszałem pogłoski, że sam Utteryk jest ich wodzem i założycielem. Nic dziwnego, że zwą go człowiekiem o pięćdziesięciu twarzach.

Serrena, która pilnie przysłuchiwała się naszej rozmowie, wtrąciła się:

– Nie rozumiem, dlaczego Utteryk miałby się posunąć do czegoś takiego. Przecież jako faraon Egiptu ma najwyższą władzę nad wszystkimi?

Pokręciłem głową.

– Tylko nad dobrymi. Ale nawet faraon nie ma prawa szerzyć zła. Jeśli Utteryk włada jako faraon i jednocześnie jest wodzem Szuszukanów, ma na rozkazy dobro i największe zło.

– Sprytny jest! – powiedziała poważnie, ale jej oczy skrzyły się jak ślepią lwicy, która zwietrzyła zwierzynę. – Oczywiście zamknąłeś przed nim dobrą stronę. Pozbawiłeś go dostępu do Teb i każdego innego pięknego miasta Egiptu. Dzięki tobie znajdzie się tam, gdzie jego miejsce, i będzie miał kontakt tylko z Szuszukanami.

– Musimy zdobyć jak najwięcej informacji o tym miejscu zła – zadecydowałem. – Wyślemy szpiegów, żeby się dowiedzieli wszystkiego o tych przestępcach. Kto rządzi i sprawuje władzę, kto ustanawia prawo... Chociaż w społeczności, którą stworzył Utteryk, może nie ma praw.

– Już zasięgnąłem języka – zapewnił mnie Weneg. – Zameldowałbym wcześniej, gdybym miał okazję, ale Utteryk deptał ci po piętach. Podobno przywódcą Szuszukanów jest człowiek, który przybrał chlubne miano Wściekłego Psa.

– Brzmi stosownie – skomentowałem.

– Powiadają, że ten Wściekły Pies jest skończonym łotrem. Innymi słowy, to idealny człowiek do takiej roboty.

– Może Wściekły Pies jest tylko jednym z licznych przybranych imion Utteryka – zasugerowałem, po czym zapytałem: – Czy masz pojęcie, ilu Szuszukanów ma Utteryk na swoje rozkazy?

– Niektórzy mówią, że sto tysięcy ludzi.

Zamrugalem, słysząc taką liczbę. Gdyby Utteryk miał bodaj połowę, dowodziłby największą armią na świecie.

– Co jeszcze mówią? – zapytałem Wenega.

– Mówią, że Utteryk zbudował potężny zamek z Ghadace na brzegach Morza Czerwonego, skąd podbija resztę świata.

Odwróciłem się i podszedłem do blanków. Spojrzałem na wschód i zobaczyłem, że chmura kurzu zostawiona przez rydwany Utteryka kurczy się i rozprasza na lekkim wietrze. Wróciłem do Wenega.

– To tylko plotki – powiedziałem, a on wzruszył ramionami i przestąpił z nogi na nogę.

– Powtarzam to, co słyszałem – wymamrotał przeproszającym tonem.

– Chcę natychmiast wysłać zwiadowców, żeby sprawdzili te informacje. Muszą być dobrymi, godnymi zaufania ludźmi i muszą pracować w pojedynkę. W ten sposób, gdyby jeden czy kilku wpadło w ręce ludzi Utteryka, pozostali będą mieli szansę wrócić do nas z wiarygodnymi informacjami – wyjaśniłem, a on pokiwał głową.

– Sprawdzenie pogłosek ma sens, panie Taito.

– Przywiozłem ze sobą z Abu Naskos dwóch nadzwyczajnych ludzi, braci Batura i Nasłę. Chcę, żebyś wysłał ich na zwiady.

– Jak każesz. Jednakże wyprawa do Ghadaki i powrót zajmie im kilka dni.

– W takim razie im prędzej ich wyślesz, tym lepiej – podkreśliłem i zwróciłem się do Serreny: – Wasza Wysokość, słyszałaś, jakimi siłami być może dysponuje Utteryk. Potrzebuję twojej pomocy, żeby zebrać wszystkich ludzi i rydwany, jakie tylko się da, zanim pomaszerujemy do matecznika Utteryka w Ghadace.

– Oczywiście wystarczy mnie tylko poprosić, Tato.

– Dziękuję, moja droga. – Ująłem ją pod rękę i poprowadziłem chodnikiem strzeleckim. – Uważam, że podana przez Wenega ocena siły militarnej Utteryka jest mocno przesadzona. Im dłużej myślę o potężnym zamku, który bez naszej wiedzy rzekomo zbudował na brzegach Morza Czerwonego, tym bardziej staje się to niedorzeczne. Budowa na taką skalę wymagałaby dziesiątków lat pracy i dziesiątków tysięcy robotników. Zapewniam cię, że gdyby taka forteca istniała, już dawno byśmy o niej usłyszeli. Poznanie faktów nie powinno zabrać dużo czasu. Tymczasem zbierzemy tylu ludzi, ilu tylko można, przeciwko Utterykowi.

Kiedy na początku konfliktu z Hurotasem i Ramzesem Utteryk wyjechał z Teb, żeby popłynąć w dół Nilu, do delty, i ulokować się w fortecy Abu Naskos, zabrał ze sobą większość rydwanów i łuczników. Zostawił generałowi Panmasiemu załogę z wyposażeniem, które uznał za niezbędne do utrzymania porządku w mieście podczas swojej nieobecności. Łącznie z rydwanami, które dał nam król Hurotas w Abu Naskos, mieliśmy sto jedenaście bojowych pojazdów.

Były to wszystkie dostępne nam rydwany do ataku na wielki, niezdobyty zamek Ghadaka z setką tysięcy brutalnych obrońców. Tego wieczoru siedzieliśmy z królową Serreną Kleopatram przy jednym z ognisk na murach miasta Teby, opiekając na długich szpikulcach twarde ser, dopóki się nie roztopił. Popijaliśmy go czerwonym winem ogrzonym na ogniu.

– Więc myślisz, że dotknął mnie lekki obłąd? – zapytał Jej Wysokość.

– Nie tak powiedziałam, Taito. – Pruderyjnie ściągnęła usta. – Powiedziałam, że jesteś kompletnie stuknięty!

– Mówisz tak tylko dlatego, że zmieniłem zdanie?

– Nie, mówię tak dlatego, że tylko wariat może się porywać na niezdobytą fortecę z setką rydwanów i bez jakiegokolwiek ekwipunku oblężniczego.

– Nie musisz ze mną jechać – zaznaczyłem.

– Och, nie, za nic w świecie nie chciałabym tego przegapić. – Uśmiechnęła się. – Może jednak ci się uda. Później nigdy bym sobie nie wybaczyła.

Nazajutrz wyjechaliśmy z Teb, gdy było jeszcze ciemno. Po trzech dniach forsownej jazdy dotarliśmy na skraj Wielkiego Rowu, który opada ku brzegom Morza Czerwonego, czyli do połowy grubości ziemi. Z krawędzi roztacza się spektakularny widok na morze, w rzeczywistości mające brudnoniebieski kolor. Po wschodniej stronie rozciągają się czarne jak smoła plaże – może z tego powodu nazwano morze czerwonym. Bylibyście zdumieni, jak przewrotni i głupi mogą być zwykli ludzie.

Po napojeniu i nakarmieniu koni obrokiem z worków ruszyliśmy w dół skarpy. Pokonaliśmy niespełna połowę drogi, gdy zauważyliśmy jeźdźców jadących z naprzeciwka w górę stromej ścieżki.

Byli ponad milę dalej, ale oboje z Serreną ich rozpoznaliśmy: Serrena dlatego, że w jej żyłach płynie boska krew, jeśli nawet o tym nie wie, a ja dzięki nadzwyczajnemu wzrokowi.

Oboje daliśmy koniom lekką ostrogę i pogalopowaliśmy jeźdźcom na spotkanie.

– Hej, Batur! Co cię tak bawi, Nasło?

– Nauczyłem się z tobą nie spierać, panie – powiedział Batur, gdy się spotkaliśmy, a jego młodszy brat skwapliwie mu przytaknął.



– Musi być nudne, gdy zawsze ma się rację.

– Zatem nie ma zamku? – Ogarnęła mnie radość, gdy znów się okazało, że trafiłem w sedno.

– Nie ma zamku – potwierdził Batur. – Ale jest coś sto razy gorszego. Nie śmieliśmy podejść bliżej niż na półtorej mili. Wy też nie będziecie chcieli tego zrobić. Nawet ludzie Utteryka uciekli w popłochu i zostawili go tam samego. Rozmawialiśmy z nimi, kiedy spotkaliśmy ich na drodze. Uznali, że jesteśmy mu wierni, więc mówili swobodnie. Wracają do Teb, żeby prosić o łaskę faraona Ramzesa.

– Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, Baturze! – przestrzegłem go surowo. – Jeśli nie ma zamku, to gdzie ulokował się Utteryk? Mów, człowieku!

– Schronił się w kolonii trędowatych. – Obrócił się w siodle i wskazał w kierunku morza. – Tam, w maleńkiej wiosce zwanej Ghadaka. Jest sam, z wyjątkiem kilkuset trędowatych. Żaden z jego ludzi nie chciał z nim zostać. Myślą, że zwariował. Nie zgadzam się z nimi. Uważam, że Utteryk był szalony od dnia swoich narodzin – dodał bez uśmiechu.

Odjęło mi mowę. Prawdopodobnie spotkało mnie to po raz pierwszy w życiu. Bez jednego słowa zsiadłem z konia i szedłem w dół, aż znalazłem wygodny kamień, na którym usiadłem i markotnie patrzyłem w dół na osadę Ghadaka. Było to skupisko jednoizbowych chałup, nie więcej niż pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu, stojących wzdłuż półkolistej plaży. Niedaleko od wioski dostrzegłem niewielkie zgromadzenie istot ludzkich skulonych w gaju palmowym. Niepodobna było odróżnić mężczyzn od kobiet. Wszyscy mieli grube peleryny, narzucone na głowy i zasłaniające twarze. Siedzieli nieruchomo jak martwi.

Owładnęło mną uczucie strachu. Jak daleko sięgam pamięcią, po raz pierwszy bałem się śmierci; tego milczącego, koszmarnego, powolnego umierania, które widziałem w dole na plaży. Wiedziałem o moim boskim pochodzeniu, ale teraz byłem niepewny, a raczej nie byłem dość pewny, żeby na nim polegać i wejść do kolonii trędowatych.

Nagle omył mnie lekki zapach pachnideł, po którym rozpoznałem, że przyszła Serrena. Przysiadła obok mnie i poczułem jedwabisty dotyk jej ręki na przedramieniu.

– Ty i ja nie mamy się czego obawiać – powiedziała cicho. Odwróciłem się i spojrzałem jej w oczy. Wiedziała; to było takie proste. Wiedziała o naszej boskości, pomimo moich wszystkich gorliwych wysiłków, żeby ukryć przed nią tę wiedzę. Wiedziała, i z tego powodu odzyskałem wiarę.

To wystarczyło. Złapałem ją za rękę i podniosłem z kamienia.

– Nie zadowolili cię zostawienie bogom ukarania Utteryka? – zapytałem, a ona pokręciła głową.

– Wiesz, że się tym nie zadowolę. Przysięgam to jemu i sobie.

– W takim razie chodźmy i dochowajmy twojej przysięgi.

Poszliśmy do koni i wróciliśmy do rydwanów, gdzie czekali na nas bracia Batur i Nasla.

Wczesnym rankiem zabraliśmy pięć rydwanów załadowanych żywnością i pojechaliśmy w dół skarpy do miejsca tuż nad plażą i morzem, gdzie na zawiasach wisiały otwarte skrzydła rozchwierutanej bramy. Po jednej stronie stała tablica, na której widniało złowróżbne ostrzeżenie: „Nie idź dalej, ty, który kochasz bogów i życie, jakie ci dali! Tu znajdziesz tylko smutek i płacz”.

Woźnice zatrzymali rydwany i wyładowali towary w milczeniu i nieskrywanej trwodze, niechlujnie piętrząc na ziemi worki z ziarnem i suszonym mięsem. Pracując, rzucali nerwowe spojrzenia w kierunku krytych strzechą dachów wioski, która leżała nad plażą. Gdy tylko skończyli, smagnęli konie biczami i pogalopowali w górę skarpy, gdzie czekali bracia, żeby poprowadzić ich z powrotem do miasta Teby.

Serrena i ja zostaliśmy sami. Wjechaliśmy do wioski trędowatych. Z wejść do chałup patrzyły na nas oczy wyczaijące spod kapturów i z zamaskowanych twarzy. Lepianki nie miały drzwi, a w glinianych ścianach nie było okien. Nikt nas nie pozdrowił ani za nami nie zawołał, gdy jechaliśmy w kierunku gaju palmowego nad plażą. Panowała głęboka, brzemienista rozpacz cisza.

Serrena podjechała do mnie, aż zetknęły się nasze strzemiona, i mruknęła na tyle głośno, żebym tylko ja ją usłyszał:

– Jak znajdziemy Utteryka, jeśli nosi kaptur i maskę wzorem wszystkich innych?

– Nie ma obawy, znajdziemy go – odparłem. – Ty i ja jesteśmy osobami, których nienawidzi najbardziej na świecie. Wystarczy, że się pokażemy, a sam nas znajdzie. Ale bądź czujna. Kiedy się zjawi, będzie szybki i raczej nas nie uprzedzi.

W gaju znaleźliśmy to samo skupisko milczących postaci, które widzieliśmy z wyżyn skarpy. Nie poruszali się ani nie okazywali innych znaków życia z tym wyjątkiem, że kilka głów lekko się obracało, śledząc nas wzrokiem, gdy jechaliśmy przez gaj. Zatrzymaliśmy się tam, gdzie kilkanaście osób siedziało blisko siebie.

– Kto tu rządzi? – zapytałem grobowym tonem, który wydawał się odpowiedni do tej scenerii. Cisza, która zapadła po moim pytaniu, wydawała się jeszcze cięższa niż wcześniej.

Nagle wybuchł rechotliwy, dziwny śmiech i jedna z zakapturzonych postaci odpowiedziała na moje pytanie.

– Hekate, bogini umarłych, wciąż walczy o ten zaszczyt z Anubisem, bogiem cmentarzy. – Nie byłem pewien, kto mi odpowiedział, ale sprowokował do śmiechu kilkoro innych.

– Macie jedzenie?

– Jeśliście głodni, możecie zjeść te same łupiny kokosów, które jedliśmy

w zeszłym tygodniu. Powinny już być częściowo strawione! – krzyknęła jedna z zamaskowanych istot. Tym razem śmiech był głośniejszy i bardziej szyderczy. Czekaliśmy z Serreną, aż ucichnie.

– Przywieźliśmy wam żywność. – Serrena stanęła w strzemionach i jej głos niósł się do wszystkich w gaju. – Wędzona wieprzowina i suszone ryby! Bochenki chleba z prosa i sorgo! Tyle, ile zdołacie zjeść!

W gaju zapadła głęboka, gorzka cisza, zmacona dopiero wtedy, kiedy jedna z osób poderwała się z ziemi i zrzuciła kaptur. Była to kobieta. Wyglądała potwornie. Choroba zżarła jej nos, uszy i górną wargę, więc jej twarz przypominała wiecznie szczerzącą się czaszkę. Jedna powieka zniknęła, a druga była szczelnie zamknięta. Otwarte oko było mocno przekrwione. Słodka morska bryza niosła ku nam smród jej gnijącego ciała. Zrobiło mi się niedobrze i z trudem przełknąłem ślinę.

– Nikczemnicy! – zaskrzeczała zalana łzami, które z pozbawionego powieki oka spływały po zapadniętym policzku. – Przychodźcie tutaj, żeby szydzić z naszego nieszczęścia! Dlaczego mówicie o jedzeniu, skoro wiecie, że nic nie mamy? Nie znacie litości ani współczucia? Co wam zrobiliśmy, że tak nas traktujecie?

Serrena przemówiła do niej głosem pełnym ubolewania:

– Przywieźliśmy żywność tobie i wszystkim twoim towarzyszom, przysięgam na boginię Artemidę! Ładunek z pięciu wozów czeka na was obok tablicy witającej przybyszów w waszej wiosce. Jeśli jesteście zbyt chorzy, przyniosę wam jedzenie i sama was nakarmię...

Nad tłumem wzbił się krzyk głodu i nadziei, śmiech przemieszany z jękami rozpacz i bólu, gdy nieszczęśnicy dźwigali się z ziemi i kuśtykali w kierunku bramy, żeby szukać cudu obiecanego im przez Serrenę.

Kiedy upadali, pomagaliśmy im wstać; sadzaliśmy ich na nasze konie i podwoziliśmy. Dobięły nas krzyki radości i niedowierzania, gdy pierwsi trędowaci zobaczyli stopy żywności.

Padali na kolana i rwali worki drżącymi palcami. Ci, którzy już nie mieli palców, rozdzierali je zębami i wpychali jedzenie w poszarpane, zakrwawione usta.

Ich krzyki usłyszano w lepiankach stojących dalej od bramy i inni ścigali instynktownie jak pszczoły do ula. Najślabsi, w bardzo zaawansowanym stadium choroby, byli zbijani z nóg, ale czołgali się, żeby znaleźć choć kilka okruszków chleba. Silniejsi niczym psy walczyli o kawałek suszonej kiełbasy.

Serrena i ja zostaliśmy rozdzieleni w panującym zamęciu; byliśmy niedaleko jedno od drugiego, a mimo to zbyt daleko. Zawołała do mnie nagląco w tenmas, tajemnym języku boskich:

– Uważaj! Jest blisko.

– Skąd wiesz? – zapytałem w tym samym dialekcie.

– Czuję go.

Nauczyłem się nie lekceważyć powonienia Serreny. Jest czulsze niż u myśliwskiego psa.

Rozejrzałem się i od razu spostrzegłem, że w pobliżu mnie stoją co najmniej cztery zakapturzone postacie. Miałem przy sobie dwa noże. W pochwie na biodrze nosiłem obosieczny nóż myśliwski o ostrzu długim prawie na łokieć. Mogłem sięgnąć do niego prawą ręką. Na plecach za pasem pod peleryną miałem drugi, o połowę krótszy, i mogłem do niego sięgnąć lewą ręką. Jednakże w tej chwili ugrzęzłem w ludzkim zatorze – do tego chorym i cuchnącym – zmuszony przyjąć nieelegancką pozycję, która nie pozwalała mi na ochranianie lewego ramienia. Próbowałem wyrwać się ze ścisku, obrócić i osłonić tyły.

– Nic mi nie grozi z tyłu za lewym ramieniem?! – zawołałem do Serreny w języku tenmass.

– Padnij! – nakazała mi z taką determinacją w głosie, jakiej jeszcze nigdy u niej nie słyszałem. Natychmiast przykucnąłem w gąszczu nóg, jednych zakrytych długimi spódnicami z plamami zaschniętej krwi, innych gołych, pełnych ran i ropiejących wrzodów. Wszyscy się przepychali, napierali jedni na drugich.

Tuż nad moją głową ręka dzierżąca na oślep nóż dźgała i cięła przestrzeń, którą przed chwilą zajmowałem. Rozpoznałem rękę na podstawie dokładnego opisu podanego mi przez Serrenę w tebańskim amfiteatrze, kiedy Utteryk padł powalony śmiertelnie strzałą, żeby niedługo później cudownie powstać z martwych. Była to piękna ręka, gładka i niemal kobieca, należąca do ucieleśnienia zła.

Unieruchomiony w niezdarnej pozycji, nie mogłem sięgnąć do broni. Nóż Utteryka przemknął przed moją twarzą i rozciął pokryte strupami nagie udo jednego z trędowatych. Krew trysnęła z rany i usłyszałem krzyk bólu. Zdawało się, że to doprowadziło Utteryka do szaleństwa. Dźgnął dziko, raniąc następną kobietę.

Gdy ostrze przemykało nad moją głową, lewą ręką chwyciłem nadgarstek Utteryka, po czym prawą nakryłem jego dłoń zaciśniętą na trzonku noża. Obezwładniłem go, nie mógł ani zaatakować, ani uciec. Zwiększałem nacisk, aż usłyszałem pękające więzadła i wrzask bólu.

Miałem nadzieję, że ten wrzask sprowadzi Serrenę, więc nacisnąłem mocniej. Utteryk zawył satysfakcjonująco głośno. Nagle ucichł, a jego ciało i członki zwiotczały. Nogi się pod nim ugięły i osunął się na mnie. Zepchnąłem go i zobaczyłem rękojeść błękitnego miecza wystającą z pleców, z rubinem w główicy płonącym niebiańskim ogniem. Sztych przeciął nerki i stos pacierzowy.

Serrena osunęła się na kolana obok mnie.

– To Utteryk? – zapytała. – Artemido, proszę, niech to będzie on!

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – odparłem i zerwałem kaptur trędowatych z głowy mężczyzny. Przewróciłem go na bok i w milczeniu

spojrzeliśmy na twarz konającego.

Rysy mogłyby być szlachetne jak u jego brata Ramzesa, ale nie były. Były przebiegłe i chytne.

Albo mogłyby być życzliwe i pełne troski jak u brata, ale były okrutne i naznaczone obłędem.

Wstałem i postawiłem stopę na plecach Utteryka, żeby wyciągnąć lśniące błękitne ostrze z jego ciała. Obróciłem miecz rękojeścią w stronę Serreny.

– Chcesz to skończyć? – zapytałem, a ona pokręciła głową.

– Mam dość rozlewu krwi na długi czas – odparła szeptem. – Zrób to za mnie, kochany Tato.

Pochyliłem się i chwyciłem garść gęstych ciemnych kędziorów na jego potylicy. Podniosłem głowę z kamienistej ziemi, żeby nie wyszczerbić ostrza, kiedy uderzę. Lekko dotknąłem karku, by się przymierzyć. Miecz był taki ostry, że blada skóra rozstała się w cienkiej czerwonej linii, wyznaczając miejsce, gdzie mam zadać cios. Podniosłem miecz i opuściłem go bez pośpiechu. Ostrze z cichym trzaskiem przecięło kręgosłup. Trup Utteryka upadł w kałużę krwi, a ja uniosłem odciętą głowę i przemówiłem do twarzy:

– Obyś umierał w mękach po tysiącokroć za każdą śmierć, jaką spowodowałaś!

Ukląknęłam i owinałam jego głowę w kaptur trędowatego, pod którym się ukrywał.

– Co z tym zrobisz? – zapytała Serrena, patrząc na moje poczynania. – Spalisz czy pogrzebiesz?

– Powieszę na wieży bramnej w Ogrodzie Radości obok czerepu Guba Straszego – odparłem, a ona się uśmiechnęła.

– Panie Taito, jesteś po prostu niepoprawny!

Serrena uparła się, żeby zostać w kolonii trędowatych w Ghadace. Spisała nazwiska wszystkich mieszkańców i obiecała, że do końca życia będą dostawać żywność i inne niezbędne rzeczy. Próbowwała złagodzić ich cierpienie za pomocą wszelkich dostępnych jej środków i płakała nad nimi, kiedy umierali. Oczywiście zmusiła mnie, żebym z nią został.

Kiedy w końcu zgodziła się mi towarzyszyć w powrotnej drodze do naszego świata, minęło dziesięć dni. Ci trędowaci, którzy jeszcze mogli chodzić, odprowadzili nas do połowy skarpy. Z płaczem, wykrzykując słowa wdzięczności do Serreny, zawrócili do swoich morowych lepianek nad morzem.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Teb, jedna z jej pierwszych decyzji dotyczyła zorganizowania regularnych dostaw żywności i leków do Ghadaki. Zajmowała się tym pomimo innych spraw, które wymagały jej czasu i dobrej woli, takich jak przygotowania do intronizacji jej i Ramzesa.

Oczywiście król Hurotas i królowa Tehuti ulegli ich usilnym prośbom, żeby zostać w Tebach na uroczystości poprzedzające koronację. Generał Hui i jego żona Bekatha postanowili pójść za tym godnym naśladowania przykładem. Czternastu królów pod przewodnictwem Bera Argolida z beockich Teb zdecydowało, że nie ma powodu śpieszyć się z powrotem do swoich królestw, zwłaszcza że obecnie panuje tam zima.

Teby pękały w szwach. Na szczęście królowa Serrena wpadła na doskonały pomysł, przywracając mnie, panu Taicie, wszystkie własności i prawa odebrane przez poprzedniego faraona, obecnie nieboszczyka Utteryka. W ten sposób znów zostałem jednym z najbogatszych ludzi w Egipcie. Mogłem oddać moje pałace i inne miejskie rezydencje do dyspozycji króla Hurotasa i jego małżonki, a także sprzymierzonych z nim królów.

Faraon Ramzes oficjalnie wyniósł mnie do godności wezyra i głównego doradcy. Jego administracja składała się prawie wyłącznie z trzydziestu dwóch urzędników skazanych przez Utteryka na śmierć i czekających w Ogrodzie Radości, uprzednio znanym jak Wrota Udręki i Smutku. Kiedy posłuszny mojej sugestii Ramzes kazał po nich posłać, z radością przybyli do Teb i bez wahania zajęli wyznaczone im gabinety w pałacu rządowym, żeby objąć obowiązki pod moim kierunkiem.

Dokładnie sześć miesięcy po triumfalnym powrocie do Teb ja, wezyr Taita, wyniosłem faraona Ramzesa i jego żonę królową Serrenę Kleopatę na tron Egiptu, po czym nastąpiła formalna koronacja. W wielkiej sali pałacu stłoczyło się prawie czterystu zaproszonych gości, w tym czternastu cesarzy i władców krajów leżących wokół wielkiego Morza Śródziemnego.

Egipt odzyskał dawną chwałę i nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu,

gdy nakładałem złote korony na głowy moich dwojga najukochańszych osób na całym świecie.

